

MARY BALOGH

NIEBEZPIECZNY KROK

Przekład

Anna Palmowska

Christine, masz niezdrowo zarumienione policzki. - Matka opuściła robótkę na kolana, żeby lepiej przyjrzeć się córce. - I oczy bardzo ci błyszczą. Mam nadzieję, że nie masz gorączki. Christine się roześmiała.

- Byłam na plebanii i bawiłam się z dziećmi - wyjaśniła. - Alexander chciał grać w krykieta, ale już po kilku minutach stało się jasne, że Marianne nie potrafi złapać piłki, a Robin w nią trafić. Bawiliśmy się więc w chowanego, choć Alexander uważał, że teraz, gdy ma już dziewięć lat, to zabawa nieco poniżej jego godności. Zapytałam go, co w takim razie ma powiedzieć jego biedna ciotka, która skończyła dwadzieścia dziewięć lat. Oczywiście to ja cały czas musiałam szukać. Świetnie się bawiliśmy, dopóki Charles nie wystawił głowy przez okno i nie zapytał, chyba retorycznie, jak ma skończyć swoje kazanie w tym potwornym hałasie. Hazel dała nam zatem po szklance lemoniady i wysłała dzieci do bawialni, żeby tam sobie, biedactwa, w ciszy poczytały. A ja wróciłam do domu.

- Jestem pewna, że podczas zabawy z dziećmi nie miałaś kapelusza - odezwała się Eleanor, jej najstarsza siostra. Uniosła głowę znad książki i spojrzała na Christine sponad okularów. - To nie tylko rumieniec. To opalenizna.

- A jak można zajrzeć do małych kryjówek w wielkim kapeluszu na głowie? - spytała Christine rezolutnie i zaczęła układać w wazonie kwiaty zebrane w ogrodzie.

- Twoje uczesanie wygląda jak ptasie gniazdo - dodała Eleanor.

- To da się łatwo naprawić. - Christine przegarnęła palcami krótkie loki i roześmiała się. - Czy tak lepiej?

Eleanor pokręciła głową i z powrotem zajęła się książką. Przedtem jednak się uśmiechnęła.

W pokoju zaległa kojąca cisza, słychać było tylko świergot ptaków i brzęczenie owadów, dochodzące przez otwarte okno. Po kilku minutach spokój przerwał jednak stukot końskich kopyt i turkot kół pojazdu, który zbliżał się ulicą do Hyacinth Cottage. Odgłosy wskazywały na to, że jest duży i ciągnie go cały zaprzęg. Musiał to być powóz z Schofield Park, odległej o trzy kilometry wiejskiej rezydencji barona Renable'a.

Żadna z dam nie zwróciła uwagi na zbliżający się powóz. Lady Renable często z niego korzystała, gdy wybierała się gdzieś z wizytą, choć na ogół wystarczyłaby dwukółka albo po prostu jej własne nogi. Eleanor mówiła, że lady Renable jest pusta i pretensjonalna, co nie było dalekie od prawdy. A mimo to Christine się z nią przyjaźniła.

Wkrótce stało się oczywiste, że powóz zwalnia. Koła zaskrzypiały głośno. Wszystkie trzy damy zdziwione uniosły głowy.

- Zdaje się, że lady Renable przybywa do nas z wizytą. - Eleanor wyjrzała przez okno.
- Ciekawa jestem, czemu zawdzięczamy ten honor. Christine, spodziewałaś się jej?

- Wiedziałam, że powinnam była zmienić czepek zaraz po drugim śniadaniu - powiedziała matka. - Christine, bądź tak miła i poślij panią Skinner na górę, żeby przyniosła mi nowy.

- Mamo, ten, który masz, jest całkiem przyzwoity - zapewniła ją Christine, kończąc układać kwiaty. Podeszła do matki i pocałowała ją w czoło. - To tylko Melanie.

- Oczywiście, że to tylko lady Renable. W tym cała rzecz - odparła matka z irytacją. Ale nie powtórzyła prośby.

Nie trzeba było wielkiego geniuszu, żeby odgadnąć, po co przybyła Melanie.

- Chyba przyjechała, żeby spytać, dlaczego nie przyjęłaś jej zaproszenia - rzuciła Eleanor, jakby czytając w myślach siostry. - A skoro już zjawiała się tu osobiście, pewnie nie pogodzi się tak łatwo z twoją odmową. Biedna Christine. Chcesz pobiec na górę do swojego pokoju? Powiem jej, że nagle dopadł cię atak lekkiej ospy.

Christine roześmiała się, natomiast matka uniosła ręce ze zgrozy.

Melanie istotnie słynęła z tego, że niełatwo przyjmowała do wiadomości odmowną odpowiedź.

Christine miała sporo zajęć. Kilka razy w tygodniu uczyła dzieci w wiejskiej szkole, odwiedzała chorych i zniedołężniałych, matki w położu i przyjaciół. Często bywała na plebanii, by pobawić się z siostrzeńcami, gdyż jej zdaniem Charles i ich siostra Hazel zaniedbywali je; twierdzili, że dzieci nie potrzebują dorosłych do zabawy, skoro mają siebie. Jednak bez względu na to, co Christine robiła, Melanie zawsze uważała, iż jej przyjaciółka po prostu się nudzi i czeka z nadzieją, aż ktoś dostarczy jej ciekawej rozrywki.

Christine lubiła spędzać czas z Melanie i z jej dziećmi. Ale wszystko miało swoje granice. Melanie na pewno przybyła, by ponowić zaproszenie, które wczoraj przyniósł służący. Christine w liście grzecznie, ale stanowczo odmówiła. Równie zdecydowanie odmówiła miesiąc temu, gdy Melanie poprosiła po raz pierwszy.

Powóz z hałasem zatrzymał się przed furtką ogrodu. Niewątpliwie wszyscy mieszkańcy wsi mogli usłyszeć, że oto baronowa łaskawie składa wizytę pani Thompson i jej córkom w Hyacinth Cottage. Rozległ się trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek. Potem ktoś, zapewne stangret, bo bez wątplenia nie Melanie, zapukał do drzwi.

Christine westchnęła i usiadła przy stole. Matka odłożyła tam - borek i poprawiła

czepek. Eleanor z krzywym uśmiechem pochyliła się nad książką.

Kilka chwil później pani Skinner otworzyła drzwi, by zapowiedzieć lady Renable. Melanie wpadła do pokoju, jak zwykle ubrana z przesadną elegancją. Jakby nie była na wsi, tylko wybierała się na spacer do londyńskiego Hyde Parku. Kapturek z dużym rondem ozdabiały kolorowe pióra, dodając Melanie wzrostu. W dłoni w rękawiczce ścisnęła lorgnon. Wydawało się, że wraz z jej wejściem pokój zrobił się ciasny.

Christine uśmiechnęła się serdecznie.

- A, tutaj jesteś, Christine - odezwała się Melanie, skinąwszy głową na powitanie wszystkim damom.

- Właśnie tu - przyznała Christine. - Jak się masz, Melanie? Proszę, usiądź na krześle naprzeciw mamy.

Lady Renable skwitowała propozycję machnięciem lorgnon.

- Nie mam chwili do stracenia - odparła. - Czuję, że pod koniec dnia dopadnie mnie okropna migrena. Christine, przykro mi, że musiałam się do ciebie fatygować. Moje pisemne zaproszenie powinno ci wystarczyć. Nie mogę zrozumieć, dlaczego odpisałaś odmownie. Bertie uważa, że się ze mną droczysz i nie powinnam przyjeżdżać, by zapraszać cię osobiście. Miałabyś się wtedy z pyszna. Ale on często mówi niemądre rzeczy. Wiem, dlaczego odmówiłaś. Przyjechałam ci powiedzieć, że ty też czasami zachowujesz się niemądrze. To dlatego, że przyjeżdża Basil z Hermione, a ty z jakiegoś powodu pokłóciłaś się z nimi po śmierci Oscara. To było jednak tak dawno. Masz takie samo prawo jak oni wziąć udział w przyjęciu. W końcu Oscar był bratem Basila, a choć już nie żyje, ty poprzez małżeństwo jesteś i zawsze będziesz skoligaconą z naszą rodziną. Christine, nie powinnaś się upierać. Ani wstydić. Nie zapominaj, że jesteś wdową po bracie wicehrabiego.

Christine nie mogła o tym zapomnieć, choć czasami bardzo tego pragnęła. Przez siedem lat była żoną Oscara Derricka, brata Basila, wicehrabiego Elricka i kuzyna lady Renable. Poznali się w Schofield Park na pierwszym przyjęciu wydanym przez Melanie po jej ślubie z Bertiem, baronem Renable'em. Oscar był wspaniałą partią dla Christine, córki dzentelmena o tak skromnych dochodach, że musiał je podreperować, obejmując posiadłość wiejskiego nauczyciela.

A teraz Melanie chciała, by przyjaciółka spędziła dwa tygodnie w jej domu.

- To bardzo miłe z twojej strony, że mnie zapraszasz - powiedziała Christine. - Jednak naprawdę wolałabym nie brać udziału w tym spotkaniu.

- Nonsens! - Melanie uniosła lorgnon do oczu i rozejrzała się po pokoju. Ten jej egzaltowany gest nieodmiennie rozśmieszał Christine i Eleanor. Ta ostatnia uniosła książkę,

by ukryć uśmiech. - Oczywiście, że chcesz wziąć udział. Kto by nie chciał? Będzie mama i Audrey z sir Lewisem Wisemanem. Urządzam te wszystkie rozrywki z okazji ich zaręczyn, choć oczywiście zostały już ogłoszone. Udało mi się nawet namówić Hectora, a wiesz, że nigdy nie uczestniczy w większych zgromadzeniach, chyba że się go do tego zmusi.

- Justin też będzie? - spytała Christine.

Audrey była młodszą siostrą Melanie. Hector i Justin jej braćmi. Justin przyjaźnił się z Christine od chwili, gdy wiele lat temu poznali się na owym pierwszym przyjęciu u Melanie. Przez ostatnie kilka lat małżeństwa Christine był właściwie jedynym jej przyjacielem.

- Oczywiście, że Justin też będzie - odparła Melanie. - Czyż nie jest zawsze obecny i nie spędza więcej czasu u mnie niż gdziekolwiek indziej? Zawsze byłeś w znakomitych stosunkach z moją rodziną. A oprócz niej spodziewamy się dużego grona dostojnych i miłych gości. Zaplanowałam rozliczne ciekawe rozrywki. Musisz przyjechać. Stanowczo nalegam.

- Och, Melanie, naprawdę wolałabym...

- Christine, powinnaś pojechać i trochę się zabawić - wtrąciła matka. - Ciągłe jesteś zajęta sprawami innych ludzi.

- Lepiej od razu powiedz „tak” - dodała Eleanor, spoglądając ponad okularów. Nie zdjęła ich po przybyciu gościa, gdyż najwyraźniej nie zamierzała przerywać lektury. - Wiesz, że lady Renable nie ruszy się stąd, dopóki cię nie przekona.

Christine zirytowana zerknęła na siostrę. Ta odwzajemniła się jej wesołym spojrzeniem. Dlaczego nikt nie zapraszał Eleanor na takie towarzyskie spotkania? Ale przecież Christine знаła odpowiedź. W wieku trzydziestu czterech lat jej najstarsza siostra bez żalu pogodziła się z nieuniknionym już staropanieństwem i przyjęła na siebie rolę prawej ręki matki. Z rozmysłem wybrała taki los, gdy jej ukochany wiele lat temu zginął na wojnie w Hiszpanii. Od tamtej pory żaden mężczyzna nie zdołał jej skłonić do zmiany zdania, choć kilku próbowało.

- Ma pani rację, panno Thompson - powiedziała Melanie, a pióra nad jej kapturkiem zafalowały. - Otóż zdarzyła się wysoce niepokojąca rzecz. Hector jak zwykle postąpił impulsywnie.

Hector Magnus, wicehrabia Mowbury, był mołem książkowym i odludkiem. Christine nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógłby coś zrobić pod wpływem impulsu.

Melanie bębniła palcami po stole.

- Biedaczek, zupełnie nie ma pojęcia, co wypada w towarzystwie - rzuciła. - Miał czelność zaprosić do Schofield Park swego przyjaciela, zapewniając go, że zaproszenie pochodzi ode mnie. I łaskawie poinformował mnie o tym zaledwie dwa dni temu, kiedy było

już zdecydowanie za późno, by zaprosić jakąś miłą damę dla wyrównania liczby gości.

Wszystko stało się jasne. Pisemne zaproszenie dla Christine nadeszło wczoraj rano, następnego dnia po tym, jak na horyzoncie lady Renable pojawiło się widmo towarzyskiej katastrofy.

- Musisz przyjechać - powtórzyła Melanie. - Moja droga Christine, po prostu musisz. Byłoby okropne, gdyby na urządzonej przeze mnie imprezie liczba pań i panów nie była równa. Chyba nie życzysz mi czegoś tak strasznego? Zwłaszcza że w twojej mocy jest mnie od takiego niewybaczalnego uchybienia wybawić.

- To rzeczywiście byłby straszny wstyd - zgodziła się matka. - Tym bardziej że Christine nie ma na najbliższe dwa tygodnie zaplanowanych żadnych zajęć.

- Mamo! - zaprotestowała Christine.

Eleanor nadal patrzyła na nią znad okularów z wyrazem rozbawienia w oczach.

Christine westchnęła głośno. Dziewięć lat temu dzięki małżeństwu weszła w wyższe sfery. Wtedy ogromnie ją to ekscytowało. Oprócz tego, że była po uszy zakochana w Oscarze, dodatkowo uszczęśliwiała ją perspektywa obracania się w eleganckim towarzystwie. Przez pierwszych kilka lat wszystko układało się dobrze. I w jej małżeństwie, i w towarzystwie. Potem jednak wszystko się popsuło. Wszystko. Nawet teraz, gdy sobie to przypominała, czuła zdumienie i ból. A sam koniec... Nie chciała o tym myśleć. Nie chciała, by cokolwiek przypominało jej przeszłość. Już nigdy w życiu nie chciała widzieć Hermione i Basila.

Nie umiała jednak odmówić ludziom, którzy znaleźli się w potrzebie. A Melanie chyba naprawdę miała kłopot. Tak wielką wagę przywiązywała do swej reputacji idealnej pani domu, która wszystko robiła nienagannie. No i były przecież przyjaciółkami.

- Może mogłabym nocować tutaj i zjawić się w Schofield kilka razy, by dołączyć do gości - zasugerowała.

- Bertie musiałby wtedy zaordynować dla ciebie osobny powóz, który by odwoził cię co wieczór i przywoził rano - odparła Melanie. - To by było dosyć niezręczne.

- Mogłabym przychodzić pieszo - rzuciła Christine.

Melanie przycisnęła dłoń do serca, jakby chciała uspokoić jego palpacje.

- I zjawiałabyś się w sukni pokrytej kurzem albo błotem, z twarzą zaczerwienioną od wiatru i potarganymi włosami? - jęknęła. - To byłoby równie okropne, jak twoja nieobecność. Musisz przyjechać i zostać na dwa tygodnie. Goście zjawią się pojutrze. Przyślę po ciebie powóz z samego rana, żebyś miała czas się rozgościć.

Christine zdała sobie sprawę, że odmowa jest już niemożliwa. Była skazana na dwutygodniowy pobyt w domu Melanie. Ale przecież, na litość boską, nie miała się w co

ubrać ani za co kupić nowych strojów. Melanie niedawno wróciła ze stolicy, gdzie przygotowała debiut swojej siostry w towarzystwie i jej prezentację przed królową. Wszyscy jej goście niewątpliwie będą ubrani według najświeższej londyńskiej mody, obeznani z najnowszymi towarzyskimi ploteczkami. Wszyscy z wyjątkiem Christine. Koszmar.

- Dobrze - obiecała. - Przyjadę.

Melanie do tego stopnia zapomniała o swym dostojństwie, że aż uśmiechnęła się szeroko.

- Wiedziałam, że się zgodzisz - powiedziała, lekko uderzając przyjaciółkę w ramię swoim lorgnon. - Szkoda tylko, że kazałaś mi zmarnować całą godzinę na przyjazd tutaj. Tyle mam jeszcze do zrobienia. Najchętniej po prostu udusiłabym Hectora. Ze wszystkich dżentelmenów, których mógłby zaprosić, wybrał akurat takiego, który każdą panią domu przyprawiłby o palpacje. I dał mi zaledwie dwa dni, bym należycie przygotowała się na jego przyjęcie.

- Księcia Walii? - spytała Christine ze śmiechem.

- Nie sądzę, by ktokolwiek pragnął jego towarzystwa - odparła Melanie. - Choć oczywiście gdyby przyjechał, byłby to ogromny sukces towarzyski. A ten dżentelmen niemal nie ustępuje mu pozycją. Moim niespodziewanym gościem będzie książę Bewcastle.

Christine uniosła brwi. Słyszała o księciu, chociaż nigdy nie została mu przedstawiona. Był niezwykle wpływowy i wyniosły. I zimny jak lód, a przynajmniej tak mówiono. Rozumiała konsternację Melanie. A myśl, że to ją, Christine, wybrano, by wyrównać liczbę gości po zaproszeniu księcia Bewcastle'a, nawet jej schlebiała, dopóki nie uświadomiła sobie, że to kolejny powód, dla którego powinna pozostać w domu. Teraz jednak było już za późno.

- Ojej - westchnęła matka, ogromnie przejęta.

- Tak. - Melanie wydeła wargi i pokiwała głową. - Ale nie obawiaj się, Christine. Przyjedzie też wielu innych dżentelmenów, którzy na pewno ci się spodobają i z radością będą cię zabawiać. Trzeba przyznać, że nadal działasz na mężczyzn, mimo twojego wieku. Byłabym śmiertelnie zazdrosna, gdyby nie to, że ciągle jestem przywiązana do Bertiego, choć robi się okropnie denerwujący, kiedy zaczynam przygotowywać jakieś rozrywki. Fuka, mamrocze i wyraźnie daje mi do zrozumienia, że perspektywa zabawy wcale go nie zachwyca. Tak czy inaczej, jeśli nie chcesz, nie musisz zamieniać z księciem nawet jednego słowa. To człowiek znany z wyniosłości i rezerwy. Zapewne nawet cię nie zauważy, jeśli się go pozostawi samemu sobie.

- Obiecuję, że będę mu schodzić z drogi. Zachowam odpowiedni dystans.

Eleanor spojrzała na siostrę z krzywym uśmiechem.

Christine pomyślała, że jeśli nie będzie uważać, to potknie się o nogi księcia albo wręcz zapłacze we własne, gdy będzie go mijała ze szklanką lemoniady. O wiele przyjemniej byłoby zostać w domu. Ale nie miała już takiej możliwości. Zgodziła się pojechać do Schofield na dwa tygodnie.

- Teraz, gdy liczba gości znów jest parzysta, mogę pomyśleć o wybaczeniu Hectorowi - oznajmiła Melanie. - To będzie naprawdę wspaniałe spotkanie. Sądzę, że będzie się o nim mówić we wszystkich salonach przez cały następny sezon. Każda pani domu w Anglii będzie mi zazdrościć, a ci, którzy nie zostali zaproszeni, zaczną zabiegać, by zaprosić ich za rok. Księżę Bewcastle nie bywa nigdzie poza Londynem i swoimi posiadłościami. Nie pojmuję, jak Hectorowi udało się go namówić do przyjazdu. Może księżę słyszał o wspaniałości organizowanych przeze mnie rozrywek. A może...

Christine już nie słuchała. Następne dwa tygodnie z pewnością nie będą przyjemne, a towarzystwo księcia Bewcastle'a i związane z tym skrupowanie uczyni jej pobyt dodatkowo przykrym. Choć może nie będzie tak źle. Jak wspomniała Melanie, księżę nawet jej nie zauważy, tak jak nie zwróciłby uwagi na robaka pod swoim butem. Christine nienawidziła poczucia skrupowania. Przez niemal całe życie było jej obce. Doświadczyła go dopiero po kilku latach małżeństwa, gdy stała się obiektem niewybrednych plotek, bez względu na to, jak bardzo starała się ich uniknąć. Gdy owdowiała, przyrzekła sobie, że już nigdy nie znajdzie się w takiej sytuacji i już nigdy nie będzie się obracać w obcych jej kręgach.

Oczywiście teraz była o wiele starsza. Miała dwadzieścia dziewięć lat i chyba nikt nie oczekiwał, że będzie się bawić w gronie młodzieży. Zachowa się jak dostojna matrona. Usiądzie gdzieś z boku i będzie tylko obserwować wszystkie uciechy, zamiast w nich uczestniczyć. Właściwie to może się okazać całkiem zabawne.

- Lady Renable, czy mogłabym pani zaproponować filiżankę herbaty i ciasteczka? - spytała matka.

- Dziękuję, pani Thompson, ale nie mam chwili do stracenia - odparła Melanie. - Pojutrze przyjeżdżają goście, a przed ich przybyciem muszę jeszcze dopilnować tysiąca drobiazgów. Zapewniam panią, że pozycja baronowej to nie tylko przyjemności. Muszę ruszać z powrotem.

Majestatycznie skinęła głową, ucałowała Christine w policzek i serdecznie uścisnęła jej dłoń, po czym wyszła z salonu pośród szelestu sukni.

- Powinnaś zapamiętać na przyszłość, że lepiej zgodzić się od razu, gdy lady Renable o coś poprosi, czy to na piśmie, czy też osobiście - powiedziała Eleanor do siostry.

Matka wstała.

- Christine, musimy iść do twojego pokoju i zobaczyć, które suknie wymagają zacerowania albo wyczyszczenia. - Pokręciła głową, wciąż przejęta. - Dobry Boże, księżę Bewcastle, że nie wspomnę o wicehrabim Mowburym i jego matce oraz wicehrabim Elricku z żoną! I oczywiście baronie i lady Renable.

Christine pobiegła na górę pierwsza, by sprawdzić, czy od chwili, gdy się rano ubierała, w jej szafie jakimś cudem nie pojawił się nagle tuzin pięknych i modnych sukien.

Wulfric Bedwyn, księżę Bewcastle, siedział przy dużym dębowym biurku w urządzonej ze smakiem, bogato wyposażonej bibliotece w Bedwyn House w Londynie. Miał na sobie elegancki strój wieczorowy, choć tego wieczoru nie przyjmował gości. Na wyłożonym skórą blacie była tylko suszka, kilka zaostrzonych piór i kałamarz ze srebrnym korkiem. Księżę nie miał czym się zająć, bo jak zwykle uporał się z pracą w ciągu dnia.

Mógł wyjść gdzieś się zabawić. Jeszcze nie było za późno. Wprawdzie sezon już się skończył i większość eleganckiego towarzystwa wyjechała na lato do Brighton albo do swoich rezydencji na wsi, ale Londyn nadal miał do zaoferowania sporo rozrywek. Księżę jednak nie przepadał za spotkaniami towarzyskimi; pojawiał się na nich tylko wtedy, gdy jego obecność była szczególnie pożądana.

Mógł spędzić wieczór w klubie White'a, gdzie nawet o tej porze roku zawsze można było znaleźć sympatyczne grono ludzi do ciekawej rozmowy. Uznał jednak, że przez tydzień, który upłynął od zakończenia sesji parlamentu, spędził w różnych klubach stanowczo za dużo czasu.

Jego rodziny nie było w mieście. Lord Aidan Bedwyn, brat najbliższy mu wiekiem i następny w kolejce do tytułu, w ogóle nie pojawił się w Londynie tej wiosny. Został w majątku w Oxfordshire z żoną Eve, która powiła córeczkę, ich pierwsze dziecko. Wyczekiwali tego szczęśliwego wydarzenia niemal od trzech lat. Wulfric pojechał do nich w maju na chrzciny, ale został tylko kilka dni. Kolejny brat, lord Rannulf Bedwyn, przebywał w Leicestershire z żoną Judith oraz synem i córką. Teraz, gdy po śmierci babki majątek już oficjalnie należał do niego, jeszcze sumienniejsze niż dotąd pełnił obowiązki właściciela ziemskiego. Siostra Freyja przebywała w Kornwalii. Jej mąż, markiz Hallmere, w tym roku zaniedbał swe powinności w parlamencie i w ogóle nie pojawił się w Londynie. Freyja znów była w ciąży. Na początku zeszłego roku urodził im się syn. Tym razem mieli nadzieję, że urodzi się córka.

Lord Alleyne Bedwyn był na wsi z żoną Rachel i ich urodzonymi zeszłego lata bliźniaczkami. Wuj Rachel, baron Weston, w którego majątku mieszkali, znów chorował na

serce i nie chcieli zostawiać go samego. Morgan, najmłodsza siostra, przebywała w Kent. Wprawdzie przyjechała ze swym mężem hrabią Rosthornem na kilka tygodni do stolicy, ale że londyńskie powietrze nie służyło ich synkowi, wróciła z dzieckiem do domu. Rosthorn został i odwiedzał ich, kiedy tylko mógł, a po zakończeniu sesji parlamentu ruszył niezwłocznie z powrotem, by do nich dołączyć na dobre. Przed odjazdem wyznał Bewcastle'owi, że jeśli w przyszłości jego żona i dzieci nie będą mogli mu towarzyszyć, to on po prostu zostanie w domu, a parlament niech piekło pochłonie. Powiedział: „dzieci”, co zapewne oznaczało, że również Morgan spodziewała się kolejnego potomka.

Wulfric cieszył się, że jego rodzeństwo założyło rodziny i prowadzi usatkwane życie. Ale bez nich Bedwyn House był przeraźliwie pusty. Nawet Morgan nie zatrzymała się tu, gdy przyjechała do Londynu.

Lindsey Hall, siedziba rodowa w Hampshire, wyda się mu jeszcze bardziej puste.

Chyba właśnie ta myśl pchnęła Wulfrica do nietypowej jak na niego impulsywnej decyzji kilka dni temu. Przyjął zaproszenie lady Renable, przekazane przez jej brata, wicehrabiego Mowbury'ego, by spędzić dwa tygodnie w Schofield w Gloucestershire. Nigdy nie uczestniczył w dłuższych spotkaniach towarzyskich. Uważał, że to najnudniejszy sposób spędzania czasu. Oczywiście Mowbury zapewniał go, że towarzystwo będzie przednie, dyskusje ożywione i na poziomie, a co więcej, będzie można wędkować, ale dwa tygodnie w tym samym gronie, nieważne jak przyjemnym, może się okazać nader męczące.

Wulfric odchylił się do tyłu, wsparł łokcie na podpórkach i splótł dłonie. Wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Tęsknił za Rose bardziej, niż był skłonny przyznać. Przez dziesięć ostatnich lat była jego kochanką. Zmarła w lutym. Zaczęło się od pozornie niegroźnego przeziębienia, które jednak rozwinęło się w poważne zapalenie płuc. Lekarz mógł jedynie łagodzić jej cierpienie. Śmierć Rose była dla Wulfrica ciężkim szokiem. Nie odstępował jej przez całą chorobę i był przy niej w chwili śmierci.

Czuł się okropnie, jakby naprawdę owdowiał.

Z Rose łączył go bardzo wygodny układ. Na miesiące, które musiał spędzać w Londynie, wynajmował jej luksusowy apartament w mieście. Latem on jechał do Lindsey Hall, ona zaś wracała na wieś, do ojca, który był kowalem. Podczas pobytu w mieście Wulfric spędzał większość nocy u Rose. Nie łączyła ich ogromna namiętność - wątpił, czy w ogóle jest zdolny do namiętności - ani też głębsza przyjaźń, ze względu na różnicę pochodzenia i wykształcenia. Ale było im razem dobrze. Książę miał pewność, że Rose jest tak samo zadowolona z ich związku, jak on. Gdyby nie była, po ponad dziesięciu wspólnych latach wiedziałby o tym. Cieszył się, że nie splodził z nią dzieci. Łożyłby na ich utrzymanie, ale

czułby się niezręcznie, mając nieślubne potomstwo.

Śmierć kochanki pozostawiła w jego życiu ogromną pustkę. Od lutego nie współżył z kobietą. Nie znalazł nikogo na miejsce Rose. I nawet nie szukał. Ona wiedziała, jak go zadowolić i sprawić mu rozkosz. Teraz musiałby się przyzwyczajać do kogoś innego. A w wieku trzydziestu pięciu lat czuł się na to trochę za stary.

Oparł brodę na rękach.

Miał trzydzieści pięć lat i wypełnił wszystkie swoje obowiązki związane z tytułem księcia Bewcastle. Wszystkie z jednym wyjątkiem. Nie ożenił się i nie spłodził dziedzica. Wiele lat temu był bliski spełnienia również tej powinności. Był wtedy młody i jeszcze pełen nadziei, że uda mu się połączyć osobiste szczęście z obowiązkiem. Jednak tego wieczoru, gdy miały zostać ogłoszone jego zaręczyny, jego przyszła żona rozegrała skomplikowaną intrygę, by uniknąć małżeństwa, przed którym się wzdragała. A zbyt się bała księcia oraz swego ojca, by po prostu powiedzieć prawdę.

Czy książę mógł wybrać jakąś kobietę na swoją żonę i oczekiwać zadowolenia z takiego związku? Kto poślubiłby księcia dla niego samego? Kochankę zawsze można odprawić. Żony już nie.

Przez te wszystkie lata, które upłynęły od czasu rozstania z lady Marianne Bonner, pozwalał sobie na ten jeden jedyny drobny bunt. Pozostawał wolny. I zaspokajał swoje potrzeby z Rose. Znalazł ją i wziął na utrzymanie niecałe dwa miesiące od tamtego katastrofalnego wieczoru.

A teraz Rose nie żyła. Została jego sumptem pochowana na wiejskim cmentarzu w pobliżu domu ojca. Książę Bewcastle zadziwił całą okolicę, gdy pojawił się na pogrzebie.

Do diabła, czemu zgodził się pojechać do Schofield z Mowburym? Tylko dlatego, że nie chciał samotnie wracać do Lindsey Hall? Czy też nie mógł znieść myśli o dalszym przebywaniu w Londynie? To kiepski powód, nawet jeśli Mowbury jest naprawdę inteligentny i ciekawie się z nim rozmawia, a według jego słów również reszta gości miała być na odpowiednim poziomie. Tak czy inaczej, lepiej by spędził lato, wizytując swoje majątki w Anglii i Walii. A po drodze odwiedziłby braci i siostry. Chociaż to ostatnie to nie najlepszy pomysł. Oni mieli teraz własne życie. Mieli mężów i żony, i dzieci. I chyba wszyscy byli szczęśliwi. Tak, wszyscy.

Cieszył się ich szczęściem.

Książę Bewcastle siedział samotny pośród przepychu swej londyńskiej rezydencji i patrzył w milczeniu w przestrzeń, opierając brodę na dłoniach.

Powóz barona Renable'a podjechał wczesnym rankiem i zabrał Christine do Schofield. Zaaferowana Melanie z wdzięcznością przyjęła propozycję pomocy w ostatnich przygotowaniach. Christine wpadła na chwilę do przeznaczonego dla niej pokoiku na tyłach domu, z którego roztaczałby się widok na ogród warzywny, gdyby nie zasłaniały go dwa kominy. Zdjęła kapturek, poprawiła loki i rozpakowała swój skromny bagaż. Potem pobiegła do pokoju dzieciennego i przywitała się z dziećmi. Resztę poranka i wczesne popołudnie spędziła, biegając na posyłki tam i z powrotem. Zapewne biegałaby tak do końca dnia, gdyby Melanie nie zauważyła jej, jak wchodzi na górę ze stosem ręczników i nie zaprotestowała na jej widok.

- Christine, musisz się przebrać - oznajmiła, przyciskając dłoń do serca. - I zrób coś z włosami. Powiedziałam, że możesz pomóc, ale co nie oznacza, że masz być traktowana jak pokojówka. Czy to, co widzę w twoich rękach, to są naprawdę ręczniki? W tej chwili idź do swojego pokoju i zacznij się zachowywać jak gość.

Pół godziny później Christine pojawiła się na dole w swojej prawie najlepszej, choć nie najmodniejszej muślinowej sukni. Jej wyszczotkowane włosy aż lśniły. Była wściekła, że dała się wmanewrować w całą tę sytuację. Wolałaby jak co tydzień udzielać w szkole lekcji geografii i przynajmniej dobrze się przy tym bawić.

- O, tutaj jesteś - zawołała Melanie na jej widok. Chwyciła ją za rękę i mocno, niemal boleśnie ścisnęła. - Będzie świetna zabawa. Jeśli tylko o czymś nie zapomniałam. I jeśli nie zacznę wymiotować na widok zbliżających się gości. Dlaczego zawsze przy takich okazjach robi mi się niedobrze? To takie prostackie.

- Wszystko uda się tak wspaniale, że zostaniesz okrzyknięta najlepszą panią domu tego lata - zapewniła przyjaciółkę Christine.

- Naprawdę tak uważasz? - Melanie znowu przycisnęła dłoń do serca, jakby chciała uspokoić jego gwałtowne bicie. - Podobasz mi się w krótkich włosach. Omal nie dostałam waporów, gdy powiedziałaś, że chcesz je obciąć, ale wyglądasz młodo i ładnie, jakby ktoś cofnął czas. Nie, żebyś kiedykolwiek nie była ładna. Jestem śmiertelnie zazdrosna. Bertie, coś ty powiedział?

Stojący nieopodal lord Renable odchrząknął.

- Zbliży się powóz - oznajmił i popatrzył na żonę, jakby miał ich nawiedzić komornik i skonfiskować wszystkie ich dobra. - Christine, ty idź na górę i się schowaj. Możesz się

cieszyć jeszcze godziną wolności.

Melanie głośno nabrała powietrza i w mgnieniu oka przeobraziła się w miłą, dystygowaną panią domu, która nigdy w życiu nie czuła zdenerwowania ani nudności w chwilach napięcia.

Przez moment znów groziło jej załamanie nerwowe, gdy spojrzała po sobie i zauważyła, że trzyma w prawej ręce szklankę z nie - dopitą lemoniadą.

- Niech ktoś to ode mnie zabierze! - rozkazała, rozglądając się za najbliższym lokajem.
- Dobry Boże, mogłam to wylać na czyjeś buty albo suknię.

- Ja to wezmę - powiedziała Christine i roześmiała się. - Oblewanie kogoś o wiele bardziej przystoi mnie niż tobie. Zabiorę stąd swoją osobę i lemoniadę, zanim narobią szkody.

Ruszyła po schodach w stronę żółtego saloniku, gdzie miała czekać, aż dołączą do niej pozostałe damy. Z nieznanego powodu Melanie zawsze po przyjeździe gości trzymała panie i panów osobno, dopóki nie mogła ich wszystkich zaprosić do salonu na podwieczorek i oficjalnie rozpocząć spotkania.

Christine zatrzymała się na chwilę na podeście ponad holem i przechyliła przez balustradę. Powóz, który usłyszał Bertie, musiał być bliżej, niż mu się wydawało. Pierwsi goście właśnie wchodzili do środka. Christine nie mogła się oprzeć, by zerknąć, czy to ktoś, kogo zna.

Dwóch dżentelmenów. Jeden był ubrany w za duży, pognieciony brązowy surdut, granatowe pantalony lekko wypchane na kolanach i znoszone buty. Jego halsztuk wyglądał, jakby został zawiązany bez pomocy lokaja ani nawet lusterka, kołnierzyk koszuli zwisał niedbale z braku krochmalenia, a jasne włosy sterczały na wszystkie strony. Hector Magnus, wicehrabia Mowbury.

- Ach to ty, Mel - zwrócił się z niepewnym uśmiechem do siostry, jakby spodziewał się, że w jej domu przywita go ktoś inny. - Jak się masz, Bertie?

Christine uśmiechnęła się ciepło. Zawołałaby do Hectora, gdyby nie obecność drugiego dżentelmena. Był całkowitym przeciwieństwem wicehrabiego. Wysoki, dobrze zbudowany, ubrany z wyszukaną elegancją w surdut z przedniego niebieskiego sukna, szarą haftowaną kamizelkę, ciemnoszare pantalony i wysokie, lśniące buty z białymi cholewkami. Kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli miał należycie wykrochmalony, a halsztuk zawiązany zgrabnie, choć w raczej klasycznym stylu. W ręce trzymał cylinder. Jego włosy były ciemne, gęste i dobrze ostrzyżone.

Doskonały krój ubrania podkreślał szerokie ramiona i sprawiał, że biodra wydawały się bardzo wąskie, a uda muskularne.

Ale to nie jego imponujący wygląd przykuł uwagę Christine, która wciąż stała na podeście, zamiast ruszyć na górę do swego pokoju. Zafascynowała ją pewność siebie widoczna w postawie i ruchach eleganckiego dżentelmena. Najwyraźniej rządził niepodzielnie swym otoczeniem i oczekiwał natychmiastowego posłuszeństwa ze strony stojących w hierarchii niżej od niego, co zapewne obejmowało niemal wszystkich śmiertelników. Christine uświadomiła sobie, że to musi być ten osławiony książę Bewcastle.

Wyglądał dokładnie tak, jak się spodziewała.

Był arystokratą od czubka głowy aż do pięt.

Uklonił się dwornie pani domu i wyprostował. Twarz miał w pewien surowy sposób przystojną, z mocną szczęką, wąskimi wargami, wyraźnymi kośćmi policzkowymi i wydatnym, ale kształtnym nosem.

Zrobił krok do przodu, gdy Melanie odwróciła się do Hectora, więc Christine wychyliła się nad balustradą, by zobaczyć jego oczy. W tym samym momencie książę uniośł głowę, spojrzał do góry i zauważył ją.

Nie zdążyła się cofnąć, zażenowana, że przyłapano ją na podglądaniu. Zaskoczyły ją jego oczy, które usiłowała dojrzeć. Miała wrażenie, że przewiercają ją na wylot. Nie była pewna ich koloru. Bładoniebieskie? Jasnoszare? Była jednak na tyle blisko, by poczuć efekt ich spojrzenia.

Nic dziwnego, że cieszy się taką złą sławą!

Na krótką chwilę ogarnęło ją poczucie, że książę Bewcastle może być naprawdę groźnym człowiekiem. Serce mocno zabiło jej w piersi, jakby została przyłapana na podglądaniu przez dziurkę od klucza jakichś skandalicznych wydarzeń.

A potem stało się coś nadzwyczaj zdumiewającego.

On do niej mrugnął!

A przynajmniej tak jej się wydawało.

Wtedy zobaczyła, że książę ociera oko, którym do niej mrugał i uświadomiła sobie, że gdy spoglądała ponad poręczą, przechyliła trzymaną w ręce szklankę i kapnęła mu w nie lemoniadą.

- Och! - krzyknęła. - Niewymownie mi przykro.

Odwróciła się i uciekła ile sił w nogach. Co za wstyd! Ależ z niej niezdara! Obiecała nie wchodzić księciu w drogę, ale nie przyszło jej do głowy, by obiecać, że nie kapnie mu lemoniadą w oko.

Miała rozpaczliwą nadzieję, że nie jest to zły znak na najbliższą przyszłość.

Powinna się uspokoić, zanim pojawią się inne damy, pomyślała, dotarłszy

bezpiecznie do żółtego salonu. Przez następne trzynaście i pół dnia muszę trzymać się z dala od księcia Bewcastle'a. To nie powinno być trudne. On zapewne nawet mnie nie rozpozna, gdy mnie znów zobaczy. A w innych okolicznościach chyba w ogóle nie zauważyłby kogoś takiego jak ja.

Mimo że niechcący połała go lemoniadą, książę Bewcastle nie stanowił żadnego zagrożenia dla osoby tak niskiego pochodzenia jak ona.

Zresztą dlaczego miałyby się nim przejmować? Zdecydowanie nie był mężczyzną, na którym chciałyby zrobić wrażenie.

Wulfric zorientował się, że to lemoniada. Lemoniada była nader orzeźwiającym napojem, zwłaszcza w letni dzień, jednakowoż zupełnie nie nadawała się do przemywania oczu.

Książę nie poskarżył się na głos. Baron Renable i jego żona najwyraźniej niczego nie zauważyli, zajęci Mowburym. A istota, która go oblała, miała czelność wykrzyknąć przeprosiny, potem zaś uciec jak wystraszony zając.

Wulfric otarł oko chusteczką. Może nie będzie zaczerwienione, bo tylko trochę szczypało.

Nie był to najszcześniejszy początek dwóch tygodni, które miał tu spędzić. W jego dobrach służący, którzy podglądaliby gości, oblewali ich czymkolwiek, głośno przepaszali, a potem uciekali, nie zagrzałoby miejsca. Miał nadzieję, że to tylko drobne potknięcie, a nie oznaka niedbałej służby w tym domu.

Ta istota nawet nie miała na głowie czepka. Zobaczył tylko bujne loki i okrągłą buzię z wielkimi oczami, choć oczywiście nie mógł się jej dobrze przyjrzeć.

Nie, żeby pragnął się przyglądać.

Przestał zawracać nią sobie głowę. Jeśli baron Renable i jego żona nie potrafią zdyscyplinować służby, to w końcu ich problem. On miał ze sobą własnego lokaja, który zadba o jego potrzeby.

Nadal żywił nadzieję, że rozrywki w Schofield Park okażą się w jego guście. Mowbury, czytany mężczyzna, który dużo podróżował, zwłaszcza po Grecji i Egipcie, był bardzo ciekawym towarzyszem w czasie drogi z Londynu. Znali się i w pewnym sensie przyjaźnili od wielu lat. Baron z żoną serdecznie go powitali, a pokój Wulfrica okazał się eleganckim, przestronnym apartamentem z oknami wychodzącymi na trawnik i rabaty kwiatowe przed domem.

Książę przebrał się i usiadł w gotowalni przed lustrem, żeby lokaj go ogolił. Potem zszedł do pokoju bilardowego, gdzie mieli się zebrać panowie. Zastał tam już hrabiego

Kitredge'a i wicehrabiego Elricka. Obaj byli od niego nieco starsi. Wulfric zawsze świetnie się czuł w ich towarzystwie. Uznał to za dobry znak. Oprócz nich w pokoju był też Mowbury i jego młodszy brat Justin Magnus, który wydał się księciu sympatycznym młodzieńcem.

Może właśnie tego mi trzeba, pomyślał Wulfric, włączając się do rozmowy. Spędzi dwa tygodnie w miłym towarzystwie, a potem wróci na resztę lata do Lindsey Hall. W końcu nie powinien stronić od ludzi tylko dlatego, że jego rodzeństwo pozakładało rodziny, a kochanka zmarła.

Drzwi się otworzyły i księżę usłyszał wielce nieprzyjemne hałasy. Męskie i kobiece głosy przekomarzały się wesoło. Po chwili panie oddaliły się, a do pokoju weszła duża grupa dżentelmenów. Wszyscy młodzi, najwyżej dwudziestopięcioletni, jak ocenił. I żaden nie cierpiał na nadmiar rozumu, sądząc po ich butnym zachowaniu, pozach i śmiechu.

Jeśli się nie mylił, korytarzem właśnie przeszła równie liczna grupa ich towarzyszek.

Tacy ludzie wypełniali sale balowe Londynu. To z ich powodu unikał wszelkich przyjęć, chyba że do udziału zmuszały go okoliczności.

- Wygląda na to, że wszyscy już przyjechali - odezwał się jeden z nowo przybyłych, sir Lewis Wiseman, wesoły młodzieniec, którego Wulfric znał z widzenia. - Mężczyzna nie potrzebuje, by wyprawiano fetę z okazji jego zaręczyn, ale siostra Audrey i jej matka nie zgodziły się ze mną. Audrey też. I stąd nasze spotkanie - zaczerwienił się i roześmiał, podczas gdy kompani klepali go po plecach, wygłaszając niemądre, rubaszne uwagi.

Wulfric poniewczasie przypomniał sobie, że Wiseman niedawno ogłosił swoje zaręczyny z panną Magnus, siostrą lady Renable. Impreza w Schofield Park została przygotowana, by uczcić te zaręczyny. A że narzeczeni byli bardzo młodzi, większość gości była w ich wieku.

Księżę poczuł się zbulwersowany.

Czy został tu sprowadzony pod fałszywym pretekstem, by baraszkować ze smarkaczami płci obojga?

Czy Mowbury celowo wprowadził go w błąd? Czy też ktoś wprowadził w błąd Mowbury'ego?

Oczywiście mógł mieć pretensje tylko do siebie. Uwierzył na słowo człowiekowi tak roztargnionemu, że podobno zdarzyło mu się pojawić w klubie White'a w dwóch różnych butach. Całkiem możliwe, że zapomniał o niedawnych zaręczynach swojej siostry.

Wulfric zacisnął palce na monoklu. Niemal podświadomie przybrał swoją najsurowszą, najgroźniejszą pozę, gdy młodzi panowie zaczęli okazywać skłonność, by traktować jego i resztę starszych od nich dżentelmenów jak kompanów do zabawy.

Zamrugął kilka razy. Oko jeszcze trochę go piekło.

Hermione Derrick, wicehrabina Elrick i szwagierka Christine, przybyła jako jedna z pierwszych dam. Wysoka, szczupła i jasnowłosa wyglądała jak zawsze pięknie i elegancko, choć przekroczyła już czterdziestkę. Christine z mocno bijącym sercem wstała i uśmiechnęła się do niej. Chciała pocałować Hermionę w policzek, ale coś w zachowaniu szwagierki powstrzymało ją, więc tylko stała i czuła się bardzo niezręcznie.

- Jak się masz, Hermione? - spytała.

- Christine. - Szwagierka tylko sztywno skinęła głową, ignorując pytanie. - Melanie powiedziała mi, że jesteś jej gościem.

- Jak się mają chłopcy? - powiedziawszy to, Christine uświadomiła sobie, że bratankowie Oscara nie są już dziećmi, tylko młodzieńcami.

- Obcięłaś włosy - zauważyła Hermione. - To zdumiewające!

I odwróciła się do reszty dam.

Christine z powrotem usiadła.

No cóż, westchnęła w duchu. Najwyraźniej jej osoba została zauważona, ale jej głos będzie ignorowany. Fatalny początek. A raczej fatalna kontynuacja dotychczasowych kontaktów.

Hermione, córka prowincjonalnego adwokata, ponad dwadzieścia lat temu wyszła za wicehrabiego Elricka, robiąc jeszcze lepszą partię niż Christine. Po ślubie Christine serdecznie powitała ją w rodzinie i pomogła przystosować się do życia w wyższych sferach, a także przygotowała jej przedstawienie na dworze. Zaprzyjaźniły się mimo sporej różnicy wieku. A chociaż przez ostatnie kilka lat małżeństwa Christine łączące je stosunki stały się napięte, okropna kłótnia po śmierci Oscara była dla niej ogromnym zaskoczeniem i do głębi nią wstrząsnęła. Opuściła Winford Abbey, wiejską rezydencję Basila, nazajutrz po pogrzebie zdruzgotana i zrozpaczona. Wydała ostatnie pieniądze na bilet na dyliżans, bo pragnęła jak najszybciej wrócić do Hyacinth Cottage, by w spokoju lizać rany i jakoś odbudować swoje życie. Nie miała żadnego kontaktu ze szwagrem i jego żoną aż do dziś.

Żywiła nadzieję, że przez najbliższe dwa tygodnie będą zachowywać się wobec niej poprawnie. Przecież nie zrobiła nic złego.

Wicehrabina Mowbury, matka Melanie, pulchna, niewysoka kobieta o siwych włosach i żywym spojrzeniu, uściskała Christine i oznajmiła, że cieszy się, widząc znów jej śliczną buzię. Audrey również okazała radość. Zarumieniła się i uśmiechnęła promiennie, gdy Christine pogratulowała jej zaręczyn. Napięte kontakty z najbliższą rodziną Oscara nigdy nie miały wpływu na przyjazne związki Christie z jego ciotką i kuzynami, którzy w latach jej

małżeństwa nie spędzali w Londynie zbyt wiele czasu.

Lady Chisholm i pani King, które Christine kiedyś poznała, zachowały się wobec niej bardzo uprzejmie.

Sześć bardzo młodych i bardzo modnie ubranych dam, zapewne przyjaciółek Audrey, które najwyraźniej bardzo dobrze się znały, siedziało w swoim kręgu. Paplały, chichotały i ignorowały towarzystwo wokół. Christine pomyślała, że musiały być jeszcze dziećmi, gdy ona gościła ostatnim razem w Londynie. Czowała się bardzo stara. Do tego jej prawie najlepsza muślinowa suknia wyglądała niemal jak wykopalisko. To była jedna z ostatnich sukien, jakie kupił jej Oscar przed śmiercią. Christine miała wątpliwości, czy rachunek za nią w ogóle został zapłacony.

- Jednym z gości ma być księżę Bewcastle - oznajmiła lady Sarah Buchan siedzącym wokół niej przyjaciółkom. Oczywiście miała wielkie jak spodki, a na policzkach purpurowe rumieńce.

Można było dziewczynie wybaczyć przekonanie, że oto obwieszcza wielką nowinę. Pojawiła się zaledwie przed chwilą, wraz ze swym ojcem, hrabią Kitredge'em, i bratem, szacownym George'em Buchanem. Wszyscy inni już o tym wiedzieli, bo właśnie tą wiadomością Melanie raczyła każdego nowo przybyłego gościa. Najwyraźniej zapomniała już o irytacji na Hectora za to, że zaprosił księcia.

- Przez cały sezon nie widziałam go ani razu, mimo że był w tym czasie w Londynie - ciągnęła lady Sarah. - Mówią, że rzadko zjawia się gdziekolwiek poza Izbą Lordów i paroma swoimi klubami. A tutaj przyjedzie. Pomyśleć tylko!

- Jeden księżę i całe tabuny dam - powiedziała Rowena Siddings i uśmiechnęła się wesoło, aż pokazały się dołeczki w jej policzkach. - Choć oczywiście mężatki się nie liczą. Audrey też nie, bo jest zaręczona z sir Lewisem Wisemanem. Niestety nadal pozostaje bardzo wiele dam ubiegających się o względy tylko jednego księcia.

- Księżę Bewcastle jest stary - zauważyła Miriam Dunstan - Lutt. - Już dawno skończył trzydzieści lat.

- Ale jest księciem - odparła lady Sarah - więc jego wiek nie ma znaczenia. Papa mówi, że byłoby poniżej mojej godności wychodzić za mąż za kogoś o niższej pozycji niż hrabia, choć tej wiosny otrzymałam dziesiątki propozycji od dżentelmenów, których większość dziewcząt uznałaby za doskonałe partie. To nawet prawdopodobne, że wyjdę za mąż za księcia.

- To by dopiero był sukces, zostać żoną księcia Bewcastle'a - westchnęła Beryl Chisholm. - Dlaczego jednak miałybyśmy oddać ci go bez walki, Sarah? Może wszystkie

powinniśmy stanąć do zawodów o niego.

Rozległy się chichoty.

- Wszystkie jesteście bardzo ładnymi młodymi damami - odezwała się lady Mowbury, podnosząc głos, tak by słyszano ją w drugim końcu salonu. - Na pewno w ciągu najbliższego roku czy dwóch dobrze wyjdziecie za mąż. Chyba jednak powinnam was ostrzec, że Bewcastle od tak dawna unika wszelkich prób nakłonienia go do małżeństwa, że nawet najbardziej zdeterminowane matki zrezygnowały z prób zwrócenia jego uwagi na swoje córki. Nawet nie brałam go pod uwagę dla mojej Audrey.

- A kto by chciał za niego wyjść? - wtrąciła wspomniana młoda dama, już spokojna po zaręczynach. - Wystarczy, że wejdzie do pokoju, a temperatura spada o kilka stopni. Ten mężczyzna nie ma uczuć, wrażliwości i serca. Wiem to z najpewniejszego źródła. Lewis mówi, że większość młodych dżentelmenów w klubie White'a boi się go i unika jak ognia. To bardzo nieładnie ze strony mojego brata, że go tu zaprosił.

Christine w pełni zgodziła się z tą ostatnią opinią. Gdyby Hec - tor nie zaprosił księcia, nie siedziałyby teraz tutaj, jednocześnie skrępowana i znudzona. I nie kapnęłyby mu lemoniadą do oka. Czuła się osamotniona pomiędzy starszymi damami, które usiadły razem i pograżyły się w poważnej konwersacji, a młodymi pannami, które siedziały bliżej, więc mimo woli stała się jedną z ich grona. Dziewczęta zniżyły głosy i znów zaczęły chichotać.

- Proponuję zakład - szepnęła lady Sarah, chyba najmłodsza z nich. Wyglądała, jakby dopiero co uciekła z pokoju dzieciennego, choć musiała mieć przynajmniej siedemnaście lat, skoro debiutowała już w towarzystwie. - Wygra ta, która skłoni księcia Bewcastle'a, by się jej oświadczył przed upływem dwóch spędzonych tutaj tygodni.

- Obawiam się, że to niemożliwe - powiedziała Audrey, podczas gdy reszta tłumiała chichoty. - Księżę nie zamierza się żenić.

- A zakład, którego nikt nie ma szansy wygrać, jest mało interesujący - dodała Harriet King.

- To o co się założymy? - spytała Sarah z błyskiem w oku i rumieńcem na policzkach. Najwyraźniej nie chciała rezygnować ze swojego pomysłu. - Której z nas uda się zająć go rozmową? Nie, to zbyt łatwe. Która pierwsza z nim zatańczy? Audrey, czy twoja siostra planuje jakieś tańce? Albo... albo co?

- Może której się uda przez godzinę skupić na sobie jego uwagę - zasugerowała Audrey. - Wierzcie mi, to bardzo trudne zadanie. Zwycięzcy, jeśli taka się znajdzie, naprawdę zasłuży na nagrodę. Myślę, że godzina w towarzystwie księcia równa się godzinie spędzonej na biegunie północnym.

Znów rozległy się chichoty.

Sarah zignorowała ostrzeżenie i powiodła roziskrzonym wzrokiem po kręgu przyjaciółek, omijając Christine, która przecież nie należała do ich grona, mimo że słyszała każde słowo.

- Zatem godzina sam na sam z księciem - ogłosiła Sarah. - Zwyciężyła ta, której to się uda pierwszej. Kto wie? Może osiągnie również to, że księżę się w niej zakocha i zaproponuje małżeństwo?

Rozległy się wybuchy śmiechu.

- Kto bierze udział w zakładzie? - spytała lady Sarah.

Ona, Rowena, Miriam, Beryl, jej siostra Penelope i Harriet King podjęły wyzwanie przy wtórze pisków i chichotów. Starsze damy spojrzały na dziewczęta z pobłażliwymi uśmiechami i zażądały wyjaśnień, co je tak rozbawiło.

- Nic takiego, mam - oznajmiła Harriet King. - Rozmawialiśmy tylko o dżentelmenach, którzy mają tu przybyć.

Christine również się uśmiechnęła. Czy ona też była kiedyś taka niemądra? Na pewno tak. Wyszła za Oscara po zaledwie dwóch miesiącach znajomości, tylko dlatego, że był piękny jak grecki bóg. Zakochała się po uszy w jego wyglądzie i czarujących manierach.

- Kuzynko Christine, a ty? - spytała Audrey, gdy starsze damy wróciły do przerwanej konwersacji, a dziewczęta uzgodniły, że to ona będzie trzymać bank. Po gwinej od każdej z uczestniczek zakładu. Całą kwotę otrzyma zwyciężczyni, a jeśli żadna nie wygra, pieniądze zostaną im zwrócone.

Christine uniosła brwi.

- Ja? O nie, stanowczo nie - odparła i się roześmiała.

- A to dlaczego? - Audrey przekrzywiła głowę, uważnie przyglądając się Christine. - Przecież jesteś wdową, nie mężatką. W dodatku kuzyn Oscar nie żyje już od dwóch lat. A ty nie jesteś jeszcze taka stara. Nie wydaje mi się, byś przekroczyła trzydziestkę.

Pozostałe młode damy odwróciły się w stronę Christine i spojrzały na nią. Ich wymowne milczenie wyrażało przeświadczenie, że osoba w jej wieku raczej nie ma szans na skupienie na sobie uwagi księcia przez całą godzinę.

W pełni się z tym zgadzała, choć bynajmniej nie dlatego, że miała lat dwadzieścia dziewięć, a nie dziewiętnaście.

- Nie widzę powodu, by płacić za przywilej bycia zamrożoną na sopel lodu przez całą godzinę - powiedziała.

- Racja - przyznała Audrey.

- Pani Derrick, pani jest córką wiejskiego nauczyciela, prawda? - spytała Harriet King z wyraźną pogardą. - Zdaje się, że pani boi się przegrać zakład.

- Tak właśnie jest - zgodziła się Christine z uśmiechem, choć wiedziała, że pytanie jest retoryczne. - Ale jeszcze bardziej bałabym się wygranej. Co, na Boga, miałabym zrobić z księciem?

Na chwilę zapadła cisza, po czym znów rozległy się wybuchy śmiechu.

- Już ja wymyśliłabym to i owo - rzuciła Miriam Dunstan - Lutt i zarumieniła się na dwuznaczność własnych słów.

- Dość tego - ucięła Audrey stanowczo. Upewniła się, że żadna z grona starszych dam ich nie słucha, i uniosła dłoń, by uciszyć dziewczęta. - Kuzynko Christine, nie mogę pozwolić, byś zrezygnowała z zabawy tylko dlatego, że nie chcesz wygrać. Ja założę gwineę za ciebie. Czyż to nie szokujące, jako że damy nie powinny się zakładać?

- Czego dżentelmeni nie wiedzą, tego im nie żal - stwierdziła Beryl Chisholm.

- Zapewniam cię, że stracisz swoją gwineę - powiedziała Christine do Audrey i roześmiała się. Zastanawiała się, jak zareagowałby książę Bewcastle, gdyby się dowiedział, co się dzieje w żółtym saloniku.

- Być może - zgodziła się Audrey. - Ja jednak spodziewam się, że nikt nie wygra, więc moje pieniądze po prostu do mnie wrócą. Oczywiście sama mogłabym włączyć się do współzawodnictwa, skoro w zakładzie chodzi tylko o dłuższą rozmowę z księciem, a nie o jego oświadczyzny. Ale chyba dam sobie spokój. Siedem gwinei to zbyt mała pokusa. Poza tym Lewis mógłby być zazdrosny, a wyjaśnianie mu, że tylko próbowałam wygrać zakład, byłoby marną obroną.

Gdzieś w głębi domu zabrzmiał gong, sygnalizując, że przybyli już wszyscy goście i teraz są oczekiwani w głównym salonie na podwieczorku.

- Naprawdę nigdy nie widziałaś księcia Bewcastle'a? - Harriet King zwróciła się do lady Sarah.

- Nie - przyznała Sarah. - Ale jeśli jest księciem, to na pewno jest przystojny.

- Ja go poznałam i w normalnych okolicznościach nie zabiegałabym o niego - odparła Harriet, wstając i biorąc lady Sarah pod rękę. - Ale przecież nie mogę ryzykować, że przegram z owdowiałą córką wiejskiego nauczyciela, która być może przekroczyła już trzydziestkę.

Ramię w ramię skierowały się do drzwi i wyszły. Audrey spojrzała na Christine i się skrzywiła.

- Cóż, obawiam się, że właśnie została wytyczona linia frontu - powiedziała. - Chyba

teraz nie oprzesz się wyzwaniu, prawda? Po prostu musisz dla mnie wygrać.

Rowena Siddings ujęła Christine pod rękę.

- Jakie jesteśmy śmieszne - rzuciła. - Weźmiemy udział w tej rozgrywce czy też zachowamy dystans i będziemy się temu potężnemu człowiekowi przyglądać z daleka?

- Ja zachowam dystans i będę się z niego śmiać z daleka, jeśli okaże się, że jest tak pretensjonalny i zarozumiały, jak głosi opinia - odparła Christine. - Nie podziwiam potęgi, która nie ma podstaw.

- Jakie to odważne - uśmiechnęła się dziewczyna. - Śmiać się z księcia Bewcastle'a.

Albo z siebie, że dałam się wciągnąć w ten dziecinny zakład, pomyślała Christine. A wystarczyłoby, gdybym przedwczoraj w Hyacinth Cottage stanowczo odmówiła Melanie. Lub gdybym przed chwilą w salonie zdecydowanie powiedziała Audrey: nie.

Ale o to mogę mieć pretensję już tylko do siebie, westchnęła w duchu.

W salonie zebrali się już dżentelmeni. Dwutygodniowa impreza towarzyska właśnie oficjalnie się rozpoczęła. Świetnie, bo w takim razie kiedyś się skończy, prawda? Christine zastanawiała się, czy może zacząć odliczać czas do powrotu do domu.

Pierwszym mężczyzną, którego zauważyła, był Justin Magnus, młodszy brat Melanie. Uśmiechnął się i pomachał do niej. Rozmawiał właśnie z lady Chisholm, więc nie mógł podejść, gdyż dama ta lubiła sobie pogadać. Christine również pomachała i odpowiedziała uśmiechem. Niższy od niej o pół głowy, szczupły i niepozorny Justin miał mnóstwo wdzięku i czarował humorem i inteligencją. I zawsze ubierał się wyjątkowo elegancko, w przeciwieństwie do nieszczęsnego Hectora, swego starszego brata. Na tamtym przyjęciu przed laty, kiedy się poznali, zaproponował Christine małżeństwo. Odmówiła mu jednak i przyjęła oświadczyzny Oscara, ale mimo to pozostali przyjaciółmi. Ich więź z upływem czasu jeszcze się pogłębiła. Przez ostatnich kilka lat przed śmiercią Oscara był jedynym jej przyjacielem, a przynajmniej jedynym, który przy niej trwał. Tylko on nie uwierzył w okropne plotki na jej temat, nawet w tę najgorszą. Tylko on stawał w jej obronie, choć ani Oscar, ani Basil, ani Hermione nigdy mu nie wierzyli.

Potem Christine dostrzegła Basila, wicehrabiego Elricka. Szczupły, średniego wzrostu, z przerzedzonymi włosami i łysiną na czubku głowy, miał pociągłą twarz o regularnych rysach i raczej nie należał do przystojnych. Zawsze ustępował urodą swemu młodszemu bratu. Był od Oscara o dziesięć lat starszy, ale uwielbiał go i był zdruzgotany jego śmiercią.

Nie udawał, że nie widzi Christine. Na jej dygnięcie odpowiedział bardzo formalnym ukłonem, a potem, tak jak Hermione wcześniej, odwrócił się do starszego dżentelmena, którego Christine zapamiętała jako hrabiego Kitredge'a, i podjął rozmowę. Nie odezwał się do niej ani słowem.

Christine rozejrzała się za najcichszym kątem. Oto nadeszła pora, by stać się pobłażliwym obserwatorem współtowarzyszy, którą to rolę planowała odgrywać w ciągu następnych dwóch tygodni. Jeśli jej się uda, przez cały ten czas nikt nie zwróci na nią uwagi.

Zdołała dotrzeć na miejsce i usiąść, zanim w salonie pojawił się książę Bewcastle. Po nieszczęsnym incydencie z lemoniadą obawiała się chwili, gdy go zobaczy. Ale właściwie czego się obawiała? Że chwyci ją albo wyśle armię służących, by ją schwytali, i zaciągnie przed najbliższego sędziego za atak na jego oko?

Gdy wszedł do salonu w towarzystwie Bertiego, od razu wszystko się zmieniło.

Dziewczęta rozmawiały bardziej ożywionymi głosami i promienniej się uśmiechały, młodzieńcy puszyli się i śmiali demonstracyjnie, a starsze damy wyżej zadarły nosy.

To było naprawdę bardzo zabawne.

Zwłaszcza że mogli sobie to wszystko darować. Gdyby zamiast nich w pokoju znajdowały się robaki, wątpliwe, czy księżę obrzuciłby je bardziej wyniosłym spojrzeniem. Jego zimna, arystokratyczna twarz wyraźnie mówiła, iż uważa całe to zgromadzenie za tak bardzo poniżej jego księżęcej godności, że nawet nie zada sobie trudu, by się uśmiechnąć czy wyglądać bardziej przystępnie.

Melanie podeszła do Bewcastle'a w sposób właściwy idealnym paniom domu. Ujęła go pod ramię i oprowadziła po salonie, dając wszystkim nieszczęśnikom, którym nie dane było poznać księcia wcześniej, okazję do dygnięcia i złożenia mu ukłonu.

Na szczęście nie zauważyła Christine w jej kąciku, więc najmniej godną spośród śmiertelników zgromadzonych w salonie ominął honor zerwania się na nogi i dygnięcia przed tym możliwym człowiekiem.

Christine upomniała się w duchu, że nie powinna traktować z pogardą człowieka, którego przecież w ogóle nie знаła. Jednak na sam widok księcia Bewcastle'a cała wpadła w irytację. Nie cierpiała go, gardziła nim i niezmiernie się ucieszy, jeśli przez następne trzynaście i pół dnia on będzie ją ignorował.

Dlaczego tak na niego reagowała? Zwykle miała przyjazne nastawienie do ludzi. Lubiała ich bez względu na to, kim byli. Akceptowała nawet ich słabostki, które innych doprowadzały do szału.

Po zakończeniu prezentacji księżę z talerzem w ręce wdał się w rozmowę z hrabią Kitredge'em i Hectorem, który skinął głową i uśmiechnął się przyjaźnie do Christine. Hrabia był władczy, pompatycznym człowiekiem, a przecież nie czuła do niego niechęci. Hector był wicehrabią i niezmiernie go lubiła. Więc to nie księżęcy tytuł ją irytował.

Nagle cały spokój Christine znikł, gdy spojrzenia jej i księcia się skrzyżowały. Przez głowę przemknęła jej wizja więzienia, strażników, kajdan i sędziego.

W pierwszym odruchu chciała usunąć się w cień, spuścić wzrok i wtopić się w obicie fotela, na którym siedziała.

Ale nie zwykła reagować ucieczką w trudnych sytuacjach; może z wyjątkiem ostatniego roku czy dwóch przed śmiercią Oscara. I dlaczego miałaby próbować zniknąć? Dlaczego miałaby spuszczać wzrok, skoro on nawet nie próbował odwrócić spojrzenia?

Rozgniewał ją, bo uniósł arogancko jedną brew.

A potem naprawdę ją rozwścieczył.

Nie opuszczając brwi, ujął monokl i uniósł go do oka, jakby nie mieściło mu się w głowie, że ona ma czelność nadal patrzeć mu w twarz.

Teraz Christine nie odwróciłaby wzroku, nawet gdyby groziło jej najcięższe więzienie. Więc księżę ją rozpoznał. I co z tego? Wszak jej jedyną zbrodnią było to, że za bardzo przechyliła szklankę z lemoniadą.

Odważnie patrzyła mu w oczy, a potem jeszcze z rozmysłem zaczęła się z niego śmiać. Nie, nie dosłownie. Rozbawionym spojrzeniem dała mu do zrozumienia, że nie boi się uniesionej brwi i monokla. Wzięła ciastko z talerzyka i ugryzła je. Czuła, jak krem oblepia jej usta. Niezrażona oblizwała wargi, podczas gdy księżę Bewcastle zostawił swych rozmówców i ruszył w jej stronę.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki utworzyło się dla niego przejście. Ale nie była to sprawa żadnych czarów. Wszyscy schodzili księciu z drogi. On zaś uważał to za coś tak oczywistego, że nawet tego nie zauważał.

Naprawdę doskonale się prezentuje, pomyślała Christine.

Zatrzymał się, gdy czubkami butów niemal dotknął nosków jej pantofelków. Poczowała, że grozi jej niebezpieczeństwo, i serce zatrzepotało jej w piersi.

- Nie wydaje mi się, byśmy zostali sobie przedstawieni, madame - powiedział znudzonym tonem.

- Ja wiem, kim pan jest - odrzekła. - Księciem Bewcastle'em.

- Więc ma pani nade mną przewagę - rzucił.

- Christine Derrick - przedstawiła się, nie dodając żadnych szczegółów. Pewnie nie interesowało go drzewo genealogiczne ani jej, ani Oscara.

- Czy niechcący czymś panią rozbawiłem, panno Derrick? - spytał.

- Obawiam się, że tak - odparła. - I jestem panią Derrick, wdową.

Znów ujął monokl i uniósł brwi z miną, która zmroziłaby pąki na kwitnących drzewach owocowych, rujnując całoroczne zbiory.

Christine przełknęła kolejny kęs ciastka i oblizwała usta. Zastanawiała się, czy powinna jeszcze raz przeprosić księcia. Ale właściwie dlaczego? Przecież już to zrobiła. Czyjego prawe oko nie jest trochę zaczerwienione? Może tylko tak jej się wydawało.

- Czy wolno wiedzieć, czym panią rozbawiłem? - spytał, unosząc monokl do poziomu oczu.

Jaka to wspaniała broń, pomyślała Christine. Utrzymywała dystans między nim a zwykłymi śmiertelnikami nie gorzej niż wyciągnięta szpada. Doszła do wniosku, że sama chętnie używałaby takiego szkieleka. Stałaby się ekscentryczną damą, która patrzyłaby na

świat przez ogromny monokl, przerażając pretensjonalnych młodzieńców i rozśmieszając dzieci nienaturalnie powiększonym okiem.

Spytał, czym ją rozbawił. Rozbawienie to nie było właściwe słowo. Ale rzeczywiście śmiała się z niego.

- Pan był... pan się tak bardzo rozgniewał, że nie poddałam się jego rozkazom - wyjaśniła.

- Rozgniewał? - Znow uniósł wysoko brwi. - Czy ja wydałem pani rozkaz?

- O tak - odparła. - Zauważył pan, że mu się przyglądam z drugiego końca salonu, i najpierw uniósł brew, a potem monokl. Oczywiście monokla nie powinnam już była zauważyć. Powinnam była posłusznie opuścić wzrok, jeszcze zanim pan go uniósł.

- Więc uniesienie brwi oznacza rozkaz, a monokla gniew? - spytał.

- A jak inaczej wytłumaczyć to, że przeszedł pan przez cały salon, by stanąć ze mną oko w oko?

- Być może tym, że w przeciwieństwie do pani ja po prostu próbuję się udzielać towarzystwo.

Roześmiała się głośno.

- A teraz sprowokowałam pana do złośliwości - powiedziała. - Lepiej, żeby nie zwracał pan na mnie uwagi i pozwolił mi pozostać w roli obserwatora. Niech pan nie oczekuje, że okażę lęk przed nim.

- Lęk? - Uniósł monokl do oka i obejrzał przezeń jej dłonie. Zauważył, że paznokcie ma krótko obcięte i czyste. Ona jednak pomyślała, że dostrzegł, że jej dłonie są zniszczone od pracy.

- Tak, lęk - potwierdziła. - W ten sposób pan rządzi swoim światem. Sprawia pan, że wszyscy się go boją.

- Cieszę się, że mimo krótkiej znajomości uznała pani, iż doskonale mnie zna - rzucił.

- Chyba nie powinnam była mówić tak bezpośrednio - przyznała. - Ale to pan zaczął rozmowę.

- Rzeczywiście - rzekł ze sztywnym ukłonem.

- Drogi książę, widzę, że poznał pan już Christine - odezwała się Melanie i wsunęła mu dłoń pod ramię. - Czy mogę na chwilę pana stąd porwać? Lady Sarah Buchan chciałaby zadać panu pewne pytanie, a jest zbyt nieśmiała, by sama do pana podejść.

Pociągnęła gościa w stronę lady Sarah. Ta obrzuciła Christine spojrzeniem pełnym jadu, a następnie dygnęła głęboko i zaczęła się wdzięczyć do księcia.

Wielkie nieba, to ten zakład! - pomyślała Christine. Czy ta smarkuła naprawdę

myślała, że ona właśnie próbuje wygrać? Chyba tak, i najwyraźniej nie tylko ona. Harriet King podeszła bliżej i zatrzymała się przy jej fotelu.

- Dam pani przyjacielską radę, pani Derrick - odezwała się grzecznie. - Może zdoła pani zwabić księcia do swojego kącika, gdy uśmiechnie się do niego zachęcająco i nie odwróci skromnie spojrzenia. Jeśli jednak chce pani prowadzić z nim rozmowę przez całą godzinę, potrzebuje pani bardziej skutecznego planu.

Wielkie nieba, pomyślała znowu Christine i roześmiała się głośno.

- Bez wątpienia ma pani rację - odparła. - Będę musiała wymyślić coś naprawdę intrygującego.

Zamiast się roześmiać jak z dobrego dowcipu, Harriet odwróciła się na pięcie i odeszła z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Christine poczuła, że spędzenie następnych dwóch tygodni w jakimś cichym kąciku, w którym nikt jej nie zauważy, będzie trudne. Już zdążyła ściągnąć na siebie taką uwagę, jakby stała na środku pokoju i wymachiwała chorągwią. Zresztą nigdy nie potrafiła wtapiać się w tło. W tym częściowo tkwił problem z jej małżeństwem. Była z natury zbyt towarzyska.

Ale te oczy! - pomyślała nagle. Podczas krótkiej rozmowy z księciem odkryła, że jego oczy są srebrzyste. Najdziwniejsze oczy, jakie w życiu widziała. Surowe, zimne i nieprzeniknione. Miało się wrażenie, że spojrzenie odbija się od nich, zamiast przeniknąć do wnętrza człowieka. Christine pomyślała, że albo książę jest tylko wyniosłą, arystokratyczną kukłą i w ogóle nie przypomina żywego człowieka, albo że ten człowiek jest dobrze ukryty przed przypadkowym obserwatorem.

Miał naprawdę niesamowite oczy. Pozostawały nieprzeniknione, a one z kolei miały zdumiewającą zdolność przewiercania człowieka na wylot. Widząc je z bliska, utwierdziła się w pierwszym wrażeniu, że książę jest niebezpiecznym człowiekiem i nie należy go prowokować. Czy go sprowokowała? Chyba nie bardziej niż natrętna mucha brzęcząca mu koło ucha.

Westchnęła i dokończyła ciastko. Właśnie wycierała palce, gdy podszedł do niej Justin. Poderwała się na nogi i uściskała go serdecznie.

- Justin! - zawołała. - Nie widzieliśmy się całe wieki.

- Albo i dłużej - odparł z szerokim uśmiechem. - A na pewno od Wielkanocy. Podoba mi się twoja nowa fryzura. Teraz wyglądasz jeszcze ładniej. Zauważyłem, że właśnie zawarłaś znajomość z moznym człowiekiem. Założę się, że Melanie spędziła kilka bezsennych nocy, gdy dowiedziała się, że Hector go tu zaprosił.

- A potem pofatygowała się do Hyacinth Cottage i namówiła mnie na przyjazd, żeby

mieć parzystą liczbę gości - powiedziała Christine i skrzywiła się. - Wiesz, jaka jest Melanie, gdy się na coś uprze. Nie miałam najmniejszej szansy.

- Biedna Chrissie! - zaśmiał się. - Na szczęście dla mnie.

Christine rozluźniła się po raz pierwszy tego dnia.

- Christine była żoną mojego biednego kuzyna Oscara - wyjaśniła Wulfricowi lady Renable. - Może pan go znał? To młodszy brat wicehrabiego Elricka. Czarujący i powszechnie lubiany. Jego śmierć była tragedią, zwłaszcza dla Christine. Musiała wrócić do domu matki, która mieszka na wsi nieopodal. Gdy Oscar się z nią zenił, była córką wiejskiego nauczyciela. Zrobiła doskonałą partię. Niestety małżeństwo nie trwało długo i teraz jest mi jej bardzo żal. Właśnie dlatego ją zaprosiłam. To moja droga przyjaciółka i chciałam jej zapewnić trochę rozrywki.

Gdy Wulfric usłyszał jej nazwisko, uświadomił sobie, że musi być krewną Elricków, a kiedy oznajmiła, że jest wdową, przypomniał sobie, że Elrick stracił kilka lat temu jedyne brata. Teraz dowiedział się, że Christine Derrick nie pozostaje na utrzymaniu rodziny męża, tylko mieszka z matką. Podejrzewał, że Oscar Derrick nie był zbyt majątny albo, co bardziej prawdopodobne, roztrwonił fortunę. Wdowa po nim najwyraźniej nie miała żadnych własnych środków utrzymania.

Ubrana była o wiele skromniej niż pozostałe damy. Doprawdy, gdy pierwszy raz na nią spojrział, wziął ją za służącą. Jej muślinowa suknia była przyzwoita, ale uszyta bynajmniej nie według najświeższej mody. Ona sama była już nie pierwszej młodości. Musiała mieć sporo ponad dwadzieścia lat. Jej ładna buzia o dużych oczach była mocno opalona, a na domiar złego nos miała obsypany piegami. Krótkie ciemne loki otaczały twarz.

Wyglądała na prowincjonalną damę. Wyraźnie odstawała od reszty gości lady Renable, bo też znajdowała się w obcym jej kręgu. Wprawdzie doskonale wyszła za mąż, ale była córką nauczyciela z wiejskiej szkoły. Miała pecha, że Derrick okazał się tak nietaktowny i umarł młodo.

Wulfric doszedł do wniosku, że pani Derrick nie jest osobą, z którą będzie rozwijał znajomość w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Ale to samo dałoby się powiedzieć o prawie wszystkich obecnych tu damach. Zaczął sobie uświadamiać, jak kolosalny błąd popełnił, przyjmując pod wpływem impulsu ustne zaproszenie z drugiej ręki i to za pośrednictwem lorda Mowbury'ego, którego rozkojarzenie było powszechnie znane.

Lady Sarah Buchan, mimo że została mu przedstawiona niecałe pół godziny temu, znów nisko przed nim dygnęła.

- Wasza Miłość, muszę pana zapytać, czy rano woli pan dla rozrywki spacer, czy

konną przejażdżkę - powiedziała, zerkając na niego wielkimi brązowymi oczami i rumieniąc się. - Założyłam się z Miriam Dunstan - Lutt, choć wiem, że damie nie wypada się zakładać - zachichotała nerwowo.

Od dawna nie rozglądał się za kandydatką na żonę. Damy w różnym wieku, a także ich matki kilka lat temu przestały zabiegać o jego względy, słusznie uznając, że nie da się usidlić. Ale choć wyszedł z wprawy, potrafił rozpoznać zastawianą na niego pułapkę.

- Lady Sarah, rano zwykle zajmuję się korespondencją i doglądam interesów, póki umysł mam jeszcze świeży - odparł sucho. - Spacer i przejażdżki zostawiam sobie na później. A pani co preferuje?

Już był niemal śmiertelnie znudzony.

Czy ta smarkula naprawdę próbuje z nim flirtować?

Większość gości była zmęczona podróżą, wykorzystali więc przerwę między podwieczorkiem i kolacją na odpoczynek w swoich pokojach. Wulfric wymknął się z domu, by zaczerpnąć świeżego powietrza i trochę się przejść. Nie znał wprawdzie tutejszego parku, ale poszukał osłoniętej przestrzeni, gdyby bowiem ktoś z domu go zauważył, mogłoby go to narazić na niechciane towarzystwo. Przeciął porośnięty drzewami trawnik i ruszył ścieżką wśród gęstego zagajnika, aż stanął nad brzegiem sztucznego jeziora, utworzonego tu, by osiągnąć najlepszy efekt widokowy.

Jezioro było nieduże, ale piękne, odosobnione i zaciszne. I niewidoczne z domu. Dzień był ciepły, wiał lekki wiatr. Wulfric odetchnął głęboko i pomyślał, że właśnie tego było mu trzeba. Świeżego powietrza i cichego zakątka, by mógł odzyskać dobry nastrój po długiej podróży i podwieczorku w salonie wypełnionym gośćmi. W prawo i lewo biegły ścieżki, on jednak stał bez ruchu, niezdecydowany, czy wybrać którąś z nich, czy zostać tu, gdzie jest, i po prostu napawać się ożywczym zapachem wody i zieleni.

Powinien był pojechać do domu, do Lindsey Hall.

Nie zrobił tego jednak, nie było więc sensu żałować, że podjął inną decyzję.

Wciąż stał nieruchomo, zadowolony z bezczynności, gdy na ścieżce, którą przyszedł, usłyszał szelest kroków. Był zły na siebie, że nie ruszył się z tego miejsca wcześniej. Zdecydowanie nie chciał towarzystwa. Ale było już za późno. Niezależnie, którą ścieżkę wybierze, nie zdoła zniknąć z oczu osobie - kimkolwiek była - która za chwilę wyłoni się spomiędzy drzew.

Odwrócił się, z trudem ukrywając gniew.

Szła szybkim krokiem, bez kapelusza i rękawiczek, i patrzyła przez ramię, jakby chciała zobaczyć, czy ktoś nie idzie za nią. Zanim Wulfric zdążył się odsunąć, wpadła na niego z impetem. Chwycił ją za ramiona, zbyt późno jednak, bo poczuł na policzku przelotny dotyk jej miękkich loków. Wtedy krzyknęła przestraszona i odwróciła głowę tak szybko, że zderzyli się nosami.

To było do przewidzenia, pomyślał z rezygnacją. Jakiś zły duch przysłał ją do tego domu, by go prześladowała i przypominała mu, że nie powinien podejmować decyzji pod wpływem impulsu.

Podniosła dłoń do nosa, by sprawdzić, czy nie jest złamany albo czy nie cieknie z niego krew. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Pani Derrick - rzucił wyniosłym tonem, choć było już za późno, by trzymać ją na dystans.

- Och, tak mi przykro - westchnęła, opuszczając dłoń. - Jakaż ze mnie niezdara! Nie patrzyłam przed siebie.

- Więc gdyby mnie tu nie było, zapewne wmaszerowałaby pani prosto do jeziora - powiedział.

- Tak się na szczęście nie stało - odparła rezolutnie. - Nagle odniosłam wrażenie, że nie jestem sama, i obejrzałam się za siebie. I oczywiście musiałam wpaść akurat na pana.

- Proszę o wybaczenie - rzekł i ukłonił się sztywno. Mógłby jej odpłacić pięknym za nadobne, ale się powstrzymał.

Teraz jeszcze bardziej wyglądała na prowincjuskę. Nie miała tej elegancji i wyrafinowania, jakich oczekiwał od dam, wśród których miał się obracać przez najbliższe dwa tygodnie. Wiatr targał jej krótkie loki, a w świetle słońca jej twarz wydawała się jeszcze bardziej opalona niż w salonie. Na tle opalenizny jej zęby aż lśniły bielą. Oczy miała niebieskie jak niebo. Przyznał z niechęcią, że jest naprawdę zdumiewająco ładna, mimo coraz bardziej czerwieniejącego nosa.

- Odezwałam się nieuprzejmie - powiedziała z uśmiechem. - A wcześniej najpierw oblałam pana lemoniadą, potem zaś zaczęłam piorunować wzrokiem tylko dlatego, że nie podobało mi się pańskie unoszenie brwi. Teraz znowu wpadłam na pana i rozbiłam mu nos moim własnym. Mam głęboką nadzieję, że przez ostatnich kilka godzin zużyłam cały zapas niezręczności przewidziany na te dwa tygodnie i przez resztę swego pobytu będę się już zachowywać godnie i z gracją, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Niewiele mógł odpowiedzieć na jej szczerze słowa. Sporo mówiły o jej charakterze, i to raczej niepochwlebnie.

- Wybrałem tę ścieżkę zupełnie przypadkowo - rzekł, odsuwając się od niej. - Nie spodziewałem się tutaj jeziora, ale widok jest bardzo ładny.

- O tak - przyznała. - To jedna z moich ulubionych części parku.

- Pani niewątpliwie przyszła tu, by być sama - powiedział, szykując się do odejścia. - Przeszkodziłem pani.

- Ależ nie, przyszedłam pospacerować - odparła z ożywieniem. - Ta ścieżka biegnie wokół jeziora i została tak wytyczona, by dostarczyć wielu zmysłowych rozkoszy.

Zauważyła jego spojrzenie i chwilę patrzyła mu w oczy, a potem się zarumieniła.

- Czasami niezbyt rozważnie dobieram słowa - dodała. „Zmysłowych rozkoszy”. Chyba te słowa wprawiły ją w zakłopotanie.

Nie ruszyła od razu wybraną ścieżką. Uświadomił sobie, że stoi jej na drodze. Zanim się odsunął, odezwała się ponownie.

- Może zechciałby pan mi towarzyszyć?

Nie chciał. Nie znał mniej przyjemnego sposobu spędzenia wolnej godziny, zanim będzie musiał przebrać się do kolacji.

- Może jednak nie - powiedziała z wesołym błyskiem w oku, który zauważył już wcześniej w salonie, zanim uniósł brew i ją zirytował.

Zabrzmiało to jak wyzwanie. Pomyślał, że jest w niej coś fascynującego. Była całkiem inna od znanych mu kobiet. I nie próbowała z nim flirtować.

- Dobrze - odparł i cofnął się o krok, żeby ją przepuścić. Ścieżka poprowadziła ich z powrotem między drzewa. Szli ramię w ramię. Droga biegła równolegle do brzegu jeziora i była na tyle szeroka, że spokojnie mogły nią spacerować dwie osoby.

Przez pewien czas szli w milczeniu. Jako dżentelmen był biegły w sztuce prowadzenia uprzejmej konwersacji, ale zawsze unikał mówienia tylko po to, by zagłuszyć ciszę. Jeśli jej nie przeszkadzał spacer w milczeniu, to jemu tym bardziej nie.

- Zdaje się, że to panu zawdzięczam zaproszenie do Schofield - odezwała się w końcu.

- Doprawdy? - spojrzał na nią, unosząc brwi.

- Gdy został pan zaproszony, Melanie wpadła w panikę, gdyż zdała sobie sprawę, że będzie więcej dżentelmenów niż dam - wyjaśniła Christine. - Pospiesznie wysłała do Hyacinth Cottage list z zaproszeniem, a gdy odmówiłam, pofatygowała się osobiście, by błagać mnie o przybycie.

Właśnie potwierdziła to, co wcześniej podejrzewał.

- Zostałem zaproszony przez wicehrabiego Mowbury'ego - rzekł. - Nie wiedziałem jednak, że zaproszenie wcale nie pochodziło od lady Renable.

- Na pana miejscu nie martwiłabym się tym - odparła. - Gdy wreszcie zgodziłam się wyratować Melanie z tej towarzyskiej katastrofy, przyznała, że chociaż goszczenie u siebie księcia Bewcastle'a nie jest takim sukcesem, jak wizyta księcia regenta, to stanowczo woli pana. Twierdzi, zapewne słusznie, że stanie się teraz obiektem zazdrości pań domu w całej Anglii.

Więc to rzeczywiście sprawka złego ducha, pomyślał. Ona znalazła się tutaj tylko dlatego, że on przyjechał. A przyjechał, bo postąpił wbrew sobie pod wpływem impulsu.

- Pani nie chciała przyjąć zaproszenia? - spytał.

- Nie - potwierdziła.

- Obraziła się pani, że pominięto ją przy sporządzaniu listy gości?

- Nie obraziłam się, tylko, choć może się to wydać dziwne, nie chciałam tu przyjeżdżać - odparła.

- Zapewne czuje się pani niezręcznie w eleganckim towarzystwie, pani Derrick? - zasugerował.

- Nie jestem pewna, co pan rozumie przez eleganckie towarzystwo - rzuciła. - Ale w sumie ma pan rację.

- Przecież była pani żoną brata wicehrabiego Elricka.

- Tak - przyznała wesoło.

I nie kontynuowała tematu. Wyszli spomiędzy drzew i znaleźli się u stóp pagórka porośniętego trawą, jaskrami i stokrotkami.

- Czyż to wzgórze nie jest piękne? - spytała, zapewne retorycznie. - Proszę spojrzeć, wznosi się ponad wierzchołki drzew. Roztacza się z niego rozległy widok na wioskę i folwarki dookoła. Pola wyglądają jak szachownica. Kto zrezygnowałby z takich widoków i wybrał życie w mieście?

Nie czekając na niego, ruszyła z wawym krokiem na szczyt pagórka. Stała z rękami rozłożonymi na boki i obróciła się dookoła, unosząc twarz do słońca. Wiatr rozwiął jej włosy i zaczął szarpać suknię i wstążkami zawiązanymi w tali.

Wyglądała jak leśna boginka i sprawiała wrażenie zupełnie naturalnej i nieskrępowanej. To, co u innej kobiety mogłoby być kokieterią, u niej było czystą żywiołową radością. Pomyślał, że mimo woli znalazł się w obcym mu świecie.

- Zaiste, kto? - rzucił.

Christine zatrzymała się i spojrzała na niego.

- A pan woli życie na wsi? - zapytała.

- Tak - odparł i wszedł na pagórek. Stał obok niej i obrócił się, by podziwiać panoramę okolicy.

- Więc dlaczego spędza pan tyle czasu w mieście?

- Jestem członkiem Izby Lordów. Mam obowiązek uczestniczyć w sesjach parlamentu, ilekroć obraduje - wyjaśnił, przyglądając się wiosce w dole.

- Kościół jest całkiem ładny, prawda? - rzuciła. - Iglica wieży została odbudowana dwadzieścia lat temu, gdy starą zniszczyła burza. Pamiętam burzę i odbudowę. Nowa iglica jest o sześć metrów wyższa od poprzedniej.

- A tam obok to plebania? - spytał.

- Tak - potwierdziła. - Moje siostry i ja spędzałyśmy mnóstwo czasu u starego pastora i jego żony. To byli bardzo mili, gościnni ludzie. Przyjaźniłyśmy się z ich dwiema córkami, a

do pewnego stopnia także z Charlesem, ich synem. Biedaczek, był jedynym chłopcem w gromadce pięciu dziewcząt. Razem chodziliśmy do szkoły. Na szczęście mój ojciec, który nas uczył, uważał, że dziewczęta powinny mieć w głowie coś więcej niż trociny. Louisa i Catherine, córki pastora, młodo wyszły za mąż i wyprowadziły się stąd. Wkrótce potem pastor zmarł, a dwa miesiące później jego żona. Charles, który był wikarym trzydzieści kilometrów stąd, objął tę parafię i ożenił się z Hazel, moją średnią siostrą.

- Pani najstarsza siostra też jest zamężna?

- Eleanor? - Christine pokręciła przecząco głową. - Gdy miała dwanaście lat, oznajmiła, że zostanie na zawsze w domu, by być na starość podporą dla mamy i papy. Raz się nawet zakochała, ale zanim wzięli ślub, on zginął w bitwie pod Talaverą. Później Eleanor nawet nie spojrzała na żadnego mężczyznę. Po śmierci naszego ojca przypomniała to, co mówiła jako dziewczynka, choć oczywiście teraz może być podporą tylko dla matki. Zdaje się, że jest szczęśliwa.

Tak, ona naprawdę jest z innego świata, pomyślał książę. Wychodząc za Oscara Derricka, zrobiła świetną partię.

Wyciągnęła rękę i przysunęła się do niego, by mógł lepiej zobaczyć to, co mu wskazywała.

- Tam jest Hyacinth Cottage - powiedziała. - Mój dom. Zawsze uważałam, że jest piękny. Po śmierci ojca przeżyliśmy chwilę lęku, ponieważ umowa dzierżawy opiewała tylko na niego. Jednak Bertie, to znaczy baron Renable, był tak miły, że wydzierżawił dom mamie i Eleanor do końca ich życia.

- Przy założeniu, że pani ich nie przeżyje? - rzucił.

Opuściła rękę.

- Wtedy byłam jeszcze żoną Oscara - wyjaśniła. - Nikt nie mógł przewidzieć jego śmierci. A nawet gdyby mógł, Bertie zapewne przypuszczał, że zostanę przy jego rodzinie.

- Ale tak się nie stało?

- Nie.

Spojrzał na Hyacinth Cottage, całkiem ładny, kryty strzechą budynek z dużym ogrodem. Wyglądał na jeden z największych domów we wsi, jak przystało na siedzibę dzentelmena, nawet jeśli był też nauczycielem.

Christine zaśmiała się cicho.

Wulfric odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

- Czy znów zrobiłem coś, co panią rozbawiło? - spytał.

- Niezupełnie - odparła. - Uderzyło mnie jednak, że Hyacinth Cottage wygląda stąd

jak domek dla lalek. Zapewne zmieściłby się w kącie salonu pańskiej siedziby, gdziekolwiek się ona znajduje.

- W Lindsey Hall? Wątpię - rzekł. - Pani dom nie jest mały. Zdaje się, że na piętrze są cztery pokoje i tyleż samo na dole.

- No to, powiedzmy, w rogu sali balowej - rzuciła.

- Być może - przyznał, choć nadal w to wątpił. A jednak była to zabawna myśl.

- Jeśli dalej będziemy szli w tym tempie ścieżką wokół jeziora, to wrócimy do domu już po kolacji - powiedziała.

- W takim razie chodźmy szybciej - odparł.

- Może nie zamierzał pan iść tak daleko. Jeśli woli pan wrócić drogą, którą tu przyszliliśmy, ja pójdę dalej sama.

Doskonała okazja, by uciec. Nie wiedział, dlaczego z niej nie skorzystał. Może dlatego, że nie przywykł, by ktoś go odprawiał.

- Pani Derrick, czy pani przypadkiem nie próbuje się mnie po zbyć? - spytał, chwytając za monokl. Uniósł go do oka i przyjrzał się jej przez szkiełko tylko dlatego, że wiedział, iż ten gest ją zirytuje.

Roześmiała się.

- Po prostu pomyślałam, że zwykł pan wszędzie jeździć konno albo powozem - odparła. - Nie chciałabym, żeby przeze mnie po - obcierał pan sobie stopy.

- Albo żeby ominęła mnie kolacja? - Wypuścił monokl z palców. - To miłe z pani strony, madame, ale nie będę pani obarczał odpowiedzialnością za którekolwiek z tych nieszczęść.

Wskazał ręką ścieżkę z drugiej strony wzgórza. Przez pewien czas droga biegła brzegiem jeziora, a potem znów zniknęła między drzewami.

Podczas spaceru Christine zadawała księciu wiele pytań na temat Lindsey Hall w Hampshire i innych jego posiadłości. Wydawała się szczególnie zainteresowana majątkiem w Walii, położonym na półwyspie nad morzem. Wypytywała o jego rodzeństwo, a dowiedziawszy się, że pozakładali rodziny, także o ich żony, mężów i dzieci. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tyle o sobie mówił.

Gdy wyszli spomiędzy drzew, znaleźli się w pobliżu łukowatego mostku nad wartkim strumieniem wpływającym do jeziora. Stanęli na środku mostka, a Christine oparła się łokciami o kamienną balustradę. Słońce migotało na powierzchni wody. Śpiewały ptaki. Doprawdy sielankowa sceneria.

- Właśnie tutaj Oscar pierwszy raz mnie pocałował i poprosił o rękę - odezwała się

nagle rozmarzonym głosem. - Wiele wody już upłynęło od tamtego wieczoru, nie tylko w dosłownym sensie.

Wulfric milczał. Miał nadzieję, że pani Derrick nie zacznie sentymentalnych wynurzeń na temat wielkiej miłości i ogromu swojej straty. Ona jednak tylko spojrzała na niego przelotnie i się zarumieniła. Domyślił się, że na chwilę się zapomniała, i ucieszył, że tak szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Kocha pan Lindsey Hall i inne swoje posiadłości? - spytała.

Tylko kobieta mogła zadać takie pytanie.

- Miłość to zbyt mocne słowo w odniesieniu do budynków i ziemi - odparł. - Pilnuję, by dobrze nimi zarządzano. Wypełniam swoje obowiązki wobec ludzi żyjących na mojej ziemi i spędzam na wsi jak najwięcej czasu.

- A kocha pan braci i siostry?

Uniósł brwi.

- Miłość to słowo chętnie używane przez kobiety. Moim zdaniem obejmuje szeroki wachlarz emocji, których nie ma sensu definiować. Kobiety kochają swoich mężów, dzieci, pieski i właśnie kupioną błyskotkę. Kochają spacerować po parku, najnowszą książkę wypożyczoną z biblioteki, niemowlęta, słońce i róże. Spełniłem swój obowiązek wobec rodzeństwa, dopilnowałem, by bracia dobrze się ożenili, a siostry szczęśliwie wyszły za mąż. Piszę do nich raz w miesiącu. Oddałbym życie za każde z nich, gdyby tak szlachetne i demonstracyjne poświęcenie było kiedykolwiek potrzebne. Czy to jest miłość? Pozostawiam to pani ocenie.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę w milczeniu.

- Mówi pan z pogardą o kobiecej emocjonalności - odezwała się w końcu. - Tak, czujemy miłość do wszystkiego, co pan wymienił, i do wielu innych rzeczy. Chyba nie chciałabym żyć, gdyby mojego życia nie przepełniała miłość do niemal wszystkiego i wszystkich wokół mnie. To nie jest uczucie, którym należy gardzić. To nastawienie do świata i ludzi zupełnie przeciwne opinii, że życie to tylko pasmo obowiązków do wypełnienia i ciężarów do niesienia. Słowo „miłość” ma wiele znaczeń i odcieni, podobnie jak mnóstwo innych słów w naszym barwnym, żywym języku. I choć mówimy, że kochamy i dzieci, i róże, nasz umysł i wrażliwość rozumie, że to nie to samo uczucie. Czujemy radosne poruszenie zmysłów na widok pięknej róży i głębokie drgnienie serca na widok dziecka, które jest nasze albo związane z nami więzami rodzinnymi. Nie będę się wstydzić czułości, jaką darzę moje siostry, siostrzeńców i siostrzenicę.

Ostro go zbeształa. Ale tak jak wielu ludzi, którzy w dyskusji kierowali się sercem, a

nie rozumem, przekreśliła jego słowa. Spojrzał na nią chłodno.

- Pani Derrick, wybaczy pani, jeśli nie pamiętam, ale czy powiedziałem lub zasugerowałem, że powinna się pani wstydzić? - spytał.

- Tak - odparła stanowczo. - Zasugerował pan, że kobiety są płytkie i udają miłość, a nawet nie znają znaczenia tego słowa, gdyż ono w zasadzie nie ma znaczenia.

- Aha - mruknął, rozgniewany bardziej, niż zwykle sobie na to pozwalał. - W takim razie zechce mi pani wybaczyć.

Cofnął się o krok i ruszyli dalej już w milczeniu. Wkrótce dotarli do domu. Gdy weszli do holu, Christine odwróciła się do Wulfrica.

- Chyba muszę się pospieszyć, jeśli mam zdążyć na kolację - powiedziała z promiennym uśmiechem, przerywając krępującą ciszę.

Uklonił się i patrzył, jak biegnie po schodach na górę i znika mu z oczu. Gdy wszedł do swojego pokoju, zerknął na zegar i zorientował się, że nie było go ponad godzinę. A czas wcale mu się nie dłużył, choć powinien. Zwykle źle się czuł w towarzystwie, którego sam starannie nie wybrał.

Christine ucieszyła się, że książe Bewcastle nie poczuł się zobowiązany odprowadzić ją do pokoju. Pewnie teraz oddychał z ulgą, że przetrwał tak nudną godzinę. Wbiegła lekkim krokiem po schodach, niepomna nauk Hermione, że bieganie to nader niestosowny sposób przemieszczania się z miejsca na miejsce.

Wpadła do pokoju. Przebranie się do kolacji nie potrwa długo, ale miała naprawdę niewiele czasu.

Ledwie mogła uwierzyć w to, co właśnie zrobiła. Po podwieczorku wybiegła z domu, by spędzić trochę czasu w samotności, i wpadła prosto na księcia Bewcastle'a. Już miała uciec, gdy przyszła jej do głowy myśl, by wygrać zakład, który wymyśliły te głupie pannice. Tylko po to, by udowodnić sobie, że jest w stanie to zrobić. Wcale nie miała zamiaru odbierać nagrody. Nie potrzebowała ani nagrody, ani zazdrości pozostałych uczestniczek zakładu, które patrzyły na nią, jakby była już staruszką.

Nie mogła uwierzyć, że to zrobiła i że on zgodził się jej towarzyszyć, a tam na wzgórzu, gdy dopadły ją wyrzuty sumienia i dała mu szansę ucieczki, wołał iść z nią dalej.

Na szczęście ta godzina już minęła. Christine nigdy nie spotkała równie zimnego i wyniosłego mężczyzny. Mówił o Lindsey Hall i innych posiadłościach, o swoich braciach, siostrach i ich dzieciach bez cienia emocji. A potem tak zjadliwie mówił o miłości.

Gdyby miała być zupełnie szczerą, przyznałaby, że w pewien sposób książe wydał się jej fascynujący. No i był tak wspaniale zbudowany. Powinno się go wyrzeźbić w marmurze

albo odlać w brzozy i ustawić na szczycie wysokiej kolumny w jego rodowej siedzibie, żeby przyszłe pokolenia Bedwynów mogły nań spoglądać z podziwem i bojaźnią.

Książę Bewcastle to piękny mężczyzna. Przyjemnie było na niego patrzeć.

Christine zatrzymała się nagle na środku pokoju i zmarszczyła brwi. Nie, to nie chodzi o wygląd. Oscar był tak piękny, że niemal zapierał dech w piersiach. Właśnie jego uroda zawróciła jej w głowie i skradła serce. Dziewięć lat temu była płochą dziewczyną i zwracała uwagę tylko na wygląd, ślepa na jakiegokolwiek inne zalety.

Teraz była dojrzałą kobietą.

Widziała, że książę Bewcastle jest nie tylko przystojny, ale i pociągający.

Samo sformułowanie tej myśli sprawiło, że jej piersi napięły się boleśnie, a między udami poczuła mrowienie.

Jakie to żenujące.

I przerażające.

Był naprawdę niebezpiecznym mężczyzną, choć nie w oczywisty sposób. Przecież nie rzucił się na nią i nie próbował sobie z nią nikczemnie poczynać tam w lesie. I wcale nie próbował jej oczarować. Ani razu nawet się nie uśmiechnął.

A jednak gdy szła obok niego, jej ciało pulsowało podnieceniem.

Zebrała się w sobie i usiadła przy toalecie. Chyba ma źle w głowie, skoro czuje pociąg do księcia Bewcastle'a, którego można by już teraz postawić na wysokiej kolumnie w Lindsey Hall. Mógłby udawać marmurowy posąg i nikt nie zauważyłby różnicy.

Spojrzała w lustro i pospiesznie zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć. Jej włosy wyglądały, jakby przeszło przez nie tornado. Policzki miała zarumienione od wiatru, a nos cały czerwony.

Na litość boską! Ten człowiek chyba naprawdę jest z marmuru, skoro patrzył na nią w tym stanie i nie wybuchnął gromkim śmiechem.

Każda cząstka jej ciała drżała z podniecenia, a on pewnie czuł niesmak.

Zawstydzona i bardzo już spóźniona chwyciła za szczotkę.

Gdy Christine kładła się spać tego wieczoru, czuła się o wiele lepiej niż po podwieczorku. Nie chciała tu przyjeżdżać, a pobyt u Melanie zaczął się dla niej okropnie. Jednak fakt, że zdołała skłonić księcia Bewcastle'a, by spędził z nią godzinę, bardzo ją rozbawił i wprowadził w świetny humor. Postanowiła nie chwalić się swym triumfem reszcie pań, opowiedziała jednak całą historię Justinowi, gdy po kolacji usiedli w salonie przy herbacie.

- Ta godzina nie należała do łatwych - zakończyła. - Teraz rozumiem, dlaczego książę

słynie ze swego chłodu. Ani razu się nie uśmiechnął. A gdy opowiedziałam mu, że Melanie wpadła w histerię po tym, jak Hector go zaprosił, i tylko dlatego ja zostałam zaproszona, ani się nie roześmiał, ani nie zmartwił.

- Zmartwił? - powtórzył Justin. - Wątpię, czy on w ogóle zna to słowo. Zapewne uważa za swoje boskie prawo uczestniczyć w każdym przyjęciu, na które spodoba mu się przybyć.

- Wydaje mi się, że tych przyjęć nie jest zbyt wiele - rzuciła. - Ale powinniśmy powstrzymać się od złośliwości, prawda? Bardzo się cieszę, że wygrałam ten zakład. Teraz mogę unikać księcia przez następnych trzynaście dni.

- Jego strata, mój zysk - powiedział Justin i uśmiechnął się do niej szeroko. - Chciałbym zobaczyć jego minę, gdy na niego wpadłaś.

Pod koniec wieczoru miała jeszcze jeden powód do radości. Wreszcie stawiała czoło temu, czego obawiała się od dwóch lat: stanęła oko w oko z Basilem i Hermione. I przeżyła. Uświadomiła sobie, że już niczego nie musi się lękać i że już nic nie powstrzymuje jej od bycia sobą.

Przyjechała do Schofield zdecydowana wtopić się w tło, być raczej obserwatorką niż uczestniczką wydarzeń, unikać wszelkich okazji i sytuacji, które mogłyby uczynić ją obiektem plotek. Chciała zachowywać się tak, jak przez kilka ostatnich lat swego małżeństwa. Nigdy się jej to nie udało, choć bardzo się starała. Teraz też, sądząc po kilku pierwszych godzinach jej pobytu.

Ale to nawet dobrze.

Dzięki temu zaczęła się zastanawiać, dlaczego miałyby się zachowywać w sposób obcy własnej naturze? Gdyby jej sąsiedzi usłyszeli, że Christine Derrick zamierza przesiedzieć w kątce dwa tygodnie i tylko obserwować, co się dzieje wokół niej, pewnie umarliby ze śmiechu. Jeśli w ogóle uwierzyliby w to.

Czemu miałyby się tak zachowywać? Tylko dlatego, że byli tu jej szwagier z żoną? Przecież i tak mieli o niej jak najgorsze zdanie. Nadal jej nienawidzili, co stało się oczywiste tego popołudnia. Lecz teraz wreszcie się od nich uwolniła. Nic jej z nimi nie łączyło. Oscar nie żył od dwóch lat.

Znów mogła być sobą.

To była cudownie wyzwalająca myśl. Nawet jeśli wspomnienia o Oscarze, przywrócone do życia przy kamiennym mostku oraz na widok Hermione i Basila, sprawiły, że boleśnie ścisnęło się jej serce.

Resztę wieczoru spędziła, grając w szarady. Początkowo nie przydzielono jej do

żadnego zespołu, zapewne w przekonaniu, że jej miejsce jest pośród matron. W końcu jednak została zaproszona do zabawy, gdyż w którejś grupie brakowało jednej osoby, a Penelope Chisholm odmówiła udziału, tłumacząc, że jest w szaradach beznadziejna i wkrótce nawet członkowie jej drużyny będą ją błagać, by zrezygnowała z gry.

Christine całkiem nieźle dawała sobie radę. Szarady były jedną z jej ulubionych zabaw. Uwielbiała odgrywać bez słów jakąś frazę i odgadywać znaczenie tego, co przedstawiał ktoś inny. Z entuzjazmem włączyła się do gry i wkrótce stała się ulubienicą wszystkich, a na pewno swojego zespołu.

Jej drużyna wygrała z dużą przewagą punktów. Rowena Siddings i Audrey, zarażone entuzjazmem Christine, wspięły się na wyżyny szaradziarskiego kunsztu, i tylko Harriet King, która była w tej grze beznadziejna, udawała znudzenie i jasno dała do zrozumienia, że tego typu rozrywki są poniżej jej godności. Pan George Buchan i sir Wendell Snapes zaczęli patrzeć na Christine z podziwem i aprobatą. Podobnie hrabia Kitredge i sir Clive Chisholm, którzy obserwowali zabawę i okrzykami dodawali wszystkim animuszu.

Książę Bewcastle również się przyglądał, ze znużoną, nieco lekceważącą miną. Christine nie zwracała na niego uwagi, choć zauważyła wyraz jego twarzy. Możliwe, że potrafił zmrozić atmosferę w każdym miejscu, gdzie przebywał, ale ona postanowiła nie dopuścić, by zepsuł jej humor.

Gdy kładła się spać, całkiem zaakceptowała myśl, by przez następne dwa tygodnie po prostu dobrze się bawić i zapomnieć o wszystkich obowiązkach, które zwykle wypełniały jej czas.

Książę Bewcastle doszedł do wniosku, że pani Derrick naprawdę brakuje oglądy.

Gdy pierwszego wieczoru towarzystwo grało w szarady, bawiła się z zapalem, cała w rumieńcach. Śmiała się, zamiast dyskretnie chichotać jak inne damy, i głośno zgadywała, nie obawiając się, że okaże się lepsza od mężczyzn. A gdy nadeszła jej kolej, by coś odegrać, urządziła niezłe przedstawienie.

Wulfric nie chciał marnować czasu na przyglądanie się nudnej grze towarzyskiej. Zorientował się jednak, że nie może oderwać oczu od Christine Derrick. Już wcześniej uznał, że jest ładna, ale w ożywieniu, które zresztą przychodziło jej bardzo naturalnie, wydawała się zdumiewająco piękna.

- Nie można jej nie podziwiać, prawda? - odezwał się ze śmiechem Justin Magnus, który podszedł do Wulfrica i stanął u jego boku. - Oczywiście brak jej wyrafinowania, którego wielu członków wyższych sfer oczekuje od dam. Często wprawiała w zakłopotanie mojego kuzyna Oscara, a także Elricka i Hermione. Ale jeśli chce pan znać moje zdanie, Oscar, mając taką żonę, wygrał los na loterii. Zawsze lojalnie jej broniłem i nigdy nie przestanę. To naprawdę atrakcyjna kobieta, choć oczywiście nie dla tych, którzy mają wygórowane wymagania.

Wulfric zerknął przez monokl na młodego człowieka, niepewny, czy Justin subtelnie wytknął mu wygórowane wymagania, czy też traktuje go jak kompana, który zgodzi się z opinią, że „niezłe sztuki” są znacznie ciekawsze od dam o wykwintnych manierach. Tak czy inaczej, nie spodobała mu się poufałość, z jaką został potraktowany. Wprawdzie Magnus był bratem Mowbury'ego, ale Wulfric nie utrzymywał z nim żadnych kontaktów.

- Mniemam, że mówi pan o pani Derrick - odezwał się tonem, którego zawsze używał, by ograniczyć poufałości. - Przyglądałem się grze.

Dama, przebywając w dystyngowanym towarzystwie, nie powinna okazywać podekscytowania i ożywienia i... być potargana. Krótkie czarne loki tańczyły wokół jej twarzy i wkrótce jej fryzura straciła wszelkie pretensje do elegancji. Fakt, że pod koniec gry pani Derrick wyglądała dwa razy ładniej niż na początku, nie miał tu nic do rzeczy.

Nie powinna się tak zachowywać. Jeśli tak się prowadziła w trakcie swego małżeństwa, Derrick i Elrickowie mieli wszelkie prawo do urazy.

Wulfric musiał przyznać, że przypominała mu nieco jego siostry, choć brak jej było dobrych manier. Nie, żeby pani Derrick była wulgarna. Po prostu jej zachowanie nie było w

dobrym tonie. Ale przecież nie przynależała do wyższych sfer.

Przez następnych kilka dni zachowywała się z większą powagą. Dużo czasu spędzała w towarzystwie Justina Magnusa, z którym najwyraźniej łączyła ją zażyła przyjaźń. Ilekroć jednak Wulfric na nią spoglądał, a zdarzało się to stanowczo za często, widział w jej twarzy tę samą iskrę, którą zauważył pierwszego popołudnia. Już ani razu nie siedziała samotnie w kącie salonu. Zyskała popularność wśród młodych ludzi, co samo w sobie wydawało się dziwne. Nie była już przecież młoda. Nie powinna figlować z dziećmi.

Któregoś popołudnia całe towarzystwo wybierało się na wycieczkę do ruin normańskiego zamku, odległych o kilka kilometrów. Zajechały powozy i wszyscy już mieli zajmować przeznaczone im miejsca, gdy nagle okazało się, że brakuje jednej z dam. Brakowało pani Derrick, co zauważyła lady Elrick. Jej surowy ton sugerował, że można się tego było spodziewać. Po piętnastu minutach poszukiwań, w ciągu których lady Renable wyglądała, jakby miała dostać waporów, pani Derrick wreszcie się pojawiła.

A właściwie przybiegła od strony jeziora z dwójką dzieci u boku i jeszcze jednym na rękach.

- Bardzo przepraszam! - zawołała radośnie zdyszonym głosem. - Skakaliśmy nad wodą po kamieniach i nie zwróciłam uwagi, która godzina. Melanie, będę gotowa, jak tylko odprowadzę dzieci do ich pokoju.

Lady Renable powierzyła jednak swoje pociechy - o których istnieniu Wulfric aż do tej chwili nie miał pojęcia - opiece lokaja, a pani Derrick, w stroju nieco niedbałym, tym niemniej prześliczna, wsiadła do powozu przy pomocy przydzielonego jej towarzysza podróży, pana Gerarda Hilla.

Przez resztę dnia pani Derrick zachowywała się poprawnie, choć wspięła się na blanki zamku razem z mężczyznami, podczas gdy reszta dam została na trawiastym podwórzu, podziwiając widoki z dołu. W dodatku grupa młodzieńców, z którymi się wspinała, wydawała się bardzo rozbawiona. Gdyby pani Derrick miała naście lat, można by to uznać za nieprzyzwoite, ale że była wdową, i to już nie pierwszej młodości, Wulfric doszedł do wniosku, że jej zachowanie nie było niestosowne, lecz po prostu nie do końca w dobrym tonie.

Jednak piątego dnia naprawdę posunęła się za daleko. Nazajutrz po wycieczce do zamku padało, kolejnego dnia pogoda była niepewna, ale w końcu znów zaświeciło słońce. Ktoś zaproponował spacer do wsi, by obejrzyć kościół i wstąpić do gospody na przekąskę. Wyruszyli całkiem sporą grupą.

Wulfric także. Interesował się starymi kościołami. A że nie potrafił zniechęcić

dziewcząt, by przestały się wokół niego kręcić, zdecydował się dotrzymać towarzystwa dwóm z nich, pannie King i pannie Beryl Chisholm. Po drodze zastanawiał się, kiedy ten świat oszalał. Od lat młode damy omijały go szerokim łukiem, jednak te dwie szczebiotały do niego w sposób, który można by uznać za zalotny. Pani Derrick szła między siostrzeńcami Renable'a, bliźniakami Culver, trzymając ich pod ręce. Rozmawiali wesoło i często wybuchali śmiechem, ale Wulfric nie był na tyle blisko, by słyszeć, o czym mówią. Pani Derrick, która wyglądała bardzo pociągająco w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, maszerowała żwawym krokiem, jakby nigdy w życiu nie słyszała, jak powinna się zachowywać dama.

Weszli do kościoła. Pastor zapoznał ich z historią i architekturą budynku, a potem odpowiedział na wszystkie pytania, zadawane głównie przez Wulfrica. Gdy wyszli na dziedziniec, zaciszne miejsce z dwoma starymi cisami rosnącymi pośrodku, zaczął im pokazywać co bardziej zabytkowe nagrobki. Kilka młodych dam zaczęło się niecierpliwić, gdyż chciały już iść do gospody. Lady Sarah Buchan, stojąca obok Wulfrica, oświadczyła, że zemdleje z upału, jeśli w ciągu najbliższych kilku minut nie przejdzie do cienia. Brat ujął ją pod rękę i nazwał niemądrą gąską, po czym zwrócił uwagę, że właśnie stoją w cieniu cisów, a dzień wcale nie jest aż taki upalny.

Wulfric pomyślał, że George Buchan nie ma za grosz wyrafinowania albo nie umie rozpoznać flirtu, nawet gdy trwa tuż pod jego nosem. A może po prostu zbyt się przyzwyczaił traktować swoją siostrę jak dziecko. Tak czy inaczej, Wulfric był mu bardzo wdzięczny.

Ze stosowną powagą stanęli nad grobowcem przodków barona Renable'a, a pastor już szykował się do lekcji historii, gdy nagle przerwał dziecięcy głosik.

- Ciocia Christine! - zawołał chłopczyk, który z piłką w rękach nadbiegł od strony ogrodu plebanii. Rzucił się na szyję pani Derrick, ta zaś krzyknęła radośnie, chwyciła malca w ramiona i śmiejąc się głośno, zakręciła się z nim w kółko.

- Uciekłeś z ogrodu, Robinie - powiedziała. - Mama spuści ci lanie, a papa już srogo marszczy brwi. - Potarła nosem o jego nos i opuściła chłopca na ziemię. - Ale mimo wszystko to rozkoszne spotkanie!

Pastor rzeczywiście groźnie marszczył brwi. Jakaś niewiasta, zapewne jego żona, czyli siostra pani Derrick, gorączkowo machała od progu plebanii, a dwójka dzieci, chłopiec i dziewczynka nieco starsi od Robina, biegła w stronę ich grupy, najwyraźniej z zamiarem zaciągnięcia młodszego brata do domu.

Kilka dam, niewątpliwie znudzonych nagrobkami, zaczęło zachwycać się Robinem, którego jasne loczki i puciołowate policzki upodobały do amorka. Jeden z Culverów zabrał chłopcu piłkę i zaczął się z nim drażnić, rzucając ją nad jego głowę do brata. Tamten odrzucił,

a malec ze śmiechem próbował ją złapać.

Cała niestosowna scena skończyłaby się zapewne w ciągu kilku chwil. Jeden z bliźniaków oddałby chłopcu piłkę i pogłaskał go po głowie. Damom znudziłyby się zachwyty nad jego urodą, pastor poskromiłby swojego najmłodszego potomka jakąś groźbą, a dwójka jego rodzeństwa wzięłaby go za ręce i zaprowadziła z powrotem do domu.

Niestety pani Derrick znów się zapomniała. Wyglądało na to, że naprawdę lubi dzieci i korzysta z każdej okazji, by się z nimi pobawić. Wśród łopotu kapelusza i furkotu wstążek rzuciła się do zabawy, łapiąc piłkę nad głową siostrzeńca.

- Hej, Robin! - zawołała i cofnęła się o kilka kroków, nie zważając, że pokazała przy tym kostki nóg. - Łap!

Chłopiec oczywiście nie złapał. Klasnął tylko za przelatującą piłką. Ale pobiegł za nią i w końcu, pochwyciwszy, odrzucił. Niestety zamiast do przodu, rzucił piłkę do góry. Poleciała w kierunku cisu i już nie spadła. Zaklinowała się między pnieniem a konarem.

Malec wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć płaczem. Ojciec wymówił jego imię z wyraźnym niezadowoleniem, brat zawołał, żeby zobaczył, co zrobił, a siostra nazwała go niezdara. Pani Derrick podeszła do cisu, a Anthony lub Ronald Culver - naprawdę trudno było ich odróżnić - wspiął się na drzewo.

Nawet wtedy scena mogła się jeszcze szybko zakończyć. Jeden z bliźniaków bez problemów sięgnął piłki i rzucił ją na ziemię. Sam jednak nie mógł się uwolnić, bo zaczepił surdudem o grubą gałąź.

Drugi z bliźniaków, zamiast pospieszyć bratu z pomocą, wyśmiewał się z położenia, w jakim ten się znalazł. W tym czasie ktoś inny ruszył uwięzionemu Culverowi na ratunek. Było jasne, że pani Derrick nie po raz pierwszy wdrapuje się na drzewo.

Wulfrie przyglądał się z rezygnacją, jak Christine wsuwa dłoń pod surdut Culvera i odczepia go z gałęzi. Doprawdy wulgarne zachowanie, mimo śmiechu, który mu towarzyszył, już nie wspominając o tym, że po drodze na górę pani Derrick odsłoniła nogi.

Culver zsunął się na ziemię i z galanterią odwrócił się, by pomóc zejść z drzewa swej wybawicielce. Ona jednak odprawiła go machnięciem ręki i usiadła na najniższej gałęzi.

- Gdy wspinam się na drzewa, zawsze zapominam, że będę musiała zejść - powiedziała wesoło. Kapelusz miała przekrzywiony, włosy w nieładzie, rumieńce na policzkach i błyszczące oczy. - Uwaga! - zawołała i skoczyła na ziemię.

Zostawiając na drzewie część sukni.

Rozległ się głośny trzask, gdy materiał zaczepił o jedną z gałęzi i rozdarł się z boku na całej długości od rąbka do dekoltu.

Wulfric nie stał najbliżej, ale pierwszy znalazł się przy niej. Stał przed panią Derrick, by ją osłonić przed wzrokiem reszty. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Może stał trochę za blisko, ale nie zwrócił na to uwagi. Dopiero potem przypomniał sobie ciepło i zapach rozgrzanego słońcem kobiecego ciała. Wyswobodził się z surduta, co nie było łatwe bez pomocy lokaja, i rozpostarł go przed nią, gdy próbowała zebrać rozdarte brzegi sukni.

Spojrzał jej w oczy. Roześmiała się, ale jej twarz pokrywał silny rumieniec.

- Co za straszne upokorzenie - westchnęła. - Czy dziwi się pan, Wasza Wysokość, że często stawałam się pośmiewiskiem w wytwornym towarzystwie?

Nie dziwił się.

Uniósł brwi, ale nie odpowiedział. Za jego plecami rozległ się gwar.

- Christine, sugeruję, byś wycofała się na plebanię, gdzie zajmie się tobą Hazel - powiedział pastor.

- Tak właśnie zamierzam. Dziękuję ci, Charles - odparła, nie spuszczać z Wulfrica rozbawionego spojrzenia. - Nie wiem jednak, czy uda mi się to zrobić, nie wywołując zgorznienia. - Przytrzymała materiał obiema dłońmi, ale nawet dziesięciu rąk byłoby za mało.

- Pani pozwoli, madame. - Wulfric owinał surdut dookoła niej, próbując ją osłonić od pasa w dół. Starł się jej nie dotykać, by nie wprawiać jej w jeszcze większe zażenowanie.

Niestety, wkrótce stało się jasne, że pani Derrick nie zdoła przejść na plebanię, nie odsłaniając przy tym więcej niż kostki, które pokazała, wspinając się na drzewo.

- Proszę przytrzymać surdut - nakazał.

Schylił się, wziął ją na rękę i ruszył prosto na plebanię, zły, że wpakował się w tak niedorzeczną sytuację.

Czuł się zdecydowanie nieprzyjaźnie nastawiony do świata i ludzkości, a zwłaszcza do niesionej w ramionach jej przedstawicielki.

Dzieci biegły obok nich. Najmłodszy chłopiec opowiadał rodzeństwu, co się właśnie wydarzyło, jakby sami tego nie widzieli. Doskonale naśladował odgłos rozdieranego materiału.

- Ojej, chyba jestem bardzo ciężka - odezwała się pani Derrick.

- Wcale nie - zapewnił ją Wulfric.

- Pan się wydaje bardzo posępny - rzuciła. - Zapewne ma pan służących, którzy zwykle robią za pana rzeczy takie jak ta.

- Zwykle w pobliżu mnie czy moich służących damy nie skaczą z drzew, drąc sobie przy tym suknie - odparł.

To ją uciszyło.

Minutę później znaleźli się na plebanii. Pastorowa przygotowała już duży biały obrus, którym owinęła siostrę, gdy tylko Wulfric postawił ją na podłodze w kuchni. Kucharka przeżegnała się i na powrót zajęła gotowaniem.

- Hazel, moja prawie najlepsza muślinowa suknia właśnie została zniszczona - jęknęła pani Derrick. - Będę ją szczerze opłakiwać. Bardzo ją lubiłam i nosiłam tylko trzy lata. Teraz zamiast czterech przyzwoitych sukien mam tylko trzy.

- Może da się ją naprawić - rzuciła pastorowa z nadzieją, choć wbrew zdrowemu rozsądkowi. - Marianne pobiegnie do Hyacinth Cottage, by przynieść ci czystą suknię, którą mogłabyś włożyć na drogę powrotną do Schofield. Moje będą na ciebie za duże. Marianne, poproś babcię albo ciocię Eleanor, by coś przysłały, dobrze? A tymczasem, Christine, zabiorę cię na górę.

Dopiero teraz pani Derrick przypomniała sobie, że księżę i jej siostra nie zostali sobie przedstawieni, i naprawiła gafę.

- Hazel, to jest księżę Bewcastle - powiedziała. - Wasza Wysokość, to moja siostra, pani Lofter. Zdaje się, że powinnam była najpierw zapytać, czy chce pan być przedstawiany, prawda? Cóż, teraz już na to za późno.

Wulfric uklonił się, a pani Lofter, wyraźnie onieśmielona, niezgrabnie dygnęła.

- Zapewne chce pan ruszyć do gospody, by dołączyć do reszty. - Pani Derrick, szamocząc się pod obrusem, zdjęła i oddała księciu surdut. - Proszę się nie czuć w obowiązku na mnie czekać.

- Tym niemniej poczekam - odparł, skinąwszy sztywno głową. - Postoję na zewnątrz, a potem odprowadzę panią do gospody.

Nie wiedział, co skłoniło go do takiej decyzji. Przecież mieszkała w tej wiosce prawie całe życie i trafiłaby do oberży nawet z zawiązanymi oczami. Czekał dobre pół godziny. Najpierw włożył surdut, co bez pomocy lokaja było nie lada sztuką. Potem rozmawiał z pastorem na obojętne tematy. W tym czasie starszy chłopiec nosił młodszego po ogrodzie na barana.

Gdy w końcu pani Derrick wyszła na zewnątrz, miała na sobie bladoniebieską suknię, która kiedyś była chyba o wiele ciemniejsza. Spódnica nosiła ślady cerowania, co być może oznaczało, że kiedyś też uległa wypadkowi. Przyczesła porządnie włosy i zawiązała prosto kapelusz. Twarz miała zaróżowioną i błyszczącą, jakby przed chwilą obmyła ją wodą.

- Ojej, jednak pan poczekał - westchnęła na jego widok.

Zastanawiał się, jak to możliwe, że to obszarpane stworzenie wygląda nie tylko

pięknie, ale też wydaje się pełne życia. Christine wetknęła głowę w kuchenne drzwi.

- Idę już! - zawołała. - Pani Mitchell, dziękuję za przyniesienie wody i mydła. Jest pani kochana.

Czy ona mówiła do służącej?

Pastorowa wyszła na zewnątrz i siostry uściślały się serdecznie. Potem przybiegły dzieci, które też należało po kolei poprzytulać. Wreszcie Christine uściślała rękę szwagra i cmoknęła go w policzek. Cała rodzina obeszła dom, by stanąć na ganku i machać do niej na pożegnanie, gdy ruszała do oberży, odległej o dwie minuty drogi.

Zdumiewające widowisko, pomyślał Wulfric.

- Nie wiem, dlaczego ciągle wpadam w takie okropne tarapaty - powiedziała pani Derrick, ujmując ramię, które jej podał. - Ale zawsze tak było. Hermione, która próbowała zrobić ze mnie damę, gdy wyszłam za Oscara, była bliska rozpacz. Oscar z czasem zaczął twierdzić, że robię to z rozmysłem, by okryć go hańbą. A ja zawsze byłam niewinna.

Wulfric milczał.

- Oczywiście gdybym poczekała, Anthony Culver pewnie sam wszedłby na drzewo - ciągnęła. - Nie sądzi pan?

- O tak, madame - rzucił szorstko.

Roześmiała się.

- Cóż, przynajmniej goście Melanie i Bertiego nieprędko mnie zapomną - stwierdziła.

- Istotnie, madame, nieprędko - przyznał.

W tym momencie weszli do gospody. Christine otoczyła grupa osób, wśród nich Justin Magnus, jego młodsza siostra i bliźniacy Culver. Powitali ją niemal jak bohaterkę, choć nieco komiczną. Śmiali się wszyscy razem. Wulfric musiał przyznać, że pani Derrick przynajmniej potrafi się śmiać z samej siebie.

Gdy jednak ten nieznośnie dłużący się poranek dobiegł końca, stwierdził, że po prostu brakuje jej ogłady. Przez resztę pobytu w Schofield powinien uważać i utrzymywać wobec niej odpowiedni dystans.

Co nie wydawało się łatwe, bo choć szybko przestał odróżniać jedną damę od drugiej, o pani Derrick myślał zdecydowanie za często. Miała piękne oczy i śliczną buzię, choć trochę oszpeconą opalenizną i piegami na nosie. Gdy była ożywiona albo się śmiała, stawała się olśniewająco piękna. Miała wąskie kostki, zgrabne nogi i ładnie zaokrągloną figurę.

Nie tylko on to zauważył. Szybko stała się ulubienicą niemal wszystkich panów. Trudno było wytłumaczyć jej urok, bo przecież nie była ani elegancka, ani wytworna, ani młoda.

Miała jednak w sobie iskrę, wewnętrzną radość, promienne ożywienie...

Fizycznie bardzo go pociągała.

Zorientował się, że jest biedna jak mysz kościelna. Zadając Mowbury'emu pozornie niewinne pytania, dowiedział się, że jej mąż w ciągu ostatnich kilku lat życia roztrwonił majątek na hazard i gdy zginął w wypadku na polowaniu w majątku Elricka, wdowa została bez grosza. Elrick najwyraźniej spłacił jego długi, lecz nie zajął się wdową. Przecież jej prawie najlepsza suknia została kupiona trzy lata temu. Poza nią miała niewiele więcej.

Wulfric nie czuł rozbawienia, gdy zdał sobie sprawę, że czuje pociąg do kobiety, która nie miała ani jednej cechy, jakie podziwiał u kobiet. I nie na żarty zaniepokoiło go, gdy przyłapał się na tym, że zastanawia się, jak by to było znaleźć się z nią w łóżku. Nie miał w zwyczaju myśleć w ten sposób o kobietach.

Ale ciągnęło go do pani Derrick.

I nie mógł się uwolnić od lubieżnych myśli.

Po wypadku na dziedzińcu kościoła Christine wracała do Schofield w towarzystwie Justina.

- Strasznie długo musiałeś czekać w gospodzie - powiedziała. - Jestem ci bardzo wdzięczna, Justinie. Gdybyś nie poczekał, musiałabym wracać w towarzystwie księcia Bewcastle'a.

- Myślałem, że będziesz na niego patrzeć jak na rycerza w lśniącej zbroi - odparł z rozbawioną miną.

- Nigdy dotąd nie przeżyłam takiego upokorzenia - wyznała. - Gdyby tylko został w domu i nie był świadkiem tego okropnego widowiska, wszystko nie wydałoby się takie straszne. Justinie, on ani razu się nie uśmiechnął, nie odezwał jednym współczującym słowem. Nie mam nic przeciwko temu, żeby się ze mnie śmiać, zresztą potrafię się śmiać z samej siebie. On zachował się, jak na dżentelmena przystało, i jestem mu bardzo wdzięczna, że tak szybko zareagował. A jednak przez cały czas miał tak ponurą minę, że czułam się mała jak robaczek. Szkoda, że nie mogłam się skurczyć do tej wielkości, wtedy mogłabym się spokojnie owinąć podartą suknią i przemknąć na plebanię. Nie ucierpiałyby moja godność.

- Chrissie, gdybyś tylko mogła się zobaczyć - roześmiał się Justin.

- Dziękuję, mam aż nadto bujną wyobraźnię - odparła i też wybuchnęła śmiechem.

Ale w duchu westchnęła. Dobry Boże! Gdy stanął przy niej i patrząc prosto w oczy, osłaniał jej półnagie ciało przed wścibski - mi spojrzeniami reszty towarzystwa, cała aż drżała z pożądania. Na szczęście mogła złożyć tę reakcję na karb skrępowania swoim wyglądem i próżnym wysiłkiem, by się osłonić. Czuła jego zapach; używał wody kolońskiej z nutą pizma,

niewątpliwie bardzo drogiej. I czuła żar bijący od niego niczym z wielkiego paleniska.

To dobrze, że Justin nie domyślał się tych jej odczuć. Niektóre rzeczy trzeba zachować w sekrecie nawet przed najlepszymi przyjaciółmi. To było niedorzeczne i właściwie naganne, że pałała pożądaniem do mężczyzny, którego z całego serca nie znosiła.

Kiedy dotarli do domu, miała ochotę uciec do swojego pokoiku. Ba, z radością zapadłaby się w czarną otchłań, gdyby w jej pokoju były takie udogodnienia. Lecz młode damy, które były świadkami jej upokorzenia, nie zamierzały pozwolić jej tak łatwo umknąć. Lady Sarah poprosiła Christine i resztę pań, by zebrały się w żółtym salonie.

- Choćby nie wiem, jaki był zakład, nie zrobiłabym z siebie takiego widowiska - rzuciła pogardliwie.

- A jeśli pani, pani Derrick, myśli, że wygrała, to ja jestem innego zdania - dodała urażonym tonem Miriam Dunstan - Lutt. - Od naszego wejścia do gospody do chwili, gdy pani pojawiła się tam z księciem Bewcastle'em, upłynęło tylko pięćdziesiąt minut, specjalnie patrzyłam na zegar nad drzwiami. Zresztą przez większość czasu księżę i pani przebywaliście w towarzystwie pastora i jego rodziny, czyli wcale nie sam na sam. Znow ten przeklęty zakład!

- Kuzynko Christine, cieszę się, że nie muszę ci wręczać dzisiaj nagrody - odezwała się z przekąsem Audrey. - Jeszcze nikt nie wpłacił ustalonej jednej gwinei.

- Należy współczuć pani Derrick - oznajmiła Harriet King, bynajmniej nie współczującym tonem. - Mam wrażenie, że żona pastora wyciągnęła tę suknię z worka na szmaty.

- Ale łąka na spódnicy została przyszyta bardzo zgrabnie - zauważyła lady Sarah ze sztuczną słodyczą. - Prawie jej nie widać.

- Trzeba przyznać, że ta scena na dziedzińcu kościoła była pyszna - wtrąciła się Rowena Siddings. - Nigdy się tak nie uśmiełam. Pani Derrick, gdyby pani mogła zobaczyć swoją twarz, gdy zeskoczyła na ziemię - wybuchnęła śmiechem, a pozostałe damy, z wyjątkiem panny King i lady Sarah, zawtórowały jej.

Christine nie zamierzała wdawać się w wymianę uszczypliwości, nie miała więc innego wyjścia niż też się roześmiać. Śmiech z samej siebie zaczynał ją już jednak męczyć.

Rozmowa przerodziła się w ożywioną dyskusję na temat tego, jak wygrać zakład.

Potem starsze damy, z których żadna nie uczestniczyła w wycieczce do wsi, usłyszały o nieszczęsnym incydencie podczas wyprawy. Oczywiście tylko cud mógłby Christine przed tym uchronić. Lady Mowbury była bardzo miła. Zaprosiła Christine, by usiadła koło niej w salonie i opowiedziała jej swoją wersję wydarzeń, co ta uczyniła, znacznie ubarwiając całą

historię.

Lady Chisholm i pani King trzymały się od Christine z dala, jakby się bały, że jej przypadłość jest zaraźliwa i zanim się obejrzą, one również będą skakać z drzew, rozdzierając sobie suknie.

Gdy lady Mowbury w końcu zaczęła rozmawiać z kimś innym, do Christine przysiadła się Hermione, a obok niej stanął Basil. Po raz pierwszy od przyjazdu do Schofield zwrócili się bezpośrednio do niej.

- Zapewne nie należało oczekiwać, że będziesz się odpowiednio zachowywać przez całe dwa tygodnie - powiedziała Hermione tonem pełnym goryczy.

- A nawet pierwszy tydzień jeszcze nie dobiegł końca - zauważył sucho Basil.

- Nie masz względu na pamięć mego szwagra? - spytała Hermione drżącym głosem. - Ani na nas?

- I ze wszystkich obecnych to właśnie Bewcastle'a zmusiłaś, by pospieszył ci z pomocą - rzucił Basil. - Sam nie wiem, dlaczego poczułem zaskoczenie, gdy usłyszałem o tym incydencie.

- Co on sobie o nas pomyśli? - Hermione uniosła chusteczkę do ust. Wyglądała na szczerze zmartwioną.

- Myślę, że jego zdanie o was jest takie samo jak wczoraj i przedwczoraj - odparła Christine, czując, jak gorący rumieniec oblewa jej policzki. - Z kolei ja w jego oczach upadłam jeszcze niżej. Skoro jednak od początku nie miał o mnie najlepszego zdania, nie sądzę, bym mogła pograć się dużo bardziej. Nie zamierzam więc z tego powodu spędzać bezsennych nocy.

Dawno nie zdarzyło się jej powiedzieć czegoś równie niedorzecznego. Była naprawdę do głębi wstrząśnięta. Incydent, o którym mówili, był straszny, lecz nie na tyle, by odebrać jej apetyt czy sen. Bardziej martwiła się ich niesłabnącą wrogością. Kiedyś byli dla niej mili. Lubili ją. Hermione chyba nawet ją kochała. Christine przepadała za obojgiem. Ze względu na nich bardzo się starała odnaleźć w eleganckim świecie i przez pierwszych kilka lat nawet jej się to udawało. Próbowwała być dobrą żoną dla Oscara. Kochała go. A potem wszystko się popsuło. Teraz byli pełnymi pretensji, zajadłymi wrogami. Po śmierci Oscara nie chcieli jej słuchać. A właściwie słuchali, ale nie chcieli jej wierzyć.

- Pewnie flirtowałaś z księciem Bewcastle'em - powiedziała Hermione. - Właściwie nic w tym dziwnego. Ze wszystkimi tu flirtujesz.

Christine wstała i odeszła bez słowa. Znów to stare oskarżenie! I zabolalo tak samo jak dawniej. Dlaczego inne damy mogły rozmawiać, śmiać się i tańczyć z dżentelmenami i

tylko podziwiano ich towarzyską ogładę, podczas gdy jej zawsze zarzucano flirtowanie? Przecież nawet nie umiała flirtować, a co więcej, nigdy nie zamierzała tego robić. Ani gdy była mężatką, uważała bowiem, że żona jest mężowi winna absolutną wierność, ani potem, kiedy była znów wolna. Po co miałyby flirtować? Gdyby chciała ponownie wyjść za mąż, miała kilku kandydatów wśród znanych jej mężczyzn. Ale nie chciała wychodzić za mąż.

Jak ktokolwiek, nawet Hermione, mógł pomyśleć, że flirtowała z księciem Bewcastle'em?

Zanim zdążyła wybiec z salonu, Melanie ujęła ją pod rękę i uśmiechnęła się serdecznie.

- Christine, ja wiem, że jeśli gdzieś jest jakieś dziecko, to musisz się z nim pobawić, a jeśli trzeba komuś pospieszyć z pomocą, zrobisz to, nawet jeśli oznacza to wspinanie się na drzewo - powiedziała. - Muszę przyznać, że gdy usłyszałam, co się wydarzyło, obawiałam się, że dopadnie mnie migrena. Kiedy jednak Justin opowiedział nam całą historię, Bertie zaczął najpierw chichotać, a potem wybuchnął głośnym śmiechem. Nawet Hectorowi wydała się ona śmieszna. Ja też nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Błagam, nie patrz na mnie, bo znów zacznę chichotać. Tylko Hermione i Basil nie widzieli niczego zabawnego w całej sytuacji, choć Justin zapewniał ich, że zrobiłaś to z dobrego serca, a nie po to, by zwrócić na siebie uwagę, a już zwłaszcza uwagę Bewcastle'a. Szkoda, że tego nie widziałam.

- Jeśli chcesz, usunę się na bok i nie wyjdę z domu przez resztę tych dwóch tygodni - zaofiarowała się Christine. - Naprawdę bardzo cię przepraszam, Melanie.

Melanie tylko uścisnęła jej rękę i odparła:

- Nie przejmuj się, moja droga, i po prostu zacznij się dobrze bawić. Zaprosiłam cię właśnie po to, żebyś trochę odpoczęła przez dwa tygodnie. Fatalnie, że akurat księżę Bewcastle był zmuszony pospieszyć ci z pomocą, ale nie wolno nam się tym zamartwiać. On o wszystkim zapomni, nim minie dzień, i prawdopodobnie nie odezwie się do ciebie ani słowem do końca pobytu.

- Bardzo bym się z tego cieszyła - powiedziała Christine.

- Tymczasem wielu dżentelmenów, między innymi hrabia, jest tobą najwyraźniej zauroczonych - ciągnęła Melanie.

- Hrabia Kitredge? - zdumiała się Christine.

- Nie kto inny - potwierdziła Melanie. - Jego dzieci są już dorosłe i hrabia rozgląda się za nową żoną. Gdybyś tylko zechciała, mogłabyś po raz kolejny doskonale wyjść za mąż. Tylko obiecaj mi, że przed wyjazdem gości nie wdrapiasz się już na żadne drzewo. - Poklepała ją po dłoni i ruszyła dopilnować obowiązków gospodyni.

Po raz kolejny doskonale wyjść za mąż. Na samą myśl o tym Christine robiło się gorąco.

Co do jednego Melanie miała jednak rację. Przez resztę dnia i kilka następnych Bewcastle unikał wszelkich z nią kontaktów. Nie, żeby szukała jego towarzystwa. Sama myśl, że księżę lub ktoś inny z towarzystwa mógłby pomyśleć, iż ona z nim flirtuje...

Ilekczo na niego spojrzała - a ku jej irytacji, gdy byli w tym samym pokoju, nie mogła oderwać od niego wzroku na dłużej niż pięć minut - wydawał się zimny i wyniosły. Ilekczo skrzyżowali wzrok, co zdarzało się aż nazbyt często, unosił brwi i chwycił za monokl, jakby chciał się upewnić, czy rzeczywiście osoba tak niskiego stanu odważyła się podnieść na niego oczy.

Zaczynała nienawidzić tego monokla. Zabawiała się wymyślaniem, co by z nim zrobiła, gdyby miała okazję. Raz wyobraziła sobie, że wcisnęłaby go księciu do gardła i patrzyła, jak rozpycha mu szyję. Siedziała wtedy w kącie salonu, próbując na nowo wcielić się w rolę zdystansowanego obserwatora, i w chwili, gdy jej wizja nabrała rumieńców, nagle zorientowała się, że znów jest obserwowana przez monokl.

Musiała przyznać, że księżę ogromnie ją pociąga.

Zastanawiała się nawet, jakby to było znaleźć się z nim w łóżku.

Sama myśl o tym nappełniała ją przerażeniem. Ale jej ciało, nad którym nie potrafiła zapanować, zaczynało drżeć z nieposkromionego pożądania.

Stanowczo nie lubiła księcia Bewcastle'a. Więcej, gardziła nim i sferą, z której pochodził. I trochę, tylko odrobinę, się go bała. Choć nie przyznałaby się do tego głośno, nawet gdyby łamano ją kołem.

Mimo to zastanawiała się, jakby to było znaleźć się z nim w łóżku. A czasami nie tylko się zastanawiała, ale zaczynała to sobie nawet wyobrażać.

Z jej głową stanowczo było coś nie tak.

Już po kilku dniach Wulfric zorientował się, że młode damy zaproszone do Schofield Park urządziły sobie jakiś konkurs związany z jego osobą. Mimo iż był jedną z najlepszych partii w Anglii, nie należał do mężczyzn, na których zwracają uwagę dziewczęta. A jednak wszystkie aż do znudzenia ubiegały się o jego względy i wymyślały najdziwniejsze preteksty, by odciągnąć go na stronę.

Wcale go to nie bawiło.

Stawiał opór, okazując damom jeszcze większy chłód niż zwykle i starając się spędzać czas wśród dżentelmenów i gości starszych wiekiem. Gdy wreszcie zorientował się, że nie uwolni się od niechcianego towarzystwa panien, postanowił potraktować swój pobyt w Schofield Park jako nauzkę. Pod koniec sezonu towarzyskiego i sesji parlamentu pozwolił sobie na uczucie osamotnienia i oto skutki. Nie pozwoli, by to się jeszcze kiedykolwiek powtórzyło.

Zawsze był samotny. Gdy skończył dwanaście lat, został odłączony od reszty rodzeństwa i oddany pod opiekę dwóch nauczycieli oraz ścisły nadzór ojca. Ojciec zdawał sobie sprawę, że niedługo umrze, i chciał należycie go przygotować do zarządzania majątkiem. W wieku siedemnastu lat, po śmierci ojca, Wulfric odziedziczył tytuł księcia Bewcastle. Gdy miał dwadzieścia cztery lata, Marianne Bonner odrzuciła jego względy w wyjątkowo upokarzający sposób. Bracia i siostry pozakładali rodziny w ciągu następnych kilku lat. A teraz, po śmierci Rose, został zupełnie sam.

To niekoniecznie oznaczało samotność. Nie powinien się nad sobą użalać. I stanowczo nie powinien zgodzić się na udział w pierwszej nadarzającej się imprezie towarzyskiej. Przebywanie wśród ludzi często okazywało się znacznie trudniejsze niż bycie sam na sam ze sobą.

Wróciwszy po południu z długiej konnej przejażdżki, księżę czuł rozdrażnienie. Dwa razy został odciągnięty od reszty towarzystwa pod błahymi pretekstami, najpierw przez pannę King, a potem przez pannę Dunstan - Lutt. Gdyby nie jego świetna orientacja w terenie i silny instynkt samozachowawczy, pewnie by się zagubił na krętych wiejskich drogach.

Czyżby próbowały wmanewrować go w małżeństwo?

Sama myśl o tym wydawała się niedorzeczna. Nawet jeśli nie był jeszcze na tyle stary, by być ich ojcem, to właśnie tak się czuł.

Nie wszedł do domu wraz z resztą towarzystwa, tylko skierował się do ogrodu

różanego, ku otwierającej się za nim długiej, porośniętej trawą alei. To było bardzo ładne, zaciszne miejsce. Aleję z obu stron grodziły niewysokie kamienne murki i posadzone za nimi długie rzędy szczodrzeńca. Gałęzie drzew poprowadzono na podporach i spleciono u góry w wysokie łuki. Miało się wrażenie, że to żywa katedra gotycka na wolnym powietrzu.

Nie była jednak pusta. Pani Derrick siedziała na murku i czytała list.

Nie zauważyła go. Wulfric mógł jeszcze zawrócić i wybrać inne miejsce na spacer. Przecież teraz nie wpadła prosto na niego, tak jak wtedy nad jeziorem. Nie cofnął się jednak. To prawda, że często nie wiedziała, jak się zachować w towarzystwie, ale przynajmniej nie była głupia, nie mizdrzyła się i nie flirtowała.

Postąpił kilka kroków w jej kierunku. Uniosła głowę i spostrzegła go.

- O! - westchnęła.

Znów była w tym słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Zresztą przez cały tydzień nie widział, by nosiła inny. Jego jedyną ozdobę stanowiły wstążki wiązane pod brodą, ale dziwnie do niej pasował. Miała na sobie popelinową suknię w białe i zielone paski i z przybranym koronką dekoltem w karo, w której widział ją już kilka razy. Pozostałe damy przebierały się kilka razy dziennie i rzadko wkładały jakiś strój powtórnie. Suknia nie była ani nowa, ani najmodniejsza. Zastanawiał się, czy to ta najlepsza, czy też prawie najlepsza.

Pani Derrick wyglądała zdumiewająco ładnie.

- Nie będę pani przeszkadzał. - Skłonił głowę i założył ręce na plecy. - Chyba że zechce pani ze mną pospacerować?

Wydawała się zdumiona. Rzuciła mu spojrzenie, które zawsze go intrygowało, a czasem wręcz irytowało. Jak mogła się uśmiechać, a właściwie śmiać, gdy jej twarz pozostawała nieruchoma?

- Pan chyba właśnie wrócił z przejażdżki i próbował schronić się przed tłumem gości? A ja zakłóciłam mu spokój jak poprzednio. Tyle że tym razem ja byłam tu pierwsza.

Pomyślał, że ona przynajmniej mu się nie narzuca, próbując wygrać jakiś konkurs, który wymyśliły młode damy.

- Zechce mi pani towarzyszyć? - spytał.

Przez chwilę myślał, że odmówi, i nawet się ucieszył. Czemu, do diabła, miałby pragnąć towarzystwa kobiety, która w ogóle nie powinna być tu zaproszona? Ona jednak spojrzała na swój list, złożyła go, schowała do kieszeni i wstała.

- Tak, chętnie się przejdę - odparła.

Z tego też się ucieszył.

Miał wrażenie, że minęły wieki, od kiedy jakaś kobieta rozpałała w nim krew. Rose

nie żyła od sześciu miesięcy. Nieustannie zdumiewało go, jak bardzo odczuł jej stratę. Zawsze uważał ich związek raczej za układ korzystny dla obu stron niż za romans oparty na wzajemnym przywiązaniu.

Christine Derrick niewątpliwie rozpałała w nim krew. Wyraźniej niż dotąd widział liście na gałęziach nad głową, prześwitujące między nimi błękitne niebo, plamy słońca i cienia kładące się na trawiastej alei. Czuł upał letniego dnia, lekki wiatr na twarzy, zapach świeżej trawy. Słyszał śpiew niewidocznych wśród gałęzi ptaków.

Ruszyła aleją u jego boku. Rondo kapelusza zasłaniało jej twarz. Przypomniał sobie, że tam nad jeziorem nie miała go na głowie.

- Czy przejażdżka była przyjemna? - spytała. - Mniemam, że pan się urodził w siodle.

- To by było dosyć trudne dla mojej matki - odparł i zauważył, że zerknęła na niego z figlarnym uśmiechem. - Ale tak, dziękuję, przejażdżka była bardzo przyjemna.

Nigdy nie widział sensu w jeźdźeniu konno tylko dla przyjemności, choć jego bracia i siostry robili to często, o ile to, co wyprawiali, można nazwać jazdą. Najczęściej galopowali na złamanie karku, przeskakując przeszkody, które pojawiły się na drodze.

- Teraz pana kolej - odezwała się po kilku chwilach.

- Na co? - spytał.

- Zadałam pytanie, pan na nie odpowiedział - stwierdziła. - Mógł pan rozwinąć temat i przez kilka minut opisywać przejażdżkę, jej cel i ciekawe rozmowy, jakie prowadził pan z resztą towarzystwa. Ale pan powiedział krótko i bez żadnych szczegółów. Teraz więc pańska kolej, by podtrzymać konwersację.

Śmiała się z niego, czego nikt nigdy wcześniej nie robił. Czuł się dziwnie zaintrygowany, że ona się odważyła.

- Czy pani list był ciekawy? - zagaił.

Roześmiała się głośno, szczerze rozbawiona.

- Brawo! - zawołała. - To list od mojej siostry Eleanor. Píše do mnie, choć dzielą nas raptem trzy kilometry. Eleanor uwielbia pisać listy, często bardzo zabawne. Dwa dni po moim wyjeździe zastąpiła mnie na lekcji geografii w szkole we wsi. Zastanawia się, jak mi się udaje nauczyć te dzieci czegokolwiek, skoro zadają tyle pytań na rozmaite tematy zupełnie niezwiązane z lekcją. To taka ich sztuczka. Dzieci są bardzo sprytnie i wykorzystają każdy sposób, by pognębić nieorientowanego nowicjusza. Po powrocie dam im porządną burę, a wtedy one zrobią niewinne minki, aż w końcu zaczną się śmiać. Potem z kolei one zaczną się śmiać i biedna Eleanor nigdy nie zostanie pomszczona.

- Pani uczy w szkole - rzucił niezobowiązująco. Spojrzała na niego.

- Pomagam - odparła. - Muszę przecież mieć jakieś zajęcie, żeby nie umrzeć z nudów.

- Zastanawiam się, dlaczego po śmierci męża nie została pani w domu Elricka - rzekł.

- Pozostałaby pani w środowisku, do którego zdążyła się przyzwyczaić i gdzie czekałoby ją znacznie więcej rozrywek niż na wsi. - A będąc na utrzymaniu Elricka, mogłaby kupić sobie nowe stroje, dodał w duchu.

- O tak, z pewnością - zgodziła się, ale nie rozwinęła tematu.

Nie pierwszy raz unikała rozmowy o swoim małżeństwie i wszystkim, co się z nim wiązało. Książę zauważył, że Elrickowie trzymają się od niej z dala. Być może nie lubili Christine. Pewnie nie zaakceptowali małżeństwa Derricka i nie przyjęli jej ochoczo na łono rodziny. Nic w tym dziwnego.

- Mogłabym dalej opowiadać o liście siostry, ale nie chciałabym zdominować konwersacji - powiedziała po krótkiej przerwie.

- Czy spędza pan lato, jeżdżąc od domu do domu w poszukiwaniu rozrywek? Wiem, że tak się postępuje w towarzystwie. Oscar i ja też tak robiliśmy.

- To pierwsza od lat impreza towarzyska, w której uczestniczę - odparł. - Lato spędzam zwykle w Lindsey Hall. Czasami jeżdżę po kraju, wizytując moje majątki.

- Chyba dziwnie jest być bardzo bogatym - rzuciła.

Uniósł brwi, zdziwiony tym komentarzem. Osoby dobrze wychowane nie rozmawiały o pieniądzach. Dziwnie byłoby nie być bogatym. Ona najwyraźniej była biedna. Dziwnie jest być biednym.

- Mam nadzieję, że to nie było pytanie - powiedział.

- Nie - zaśmiała się uroczo. - Przepraszam pana. To nie była uwaga w dobrym tonie, prawda? Czyż ta aleja nie jest czarująca? W ogóle cały park jest przepiękny. Zapytałam kiedyś Bertiego, gdy jeszcze byłam mężatką, dlaczego nie otworzy parku, żeby ludzie z wioski mogli tu przychodzić na spacer, choćby wtedy, gdy oni przebywają w mieście. Ale Bartie tylko wymamrotał coś pod nosem, zaśmiał się po swojemu i spojrzał na mnie, jakbym powiedziała świetny dowcip, który nie wymaga komentarza. Czy w Lindsey Hall jest duży park? A w innych pana posiadłościach?

- Niemal we wszystkich.

- I otwiera je pan dla publiczności?

- A czy pani otwiera dla publiczności swój ogród? - odpowiedział pytaniem.

Znów spojrzała na niego.

- To co innego - odparła.

- Czyżby? - Drażniło go takie nastawienie. - Ogród czy park to teren prywatny,

miejsce, gdzie można czuć się swobodnie. W zasadzie nie ma różnicy między pani ogrodem a moim parkiem.

- Poza ich wielkością - rzuciła.

- Tak - mruknął.

Nie znosił ludzi, którzy zmuszali go, by bronił swojej racji.

- Chyba musimy się zgodzić, że każde z nas pozostanie przy swoim zdaniu - powiedziała. - Inaczej nasza rozmowa skończy się walką na pięści. Ja chyba gorzej bym na tym wyszła. To znów kwestia wielkości.

Kpiła z niego, być może z siebie również. Ale przynajmniej nie dyskutowała zaciekle, posuwając się do obrażania rozmówcy, zwłaszcza gdy chodziło o przywileje arystokracji i niesprawiedliwość społeczną. Wszystkie posiadłości Wulfrica, z wyjątkiem Lindsey Hall, były otwarte dla każdego gościa, który zastukał do drzwi i poprosił ochmistrzynię o pozwolenie na zwiedzanie. Taki zwyczaj praktykowała większość właścicieli ziemskich.

Światło i cień kładły się na jej postaci, gdy szli aleją. Znow zwrócił uwagę na jej ponętne kształty. Miała figurę dojrzałej kobiety. Próbował sprecyzować, dlaczego wydaje mu się pociągająca. Znał wiele kobiet ładniejszych i bardziej szykownych od niej, nawet w gronie zaproszonych tutaj dam. Opalenizna i piegi uniemożliwiały nazwanie jej prawdziwą pięknoscią. Włosy miała krótkie i często rozwichrzone. Ale była w niej energia i witalność, które zauważył już na samym początku. Wyczuwało się w niej ciepło i radość. Gdy była ożywiona - co zdarzało się nader często - to jakby zapalało się w niej światło. Wyglądało na to, że ona po prostu lubi ludzi. I większość ludzi odwzajemniała się jej tym samym.

Nie spodziewał się jednak, że taka kobieta wyda mu się pociągająca. Sądził, że gustuje w kobietach wyrafinowanych i eleganckich.

- A pani nie chciała wybrać się na przejażdżkę? - spytał.

- Niech pan dziękuje niebiosom, że się nie wybrałam - odparła z uśmiechem. - Potrafię wdrapać się na koński grzbiet i utrzymać się tak, żeby nie spaść. A przynajmniej nigdy dotąd nie spadłam. Ale niezależnie od tego, na jakiego konia wsiadłam, choćby najbardziej potulnego, w ciągu pierwszych kilku minut nieodmiennie przegrywałam walkę o to, kto będzie rządził. Zawsze koń prowadził mnie we wszystkie strony, tylko nie w tę, w którą sama chciałam jechać albo w którą kierowała się reszta towarzystwa.

Wulfric się nie odezwał. Prawdziwa dama musi być dobrą amazonką, prezentować się na końskim grzbiecie elegancko i z gracją. Był naprawdę wdzięczny niebiosom, że pani Derrick dzisiejszego popołudnia wolała pozostać w ogrodzie ze swoim listem.

- Raz wybrałam się z Oscarem, Hermione i Basilem na przejażdżkę do Hyde Parku -

ciągnęła. - Kłusowaliśmy wąską ścieżką, a z przeciwnej strony zbliżyła się do nas duża grupa jeźdźców. Oscar i pozostali uprzejmie zjechali na trawnik, aby mogli nas minąć. Mój koń postanowił obrócić się bokiem i zablokował całą ścieżkę. Potem znieruchomiał i stał jak posąg. Moi towarzysze gorąco przepraszaali, ale ja mogłam się tylko śmiać. Cała ta scena wydała mi się nader komiczna. Basil wyjaśnił mi później, że to byli bardzo ważni dostojnicy rządowi i rosyjski ambasador. Na szczęście potraktowali ten incydent z humorem, a ambasador nawet przysłał mi następnego dnia kwiaty. Mimo to Oscar już nigdy nie zaproponował mi przejażdżki, gdy byliśmy w Londynie.

Wulfric mógł sobie wyobrazić zażenowanie towarzyszących jej osób. A ona po prostu się śmiała! W myślach zobaczył ją siedzącą bezradnie na znieruchomiałym koniu, rozbawioną, wzbudzającą podziw rosyjskiego ambasadora - i też zachciało mu się śmiać. Powinien czuć pogardę i utwierdzić się w przekonaniu, że pani Derrick brak ogłady. Zamiast tego miał ochotę odrzucić głowę do tyłu i wybuchnąć śmiechem.

Nie zrobił tego, zmarszczył tylko brwi. Szli dalej w milczeniu. Zbliżyli się do końca alei. Cisza bynajmniej mu nie przeszkadzała, wyczuwał jednak w powietrzu napięcie, które przejęło drżeniem chyba nie tylko jego.

Czy to możliwe, że pociągał ją tak samo jak ona jego? Przecież nie starała się specjalnie zwrócić jego uwagi. Nie kokietowała go. Kobiety chyba nie uważały go za atrakcyjnego. Pociągał je jego tytuł i majątek, ale nie on sam. Cóż, pewnie i ona była tylko skrępowana milczeniem.

- Pójdziemy dalej? - spytał, wskazując biegnące pod górę kamienne schodki na końcu alei. - Czy też woli pani wrócić do domu? Zdaje się, że może nas ominąć podwieczorek.

- Podczas tego typu imprez i tak za dużo się je i pije - odparła. - A tam na górze jest wspaniały labirynt. Widział go pan?

Nie widział i nie sądził, by labirynt go zainteresował, ale nie chciał wracać. Chciał jeszcze chwilę dłużej grzać się w jej świetle, witalności i śmiechu. Chciał spędzić z nią trochę czasu sam na sam.

Ze szczytu schodów widać było rozległy, porośnięty drzewami trawnik. Bliżej znajdował się wspomniany przez nią labirynt, w którym dwumetrowy żywopłot został gładko przystrzyżony, tak by wyglądał jak zielone ściany.

Ruszyli w stronę labiryntu. Gdy byli już blisko, Christine odwróciła się do Wulfrica z błyskiem w oku.

- Ścigajmy się - rzuciła. - Zobaczy pan, że pierwsza dotrę do środka.

- Zapewne, bo zna pani drogę, pani Derrick.

- Kiedyś znałam, ale już od lat nie chodziłam po labiryncie. Policzy pan powoli do dziesięciu i dopiero wtedy ruszy za mną. Gdy dotrę do środka, też powoli zacznę liczyć. Jeśli doliczę do więcej niż dziesięciu, to będzie znaczyło, że wygrałam.

Nie zdążył odmówić udziału w zawodach, wbiegła w wąskie przejście w zewnętrznej ścianie, skręciła w prawo i zniknęła mu z oczu.

Przez chwilę patrzył osłupiały na żywopłot. Miał się uganiać za nią po labiryncie? Ale chyba nie miał wyboru. Nie zostawi jej przecież pośrodku labiryntu, żeby tam sobie doliczyła do tysiąca.

Raz... dwa... trzy...

Czy gdyby miał wybór, odmówiłby?

Cztery... pięć... sześć... siedem...

Nigdy się nie bawił w takie gry.

Osiem... dziewięć...

Nigdy się nie bawił w żadne gry.

Dziesięć.

Z posępną miną ruszył do labiryntu. Żywopłot był na tyle wysoki i gęsty, że zasłaniał środek i nawet ścieżkę prowadzącą w głąb. Wulfric uświadomił sobie, że może się tu błąkać przez dłuższy czas. Wydawało mu się, że za którymś rogiem dostrzegł skrawek jej sukni, ale to tylko biały motyl przeleciał mu przed oczami i wzniósł się ponad ścianą żywopłotu. Za następnym zakrętem naprawdę ją zobaczył, lecz zniknęła mu z oczu z cichym śmiechem, a gdy dotarł do przejścia, w którym zniknęła, nie wiedział, czy pobiegła w prawo, czy w lewo.

Miejsce było odosobnione i zaciszne. Miał wrażenie, jakby świat został gdzieś daleko. Nie istniało nic oprócz wysokich krzewów, trawy, motyli i nieba. I kobiety, którą gonił.

Kilka razy źle skręcił, zanim pojął regułę, według której zaprojektowano labirynt: na rozdrożach należało wybierać na zmianę najpierw skręt w lewo, a następnie w prawo. Potem dotarcie do środka poszło już bardzo łatwo, choć nie zdołał dogonić jej po drodze.

- Piętnaście - powiedziała, gdy dotarł do centrum labiryntu jakieś dziesięć minut po rozpoczęciu wędrówki.

Stał tam posąg jakiegoś greckiego bóstwa, a z boku kuta żelazna ławeczka. Christine Derrick opierała się o statwę. Żywa, promienna bogini z rumieńcem na policzkach i triumfalnym błyskiem w oczach. Podszedł do niej.

- Jeśli pan chce, możemy usiąść, ale widok nie jest zbyt ładny - powiedziała.

- Rzeczywiście nieciekawo - przyznał, rozejrzawszy się dookoła. - Czy była przewidziana jakaś nagroda? Nie wspomniała pani o niej, rzucając wyzwanie.

- Wystarczy satysfakcja z wygranej.

Nagle znaleźli się o krok od siebie. Zapomnieli najprostszych słów. Wrażenie oderwania od świata jeszcze się pogłębiło. Gdzieś w pobliżu zabrzęczała pszczoła.

Christine zarumieniała się jeszcze mocniej i zagryzła dolną wargę.

- W takim razie po prostu przyznam się do porażki - powiedział, ujmując jej dłoń i unosząc do ust.

Serce waliło mu tak mocno, że aż zakręciło mu się w głowie. Jej dłoń drżała. Przytrzymał ją przy ustach o wiele dłużej, niż należało.

Ale czy w ogóle należało całować ją w rękę?

Uniósł głowę i zobaczył, że Christine patrzy na niego szeroko otwartymi oczami. Pachniała słońcem, świeżo i kobieco.

Pochylił się i pocałował ją.

Poczuł nagły, przejmujący przyływ pożądania.

Wargi miała miękkie i zapraszające. Smakował ją, dotykając językiem delikatnego wnętrza ust. Chłonał jej ciepło i wdychał zapach aż do oszołomienia. Ścisnął jej dłoń i czuł, jak lód, który zawsze bezpiecznie skuwał jego emocje, zaczyna topnieć i sączy mu w żyły ciepło.

Nie wiedział, czy to ona cofnęła dłoń, czy to on ją wypuścił. Zarzuciła mu rękę na szyję. Objął ją jedną ręką w talii, a drugą wokół ramion. Przywarli do siebie. Czuł jej miękkie, ciepłe kształty wtulone w jego ciało.

Nie wiedział, jak długo trwali w tym gorącym uścisku ani co go przerwało. Uniósł głowę, opuścił rękę i cofnął się o krok.

Wpatrywała się w niego wielkimi, niebieskimi jak niebo oczami. Miał ochotę się w nich zatracić. Jeśli kiedyś uważał, że ona nie jest piękną, najpiękniejszą na świecie kobietą, to chyba musiał być kompletnie ślepy.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział. - Błagam panią o wybaczenie, madame.

Patrzyła na niego bez słowa.

- A właściwie dlaczego? - szepnęła w końcu. - Przecież nie powiedziałam „nie”. Choć zapewne powinnam. I stanowczo nie powinnam była rzucać wyzwania, by ścigał się pan ze mną do środka labiryntu. Nie zawsze zdążę pomyśleć, zanim coś powiem albo zrobię. Jestem z tego znana, a nawet sławna, choć to raczej nie najlepsza sława. Wrócimy do domu, by zobaczyć, czy zostało coś z podwieczorku? - odzyskała już panowanie nad sobą i uśmiechnęła się do niego promiennie. Zbyt promiennie.

- Kiedy zmarł pani mąż? - spytał.

- Oscar? - Jej uśmiech zgasł. - Dwa lata temu.

- Przez te dwa lata musiała dokuczać pani samotność - rzekł. - I pewnie czuła pani żal, że musi wrócić na wieś, do domu, z którego wyszła, i zamieszkać z matką i siostrą starą panną.

Christine rzeczywiście wróciła wtedy do punktu wyjścia. Została z niczym. Nawet gorzej, bo wiedziała, co straciła.

- Każdy z nas ma takie życie, jakie przeznaczy mu los - odparła, opierając się o posąg.

- Moje wcale nie jest nieznośne.

- Ale mogłoby być lepsze - zapewnił. - Ja uczyniłbym je lepszym.

Nie chciał tego powiedzieć. Ale zdał sobie sprawę, że nie cofnąłby tych słów, nawet gdyby mógł. Już panował nad sobą, lecz nadal czuł ogień, który w nim rozpałała.

Christine milczała. Wulfrie słyszał tylko brzęczenie pszczoły i zastanawiał się obojętnie, czy to ta sama, co poprzednio.

- Doprawdy? - odezwała się w końcu.

- Mogłaby pani zostać moją kochanką - powiedział. - Miałaby pani własny dom w Londynie i powóz. Modne stroje, klejnoty i dużo pieniędzy.

Wpatrywała się w niego przez kilka długich chwil.

- I zyskałabym to wszystko, gdybym była na każde pana skinienie? - spytała wreszcie.

- Dzieliła z panem łóżko, ilekroć pan sobie tego zażyczy?

- To pozycja wiążąca się ze znacznym prestiżem - wyjaśnił, na wypadek gdyby pomyślała, że proponuje jej życie zwykłej kurtyzany. - Cieszyłaby się pani dużym poważaniem i mogłaby prowadzić ożywione życie towarzyskie.

- Pod warunkiem że nie oczekiwałabym od pana, by pokazywał się ze mną publicznie w eleganckim towarzystwie.

- Oczywiście - potwierdził.

- Hm, to pocieszające - rzuciła.

Stał i patrzył na nią. Teraz był już pewien, że ona także go pragnie. W ich pocałunku nie było nic z romantycznej niewinności, a ona nie była panienką. Miała za sobą kilka lat małżeństwa. Chyba zdawała sobie sprawę, że mężczyzna taki jak on traktuje kobietę poważnie, niezależnie od jej pozycji społecznej.

Czyżby ją obraził?

Przecież życie w roli jego kochanki byłoby znacznie lepsze niż to, jakie wiodła jako pomocnica wiejskiego nauczyciela, zmuszona przez biedę, by mieszkać z matką. Lepsze pod względem materialnym. I seksualnym. Dwa lata wstrzemięźliwości musiały być dla kobiety

równie przykre jak dla mężczyzny. Ale choć patrzyła mu w oczy, nie potrafił nic wyczytać z jej twarzy.

Chyba nie oczekiwała propozycji małżeństwa?

- Własny dom w Londynie - powiedziała. - Powóz. Klejnoty, stroje, pieniądze, rozrywki. A przede wszystkim pan, regularnie odwiedzający moją sypialnię. To wyjątkowo kusząca oferta, muszę jednak ją odrzucić. Nigdy nie miałam ambicji zostać dziwką.

- Między zwykłą dziwką a kochanką księcia jest ogromna różnica - rzucił sztywno.

- Jaka? - spytała. - Dziwka oddaje się w jakimś kącie za grosze, a kochanka kładzie się na jedwabiach za niemałą fortunę, ale przecież każda z nich sprzedaje swoje ciało. Ja swojego nie sprzedam, lecz dziękuję panu za wspaniałomyślną propozycję. To dla mnie zaszczyt.

Ostatnie słowa wypowiedziała z wyraźnym sarkazmem. Zorientował się, że jest bardzo, bardzo rozgniewana. I był wstrząśnięty brutalną szczerością jej słów.

- Proszę mi wybaczyć. - Ukłonił się sztywno i wskazał ręką przejście w ścianie żywopłotu. - Pozwoli pani, że ją odprowadzę do domu.

- Wolałabym, żeby został pan tutaj i po moim odejściu policzył powoli do dziesięciu - odparła. - Obawiam się, że pańskie towarzystwo straciło wiele ze swego uroku.

Obszedł posąg i stanął tyłem do niej. Gdy upewnił się, że odeszła, usiadł na ławeczce.

Źle ocenił sytuację. Ona pragnęła tylko namiętnego uścisku i pocałunku, a nie stałego związku. A już na pewno nie w roli jego kochanki. On z kolei mógł jej zaoferować tylko tę pozycję.

Nie spodziewał się, że mu odmówi. Przecież złożył jej bardzo korzystną propozycję. Wprawdzie kiedyś była żoną młodszego syna wicehrabiego, lecz teraz, jako niezamożna wdowa, mieszkała na wsi z matką i siostrą. Cóż, zapewne oczekiwała od życia czegoś więcej niż pozycji kochanki księcia. Może poczuła rozczarowanie, że nie zaoferował jej więcej. Ale to już nie jego zmartwienie.

Pomyślał, że ten i tak męczący pobyt w Schofield stanie się jeszcze trudniejszy do zniesienia.

Ale sam był sobie winien. Zaproponował pani Derrick, by została jego kochanką, nie przemyślawszy wszystkich aspektów tej propozycji. A ona była przecież bratową Elricka i córką dżentelmena, nawet jeśli ten został zmuszony, by uczyć w szkole.

Dobrze, że się nie zgodziła.

Wszak miał do niej wiele zastrzeżeń, czyż nie?

Wulfrie siedział nieruchomo i wpatrując się w żywopłot, skupił się na tym, by uporządkować emocje, zanim na nowo skuje je lód.

Christine w pośpiechu kilka razy pomyliła drogę, zanim udało się jej wyjść z labiryntu. Potykając się, zbiegła po schodach i szybkim krokiem ruszyła aleją, która nagle wydała się jej dwa razy dłuższa. Parę razy obejrzała się przez ramię, ale na szczęście nie szedł za nią. Czego się obawiała? Ze ją dogoni i wymachując monokłem, zmusi do uległości?

„Mogłaby pani zostać moją kochanką”.

Gdy powiedział, że mógłby jej zaofiarować coś lepszego niż obecne życie, myślała, iż chodzi mu o małżeństwo. To absurdalne.

A już zupełnym idiotyzmem było, że na krótką chwilę jej serce zadrżało z radości.

Czy księżę Bewcastle chciałby się z nią ożenić? A czy ona chciałaby wyjść za mąż za człowieka takiego jak księżę Bewcastle?

Odpowiedzią na oba pytania było stanowcze „nie”.

To dobrze, że ostatecznie zaproponował jej coś zupełnie innego.

Weszła do ogrodu różanego i nagle z przerażeniem zorientowała się, że ktoś w nim siedzi. Poczowała ulgę, gdy zobaczyła, że to tylko Justin. Wstał i podszedł do niej z uśmiechem.

- Ojej, przestraszyłeś mnie - powiedziała, przyciskając dłoń do serca.

- Tak? - Przekrzywił głowę i przyjrzał się jej uważnie. - Czy coś cię zdenerwowało? Usiądź tu i wszystko mi opowiedz.

Podbiegła do niego i ujęła pod ramię.

- Nie tutaj - rzuciła. - Chodźmy pospacerować na tyłach domu.

Poklepał ją po ręce i ruszyli razem ku domowi.

- Zauważyłem, że spacerowałaś z Bewcastle'em - odezwał się. - Powiedziałaś, że chcesz przeczytać w ogrodzie list od siostry. Pomyślałem, że miałaś już dość czasu, by się nim nacieszyć, i przyszedłem spytać, czy nie wybrałabyś się ze mną na spacer. Spóźniłem się jednak. On zjawiał się tu przede mną. Czy cię obraził?

- Nie, oczywiście, że nie - odparła szybko i się uśmiechnęła.

- Mnie tak łatwo nie oszukasz - rzekł. - Gdy wpadłaś do rosarium, byłaś bardzo poruszona. Wciąż jeszcze jesteś.

Christine wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze. Justin od lat był jej przyjacielem. Trwał przy niej wiernie także w trudnych chwilach. Ufała mu bezgranicznie.

- Weszliśmy do labiryntu i on mnie pocałował - powiedziała. - To wszystko.

- Czy mam go wyzwać i nauczyć dobrych manier? - spytał, zerkając na nią z

posepnym uśmiechem.

- Oczywiście, że nie. - Roześmiała się niepewnie. - Nic takiego się nie stało.

- Nie wiedziałem, że Bewcastle ugania się za kobietami - rzucił, gdy minęli padok przy stajniach i ogród warzywny. - Ale jeśli chcesz, Chrissie, zamienię z nim słowo. Najwyraźniej bardzo cię zdenerwował. Czyżbyś miała nadzieję zostać jego księżną?

- Nie, Justinie. - Znów się roześmiała. - On mi zaproponował coś, co obraża moją godność. Chciał, żebym została jego kochanką.

To naprawdę było poniżające. Nie miała zamiaru z nikim dzielić się swoim upokorzeniem, ale słowa same się jej wymknęły.

Zatrzymał się i spojrzał na nią z ponurą miną.

- Niech to diabli, naprawdę? - spytał głosem drżącym z furii. - O tak, to do niego podobne. Bewcastle nie zniżyłby się do poślubienia kogoś poniżej księżniczki. Ale taka zniewaga! Trzymaj się od niego z daleka, Chrissie. To nieprzyjemny typ. Nie znam nikogo, kto by go lubił czy choćby był w stanie tolerować. Nie powinnaś przebywać w towarzystwie jego i jemu podobnych. Ja go...

- Justinie! - Ujęła go pod ramię i skłoniła do dalszego spaceru. - To miłe, że tak się przejąłeś. Ale ja wcale nie jestem na niego zła. Tylko wstrząśnięta. I wcale nie chcę zostać księżną. Która kobieta przy zdrowych zmysłach by tego pragnęła? W ogóle nie chcę wychodzić za mąż. W zupełności zadowala mnie życie, jakie wiodę teraz. Nie będę się też wystawiać na ryzyko kolejnej zniewagi. Nie musisz się o mnie martwić.

- Mimo wszystko martwię się - westchnął. - Wiesz, jak bardzo cię lubię. Sam bym się z tobą ożenił, gdybyś tylko mnie przyjęła. Ty jednak nie chcesz, więc muszę się zadowolić twoją przyjaźnią. Ale nie spodziewaj się, że będę stał bez słowa, gdy inni mężczyźni ci ubliżają.

Christine poczuła wzruszenie. I skrępowanie. Mocniej ścisnęła jego ramię.

- Już wszystko w porządku - zapewniła. - Chciałabym jednak posiedzieć chwilę w spokoju i odetchnąć świeżym powietrzem, zanim wrócę do domu. Będziesz tak miły, Justinie?

- Nie musisz już nic mówić - odparł z uśmiechem. - Zobaczymy się później.

Gdy odchodził, pomyślała, że właśnie to zawsze w nim lubiła. Był jej najlepszym przyjacielem, ale nigdy nie narzucał się ze swoim towarzystwem ani nie próbował zabierać jej czasu, gdy chciała być sama. Żałowała tylko, że ich przyjaźń była bardzo jednostronna. On rzadko, jeśli w ogóle, jej się zwierzał czy dzielił radościami i smutkami. Miała gorącą nadzieję, że któregoś dnia to się zmieni. Kiedyś on będzie w potrzebie, a wtedy ona pospieszy

mu z przyjacielską pomocą.

Gdy w końcu dotarła do drzwi swego pokoju, czuła się bardzo zmęczona i wyczerpana emocjonalnie. Niestety wyglądało na to, że nie dane jej będzie odpocząć.

- Pani Derrick! - odezwał się głos za jej plecami. Obejrzawszy się, Christine zobaczyła Harriet King stojącą w progu swego pokoju. Sponad jej ramienia wychylała się pełna jasnych loków głowa lady Sarah. - Proszę tu do mnie, jeśli łaska.

Brzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba, ale można go było zignorować. Tylko po co? Jeśli nie pójdzie teraz, żeby dowiedzieć się, o co im chodzi, będzie musiała wysłuchać tego później.

- Oczywiście - uśmiechnęła się i weszła do dużej, wygodnej sypialni. - Jak się udała pani przejażdżka?

W pokoju Harriet zebrały się wszystkie młode damy - lady Sarah, Rowena Siddings, Audrey, Miriam Dunstan - Lutt, Beryl i Penelope Chisholm.

- Należą się pani gratulacje - oznajmiła Harriet ostrym tonem.

- Mogę ci przekazać pięć gwinei z nagrody - dodała Audrey. - Reszta jeszcze nie została wplacona. Gratuluję, kuzynko Christine. Postawiłam na ciebie, choć przyznam, że nie spodziewałam się, że wygrasz. Zresztą nie sądziłam, że którejkolwiek z was się to uda.

- Cieszę się, że ktoś wreszcie wygrał ten zakład - oświadczyła Rowena. - Przez następny tydzień będę mogła dobrze się bawić. Bardzo lubię wygrywać, ale muszę przyznać, że perspektywa spędzenia całej godziny w towarzystwie księcia Bewcastle'a odbierała mi sen. Gratuluję, pani Derrick.

- Widziałyśmy panią - wyjaśniła Beryl. - Weszłyśmy z Penelope do ogrodu różanego, akurat gdy książe wkroczył w aleję szczodrzeńców. Zastanawiałyśmy się, która z nas ruszy jego śladem, kiedy zauważyłyśmy, jak się przy pani zatrzymał i zaczął rozmowę. A potem oboje poszliście aleją. Zostałyśmy na miejscu i rozmawiały z panem Magnusem, który wkrótce zjawiał się w ogrodzie. A pani nie wróciła aż do tej chwili, myśmy specjalnie wypatrywały. Nie było pani przez półtorej godziny. Świetnie pani poszło. Bardzo chcieliśmy wygrać, prawda Pen? Ale tak jak Rowena nie byłyśmy zachwycone tym, przez co musiałybyśmy przejść, żeby zwyciężyć.

- Ja za żadne skarby świata nie chciałabym spędzić półtorej godziny sam na sam z mężczyzną - powiedziała lady Sarah, co było trochę dziwne, wzięwszy pod uwagę warunki zakładu. - W ten sposób można stracić reputację.

- Pod warunkiem że ma się co tracić - rzuciła Harriet znacząco.

Reszta dziewcząt zaczęła mówić jedna przez drugą, z czego Christine w sumie się

ucieszyła. Miała chwilę czasu, by dojść do siebie po przeżytym wstrząsie. Czy był ktoś, kto nie widział jej, jak spacerowała z księciem? I dlaczego, gdy była z nim, ani przez chwilę nie pomyślała o tym idiotycznym zakładzie?

- Audrey, musisz zatrzymać nagrodę - oświadczyła. - Postawiłaś na mnie i wyłożyłaś własne pieniądze. Przeto cała wygrana należy się tobie. Doprawdy, to był zwariowany konkurs. Gdy księżę Bewcastle mijał mnie dzisiaj, gdy czytałam list w alei, dostrzegłam szansę, by wygrać ten zakład, i wykorzystałam ją. Szczebiotałam przez całą godzinę, podczas gdy księżę wyglądał, jakby miał za chwilę umrzeć z nudów. Muszę przyznać, że gdybym kiedykolwiek miała to zrobić jeszcze raz, chyba sama umarłabym z nudów. A zatem, drogie panie, rzeczywiście wygrałam.

Roześmiała się i powiodła rozpromienionym wzrokiem po całym towarzystwie. Większość dziewcząt wydawała się zadowolona i pogodzona ze stratą gwinei. Oczywiście lady Sarah i Harriet King były wściekle i rozczarowane, ale takie zepsute pannice nie zasługiwały na współczucie. Przecież nawet się nie starała wygrać tego zakładu. Jak na ironię, tym razem ją dostrzeżono, podczas kiedy poprzednio, gdy rzeczywiście z rozmysłem robiła wszystko, by spędzić godzinę w towarzystwie księcia, nie znalazł się ani jeden świadek jej triumfu.

- Harriet i Sarah, jesteście mi winne po gwinei - powiedziała Audrey.

Chwilę potem Christine wyszła i wreszcie schroniła się w swoim pokoju. Jeszcze nigdy nie czuła się tak wytrącona z równowagi.

„Mogłaby pani zostać moją kochanką?”

Mocno zacisnęła powieki i pokręciła głową.

Pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek. Przez kilka sekund czy minut - nie wiedziała jak długo - czuła ogarniającą ją tak silną namiętność, jakiej nie doświadczyła nigdy dotąd.

A potem on jej zaproponował, żeby została jego kochanką.

Jakie to upokarzające!

- Christine wcale nie jest kokietką - powiedział Justin Magnus do księcia.

Od incydentu w labiryncie minęły dwa dni. Przez ten czas Wulfric i Christie starannie się nawzajem unikali. Choć księżę raczej nie odniósł wrażenia, że to, co się wydarzyło, popsuło humor pani Derrick. Wręcz przeciwnie. Zdobyła sympatię większości młodych dam i uwielbienie dżentelmenów. Kitredge był w niej wyraźnie zadurzony. Mimo że nigdy nie starała się wysuwać na pierwszy plan i skupiać na sobie uwagi reszty gości, niezaprzeczalnie stała się duszą towarzystwa. Tam, gdzie rozmowa była najżywsza, a śmiech najweselszy, z

pewnością znajdowała się pani Derrick.

Niektórzy pewnie uznaliby ją za kokietkę.

Dla Wulfrica było całkiem jasne, że nią nie jest. Miała naprawdę nieodparty urok. I naprawdę lubiła ludzi.

- Istotnie - odparł lodowatym tonem. Szedł z całym towarzystwem na wzgórze nad jeziorem na - jak to określiła lady Renable - naprędce zaimprovizowany piknik, choć, jak podejrzewał Wulfric, nie było tu żadnej improwizacji. Magnus nie odstępował jego boku.

- Nie jest konwencjonalnie piękna ani utalentowana czy elegancka, ale wydaje się bardzo atrakcyjna - ciągnął. - Sama nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo, lecz każdy mężczyzna, który ją spotka, ulega jej czarowi. Rozumie więc pan, że to nie jest kokieteria. To nadzwyczajny urok jej osobowości. Mój kuzyn Oscar zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i postanowił się z nią ożenić, choć mógł mieć każdą kobietę, którą chciał. Wyglądał przecież jak młody bóg.

- Szczęściarz z niego.

Dotarli do ścieżki nad jeziorem, gdzie pani Derrick wpadła na Wulfrica pierwszego popołudnia, i skręcili w stronę wzgórza. Księżę zwolnił kroku, mając nadzieję, że Justin go wyprzedzi, on jednak najwyraźniej miał jakąś misję do spełnienia. No tak, Magnus był przyjacielem pani Derrick. Czyżby został posłany z wiadomością? A może chciał mu coś przekazać od siebie? Wulfric irytował się, że postawił się w idiotycznej sytuacji, w której musiał znosić reprimendę ze strony jakiegoś smarkacza.

- Zatem podziw Kitredge'a, podobnie jak tych wszystkich Culverów, Hillierów i Snape'ów wcale nie oznacza, że ona z rozmysłem zrobiła cokolwiek, by zwrócić na siebie ich uwagę - ciągnął Justin.

- Sądzę, że zamierza mi pan wyjaśnić, jaki te komentarze mają związek ze mną - rzucił Wulfric.

- Pan też ją podziwia - odparł Magnus. - I być może uważa, że z panem flirtowała. Albo że flirtowała z innymi mężczyznami, a panem jest poważnie zainteresowana. Myliłby się pan pod każdym względem. To tylko jej przyjazne usposobienie. Zachowuje się tak samo wobec wszystkich. Gdyby Oscar to sobie uświadomił, byłby o wiele szczęśliwszy. On jednak chciał mieć jej uśmiechy i całą uwagę tylko dla siebie.

Wulfric pomyślał, że Magnus powinien się powstrzymać od występowania w obronie swojej przyjaciółki. Niechący wywoływał wrażenie, że pani Derrick nie była zdolna do głębszego uczucia czy przywiązania nawet dla własnego męża. Ze zachowuje się po przyjacielsku wobec każdego mężczyzny i w gruncie rzeczy jest kokietką.

- Pan wybaczy, ale szczęście czy nieszczęście nieżyjącego już człowieka interesuje mnie tylko marginalnie - powiedział, bawiąc się monoklem. - Pozwoli pan, że go opuszczę?

Dotarli do wzgórza i natychmiast stało się jasne, że piknik był od dawna planowany. Na zboczu od strony jeziora rozłożono koce, było nawet kilka krzeseł dla starszych osób. Stały tu też kosze z jedzeniem i napojami. Kilkoro służby dyskretnie ukrytej wśród pobliskich drzew czekało, by obsłużyć gości.

Wulfric wdał się w rozmowę z baronem Renable'em. Zauważył, że pani Derrick stoi na szczycie wzgórza, a wstążki przy jej kapeluszu unoszą się na wietrze. Pokazywała lordowi Kitredge'owi okolicę, tak jak jemu tamtego pierwszego popołudnia. Śmiała się z czegoś, co powiedział jej towarzysz.

Rozdrażniło go, że poskarżyła się Magnusowi. Męczyło go też poczucie winy. Dopóki jej nie pocałował, żadnym słowem czy gestem nie sugerowała, że życzy sobie jego awansów i oferty, jaką jej złożył. Był winien pani Derrick przeprosiny.

Zwykle nie zachowywał się impulsywnie czy nietaktownie. Rzadko popełniał błędy lub wystawiał się na krytykę.

A teraz był zły na Christine Derrick. Pewnie dlatego, że w głębi duszy zdawał sobie sprawę, iż cała wina leży po jego stronie.

Po żalostnej scenie w labiryncie Christine nie mogła zasnąć przez prawie całą noc i nad ranem była bliska decyzji, że następnego dnia wróci do domu. Lecz duma i determinacja przyszyły jej z pomocą. Czyż ma uciec tylko dlatego, że księżę Bewcastle zaproponował jej, by została jego kochanką? Co z tego, że nie ośmieliliby się złożyć podobnej propozycji żadnej innej przebywającej tu damie. To nie miało znaczenia.

Dlaczego miałoby mieć? Nie cierpiała księcia i gardziła nim jeszcze bardziej niż dotąd. Z trudem znosiła jego obecność w tym samym pokoju. A jednak w końcu postanowiła zostać. Choćby po to, by swoją obecnością wprawiać go w zakłopotanie.

Z nową energią rzuciła się w wir życia towarzyskiego. Z satysfakcją zauważyła, że zyskała przyjaźń jeszcze kilkorga spośród gości. Miło spędzała czas i trzymała jak najdalej od księcia Bewcastle'a. Ten z podobną determinacją unikał jej towarzystwa.

Wszystko się dobrze układało.

Doskonale bawiła się na pikniku. Z wierzchołka wzgórza pokazała hrabiemu Kitredge'owi okolicę i spędziła z nim trochę czasu, odpowiadając na jego pytania. Potem, po podwieczorku, pobiegła nad jezioro, by na prośbę paru dżentelmenów zaprezentować sztukę puszczania kaczek. Zainteresowało się tym nawet kilka dam. Mieli mnóstwo uciechy, choć Christine zamoczyła rąbek sukni, gdy zbierała idealnie płaskie kamyki leżące na dnie. Ale że

zawczasu zdjęła pantofle i pończochy, nic właściwie się nie stało.

Czasami udawało się jej przekonać samą siebie, że przeszłość jest już zamknięta, że odzyskała młodość i pogodę ducha. Jednak cienie przeszłości zawsze czyhały w pobliżu, nawet, a może zwłaszcza, w chwilach największego szczęścia.

Opuszczała miejsce pikniku jako jedna z ostatnich, musiała bowiem znaleźć ustronne miejsce, żeby włożyć pończochy. Zauważyła, że Hermione i Basil jeszcze stoją na zboczu wzgórza i rozmawiają z księciem Bewcastle'em. Podeszła do nich.

- Wasza Wysokość - mówiła właśnie Hermione - Elrick i ja pragnęliśmy zamienić z panem słowo na osobności już od przedwczoraj. Teraz jest najlepsza chwila, bo również Christine będzie mogła usłyszeć, co mamy do powiedzenia. Chcemy prosić o przebaczenie w jej imieniu.

Christine spojrzała zdumiona na szwagierkę.

- Ten zakład młodych dam o to, czy któraś z nich zdoła przez godzinę zająć pana rozmową sam na sam, był niewymowną głupotą ciągnęła Hermione głosem, który drżał od tłumionego gniewu.

- Cóż, dziewczęta mają pstro w głowie. Nic dziwnego, że chciały zrobić wrażenie na osobie tak ważnej i wysoko postawionej jak pan. To jednak niewybaczalna arogancja, że Christine wzięła udział w tym zakładzie i w dodatku go wygrała.

Christine przymknęła oczy. Przeklęty zakład! Ale jak Hermione się o nim dowiedziała? Pewnie od lady Sarah i Harriet King.

Basil odchrząknął.

- Bewcastle, zapewniam pana, że lady Elrick i ja nie pochwalamy tak prostackiego zachowania - oświadczył.

- Po prostu mieliśmy pecha, że mój szwagier zakochał się w córce nauczyciela i poślubił ją - dodała Hermione. - Od chwili przyjazdu tutaj przez cały czas flirtuje z każdym dżentelmenem i wprawia nas w zażenowanie takimi widokami - wskazała mokry rąbek sukni Christine. - To niewybaczalne, że wciągnęła w swoje ekscesy również pana.

Słuchając tej tyrady, Christine ledwo wierzyła własnym uszom. Miała wrażenie, że nagle została przeniesiona w przeszłość. Oboje mówili z takim gniewem i goryczą. Tak niesprawiedliwie ją oskarżali. Była jednak zbyt przybita, by cokolwiek powiedzieć czy choćby się oddalić.

Księżę Bewcastle uniósł monokl. Christine postanowiła, że jeśli spojrzy przezeń na nią czy na rąbek jej sukni, wyrwie mu go z ręki i potłucze na jego własnym nosie. A przy okazji pewnie mu ten nos złamie. Księżę jednak skupił uwagę na Hermione.

- Niech się pani nie trapi, madame - powiedział lodowatym tonem. - Pan również, Elrick. Córki dżentelmenów z akademickim zacięciem są często lepiej wykształcone niż ogół młodych dam z wyższych sfer i dzięki temu prowadzą o wiele ciekawszą konwersację. To ja zaprosiłem panią Derrick, by pospacerowała ze mną w alei szczodrzeńców. Czy rzeczywiście spędziłem całą godzinę w jej towarzystwie? Miałem wrażenie, że tylko chwilę. I czy istotnie z nią flirtowałem, rozmawiając o popołudniowej konnej przejażdżce i liście od jej siostry, który czytała, gdy się na nią natknąłem? Jeśli tak, przepraszę ją i obiecuję zachowywać się w przyszłości rozważnie.

Wypuścił monokl z palców.

To naprawdę bardzo niebezpieczny człowiek, pomyślała Christine. I chyba nie tylko ona odniosła takie wrażenie, sądząc po ciszy, która zapadła po jego słowach. Potraktował ich z góry z lodowatym chłodem. Ucieszyłaby się z tego, gdyby nie czuła się okropnie zraniona.

- Hermione! - szepnęła. Patrzyła jednak na Basila, który przecież uwielbiał Oscara, a równocześnie tak podle traktował wdowę po nim. Ten jednak nie chciał jej spojrzeć w oczy.

W następnej chwili uciekłyby, gdzie ją oczy poniosą, gdyby książe Bewcastle nie zwrócił się z kolei do niej.

- Madame, pozwoli pani, że odprowadzę ją do domu - rzekł. - Przy okazji powie mi pani, czy istotnie jestem jej winien przeprosiny.

Podał jej ramię. Nie potrafiła wymyślić żadnego pretekstu, żeby odmówić, więc ujęła go pod rękę. Oczy miał jak dwie bryły lodu. Rozkoszne jak zwykle. Wolałaby uciec w przeciwnym kierunku, zaszyć się między drzewami i w ukryciu lizać swoje rany. Nie wiedziała, że jeszcze je w sobie nosi. Myślała, że już dawno się zabił.

Hermione i Basil nie zamierzali wracać razem z nimi.

- Czy winien jestem pani przeprosiny? - spytał książe, gdy tamci nie mogli ich już usłyszeć.

- Za złożoną mi propozycję? - rzuciła. - Już mnie pan za to przeprosił.

- Tak myślałem - powiedział. - Choć moja propozycja musiała być dla pani dosyć nieoczekiwanym finałem fortelu, który miał jej zapewnić spędzenie ze mną godziny sam na sam. Labirynt był sprytnym posunięciem. Mam nadzieję, madame, że z radością odebrała pani wygraną i że wynagrodziła ona pani wysiłki. A być może osłodziła również obelgę, którą musiała pani znieść.

Wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze. Jej rany będą musiały poczekać.

- Nie odebrałam nagrody - odparła. - Ktoś wyłożył za mnie pieniądze, czyli niejako na mnie postawił. Zrezygnowałam z praw do wygranej na rzecz tej osoby. Ale rzeczywiście

przez chwilę cieszyłam się swoim triumfem dla samej satysfakcji ze zwycięstwa. Wprawdzie wygrałam już tamtego dnia, gdy skłoniłam pana do spaceru wokół jeziora, nie chciałam jednak kończyć zabawy tak szybko. Postanowiłam więc powtórzyć tę sztukę dwa dni temu. - Westchnęła głośno i uniosła twarz do słońca.

- Aczkolwiek przy tej drugiej okazji to ja zaprosiłam panią na spacer - rzucił.

- Oczywiście - potwierdziła. - Dama nie powinna proponować spaceru dżentelmenowi, prawda? Zwłaszcza dwa razy w tym samym tygodniu. Jednak ta zasada wcale mi nie przeszkodziła. Są inne sposoby skłonienia dżentelmena, by zaprosił mnie na przechadzkę. Na przykład można ze skromną miną usiąść na murku, przy którym ciągnie się piękna porośnięta trawą aleja zachęcająca do spaceru, i udawać, że się czyta list sprzed miesiąca.

Roztropnie zachował milczenie. Poczwała ponurą satysfakcją, gdy uświadomiła sobie, że jest rozgniewany, a także upokorzony.

Weszli pomiędzy drzewa. Mogłaby wysunąć dłoń spod jego ramienia, ale powstrzymała się, uznawszy, że pewnie właśnie tego po niej oczekuje.

- Wie pan, chciałyśmy założyć się o to, która z nas pierwsza skłoni pana do oświadczeń - powiedziała. - Doszliśmy jednak do wniosku, że nie ma sensu zakładać się o coś niemożliwego, więc warunki zostały zmienione na godzinę rozmowy z panem sam na sam. O mały włos nie wygrałam również tego pierwszego zakładu, tyle że pan zaproponował mi carte blanche zamiast małżeństwa. To było naprawdę poniżające, choć pana propozycja wzięła się chyba stąd, że jestem córką nauczyciela, zbyt nieokrzesaną do roli księżnej. Ale nic strasznego się nie stało, gdyż nie musiałam wyznawać swojej porażki współzawodniczkom.

Nadal milczał.

Christine nigdy nie lubiła się kłócić, pomyślała jednak, że awantura z księciem Bewcastle'em mogłaby jej przynieść ogromną satysfakcję. Niestety, sprowokowanie go do niekontrolowanego, prostackiego okazania emocji byłoby chyba trudniejsze niż uzyskanie od niego propozycji małżeństwa. W tym człowieku nie było żadnych uczuć ani namiętności. Zdławiła wspomnienie pocałunku w labiryncie. To nie była namiętność, tylko żądza.

- Cieszę się, że wygrałam ten zakład - powiedziała. - Teraz nie muszę już przebywać w pańskim towarzystwie.

- Jak miemam, w tym momencie powinienem powiedzieć, że miło mi to słyszeć - rzucił.

- A miło panu?

- Nie zastanawiałem się nad tym - odparł.

- Czy pan się nigdy nie kłóci? - spytała.

- Kłótnia niczego nie daje - powiedział.

- Rzeczywiście - przyznała. - Pan potrafi wymusić posłuszeństwo prostym uniesieniem brwi.

- Nie u kogoś, kto ignoruje uniesione brwi i mój monokl - stwierdził.

Roześmiała się, choć wcale nie czuła rozbawienia. Została okropnie upokorzona, najpierw w labiryncie, a teraz dzisiaj na wzgórzu. Chciała jak najszybciej wrócić do swojego pokoju i zwinąć się w kłębek na łóżku.

- Pani szwagier i jego żona nie lubią pani - odezwał się niespodziewanie szorstkim tonem.

Cóż, wcale się z tym nie kryli. Nie było sensu zadręczać się prostym stwierdzeniem tego faktu.

Dotarli do miejsca, gdzie zderzyła się z nim pierwszego popołudnia.

- Pewnie obawiają się, że sprytnymi kobiecymi sztuczkami skłonię pana do małżeństwa, tak jak uwiodłam Oscara - odezwała się w końcu. - A potem będzie ich pan winił, że go nie ostrzegli.

- Nie ostrzegli, że pani jest córką nauczyciela? - spytał. - Czy że jest pani przebiegła?

- I nieokrzęsana - dodała. - Nie wolno panu o tym zapominać. Wie pan, to był jeden z moich grzechów głównych. Nieustannie robiłam rzeczy, którymi zwracałam na siebie uwagę i wprawiałam ich w zażenowanie. Choć bardzo się starałam, nie potrafiłam być idealną damą. Teraz, gdy miał pan czas przemyśleć tę kwestię, musi pan dziękować Bogu, że nie zgodziłam się zostać pańską kochanką.

- Bo nie jest pani damą w każdym calu?

- I z każdym flirtuję - uzupełniła.

- Doprawdy?

- I mogę pana zabić, tak jak zabiłam Oscara - dokończyła. Na chwilę zapadła cisza. Christine uświadomiła sobie, że wszystkie mury obronne, które podświadomie zbudowała wokół siebie, nagle runęły. Znikło jej przyjazne nastawienie do świata. Jeśli szybko nie dotrą do domu, to zrobi księciu awanturę. Oczami wyobraźni widziała, jak rzuca się na niego z pięściami, kopie go i skręca ten jego monokl w ósemkę. I cały czas wrzeszczy na niego jak opętana. Problem w tym, że ta wizja wcale jej nie śmieszyła.

Jeżeli nie będzie ostrożna, za chwilę się rozplacze. A przecież nigdy nie płakała. To nie miało sensu.

- Wygląda na to, że niechęć Elricka i jego żony jest w jakiejś mierze uzasadniona - zauważył.

Czego się spodziewała? Że zapyta, czy to prawda? Że jak nikt dotąd wyciągnie z niej całą historię i uwolni ją od poczucia winy? A potem pokornie przeprosi za propozycję złożoną jej w labiryncie i jak każdy szanujący się dzielny rycerz porwie ją na swego wiernego rumaka, by zawieźć do swego księstwa i uczynić księżną?

Naprawdę nie mogłaby sobie wyobrazić gorszego losu. Bo on nie był dzielnym rycerzem w lśniącej zbroi, tylko zimnym, wyniosłym arystokratą.

- Ależ oczywiście! - potwierdziła. - To bez znaczenia, że mnie nawet nie było w pobliżu, gdy Oscar zginął, prawda? To jeszcze jeden przykład mojego podstępного charakteru. I tak to ja go zabiłam. Wasza Miłość, jestem w podłym humorze, jak pan pewnie zauważył. Za chwilę pobiegnę do domu i nie oczekuję, że pan szlachetnie rzuci się za mną, by mi pomóc.

Zanim zdążyła zrobić choćby krok, chwycił ją za rękę i przy - ciągnął do siebie, aż oparła się na jego piersi. Zimnymi oczami uporczywie wpatrywał się w jej twarz.

Przez chwilę myślała, że znów ją pocałuje.

Opuścił wzrok na jej usta, odetchnął głęboko i położył obie dłonie na jej ramionach.

Nie pocałował jej jednak.

Gdy już mogła myśleć rozsądnie, była losowi bardzo za to wdzięczna. Pewnie odwzajemniłaby pocałunek, przytuliła się do niego i błagała, żeby zabrał ją gdziekolwiek i zrobił z nią, co chce. A najgorsze było to, że chyba naprawdę by to zrobiła. Poszłaby za nim posłusznie i oddała mu się bez wahania. Może nawet błagałaby, żeby powtórzył propozycję, którą złożył jej w labiryncie.

Nie pocałował jej jednak.

- Z każdym dniem coraz bardziej żałuję, że tu przyjechałem - powiedział cicho, bardziej chyba do siebie niż do niej. - Pani, pani Derrick, chyba również żałuje. Że ja tu przyjechałem. Że pani zgodziła się przyjechać.

Puścił ją. Chwyciła mokry rąbek sukni i uciekła. Czuliła się okropnie. Naprawdę nie powinna była przyjeżdżać do Schofield Park. Przecież wiedziała, że Hermione i Basil też tu będą. A teraz naraziła się na śmieszność i krytykę księcia Bewcastle'a. Na litość boską, on będzie myślał, że zabiła Oscara.

Mimo wszystko, gdyby ją pocałował, odwzajemniłaby pocałunek. Ale nie pocałował. Tylko powiedział, że coraz bardziej żałuje, że tu przyjechał.

Nienawidziła go z całego serca. Zaskakująca myśl. Stanowczo wolałaby, żeby był jej obojętny.

Gdy zdyszana i potargana wbiegła do domu, pomyślała, że powinna była zostać na

zewnątrz. Stawić czoła Hermione i Basilowi, gdy tylko się pojawią z powrotem. Najwyższy czas, by to zrobić. Po śmierci Oscara rozpaczała tak samo jak oni. Nie umiała obronić się przed ich oskarżeniami. Nie miała siły. Teraz czuła się równie zdruzgotana jak wtedy. Pobiegnęła na górę do swojego pokoju, dziękując losowi, że nie spotkała nikogo po drodze.

Zamknęła drzwi i rzuciła się na łóżko z głośnym szlochem. Mogła winić tylko siebie. Powinna była odmówić przyjazdu. Nawet Melanie do niczego by jej nie zmusiła, gdyby powiedziała „nie” i pozostała nieugięta.

Upłynęło sporo czasu, zanim się uspokoiła. Usiadła na łóżku i próbowała się uśmiechnąć. Z uśmiechem na twarzy powinna wyglądać tak jak zwykle. Spojrzała w lustro. Zobaczyła ucieleśnienie tragedii z groteskowo wykrzywionymi ustami. Rozchyliła wargi i usiłowała wykrzesać z oczu iskrę.

No proszę, wszystko jest już w porządku, nic mi nie grozi, pomyślała. Dziwne, nie zdawała sobie sprawy, że nadal musi się osłaniać, że nie jest bezpieczna. Od dwóch lat była wolna i szczęśliwa. Prawie szczęśliwa.

Z determinacją postanowiła, że wytrzyma. Przeżyje do końca pobytu, a potem wróci do domu i znów zanurzy się w dobrze znanej rutynie dnia codziennego. Przecież śmierć Oscara też udało się jej przeżyć.

Wulfric był bardzo zaniepokojony. Znów z tego samego powodu. Na litość boską, omal jej nie pocałował. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić gorszego zakończenia wyczerpującego popołudnia.

Gdy Christine Derrick uciekła, zrozumiał, że bardzo się pomylił.

Nadal gniewała się na niego za propozycję, którą jej złożył.

On też czuł gniew. Nie wierzył, by oba ich dotychczasowe spotkania zostały przez nią zaaranżowane. Niemniej wzięła udział w tym głupim zakładzie i niewątpliwie rozmyślnie przedłużała ich spotkanie w ogrodzie. Wszak zasugerowała, żeby weszli do labiryntu. A on poszedł za nią jak marionetka. Potem ją pocałował i pod wpływem impulsu złożył tę idiotyczną propozycję.

Po scenie w labiryncie możliwość ogłoszenia swego triumfu i odebrania nagrody musiała być dla niej jakimś pocieszeniem.

Lecz jego irytacja zbladła, gdy pani Derrick została głęboko zraniona podłym zachowaniem Elricka i jego żony. Znał tę parę wcześniej i nigdy dotąd nie wydali mu się nieprzyjemni, gruboskórni czy złośliwi. Dopiero dzisiaj.

Wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości prali w jego obecności rodzinne brudy. Mieli pani Derrick za złe brak ogłady i skłonność do flirtu. Znów to słowo. Pojawiało się z

uporczywą regularnością w odniesieniu do jej osoby.

Najwyraźniej coś się między tą trójką wydarzyło. Coś, co miało związek ze śmiercią Oscara Derricka. Nie wierzył ani przez chwilę, że Christine Derrick zabiła męża, ale musiało być coś, co wywołało tak silną wrogość jej szwagrostwa. Dzisiejszego popołudnia został niespodziewanie wciągnięty w sam środek obrzydliwej rodzinnej afery.

Czuł się tym mocno dotknięty.

Jednocześnie dowiedział się czegoś ciekawego o pani Derrick. Było w niej coś więcej niż promienny blask i śmiech. Nosila też w sobie mrok. Głęboko ukryty, wypłynął na powierzchnię, gdy odprowadzał ją do domu. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, by sprowokować go do kłótni.

Omali nie zareagował i to w sposób, który by ją zaskoczył.

Czuł do niej pociąg, pocałował ją, zaproponował, by została jego kochanką, a ona odmówiła i na tym koniec. Musiał przyznać, że zauroczenie nią jeszcze nie zgasło, ale nie chciał poznawać ani jej, ani mrocznych, skomplikowanych sekretów z jej życia.

Lecz ku swej irytacji uświadomił sobie, że kieruje na nią spojrzenie równie często, jak dotychczas.

Mimo mroku, który w niej tkwił, promieniała światłem.

A on nadal pragnął się grzać w jej świetle.

Przez kilka następnych poranków Wulfric chodził wędkować z baronem Renable'em i paroma innymi panami. Przesiadywał też w bibliotece, dyskutując w męskim gronie o polityce i o książkach. Raz czy drugi zagrał w bilard, gdy znalazł chętnych do rozgrywki. Wieczorami siadał do kart ze starszymi dżentelmenami, bo tylko oni mieli na to ochotę. Unikał co weselszych rozrywek, starając się jednak nie obrazić pani domu. Nie chciał, by uznano go za grubianina. Jak najwięcej czasu spędzał sam. Liczył godziny do chwili, kiedy wreszcie wyjedzie z Schofield.

Niestety nie mógł odmówić udziału w balu urządzonym jako zwieńczenie wszystkich rozrywek. Wielki bal - o ile bal na prowincji można nazwać wielkim - wydano z okazji zaręczyn panny Magnus z sir Lewisem Wisemanem. Zaproszono starannie dobrane grono sąsiadów, jako że dwadzieścioro czworo gości oraz gospodarze nie byli w stanie wypełnić sali balowej.

- Większość to drobna szlachta - wyjaśniła lady Renable Wulfricowi na parę dni przed balem. - Cieszą się, gdy ich zapraszamy, a my czujemy się w obowiązku robić to raz czy dwa razy w roku. Mam nadzieję, że ich towarzystwo nie wyda się panu nudne.

- Sądzę, że tak jak we wszystkich innych kwestiach, również i w tej mogę zaufać pani dobremu smakowi - odparł, unosząc brwi i monokl.

Po co przeproszać za coś, czego nie można uniknąć? I dlaczego przeproszać tylko jego? Po co w ogóle przeproszać? Dziękował Bogu, że w jego rodzinie nie było ciągłego wzajemnego przepraszania.

Nigdy nie przepadał za balami, lecz czasami musiał się na nich pojawiać. Tak jak tym razem. Nie mógł przecież zamknąć się w sypialni z książką. Ubrał się więc z największą starannością i pozwolił, by lokaj więcej czasu niż zwykle poświęcił na zawiązanie mu halsztuka. O wyznaczonej godzinie zszedł do sali balowej. Pierwszą turę zarezerwował u lady Elrick, drugą u lady Renable. Miał nadzieję, że potem będzie mógł się wycofać i zasiąść do gry w karty.

Podszedł do Mowbury'ego i rozejrzał się po sali. Młode damy ubrały się w najpiękniejsze suknie, obficie ozdobiły biżuterią i wpięły we włosy najwspanialsze pióra, zapewne z zamiarem przyćmienia elegancją pań z okolicy.

- Tłumaczyłem Melanie, że mam dwie lewe nogi, ona jednak uparła się, żebym choć raz z kimś zatańczył - powiedział Mowbury. - Więc poprosiłem Christine. Panią Derrick. Wie

pan, była żoną mojego kuzyna. Zawsze uważałem, że to porządna kobieta, choć Hermione i Elrick chyba za nią nie przepadają. Powiem coś panu, Bewcastle, bale są strasznie męczące.

Pani Derrick stała po przeciwnej stronie sali, pogrążona w rozmowie z trzema damami i dżentelmenem. Wulfric rozpoznał pastora i jego żonę. Domyślił się, że pozostałe damy to matka i najstarsza siostra. W całej rodzinie tylko ona została obdarzona urodą. Ani żona pastora, ani najstarsza siostra nie były ładne.

Pani Derrick miała na sobie kremową suknię z falbankami przy spódnicy i krótkimi bufiastymi rękawkami. Dekolt, choć dosyć głęboki, mieścił się w normach przyzwoitości. W lśniące krótkie loki wplotła różową wstążkę, pasującą odcieniem do szarfy przewiązanej pod stanikiem sukni. Poza trzymanym w ręce wachlarzem była to jej jedyna ozdoba. Nie miała biżuterii ani piór we włosach. A suknia stanowczo nie była ostatnim krzykiem mody.

Jednak przy niej stroje reszty dam wydawały się przeładowane ozdobami.

- Więc pani Derrick zgodziła się zatańczyć z panem pierwszą turę - powiedział Wulfric.

- Tak - Mowbury się skrzywił. - Obiecałem, że nie podepczę jej palców. Ale nawet jeśli mi się to przytrafi, ona pewnie się roześmieje i powie, że i tak trzeba je było trochę odchudzić. Cudowna kobieta.

Kitredge, który wcisnął się w gorset i niemal skrzypiał przy każdym ruchu, podszedł do pani Derrick i oparł upięścienioną dłoń na jej plecach. Wulfric zacisnął palce na monoklu. Ręka hrabiego opadła, gdy pani Derrick przesunęła się nieco, uśmiechnęła i skinęła głową. Kitredge uklonił się i odszedł. Wulfric domyślił się, że właśnie została obiecana druga tura tańców.

Wypuścił monokl z palców.

Christine uwielbiała tańczyć, ale przez kilka ostatnich lat swego małżeństwa nie lubiła balów. Oscar miał jej za złe, że tańczy z obcymi mężczyznami. Starła się go przekonać, że na bale chodzi się właśnie po to, by tańczyć z wieloma partnerami. Nie mogła przecież tańczyć tylko z nim. To było wbrew zasadom etykiety, a on i tak najchętniej spędzał czas w pokoju do gry w karty albo dowcipkując w towarzystwie swoich kompanów.

Małżeństwo okazało się o wiele trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Mimo posągowej urody Oscar był niepewny i siebie, i jej. Z upływem czasu stawał się coraz bardziej zaborczy i nieobliczalny. Krzywdził ją, a nawet obrażał swoimi oskarżeniami. Doprowadził do tego, że zaczęła się zastanawiać, czy nadal go kocha.

Jednak te trudne, bolesne czasy minęły. Była wolna. Może przetańczyć cały wieczór, jeśli tylko będzie miała na to ochotę i dość partnerów, którzy poproszą ją do tańca. Śmiała się

przez całą pierwszą turę, prowadząc Hectora przez skomplikowane kroki tańca ludowego. Wiele razy ratowała go z opresji, gdy ruszał w przeciwnym kierunku, niż należało i omal się nie zderzył z którymś panem. Podziękował jej potem wylewnie i nawet na tyle się zapomniał, że pocałował ją w rękę.

Drugą turę przetańczyła ze spoconym z wysiłku hrabią Kitredge'em. Nie odpowiadała na jego dwuznaczne żarty, a gdy próbował pociągnąć ją przez drzwi balkonowe do ogrodu, by mogli przez kilka minut odetchnąć chłodnym wieczornym powietrzem, stwierdziła, że pęknie jej serce, jeśli straci choć jeden taniec podczas tego cudownego balu.

Zatańczyła z Ronaldem Culverem, którego nauczyła się odróżniać od jego brata bliźniaka. Potem z panem Cobleyem, jednym z dzierżawców Bertiego, który często się śmiał i mówił prawie bez przerwy, a w ciągu ostatniego półtora roku trzykrotnie proponował jej małżeństwo.

Z radością zauważyła, że Hazel tańczy cały czas i nawet Eleanor, która nie znosiła tańców, dała się wyciągnąć na parkiet na dwie tury.

Ilekróć spojrzała na Audrey i sir Lewisa Wisemana, uśmiechała się ciepło. Nie okazywali sobie otwarcie uczuć, ale wyglądali na dobraną parę. Byli razem bardzo szczęśliwi. Szczęście jest takie ulotne. Miała nadzieję, że ich nie przeminie szybko. Zawsze lubiła Audrey, która była jeszcze dzieckiem, gdy ona wychodziła za Oscara.

Przypomniała sobie, że jutro wraca do domu. Co za cudowna świadomość, choć oczywiście pod wieloma względami pobyt w Schofield okazał się przyjemny. Goście byli mili, z wyjątkiem trzech osób, których obecność przesądziła o jej pragnieniu powrotu do domu. Od incydentu na pikniku między nią a Hermionie i Basilem utrzymywało się silne napięcie. Unikali się, jak mogli, chociaż Christine codziennie obiecywała sobie, że poprosi ich o chwilę rozmowy, by wreszcie wyjaśnić wszystko, co należało wyjaśnić. Ale podczas imprezy towarzyskiej w dużym gronie trudno było znaleźć na to trochę czasu. A może nie dość się starała? Z kolei książe Bewcastle zaproponował jej, żeby została jego kochanką, potem był świadkiem upokorzenia jej przez Basila i Hermionie, a wreszcie jej wybuchu złości.

W rezultacie nie mogła się doczekać powrotu do domu.

Nigdy, przenigdy nie da się namówić na jakąkolwiek imprezę z udziałem wyższych sfer w ogólności, a Basila i Hermionie w szczególności. Księcia Bewcastle'a nie uwzględniła w swoim postanowieniu, bo nie istniał nawet cień prawdopodobieństwa, że jeszcze kiedykolwiek się spotkają.

Za co była losowi niezmiernie wdzięczna.

A jednak przez cały bal zwracała uwagę na księcia. Ubrany w czarny frak, pantalon,

srebrną kamizelkę i śnieżnobiałą koszulę z koronkowymi mankietami, wydawał się surowy i zimny, niemal diaboliczny. Sprawiał wrażenie, jakby gardził ludźmi, z którymi musiał spędzić ten ostatni wieczór, i nie czerpał z niego żadnej przyjemności. Zapewne oburzało go, że musi przebywać w tej samej sali co przedstawiciele drobnej szlachty, znajdujący się tak nisko w hierarchii towarzyskiej. Na przykład tacy jak jej matka i Eleanor.

Zatańczył z Hermione, a potem z Melanie i ruszył w kierunku pokoju do gry w karty. Christine przyglądała mu się, stając z Ronaldem Culverem do trzeciej tury, i nagle ze zdumieniem zauważyła, jak cofnął się w progu, zawahał, po czym z wyniosłą miną podszedł do Mavis Page, szczupłej, nieładnej córki nieżyjącego już kapitana marynarki, która przez cały wieczór siedziała z matką. Nikt nigdy nie tańczył z Mavis, bo była zbyt nieśmiała, żeby przy swoim braku urody zwrócić na siebie uwagę.

Christine ogarnęły mieszane uczucia. Bardzo się cieszyła ze względu na Mavis. Pani Page będzie miała czym się chwalić przez następny rok, a może nawet przez resztę życia. Zirykowało ją jednak i zaniepokoiło, że ksiązę zachował się tak nietypowo jak na niego. Nie chciała w nim widzieć żadnych pozytywnych cech, a wyglądało na to, że zauważywszy dziewczynę, która przez cały bal podpierała ściany, przyszedł jej na ratunek.

Pan Fontain, kolejny dzierżawca Bertiego, poprosił Mavis do następnej tury. Dziewczyna zarumieniona ze szczęścia wydawała się niemal ładna.

Po trzeciej turze ksiązę Bewcastle zniknął w pokoju do gry w karty. Christine mogła odetchnąć i wreszcie dobrze się bawić. Gdy minie jutrzejszy dzień, już nigdy nie będzie musiała o nim myśleć. Nie spojrzy już na jego zimną, arogancką twarz i nie będzie sobie ciągle przypominać, że złożył jej haniebną propozycję, a ona przez jedną haniebną chwilę czuła rozczarowanie, że nie poprosił jej o rękę.

Sama myśl o małżeństwie z nim...

Ulga z powodu jego nieobecności nie trwała długo. Kiedy po czwartej turze wracała do matki i Eleanor, George Buchan i Anthony Culver zatrzymali ją na chwilę, by zamienić parę słów. Miała nadzieję, że któryś z nich poprosi ją do tańca. W następnej turze miał być walc. Uwielbiała walca, choć dotąd tańczyła go tylko z Oscarem.

Miała nadzieję, że teraz będzie miała okazję zatańczyć go z innym partnerem.

Poczuła na ramieniu czyjś dotyk. Odwróciła się i spojrzała prosto w srebrzyste oczy księcia Bewcastle'a.

- Pani Derrick, jeśli nie obiecała pani następnej tury komuś innemu, chciałbym, żeby zatańczyła ją pani ze mną - powiedział.

Kompletnie ją zaskoczył. Przemknęło jej przez myśl, żeby po prostu odmówić. Ale

wtedy w ogóle nie będzie mogła zatańczyć walca. A to miał być jedyny walc tego wieczoru.

Do diabła, pomyślała. Do stu tysięcy diabłów!

Serce zaczęło jej mocno bić. Ugięły się pod nią kolana. Zabrakło jej powietrza jak po długim biegu. Przecież pominąwszy wszystkie inne względy, ksiązę był naprawdę pięknym mężczyzną.

To ostatni wieczór w Schofield. Jej ostatnie z nim spotkanie.

- Umie pani tańczyć walca? - spytał.

Wpatrywała się w niego, dysząc niczym ryba wyrzucona na piasek.

- Umiem, choć upłynęło sporo czasu, kiedy robiłam to po raz ostatni - odparła i rozwinęła wachlarz, żeby ochłodzić zarumienione policzki. - Dziękuję panu, Wasza Wysokość.

Podał jej ramię. Złożyła wachlarz, ujęła księcia pod rękę i pozwoliła poprowadzić się na parkiet. Przypomniała sobie, że zatańczył z Mavis, i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

Ma oczy wilka, pomyślała. Parę dni temu ktoś wspomniał, że ksiązę ma na imię Wulfric. To imię idealnie do niego pasowało!

- Myślałam, że dzisiejszego wieczoru będzie mnie pan unikał - rzuciła.

- Doprawdy? - odparł wyniosłym tonem i unióśł brwi.

Cóż, niewiele można było na to odpowiedzieć. Nawet nie próbowała. Czekwała w milczeniu, aż zacznie grać muzyka. Co ona przed chwilą pomyślała? Ze ksiązę jest pięknym mężczyzną? Pięknym? Chyba oszalała. Spojrzała na niego. Miał za duży nos. Nie, nieprawda. Wydatny, lekko orli nos dodawał jego twarzy charakteru i sprawiał, że wydawał się jeszcze przystojniejszy. Jaką śmieszłą rzeczą jest nos.

- Czyżbym znów czymś panią rozbawił? - spytał.

- Niezupełnie - roześmiała się. - Śmiałam się z myśli, która przysła mi do głowy, że nos jest nader zabawną rzeczą.

- W rzeczy samej - odparł z dziwnym błyskiem w oku.

Zacząła grać muzyka. Ujął jej prawą dłoń i drugą ręką objął ją w talii. Znów zabrakło jej tchu, choć przecież trzymał ją w przepisowej odległości od siebie. W tym momencie nagle zrozumiała, dlaczego wielu ludzi uważa walca za nie do końca przyzwoity taniec. Nie doświadczyła takiej bliskości, gdy tańczyła walca z Oscarem. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby czuła ciepło jego ciała i zapach wody kolońskiej. Serce biło jej mocno, choć nie zrobili jeszcze ani kroku.

Gdy w końcu zaczęli się kołysać w tańcu, już po kilku chwilach zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd naprawdę nie tańczyła walca. Prowadził ją pewnie i szybko wirował, aż światło

świec zlało się w jedną połyskliwą smugę. Do dzisiejszego wieczoru nie wiedziała, czym naprawdę jest walc. A był czystą zmysłową rozkoszą. Światła, kolory, zapachy, ciepło ciała, piźmo i woda kolońska, muzyka, gładka podłoga pod stopami, ramię obejmujące ją w talii, ręka trzymająca jej dłoń, zachwyty nad lekkością i ruchem własnego ciała. Oczarowanie.

Spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się i przez chwilę czuła się niewymownie, szalenie szczęśliwa.

Odwzajemnił spojrzenie i w blasku świec płonących w żyrandolu nad ich głowami wydało się jej, że jego oczy promieniają ciepłem.

Czarowny taniec został nagle przerwany.

Księżę zdążył obrócić Christine w rogu sali, gdy z przeciwnego kierunku wytoczył się Hector walczący z Melanie. Księżę Bewcastle szybko przyciągnął Christine do siebie, bohatersko próbując uchronić ją przed kolizją, ale było już za późno. Hector z całej siły nadepnął jej na lewą stopę, boleśnie miażdżąc palce.

Christine stanęła na drugiej nodze i zaczęła głęboko oddychać, powstrzymując się od krzyku. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Księżę podtrzymał ją, mocno obejmując w pasie. Melanie krzyknęła z przerażenia i wytknęła Hectorowi, że od początku mu mówiła, iż tańczy w niewłaściwym kierunku. Ten zaczął gorąco i pokornie przeproszać.

- Ostrzegałem Mel, że nie umiem tańczyć walca - usprawiedliwił się. - Ona przecież wie, że ja nie tańczę, ale uparła się, bym poprosił ją do walca. Christine, jest mi niewymownie przykro. Bardzo cię boli?

- Hectorze, w życiu nie słyszałam głupszego pytania - stwierdziła cierpko Melanie. - Oczywiście, że ją boli, ty stary cymbale.

- Zdaje się, że już za chwilę przejdzie mi ochota, żeby krzyżeć - powiedziała Christine. - Tymczasem będę powoli liczyć... czterdzieści siedem... czterdzieści osiem... Nie przejmuj się, Hectorze, moje palce należało trochę odchudzić.

- Christine, moje biedactwo - westchnęła Melanie. - Może zaprowadzę cię do pokoju i wezwę pokojówkę?

Christine odprawiła ich machnięciem ręki i zacisnęła zęby. Starła się nie zwracać na siebie uwagi. Dlaczego takie rzeczy zawsze zdarzają się właśnie jej, nawet gdy akurat w nią się nie wtrącała?

Hector ruszył z Melanie, tym razem we właściwym kierunku. Christine nagle zdała sobie sprawę, że nadal stoi przytulona do boku księcia Bewcastle'a. Ból nie ustępował. Nabrała głęboko powietrza.

Schylił się, wziął ją na rękę i przez drzwi balkonowe wyniósł na zewnątrz. Otworzyła

szeroko oczy ze zdumienia, ale musiała przyznać, że zgrabnie to zrobił. Chyba niewielu gości zauważyło kolizję i jej skutki, a także zniknięcie Christine w ramionach księcia Bewcastle'a. Chociaż jeśli ktoś zauważył akurat to ostatnie...

- Ojej, to już zaczyna wchodzić nam w nawyk - westchnęła. - Którą normalną kobietę przez dwa tygodnie trzeba ciągle nosić na rękach?

Oddalił się trochę od domu i posadził ją na drewnianej ławeczce pod wielkim starym dębem.

- Tym razem, pani Derrick, wina leży całkowicie po mojej stronie - odparł. - Powinienem być go wcześniej zauważyć. Czy coś się pani stało?

- Proszę mi dać jeszcze parę minut, żebym przestała krzyczeć w duchu i doliczyła do stu - powiedziała. - Potem zacznę poruszać palcami. Przypuszczam, że gdy Hector był chłopcem, przed każdą lekcją tańca chował się gdzieś z książką o filozofii greckiej, i to w oryginale. Stanowczo powinno się go trzymać z dala od sali balowej. Biedaczek, wyglądał na bardzo nieszczęśliwego, prawda? Dziewięćdziesiąt dwa... dziewięćdziesiąt trzy... Au!

Książę Bewcastle ukląkł na jedno kolano, rozwiązał wstążki i zsunął jej pantofel.

Wyglądał bardzo malowniczo, jakby zaraz miał się jej oświadczyć.

Dziwne, że można jednocześnie czuć rozbawienie i nieznośny ból. Christine zagryzła dolną wargę.

Wulfric nie był lekarzem, jednak wydawało mu się, że żadna kość nie została złamana. Stopa nawet zbyt nie spuchła. Christine nie mogła nią jednak poruszać, a z jej urywanego oddechu wnosił, że nadal bardzo ją boli. Oparł jej stopę na swej dłoni, podparł piętę drugą ręką i ostrożnie poruszał, zginając palce.

Zacisnęła mu dłoń na ramieniu i pochyliła głowę. Z początku krzywiła się, zagryzając dolną wargę, potem jednak stopniowo się rozluźniła.

- Zdaje się, że jednak przeżyję - powiedziała po minucie czy dwóch. - Może nawet jeszcze kiedyś zatańczę.

Roześmiała się cicho, gardłowo.

Stopę miała wąską i delikatną, obciążoną jedwabną pończochą. Oparła ją na różowym pantofelku i już sama poruszała palcami. Po chwili zdjęła dłoń z jego ramienia. Wstał, założył ręce na plecy i spojrzał na nią z góry.

- Nie mogę tylko pojąć, jak to się stało, że Hector w ogóle tu przyjechał - powiedziała.

- To mól książkowy, którego nie ciągnie do towarzystwa, a zwłaszcza do towarzystwa dam.

- Chyba sądził, że to będzie spotkanie intelektualistów.

- Biedaczek - westchnęła Christine. Wsunęła stopę w pantofel, zawiązała wstążki

wokół kostki i ostrożnie poruszyła parę razy palcami. - Pewnie Melanie uznała, że takie spotkanie dobrze mu zrobi. Podejrzewam, że celowo wprowadziła go w błąd, nie mówiąc całej prawdy. Hector chyba nawet nie zauważył albo zapomniał, że jego siostra niedawno się zaręczyła, w związku z czym Melanie urządzi na jej cześć jedną ze swoich słynnych imprez towarzyskich.

Wulfric się nie odezwał. Na dworze zapalono kilka lampionów z myślą o gościach, którzy zechcą wyjść z dusznej sali balowej, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Światło jednego z nich padało na twarz Christine i lśniło w jej włosach. Spojrzała na księcia roześmianymi oczami, jakby uderzona nagłą myślą.

- Ojej, przecież to Hector pana tu zaprosił - powiedziała. - Czy pan też myślał, że to będzie spotkanie intelektualistów? Zastanawiałam się, dlaczego pan przyjechał, skoro Melanie twierdziła, że nie bywa pan nigdzie poza Londynem i swoimi majątkami. Jakże musiał pan być przerażony, gdy zorientował się, że wprowadzono go w błąd.

- Zakładam, że pani pytania są czysto retoryczne - rzucił, sięgając po monokl.

Nie przywykł, by ktoś się z niego naśmiewał. I nie przypominał sobie, by ktoś kiedykolwiek mu współczuł.

- Panu jednak nie brakuje obycia w towarzystwie - powiedziała. Splotła ręce na kolanach i lekko przechyliła głowę na bok. - Doskonale tańczy pan walca.

- Można być, jak pani to nazwała, mołem książkowym, a jednocześnie umieć się obracać w towarzystwie - odparł. - Ja nie unikałem lekcji tańca. Nauka tańca to istotna część edukacji dżentelmena.

No i wcale nie był mołem książkowym. Uważał się za odczytanego, ale nie zwykł tkwić z nosem w książce. Było tyle ważniejszych spraw, które wypełniały mu czas. Jako chłopiec wręcz nie lubił czytać.

- Zawsze uwielbiałam walca, choć nieczęsto go tańczyłam, gdy mieszkałam w Londynie - westchnęła z żalem. - A teraz Hec - tor pozbawił mnie możliwości tańca na resztę wieczoru.

- Tura jeszcze się nie skończyła - zauważył. - Jeśli pani jest w stanie, możemy tańczyć dalej.

- Noga już prawie mnie nie boli - powiedziała, poruszywszy jeszcze raz palcami. - Dzięki Bogu, Hector waży tylko sto kilo, a nie całą tonę.

- Zatem dokończmy walca. - Wyciągnął do niej rękę.

Podawała mu dłoń i wstała.

- Pewnie pan żałuje, że poprosił mnie do tańca - powiedziała. - Ściągam na siebie

nieszczęścia, nawet jeśli niczym nie zawinię.

- Nie żałuję - odparł.

Lampion zakołysał się na wietrze, rzucając na nią raz smugi światła, raz cienia.

Nagle powietrze między nimi niemal zaczęło iskrzyć.

- Tańczmy tutaj - zasugerował.

- Tutaj? - Uniosła brwi i się roześmiała. - W świetle lampionów, pod gwiazdami? Jak rom... Jak cudownie! Tak, zatańczmy.

Miała zamiar powiedzieć: romantycznie. Skrzywił się w duchu. Nigdy nie był romantyczny. Nie wierzył w te sentymentalne bzdury.

Objął ją w talii, ujął jej dłoń i poprowadził do walca. Po chwili jednak uznał, że jego pomysł nie był rozsądny. Trawnik, zwłaszcza tak nierówny jak ten, okazał się nie najlepszym parkietem, a tańczenie tylko we dwoje na osobności było sprzeczne z zasadami etykiety. Znajdowali się wprawdzie w pobliżu domu, a otwarte drzwi sali balowej i zapalone lampiony zachęcały gości do wyjścia na zewnątrz, nie powinien jednak być z nią sam na sam.

Niemal natychmiast zrozumiał absurdalność swoich obiekcji. Przecież pani Derrick jest wdową i dobiega trzydziestki. W tym, co robili, nie było nic niestosownego.

Tyle że przebywanie z nią sam na sam wcale nie było bezpieczne.

Wirowali w rytm muzyki dobiegającej z sali. Po kilku minutach uderzyło go, że trawa pod stopami i rozgwieżdżone niebo nad głową to idealna sceneria do tańca. Zapach trawy i drzew był piękniejszy niż mieszanka perfum w sali balowej.

Trzymał w ramionach idealną partnerkę. Rozluźniła się w jego uścisku, pozwoliła się prowadzić i razem z nim poddała urokowi tańca.

Przyciągnął ją bliżej, żeby móc ją lepiej prowadzić po nierównym gruncie. Potem oparł jej dłoń na swoim sercu i przykrył swoją ręką. Nie wiadomo kiedy wtuliła twarz w fałdy jego halsztuka. Jej włosy łaskotały go pod brodą. Ciepła, delikatna i kobieca, przytulona do niego całym ciałem, udami dotykała jego nóg. Poruszali się w idealnej harmonii.

Pomyślał, że walc to niesamowicie zmysłowy taniec.

Poczuł wyraźny przyływ pożądania.

Minęło już tyle czasu...

Muzyka jeszcze brzmiała, ale oni się zatrzymali. Przez nieskończenie długą chwilę stali bez ruchu, aż w końcu ona uniosła głowę i spojrzała na niego.

Tym razem zobaczył jej twarz w świetle księżyca. Pomyślał, że jest wręcz nieziemsko piękna. Ujął jej twarz w dłonie i wsunął palce w jej miękkie włosy. Obrysował kciukami jej brwi, kości policzkowe i podbródek. Przesunął palcem wzdłuż ust, odchylił dolną wargę i

dotknął jej wilgotnego wnętrza. Musnęła językiem koniuszek jego kciuka, posaża lekko i zaprosiła go głębiej. Gorąca, miękka i wilgotna.

Cofnął palec i zastąpił go ustami.

Ale tylko na chwilę.

Odchylił głowę i spojrzał w jej pełne księżycowego blasku oczy.

- Pragnę cię - szepnął.

Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że mogła jednym słowem przerwać czar tej nocy.

Drobną cząstką siebie chciał, by tak się stało.

- Tak - odparła szeptem.

Patrzyła na niego pięknymi oczami spod wpełprzymkniętych powiek.

- Chodź ze mną nad jezioro.

- Dobrze.

Melodia walca rozbrzmiewała nadal. Z sali balowej dobiegał śmiech i gwar rozmów. Lampiony kołysały się na wietrze. Księżyc był niemal w pełni. W jego świetle i blasku tysięcy gwiazd na niebie księżę ujął Christine Derrick za rękę i poprowadził ku linii drzew na porośnięty trawą brzeg jeziora.

Christine świadomie nie dopuszczała do siebie głosu rozsądku. To była czarowna noc. Ostatnia. Jutro jej życie znów zacznie się toczyć zwykłym, raczej monotonnym trybem. Nie lubiła księcia Bewcastle'a i wszystkiego, co sobą reprezentował. Obraził ją arogancką sugestią, że pieniądze, klejnoty i własny powóz wydadzą się jej bardziej kuszące niż szlachetne ubóstwo i życie, jakie dotąd wiodła. Był ucieleśnieniem wszystkiego, czego nie cierpiała w mężczyznach.

Tak mówił rozsądek. Nie chciała słuchać jego oschłego, ponurego głosu.

Czuła do księcia niezaprzeczalny pociąg, najwyraźniej odwzajemniony. Miała niemal pewność, że dla obojga to wszystko działa się wbrew ich woli. Ale przecież było coś między nimi. Został im tylko dzisiejszy wieczór, by przekonać się, co to jest, zanim jutro ich drogi rozejdą się na zawsze.

Nie miała złudzeń, do czego to zmierza. Nie szli nad jezioro, by patrzeć na księżyc i kilka razy niewinnie się pocałować.

„Pragnę cię”.

„Tak”.

Mocno trzymał ją za rękę. W tym uścisku nie było cienia czułości ani romantyzmu. Ale to jej nie przeszkadzało. Łączyło ich przecież tylko zmysłowe pożądanie i obietnica czegoś więcej, gdy dotrą nad jezioro.

Nie miała pojęcia, dlaczego się na to zgodziła. Nie miała pojęcia. Rozwiązłość ani swoboda obyczajów nie leżała w jej naturze. Przed ślubem wymienili z Oscarem zaledwie kilka pocałunków, a w trakcie małżeństwa - mimo oskarżeń, które pojawiły się pod koniec - nigdy nawet nie pomyślała, by zdradzić męża. Przez ostatnie dwa lata prowadziła cnotliwe życie wdowy i nie czuła pokusy, aby zejść z tej drogi, choć w okolicy było dość dżentelmenów, którzy chętnie wdaliby się z nią w romans albo nawet starali o nią ze szlachetnych pobudek.

A teraz szła z księciem Bewcastle'em nad jezioro. Powiedział, że jej pragnie, a ona jednym słowem potwierdziła, że czuje do niego to samo.

Nawet nie próbowała tego pojąć. Odsunęła od siebie wszelkie myśli.

Muzyka i gwar głosów za nimi stopniowo ucichły. Szli w ciszy, przerywanej tylko od czasu do czasu pohukiwaniem sowy, szumem liści nad głową i szelestem jakichś zwierząt w zaroślach. Po upalnym dniu nastąpiła ciepła noc.

Nad jeziorem było jasno niemal jak w dzień. Blask księżyca lśnił na wodzie szeroką srebrzystą smugą.

Wspaniała romantyczna sceneria. Ich jednak nie połączyło romantyczne uczucie. Ciągłe trzymając ją za rękę, książę skręcił ku porośniętemu trawą brzegowi. Miejsce było niewidoczne ze ścieżki wiodącej do domu. Wybrał je pewnie na wypadek - choć raczej mało prawdopodobny - gdyby jeszcze komuś przyszło do głowy wybrać się tu na spacer.

Nie od razu puścił jej dłoń. Odwrócił się do niej i ustami odnalazł jej wargi.

Teraz już nic ich nie powstrzymywało. Byli z dala od sali balowej, nikt nie mógł ich zobaczyć ani usłyszeć. Nie musieli niczego udawać. Powiedział, że jej pragnie, a ona odpowiedziała: tak.

Gdy wreszcie uwolnił jej dłoń, zarzuciła mu ręce na szyję. Objął ją i przyciągnął do siebie. Rozchylił jej wargi pocałunkiem i wsunął jej język do ust. Gwałtowne pożądanie przeszło jej piersi i brzuch i spłynęło niżej między uda. Gdyby nie jego ręce podtrzymujące ją w talii, chyba upadłaby z uniesienia. Przyłgnęła do niego całym ciałem. Położył dłonie na jej pośladkach i przycisnął ją mocno. Nie miała wątpliwości, że pragnie jej równie gorąco, jak ona jego.

Rozluźnił uścisk, ale nie oderwał od niej ust. Zdjął frak, odsunął się, odwrócił i rozłożył go na trawie.

- Połóż się - powiedział.

Uświadomiła sobie, że to pierwsze słowa, które wypowiedział od chwili, gdy zaproponował przechadzkę nad jeziorem. Wyniosły ton jego głosu przypominał jej, z kim się tu znalazła. Ale to tylko podsycało jej podniecenie.

Położyła się z głową i ramionami na jego fraku, a on opadł na trawę obok niej. Dotknął jej kostek i przesunął palcami wzdłuż nóg, unosząc spódnicę sukni. Zdjął jej bieliznę i rozpiął guziki przy rozporku pantalonów. Jedną rękę włożył jej pod głowę, a drugą ujął jej podbródek. Pochylił się nad nią i znów zamknął usta namiętym pocałunkiem.

Christine delectowała się gwałtowną zmysłowością tego, co się działo. Spodziewała się, że on wejdzie w nią niemal natychmiast i wkrótce wszystko się skończy. Cieszyła się każdą chwilą. Była tak strasznie spragniona. Nie tylko przez ostatnie dwa lata. Miała wrażenie, że od zawsze.

Od zawsze.

Przesunął usta niżej, znacząc gorący szlak w dół jej podbródka i szyi aż do piersi. Zaczepił kciukiem głęboko wycięty dekolt jej sukni i pociągnął w dół, uwalniając pierś. Otoczył ją ustami i zaczął ssać, drażniąc językiem sutek. Głaskał dłonią wnętrze jej ud, a

potem dotknął ją w najintymniejszym miejscu. Zaczął je pieścić, aż odrzuciła głowę do tyłu i zaciskając mu palce we włosach, pomyślała, że zaraz oszaleje z rozkoszy.

Wsunął się między jej uda i rozłożył je szeroko na trawie. Podłożył dłonie pod jej pośladki. Bała się, że jest już zbyt wrażliwa i nabrzmiała i akt ostatecznego połączenia przyniesie jej tylko ból. Gdy poczuła jego nieustępliwą twardość na progu swego ciała, niemal zaczęła błagać, żeby się zatrzymał.

- Proszę - wyszeptała gardłowym głosem, który nawet w jej uszach zabrzmiał obco. - Proszę.

Wszedł w nią, długi i twardy. Była tak wilgotna i gotowa, że poczuła tylko zmysłową rozkosz, napiętą do granic bólu, który lada moment mógł rozerwać ją na strzępy.

Rozkosz, jakiej nigdy nie doznała.

O jakiej nawet nie śniła.

Wspięła się na jej szczyt, gdy tylko zaczął poruszać się w jej wnętrzu długimi, mocnymi pchnięciami. Zadygotała w ekstazie. Potem leżała zachwycona i rozluźniona, podczas gdy on poruszał się nad nią sekundy czy minuty, nie wiedziała jak długo. Wsluchiwała się w wilgotny rytm ich zespolenia, czując w sobie każde jego pchnięcie. Wkrótce na nowo ogarnęła ją namiętna gorączka i bolesne napięcie. Osiągnęła szczyt po raz drugi na chwilę przed nim. Znieruchomiał w niej nagle, wsunął się bardzo głęboko i westchnął. Poczuła w sobie gorący strumień jego spełnienia.

Na kilka chwil opadł na nią całym ciężarem. Potem przetoczył się na bok, usiadł i wstał. Stojąc plecami do niej, poprawił ubranie, odszedł parę metrów i zatrzymał się na brzegu jeziora, zapatrzonej w wodę. Wysoki, pięknie zbudowany mężczyzna w ciemnych pantalonach, haftowanej kamizelce i białej koszuli z koronką przy szyi i mankietach.

Książę Bewcastle.

Christine usiadła i doprowadziła swój strój do porządku. Potem podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Uświadomiła sobie, że nogi lekko jej drżą. Piersi miała wrażliwe, wnętrze ciała jeszcze rozpalone. Czowała się po prostu cudownie.

Przeżyła objawienie.

Kochała Oscara, najbardziej przez kilka pierwszych lat. Ale później też nie przestała go kochać. Ich współzycie nigdy nie budziło w niej odrazy. W końcu to zupełnie naturalna rzecz między mężem i żoną. Jeśli czasem czuła rozczarowanie, pocieszała się rozsądnie, że rzeczywistość nigdy nie dorównuje marzeniom.

Teraz zrozumiała, że rzeczywistość może nie tylko dorównać marzeniom, lecz nawet je przerosnąć.

Równocześnie zdawała sobie sprawę, że w tym akcie cielesnym nie było nawet odrobiny romantyzmu czy miłości i żadnej nadziei na przyszłość. Połączyła ich czysta namiętność.

A jednak sprawiła jej rozkosz.

Podobno tylko mężczyźni przeżywają to czysto fizycznie, dla kobiet zaś jest to przede wszystkim doświadczenie uczuciowe. A przecież w tej chwili ona nic do księcia nie czuła. Nic, nawet niechęci. A już na pewno nie wyobrażała sobie, że jest w nim zakochana. O nie.

To szokujące!

Oczywiście czuła pewien niepokój. Wiedziała, że nie ucieknie przed poczuciem winy, gdy znów zostanie sama z własnym życiem i myślami.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Tak przynajmniej przypuszczała, bo księżyc miał za plecami, więc nie widziała jego twarzy. Milczał jakiś czas.

- Pani Derrick - odezwał się wreszcie. - Chyba zgodzi się pani ze mną, że powinna rozważyć...

- Nie - przerwała mu w pół zdania. - Nie zgadzam się i nie rozważę ponownie. To, co się tu wydarzyło, to nie początek, tylko koniec. Z jakiegoś powodu, niezrozumiałego dla nas obojga, coś nas do siebie pociągnęło. Ulegliśmy temu pragnieniu i zaspokoiliśmy je. Teraz możemy się pożegnać, ruszyć jutro każde w swoją stronę i zapomnieć o sobie nawzajem.

Już gdy mówiła te słowa, miała świadomość, że wygaduje kompletne bzdury.

- Doprawdy? - spytał cicho.

- Nie zostanę pańską kochanką - rzuciła. - Zrobiłam to dla siebie, dla własnej przyjemności. To było naprawdę rozkoszne. Zaspokoiliam swoją ciekawość i na tym koniec.

Mocniej objęła kolana. Odwrócił twarz nieco w lewo, tak że widziała jego profil, dumny, arystokratyczny i piękny. Nawet teraz, już po fakcie, ledwo mogła uwierzyć, że obcowała z tym mężczyzną, że to wszystko, czym jeszcze pulsowało jej ciało, stało się za sprawą księcia Bewcastle'a. Przypomniała sobie, jak wyglądał w holu tamtego pierwszego popołudnia, gdy przyglądała mu się ze schodów. Wydał się jej groźny.

Chyba się wtedy nie myliła, prawda?

- Czy przyszło pani do głowy, że może pani zajść w ciążę? - spytał.

Dobrze, że siedziała, bo gdy usłyszała te obcesowe słowa, zrobiło się jej słabo. Stanowczo nie uciekał się do eufemizmów.

- Byłam bezpłodna przez siedem lat małżeństwa - odparła nie mniej bezpośrednio. - Myślę więc, że pozostanę bezpłodna jeszcze przez jedną noc.

Zapadła długa cisza. Nie przychodziły jej do głowy żadne zdawkowe słowa, a nie

chciała się z nim dzielić prawdziwymi myślami. Zaczynała rozumieć, że przed chwilą oszukiwała samą siebie. Nie potrafiła potraktować beznamiętnie tego, co się wydarzyło dzisiejszego wieczoru, nawet jeśli jej uczucia nie miały nic wspólnego z miłością. Wiedziała, że następne dni, a może nawet i tygodnie będą bardzo trudne. Kobiecie wcale nie jest łatwo oddać się mężczyźnie w przypadkowym zbliżeniu, a potem wzruszyć ramionami i stwierdzić, że to tylko przelotna rozkosz bez żadnych konsekwencji.

Teraz jednak było już za późno na refleksję, że powinna była poprosić o dziesięć minut do namysłu, zanim przyjmie propozycję pójścia nad jezioro.

- Więc nic, co powiem, nie zdoła pani skłonić do zmiany zdania? - odezwał się w końcu.

- Nic - zapewniła.

To przynajmniej było prawdą. Nie wyobrażała sobie gorszego losu niż być kochanką tego mężczyzny, podporządkowaną jego władzy i arogancji. Służącą na każde jego skinienie. Ciałem, w którym będzie szukał zaspokojenia, ilekroć przyjdzie mu na to ochota. Przez cały czas gardziłaby nim, czułaby niechęć, zrażona jego chłodem, posępnością i brakiem ludzkich odruchów. I gardziłaby sobą.

Ruszył w jej kierunku. Zerwała się pospiesznie na nogi. Nie chciała poczuć nawet dotyku jego ręki, gdy będzie jej pomagał wstać. Jemu jednak chodziło o frak. Schylił się, by go podnieść, otrzepał z trawy i włożył. Znowy wyglądał tak elegancko jak w sali balowej.

Splotła ręce za plecami. Zrozumiał jej gest i ruszył do ścieżki, nie podając jej ramienia. Dziwne, że dwoje ludzi, którzy przeżyli najbardziej intymne zbliżenie, krótko potem unika jakiegokolwiek wzajemnego kontaktu.

Ona jutro wróci do Hyacinth Cottage.

On jutro wyjedzie.

Nigdy więcej go nie zobaczy.

A przecież czuła jeszcze wrażliwość piersi, drżenie ud i gdzieś głęboko w sobie przyjemny ból, będące skutkiem tego, że się kochali. Choć akurat to słowo było absolutnie niewłaściwe.

W milczeniu dotarli do domu. Zatrzymał się parę metrów od drzwi sali balowej.

- Lepiej będzie, jeśli wrócimy osobno - rzucił. - Zostanę tu jakiś czas.

Zanim zrobiła choćby krok, odezwał się ponownie.

- Pani Derrick, proszę do mnie napisać do Lindsey Hall w Hampshire, jeśli zajdzie potrzeba - powiedział.

To nie była prośba, tylko polecenie. Nie wyjaśnił, o co mu chodzi. Nie musiał.

Christine zadrżała. Nagle zrobiło jej się zimno. Księżę odszedł i usiadł na ławeczce przy starym dębie. To tam ją posadził, wyniosłszy z sali balowej po tym, jak Hector nadepnął jej na nogę.

Wróciła do sali. Chyba jeszcze nigdy nie czuła tak straszego przygnębienia.

To tyle, jeśli chodzi o jej brak emocjonalnego zaangażowania w to, co się stało.

Wulfric siedział na ławeczce i myślał o tym, co się właśnie wydarzyło między nim a Christine Derrick. Nigdy nie uganiał się za kobietami. Z Rose spisali kontrakt i omówili wszystkie szczegóły, zanim po raz pierwszy doszło między nimi do zbliżenia.

Zawsze miał zdrowy apetyt na kobiety i regularnie zaspokajał swoje potrzeby, ilekroć był w mieście, ale nie uważał się za namiętnego mężczyznę.

Dopiero dzisiejszego wieczoru poczuł prawdziwą namiętność.

Zastanawiał się, jaki byłby dalszy bieg wypadków, gdyby Christine pozwoliła mu dokończyć to, co zaczął mówić. Sądziła, że chce powtórzyć propozycję, jaką jej złożył w labiryncie tydzień temu. Myliła się. I szczerze mówiąc, cieszył się, że mu przerwała. Zawróciła go z drogi, na którą zdecydował się wejść bez należytego zastanowienia. To rozwiązanie nakazywał honor, ale zapomniał o nim, gdy tylko nie pozwoliła mu dokończyć.

Nie potrzebował księżnej.

Zwłaszcza takiej, która nie dorównywała mu pozycją towarzyską. Która była bardzo ładna, a nawet piękna, gdy się ożywiła, ale brakowało jej elegancji i wytworności. Która zachowywała się impulsywnie, często na granicy dobrych manier. Która ściągała na siebie powszechną uwagę, ilekroć coś wzbudziło jej entuzjazm. A gdy coś się nie udało, śmiała się szczerze, zamiast czuć zawstydzenie.

Z pozycją księżnej wiąże się ogromna odpowiedzialność. Jeśli się kiedykolwiek ożeni, powinien wybrać damę, która została tak wychowana i wykształcona, by pewnie odnaleźć się w tej roli.

Pani Derrick stanowczo nie byłaby do tego zdolna.

Nie miała w sobie nic, co kwalifikowałoby ją do roli księżnej.

Aidan ożenił się poniżej swoich możliwości - Eve, choć wychowana i wykształcona na damę, była tylko córką walijskiego górnika. Rannulf również poślubił kobietę stojącą niżej od niego w hierarchii. Judith była córką skromnego wiejskiego pastora i wnuczką londyńskiej aktorki. Wulfric nie pochwalał wyborów braci, choć dał im swoje błogosławieństwo. Alleyne jako jedyny ożenił się odpowiednio, z siostrzenicą barona.

Czy on, księżę Bewcastle, głowa rodziny, miał postąpić tak samo niewłaściwie jak dwaj jego bracia? Poświęcić wszystko, czym żył, dla chwilowej namiętności, której zupełnie

nie mógł pojąć?

Gdyby pani Derrick nie przerwała mu w pół zdania, zaproponowałby jej małżeństwo. I skończyłoby się katastrofą, bo przecież na pewno by mu nie odmówiła. Wzgardzić propozycją zostania kochanką to jedno, ale która kobieta przy zdrowych zmysłach odrzuciłaby ofertę wyjścia za księcia i zarazem jednego z najbogatszych mężczyzn w Wielkiej Brytanii?

To by się skończyło katastrofą.

Pozwolił więc, by mu przerwała, by źle go zrozumiała.

A jednak teraz czuł, że stracił jedną z nielicznych szans, które ofiarował mu los, by wyjść poza rutynę, obowiązki i dotychczasowe życie i odkryć, czy poza nimi odnajdzie szczęście.

Szczęście?

Przypomniał sobie, że Aidan jest z Eve szczęśliwy, tak jak Rannulf z Judith. Nie mniej szczęśliwy niż Alleyne ze swoją siostrzenicą barona, Freyja z markizem czy Morgan z hrabią.

Ale oni byli wolni i dlatego mogli być szczęśliwi. Żadne z nich nie było księciem Bewcastle'em, który mógł oczekiwać od losu wszystkiego, tylko nie wolności i osobistego szczęścia.

Wstał i ruszył wolnym krokiem w kierunku pokoju do gry w karty. Pomyślał, że przez jakiś czas życie będzie mu się wydawać szare i bezbarwne, skoro nie ma żadnej nadziei na choćby krótkie spotkanie z Christine Derrick.

Lecz przecież życie jest szare i bezbarwne. W prawdziwym życiu nie ma niczego poza rutyną i obowiązkami. A przynajmniej nie dla niego. Gdy miał dwanaście lat, powiedziano mu, że jest inny, wybrany, związany przywilejem i obowiązkiem na resztę swych dni. Przez niecały rok buntował się i przeklinał swój los. Potem zaakceptował swoje przeznaczenie.

Chłopiec, w którego ciele przez dwanaście lat dzieciństwa żył i marzył, już dawno umarł.

Christine Derrick była nie dla niego.

Muzyka dobiegająca z sali balowej ucichła. Christine w swoim pokoju pakowała skromny bagaż. Justin siedział na łóżku. Oczywiście to, że tu przebywał, było niestosowne, ale nie miało to dla niej znaczenia. Poczwała ulgę, gdy w odpowiedzi na pukanie otworzyła drzwi i zobaczyła w progu Justina, a nie Melanie, Eleanor czy... jeszcze kogoś innego.

- Postanowiłam wrócić do domu z matką i Eleanor - wyjaśniła. - Oszczędzi to Bertiemu kłopotu, bo musiałby jeszcze raz wysłać powóz jutro rano.

- I pakujesz się w środku balu, zamiast wezwać pokojówkę, by zrobiła to za ciebie -

rzekł ze współczuciem. - Chrissie, moje biedactwo. Widziałem, jak Hector wpadł na ciebie, gdy tańczyłaś walca. Bewcastle wyniósł cię z sali. Wróciłaś godzinę później, przemknęłaś pod ścianami do drzwi i znikłaś. Czy na pewno nie stało się nic, co mogło cię zdenerwować? Mam nadzieję, że ksiązę nie powtórzył swojej haniebnej propozycji.

Christine westchnęła. Justin miał niesamowity talent do pojawiania się przy niej w trudnych chwilach jej życia, kiedy potrzebowała życzliwej osoby, z którą mogła podzielić się swoim smutkiem, gniewem czy frustracją. Zawsze znajdował sposób, by ją pocieszyć, służyć radą, czy choćby tylko rozbawić. Uważała za swoje wielkie szczęście, że ma takiego przyjaciela, ale dzisiejszej nocy nie chciała się zwierzać nawet jemu.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Zachował się bardzo szarmancko. Został przy mnie, aż znów mogłam stanąć na nodze. Spacerowaliśmy do końca tury, a potem on udał się, jak przypuszczam, do pokoju do gry w karty, a ja posiedziałam jeszcze na dworze. Było tam tak chłodno i spokojnie, że nie miałam ochoty wracać do sali. Wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, żeby się spakować i wrócić do domu już dziś, zamiast czekać do rana.

Spojrzał na nią z łagodnym uśmiechem. Zrozumiała, że zorientował się, iż po raz pierwszy w życiu go okłamała. Ale był jej przyjacielem, więc nie należał, by powiedziała mu więcej, niż miała ochotę.

- Cieszę się, że niczym cię nie zdenerwował - rzucił.

- Niczym - zapewniła. Schowała szczotkę do torby i zamknęła ją. - Ale cieszę się, że wracam do domu, Justinie. Zdaje się, że Hermione i Basil też się ucieszą z mojego wyjazdu. Wiesz, co zrobiły te wstrętne pannice, lady Sarah Buchan i Harriet King? Opowiedziały im o tym głupim zakładzie.

- Och, Chrissie, obawiam się, że to moja wina - odparł. - Audrey opowiedziała mi o waszym zakładzie, gdy go wygrałaś. Byłem pewien, że wieść o nim wkrótce się rozniesie, więc sam poszedłem do Hermione. Chciałem jej wyjaśnić, że zostałam w to wciągnięta wbrew swej woli, że sama nie wpłaciłaś pieniędzy do puli, że to Bewcastle zaprosił cię na spacer, a nie odwrotnie, i że absolutnie z nim nie flirtowałaś. Naprawdę chciałem, żeby Hermione to zrozumiała. Ale chyba źle zrobiłem. Może ona nigdy by się nie dowiedziała o zakładzie, gdybym jej o nim nie wspomniał.

Christine patrzyła na niego z przerażeniem. Więc to Justin był odpowiedzialny za tę okropną scenę nad jeziorem. Wiedziała, że często interweniował w konfliktowych sytuacjach, wyjaśniał jej racje i wstawiał się za nią. Zawsze była mu wdzięczna, że jej bronił, choć zwykle jego wysiłki nie na wiele się zdawały. Lecz akurat tę interwencję miała mu za złe. Wynikły z niej same kłopoty.

- Proszę, wybacz mi - powiedział z tak strapioną miną, że serce w niej stopniało.

- Cóż, pewnie ktoś inny opowiedziałby wszystko Hermione i Basilowi, gdybyś ty tego nie zrobił. To zresztą nie ma znaczenia. Pewnie więcej ich nie zobaczę.

Już nigdy, postanowiła sobie, nie przyjmie zaproszenia Melanie, jeśli tych dwoje będzie wśród gości. A jednak serce pękało jej z bólu. Basil był bratem Oscara i przez kilka lat także bratem dla niej. Hermione traktowała ją kiedyś jak siostrę.

- Porozmawiam z nimi jeszcze raz - obiecał Justin.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił - odparła i podeszła do drzwi.

- Tyle razy przemawiałeś w mojej obronie, że w końcu przestali ci wierzyć. Zostaw tę sprawę. Muzyka ucichła już jakiś czas temu. Kolacja pewnie dobiega końca. Chyba powinnam pojawić się na dole, choć została tylko jedna czy dwie tury tańców. Sąsiedzi pewnie nie zostaną długo, a goście wyjeżdżają jutro rano, więc nie będą chcieli kłaść się spać zbyt późno.

- Chodźmy więc - powiedział i również podeszedł do drzwi. - Zatańczysz ze mną i będziesz się promiennie uśmiechać, chociaż wiem, że Bewcastle powiedział albo zrobił coś, co cię zirytowało. Niech go diabli porwą.

- Wcale nie - zapewniła. - Jestem po prostu zmęczona. Ale nie aż tak, żeby z tobą nie zatańczyć.

Christine jeszcze nigdy w życiu nie była równie przygnębiona jak w tej chwili. Mimo to uśmiechnęła się.

Powiedziała matce i Eleanor, że wróci z nimi do domu. Potem zatańczyła z Justinem i z panem Gerardem Hilliersem. Uśmiechała się dzielnie i udawała, że dobrze się bawi. Z ulgą zauważyła, że księcia nie ma w sali balowej.

Gdy bal się skończył, podziękowała gospodarzom i wyjaśniła, że wróci do domu wraz z matką. Miała zamiar wymknąć się niepostrzeżenie, lecz Melanie ogłosiła jej odjazd wszem wobec. Odbyło się wielkie publiczne pożegnanie, którego właśnie chciała uniknąć, wyjeżdżając wcześniej.

Christine uściskała Audrey, pożegnała sir Lewisa Wisemana i życzyła im wszystkiego najlepszego z okazji ślubu, który miał się odbyć wiosną. Pocałowała lady Mowbury w policzki i obiecała pisać. Pożegnała się z licznym gronem młodych ludzi, którzy mówili jeden przez drugiego i śmiali się serdecznie.

Nawet Hermione i Basil uznali za swój obowiązek oficjalnie się z nią pożegnać. Hermione cmoknęła powietrze tuż przy jej policzku, a Basil sztywno się uklonił. Christine poczuła łzy napływające jej do oczu i mocno uściskała szwagierkę, czym zaskoczyła i ją, i

samą siebie.

- Tak mi przykro, Hermione - powiedziała. - Tak strasznie mi przykro.

Hermione przysunęła się do męża, a ten ją objął. Christine odwróciła się i niezgrabnie wsiadła do powozu.

Książę Bewcastle nie pojawił się wśród żegnających ją na tarasie. Christine była mu za to ogromnie wdzięczna. Opadła na wyściełane siedzenie powozu, dławiąc się od niewypłakanych łez.

- Wspaniały bal - powiedziała matka, siadając naprzeciw Eleanor. - Cieszę się, Christine, że wszyscy tak wylewnie cię pożegnali.

- Tak właśnie powinno być, mamó - wtrąciła Eleanor. - Christine nosi po mężu nazwisko Derrick i jest skoligaconą z lady Renable, wicehrabią Elrickiem i wicehrabią Mowburym. Nasza Christine jest niezwykle ważną damą - mrugnęła do młodszej siostry.

- To miłe ze strony hrabiego Kitredge'a, że poprosił, by nam go przedstawiono - stwierdziła matka. - I zatańczył z tobą, Christine. Podobnie jak książę Bewcastle, choć muszę przyznać, że on akurat zrobił na mnie niemiłe wrażenie. Nie podszedł, żeby nas poznać.

- Zbyt chłodny i wyniosły jak na mój gust - oceniła Eleanor. - Tak się cieszę, że ten wieczór wreszcie się skończył. Nigdy nie rozumiałam, na czym polega urok pląsania po parkiecie w tłumie par, zdzierania pantofli i silenia się na konwersację, skoro można by ten czas spędzić przyjemnie w domu, czytając dobrą książkę.

- Cieszę się, że te dwa tygodnie wreszcie minęły - oświadczyła Christine. - Stęskniłam się za moimi uczniami, za siostrzeńcami, mieszkańcami wsi i naszym ogrodem. I za wami - dodała z uśmiechem.

- A jednak ciągle się boję, że życie na wsi musi ci się wydawać nudne, skoro poznałaś wielki świat - powiedziała matka.

- Wcale nie jest nudne, mamó - odparła Christine i odchyliła głowę na oparcie. - A ten świat wcale nie był taki wielki.

Zamknęła oczy i nagle ogarnęło ją wrażenie, że znów znalazła się nad jeziorem. Książę Bewcastle pochylał się nad nią, by ją pocałować, a potem oboje porwała namiętność. Tak bardzo się starała przekonać samą siebie, że to było czysto zmysłowe przeżycie. Zupełnie bez znaczenia, przelotne i rozkoszne. Coś, o czym można szybko zapomnieć.

Tak! Tak właśnie było!

Otworzyła oczy, by uwolnić się od prześladowających ją wspomnień.

„On akurat zrobił na mnie niemiłe wrażenie”.

„Zbyt chłodny i wyniosły jak na mój gust”.

Dlaczego te słowa ją zaboląły? Zgadzała się z nimi, a jednak zaboląły. Czuła, że przepełnia ją smutek, choć nie rozumiała jego przyczyny.

Przeżyli najbardziej intymne zbliżenie. Ale tylko fizyczne. Między nimi nie było nic więcej. I nigdy nie będzie. Nie lubiła go, nie znajdowała w nim nic, co mogłaby podziwiać. I zapewne wzajemnie. Przeżyli miłosne zbliżenie bez miłości.

Czuła, że serce ciąży jej w piersi jak kamień.

Nigdy więcej go nie zobaczy.

Dzięki Bogu.

Nigdy.

To się wydawało niemal wiecznością.

Wulfric pojechał do Lindsey Hall w Hampshire. Przez cały tydzień napawał się pustką i ciszą ogromnej rezydencji. To był jego dom, jego miejsce na ziemi. Chyba po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że je kocha. Nigdy go nie chciał. Jako chłopiec zrobiłby wszystko, żeby zamienić się z Aidanem, żeby to on był dziedzicem tytułu i majątku. Ale przecież nic nie mógł zrobić.

Jako najstarszy syn księcia był skazany na ściśle określony, nieunikniony los. Nie miał swobody wyboru już od dzieciństwa.

Pewnie tak samo jak syn na przykład kominiarza.

Nigdy się nad sobą nie litował. Niby dlaczego miałby się uzalać? Setki ludzi wiele by oddało za choćby część przywilejów, bogactwa i władzy, które jemu należały się od urodzenia.

Chodził po całym domu i rozkoszował się świadomością, że nigdzie nie czają się hordy ludzi pragnących z nim porozmawiać. Włóczył się piechotą i konno po rozległym parku otaczającym dom i dziękował Bogu, że nikt nie zaproponuje pikniku czy wycieczki powozem.

A jednak, choć cieszył się samotnością, unikał miejsca, które zawsze odwiedzał, gdy chciał odpocząć w zupełnym odosobnieniu. Był zbyt niespokojny.

Spędził wiele godzin z rządcą, z którym nie widział się od Wielkanocy. Objechał z nim folwark należący do majątku, by sprawdzić, czy wszystko odbywa się zgodnie z jego poleceniami. Przyjął licznych dzierżawców i pracowników i wysłuchał ich problemów, co robił sumiennie dwa razy w tygodniu, ilekroć był w domu. Przejrzał księgi i sprawozdania finansowe. Przeczytał raporty rządców pozostałych majątków i podyktował swemu sekretarzowi stosowne odpowiedzi.

Napisał do każdego z rodzeństwa, co czynił przynajmniej raz w miesiącu.

Przyjął odwiedziny sąsiadów i wybrał się do nich z rewizytą. Wicehrabia Ravensberg, jego żona i dzieci wrócili właśnie z długiej podróży na północ. Po drodze zwiedzili Leicestershire i spędzili tydzień w Grandmansion u Rannulfa i Judith. Przywieźli stamtąd najświeższe nowiny.

Zaczął się zastanawiać, czy reszta lata nie wyda mu się cokolwiek nudna, postanowił więc odwiedzić niektóre swoje majątki.

Dużo czytał. A raczej siedział w bibliotece z otwartą książką w ręce i dumiał.

Znał wiele kobiet, które z radością skorzystałyby z szansy, by zostać jego kochanką. W tej myśli nie było cienia zarozumiałstwa. Nie uważał się za ucieleśnienie marzeń każdej kobiety. Wiedział jednak, że jest wpływowym i bardzo bogatym człowiekiem. Nie wątpił też, że kobiety doskonale wiedziały, jak hojny był wobec Rose.

Gdyby wybrał jedną z nich i uczynił swoją kochanką, pewnie byłby z niej zadowolony. Jego życie wkrótce potoczyłoby się dotychczasowym trybem.

Bardzo dotkliwie odczuwał brak Rose.

I próbował nie myśleć o kobiecie, którą chciał ją zastąpić.

Odrzuciła go. Tak jak kiedyś Marianne Bonner, gdy zaproponował jej małżeństwo. Pani Derrick odrzuciła go, bo uznała, że proponował jej to samo co poprzednio. Mimo iż chwilę wcześniej mu się oddała.

Odrzucenie dobrze mu zrobi.

A jednak czuł się zraniony, niemal zdruzgotany.

Zamierzał odwiedzić swoje pozostałe majątki, ale nie dopilnował, by wydać odpowiednie polecenia i zacząć przygotowania do wyjazdu.

Nigdy dotąd nie odkładał spraw na później, nie zwlekał, nie pogrążał się w zadumie.

Nie myślał o Christine Derrick. Ale często, a właściwie nieustannie, widział te błyszczące, roześmiane niebieskie oczy, rozwichrzone ciemne loki, opaloną cerę i nos obsypany piegami. Nie mógł się uwolnić od tych obrazów. Czuł, że serce ciąży mu jak kamień.

Już niedługo pojedzie do swoich majątków. Musi czymś się zająć.

Wkrótce wszystko wróci do normy.

Tydzień po powrocie do domu Christine miała wrażenie, że jej pobyt w Schofield wydarzył się wieki temu. Jej życie znów toczyło się zwyczajnym trybem. Znów była szczęśliwa.

No, może niezupełnie szczęśliwa, ale przynajmniej zadowolona. Wprawdzie przez kilka lat cieszyła się szczęściem z Oscarem, żyjąc w innym świecie, ale przeżyła rozczarowanie tamtym życiem i światem, który uczynił ją rozpaczliwie nieszczęśliwą. Ponowne spotkanie z Hermione i Basilem nie było przyjemne. Przebywanie w towarzystwie ludzi z wyższych sfer przypomniało jej, jak łatwo można zostać odrzucenym, wyszydzonym i potępionym. Nie doświadczała tego często ani w trakcie małżeństwa, ani teraz podczas pobytu w Schofield, ale w Hyacinth Cottage nie zdarzało się to nigdy. Tu mogła być sobą i nikt nie miał jej tego za złe. Nie miała w okolicy wrogów, tylko samych przyjaciół.

A jednak lata małżeństwa spędzone w wyższych sferach i dwutygodniowy pobyt w

Schofield pozostawiły w niej pewien niepokój. Czuła się uwięziona pomiędzy dwoma światami, nie należąc do żadnego z nich.

Wybrała życie na wsi i było jej tu dobrze. Zawsze miała coś do zrobienia. Lubiła uczyć w wiejskiej szkole, choćby tylko trzy godziny w tygodniu. Kiedyś zaproponowała, że może uczyć geografii, która była jej ulubionym przedmiotem, i tak zostało. Poza tym odwiedzała starszych i chorych mieszkańców. Robiła to już jako dziecko, towarzysząc matce lub żonie poprzedniego pastora. Lubiła ludzi w podeszłym wieku; zawsze niosła im uśmiech i mnóstwo wesołych opowieści, chętnie słuchała ich wspomnień i pomagała w różnych pracach.

Składała wizyty i przyjmowała gości, uczestniczyła w podwieczorkach i obiadach, a nawet w zabawie w wiejskiej gospodzie. Spotykała się z przyjaciółkami na ploteczki i z dzentelmenami, którzy chętnie zaczęliby się o nią starać, gdyby tylko zechciała.

Nie chciała, choć może powinna. Zawsze pragnęła mieć własny dom, ukochanego męża i dzieci. Męża straciła na parę lat przed jego śmiercią, a dzieci nigdy się nie doczekała. Jej marzenia się zmieniły. A może po prostu umarły.

Miała siostrzeńców na plebanii i dzieci Melanie w Schofield Park, choć tych ostatnich nie widywała zbyt często. Kochała dzieci, wprost je uwielbiała. Sama nigdy nie poczęła dziecka i to było największym rozczarowaniem w jej małżeństwie.

Odwiedziła Melanie i ucięły sobie dłuższą pogawędkę o udanej imprezie. Melanie twierdziła, że wszyscy panowie zakochali się w Christine, a hrabia Kitredge był niepokieszony, gdy się dowiedział, że wyjechała z Schofield zaraz po balu, zamiast poczekać do rana. Jej zdaniem Christine mogłaby zostać hrabiną jeszcze przed końcem lata, gdyby tylko miała na to ochotę.

- Wiem, że niechętnie patrzysz na mężczyznę od śmierci biednego Oscara - westchnęła.
- Kochany był z niego chłopak. I taki przystojny. Ale któregoś dnia zapomnisz o nim i znów się zakochasz. W pewnym momencie pomyślałam, że to będzie książę Bewcastle. Wygrałaś ten śmieszny zakład i tańczyłaś z nim walca na balu. A jednak, choć jest taki wspaniały i nadzwyczajnie uświetnił moją imprezę towarzyską, nie chciałabym go dla mojej najlepszej przyjaciółki. To prawda, że gdy wejdzie do pokoju, temperatura natychmiast spada o kilka stopni. Niemniej myślę, że on się w tobie trochę podkochiwał.

Christine roześmiała się, jakby Melanie opowiedziała świetny dowcip. Przyjaciółka zawtórowała jej dopiero po chwili.

- Nie, chyba jednak nie - przyznała. - Wątpię, czy w ogóle jest zdolny do podkochiwania się, czy jakichś ludzkich odruchów. Zastanawiam się, czy sam książę Walii

nie drży pod tym jego stalowym spojrzeniem.

Książę Bewcastle był jedyną osobą w życiu Christine, o której starała się nie myśleć i jak najszybciej zapomnieć. Wspomnienia o nim przynosiły tylko ból.

Po powrocie z Schofield miała mnóstwo spraw, którymi mogła się zająć z właściwym sobie entuzjazmem. Była niemal szczęśliwa. A przynajmniej zadowolona. Pod warunkiem że mocno trzymała na wodzy swoje myśli.

Po lekcji geografii Christine czuła, że jest zgrzana i zarumieniona. Dzień był bardzo ciepły, wyszła więc z dziećmi na zewnątrz. Jak zwykle bawili się w latanie na zaczarowanym dywanie do wybranego kraju. Uczniowie biegali po ogrodzie, machając rękami, żeby dywan nie opadł na ziemię. Christine razem z nimi. Nie mogła przecież zostać, gdy dywan ruszał w podróż.

Przelecieli nad wzburzonym Atlantykiem. Po drodze widzieli dwa żaglowce i wielką górę lodową. Potem skierowali się nad Zatokę Świętego Wawrzyńca i dalej do Kanady, aż wylądowali w Montrealu. Tam zwinęli dywan i ruszyli w głąb kontynentu na łódkach, wraz z wesołą kompanią francuskich podróżników handlujących futrami. Zgodnie wiosłowali, dzielnie pokonując wodospady i z trudem przenosząc łodzie i ładunek po lądzie, gdy dalsza droga wodnym szlakiem stała się niemożliwa. Śpiewali przy tym wesołą francuską piosenkę, by dodać sobie animuszu.

Kiedy dotarli do wielkiej factorii w Fort William nad Jeziorem Górnym, skąd mieli zacząć następną lekcję geografii, padli zmęczeni na latający dywan i powlekli się z powrotem w stronę budynku szkoły na lekcję arytmetyki.

Christine poczekała, aż dzieci wejdą do środka. Teraz może wrócić do domu, przebrać się i ochłonać w saloniku przy szklance świeżej lemoniady, przygotowanej przez panią Skinner. Z uśmiechem na twarzy odwróciła się, by ruszyć do domu.

Zauważyła mężczyznę opartego o płot, dżentelmena, jak się jej wydawało. Osloniła oczy ręką, żeby zobaczyć, kto to.

- Pani Thompson powiedziała mi, że tutaj panią znajdę - rzekł książę Bewcastle. - Przyjechałem z panią pomówić.

Dobry Boże! Najpierw pomyślała o swoich zarumienionych policzkach, potarganych włosach pod starym słomkowym kapeluszem, zakurzonej sukni i butach, i ogólnie niedbałym wyglądzie. Potem przyszło jej do głowy, że on musiał widzieć przynajmniej część tej dziwacznej lekcji. Śmiesznej, ale i skutecznej w przekazywaniu dzieciom wiadomości, tak że przyswajały wiedzę nie wiadomo kiedy. A potem wszystkie myśli uleciały jej z głowy i zostało tylko zdumienie.

Czuła się, jakby żołądek podszedł jej do gardła. Albo jakby zakręciło się jej w głowie podczas podróży latającym dywanem.

- Co pan tu robi? - spytała. Bardzo obcesowe pytanie, ale kto w takiej chwili przejmowałby się dobrymi manierami.

- Przyjechałem z panią pomówić - powtórzył z chłodną wyniosłością człowieka, który uważa, że ma prawo mówić, z kim chce i kiedy chce.

- Doskonale. - Lot nad Atlantykiem najwyraźniej pozbawił ją też tchu. - Proszę mówić.

- Może ruszymy do Hyacinth Cottage? - zasugerował.

Więc on już tam był? Oczywiście, przecież wspomniał, że rozmawiał z jej matką. Podszedł do drzwi i sam zapukał. Nie widziała w pobliżu żadnego służącego, który mógłby za niego wykonać tak przyziemną czynność.

Wyszła ze szkolnego ogródka i ruszyła u boku księcia. Na wypadek gdyby przyszło mu do głowy podać jej ramię, splótła ręce za plecami. Musiała wyglądać jak strach na wróble.

- Myślałam, że pan wyjechał dziesięć dni temu wraz z resztą gości - powiedziała.

Wiedziała, że wyjechał. Przecież była u Melanie z wizytą.

- Istotnie - potwierdził. - Pojechałem do Lindsey Hall. I wróciłem.

- Dlaczego? - Można by pomyśleć, że nawet nie słyszała o zasadach uprzejmej konwersacji.

- Musiałem z panią pomówić.

- O czym? - Zaczynało do niej w pełni docierać, że to księżę Bewcastle idzie wiejską drogą u jej boku.

- Czy były jakieś konsekwencje? - spytał.

Poczuła gorący rumieniec wypływający jej na policzki.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Mówiłam już panu, że jestem bezpłodna. Czy po to pan przyjechał? Zawsze okazuje pan taką troskliwość kobietom, z którymi pan... - nie zdołała znaleźć odpowiedniego eufemizmu, by dokończyć zdanie.

- Gdybym chciał się upewnić tylko co do tej kwestii, mógłbym przysłać swego sekretarza albo służącego - rzucił. - Zauważyłem koło pani domu zaciszny ogród. Czy moglibyśmy tam kontynuować rozmowę?

Pomyślała z niedowierzaniem, że księżę chce ponowić swoją ofertę. Jak on śmiał? Jak śmiał pojawiać się znów w jej życiu i burzyć jej spokój? Bardzo się starała o nim nie myśleć, ale nadal pojawiał się w jej snach i czasem nawet w ciągu dnia we wspomnieniach, od których nie umiała się uwolnić. A teraz jeszcze tu przyjechał.

To, że był księciem, nie oznaczało, iż wolno mu ją prześladować.

Rzecz jasna ich spacer nie pozostał niezauważony. Dzień był ciepły i przynajmniej połowa mieszkańców wsi siedziała przed domami albo stała w grupkach i plotkowała. Wszyscy pozdrawiali ją lub machali ręką, a potem uważnie przyglądali się księciu. I nawet jeśli niektórzy nie wiedzieli, kim jest ten mężczyzna, wkrótce na pewno się dowiedzą. To będzie sensacja dnia, co tam dnia, dekady!

Książę Bewcastle przeszedł przez wieś i zniknął w ogrodzie Hyacinth Cottage wraz z Christine Derrick. Wieść o tym na pewno dotrze do Melanie, która pojawi się jutro bladym świtem, by zażądać od przyjaciółki wyjaśnień.

Pomyśli, że od początku miała rację, że książę Bewcastle jednak się podkochiwał w Christine. A prawda była taka, że jej pożądał i postanowił uczynić swoją kochanką.

Nie odezwał się już, dopóki szli ulicą. Ona również milczała. Czuła, że jeśli tym razem książę nie zaakceptuje jej stanowczego „nie”, będzie musiała go spoliczkować. Nigdy nie uderzyła mężczyzny w twarz. Uważała, że posługiwanie się tą bronią jest nie fair, albowiem mężczyzna, jeśli był dżentelmenem, nie mógł przecież oddać. Ale tym razem aż ją ręka świerbiła, żeby trzasnąć w książęcy policzek.

Eleanor stała w oknie salonu, spoglądając sponad okularów, ale znikła, gdy Christine posłała jej piorunujące spojrzenie. Już sobie wyobrażała podniecenie i spekulacje, które trwają w domu.

Przeszła przez kolorowy od kwiatów frontowy ogród i poprowadziła księcia po kamiennych schodkach pod łukowatym trejażem do ogródka z boku domu. Miejsce było zaciszne, częściowo osłonięte od ulicy wysokimi drzewami. Stała za drewnianą ławeczką i położyła dłoń na jej oparciu. Rzuciła księciu obojętne spojrzenie. W ciemnoszarym surducie, nieco jaśniejszych spodniach i wysokich butach wyglądał niesamowicie męsko.

Zdjął kapelusz i trzymał w przepisowy sposób przy boku. Słońce zaśniło w jego ciemnych włosach.

- Pani Derrick, czy uczyni mi pani zaszczyt i wyjdzie za mnie? - odezwał się.

Christine patrzyła na niego kompletnie oszołomiona.

- Co?

- Nie mogę przestać o pani myśleć - powiedział. - Zastanawiałem się, dlaczego zaproponowałem, by została pani moją kochanką, a nie żoną, i nie znalazłem zadowalającej odpowiedzi. Nie ma prawa, które nakazywałoby mężczyźnie o mojej pozycji żenić się z dziewczyną albo damą, która nie była jeszcze mężatką. Żadne prawo nie wymaga też ode mnie, bym ożenił się z kobietą, która stoi w hierarchii towarzyskiej na równi ze mną. A jeśli pani

bez - dzietność po kilku latach małżeństwa jest oznaką pani bezpłodności, to również nie stanowi przeszkody nie do pokonania. Mam trzech młodszych braci, którzy po mnie dziedziczą, a jeden z nich ma już syna. Postanowiłem pojąć panią za żonę i proszę, by mnie pani przyjęła.

Patrzyła na niego oniemiała, zacisnąwszy dłonie na oparciu ławeczki. Przez głowę przelatywały jej najbardziej niedorzeczne myśli.

Mogła zostać księżną Bewcastle. Nosić gronostaje i diadem. A przynajmniej tak to sobie wyobrażała. Nigdy nie interesowała się, jakie przywileje łączą się z tytułem księżnej, jako że nie spodziewała się, by ktokolwiek miał jej zaproponować zajęcie tej pozycji.

A potem odzyskała rozsądek, gdy jego słowa wróciły do niej jak odbite echem.

„...z dziewicą... stoi w hierarchii towarzyskiej na równi ze mną... pani bezdzietność... oznaką bezpłodności. Postanowiłem pojąć panią za żonę”.

Mocniej zacisnęła palce na oparciu, czując, jak narasta w niej złość. Zdołała nad nią zapanować.

- Wasza Wysokość, jestem zaszczycona pańską propozycją - powiedziała, siląc się na spokój. - Mimo to odmawiam.

Wydawał się zdumiony. Uniósł brwi. Spodziewała się, że lada moment w jego dłoni pojawi się ten piekielny monokl, co ostatecznie doprowadziłoby ją do pasji, ale wyglądało na to, że nie miał go dzisiaj przy sobie.

- Hm, zdaje się, że panią obraziłem, gdy zaproponowałem jej coś innego niż małżeństwo - rzucił.

- Tak - odparła.

- Także wtedy, gdy po naszym zbliżeniu pozwoliłem pani myśleć, że mam zamiar powtórzyć ofertę - ciągnął.

Zmarszczyła brwi. A nie zamierzał? Chciał jej wtedy zaproponować małżeństwo? Nie wierzyła mu. Mężczyzna nie proponuje małżeństwa kobiecie, która właśnie pozwoliła mu zrobić z nią, co chciał. Dlaczego jednak przyjechał teraz, by się jej oświadczyć?

- Tak, pan mnie obraził - powiedziała.

Spojrzał na nią z, jak się zdawało, chłodną pogardą.

- I nie wystarczy przeprosiny, by załagodzić pani zranioną dumę, madame? - spytał. - Postanowiła pani odrzucić moją propozycję małżeństwa, bo nie może mi wybaczyć tej poprzedniej? Przepraszam. Nie chciałem pani obrazić.

- Nie - potwierdziła. Obeszła ławeczkę i usiadła, by nie upaść, gdy nogi odmówią jej posłuszeństwa, bo wtedy znów musiałaby przyjąć jego pomoc. - Chyba rzeczywiście pan nie

chciał. Oferta zostania kochanką księcia Bewcastle'a to zapewne wielkie wyróżnienie.

Zdawał się przewiercać ją spojrzeniem na wylot.

- Prosiłem już panią o wybaczenie - rzekł.

- Mogłabym wyświadczyć przysługę jakiejś kobiecie - rzuciła. - Będąc pańską żoną, pozostawiłabym jej rolę kochanki.

To już nie był brak manier. Zachowywała się wulgarnie. A złość dopiero zaczęła w niej narastać.

„...z dziewicą... stoi w hierarchii towarzyskiej na równi ze mną... pani bezdzietność... oznaką bezpłodności. Postanowiłem pojąć panią za żonę”.

Spojrzał na nią gniewnie.

- Pani Derrick, w małżeństwie jestem zwolennikiem wierności - stwierdził. - Jeśli kiedykolwiek się ożenię, moja żona będzie jedyną kobietą, z którą będę dzielił łożę, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Dobrze, że siedziała, bo nogi się pod nią ugięły.

- Być może - powiedziała. - Ale to nie będę ja.

Miała na sobie starą, wypłowiałą, połataną suknię. Była biedna i uzależniona od matki, wiodła tutaj nudne życie, porzuciwszy wszelkie marzenia. I oto odrzucała możliwość zostania księżną. Czy całkiem postradała rozum?

- Wydawało mi się, że nie jestem pani obojętny - rzucił. - I wbrew obiegowej opinii jedno zbliżenie nie zaspokoilo pożądaniami. Pani perspektywy na lepsze życie wydają się niewielkie. Gdyby została pani księżną, życie mogłoby pani zaoferować o wiele więcej. Czy odmawia pani tylko dlatego, by mnie ukarać? Czy przy okazji nie ukarze też pani siebie samej? Mógłbym ofiarować pani wszystko, o czym pani kiedykolwiek marzyła.

Czuła straszliwą pokusę, by go przyjąć. I to ją jeszcze bardziej rozgniewało.

- Doprawdy? - spytała ostro. - Męża o miłym usposobieniu i dobrym sercu, z poczuciem humoru? Kogoś kochającego ludzi, dzieci, zabawę i żarty? Kogoś, kto nie jest obsesyjnie skupiony tylko na sobie i własnej pozycji? Kogoś, kto nie jest jedną wielką bryłą lodu? Kogoś, kto ma serce? Towarzysza, przyjaciela i kochanka? Właśnie o tym zawsze marzyłam. Wasza Wysokość, czy może mi pan to wszystko ofiarować? Lub choćby tylko część? Cokolwiek?

Przeszywał ją spojrzeniem tak długo, aż w końcu musiała się powstrzymać, by nie zacząć się nerwowo wiercić na miejscu.

- Kogoś, kto ma serce - powtórzył cicho. - Tak, pani Derrick, zapewne ma pani rację. Ja chyba nie mam serca. A w takim razie brak mi też wszystkiego, o czym pani marzy,

prawda? Proszę mi wybaczyć, że zająłem pani czas i znów ją obraziłem.

Odwrócił się i odszedł. Pod łukiem trejażu, po schodkach, przez furtkę, którą zamknął cicho za sobą, i dalej drogą przez wieś, zapewne do gospody, gdzie zostawił powóz. Chyba nie zamierzał zatrzymać się w tak skromnym przybytku.

Christine patrzyła za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu. A potem spojrzała na swoje dłonie splecione tak mocno, że aż zbieleły kostki.

- Do diabła - powiedziała głośno. - Do diabła. Do diabła. Do wszystkich diabłów.

I nagle wybuchnęła płaczem, którego nie mogła opanować, choć obawiała się, że słyszeć go w salonie i na drodze.

Łkała, dopóki nie zabrakło jej łez.

Do diabła. Do diabła. Do wszystkich diabłów.

Nienawidziła go!

„Kogoś, kto ma serce”.

„Tak, pani Derrick, zapewne ma pani rację. Ja chyba nie mam serca”.

Gdy mówił te słowa, miał w oczach coś takiego...

Co?

Nie wiedziała, ale na samo wspomnienie pękało jej serce.

Po prostu pękało.

Nienawidziła go. Nienawidziła. Nienawidziła!

Wulfric nie zdziwił się, otrzymawszy zaproszenie na ślub panny Audrey Magnus z sir Lewisem Wisemanem pod koniec lutego. Ceremonia miała się odbyć w Londynie, w kościele Świętego Jerzego przy Hanover Square. O tej porze roku towarzystwo w mieście było jeszcze przerzedzone. Sezon rozpocznie się dopiero po Wielkanocy. Zrozumiałe więc, że lady Mowbury i jej syn zaprosili wszystkich członków wyższych sfer, którzy akurat byli w Londynie. Zresztą Wulfric przyjaźnił się z Mowburym, toteż zapewne i tak otrzymałby zaproszenie, bez względu na porę roku.

Z wyjątkiem dziesięciu dni w okresie Bożego Narodzenia, które spędził w Oxfordshire z Aidanem, Eve i ich rodziną, przebywał w stolicy od późnej jesieni, choć nie miał specjalnego powodu, by wracać do Londynu przed rozpoczęciem obrad parlamentu. Latem jeździł po kraju, odwiedzając swoje majątki. Naradzał się z rządcami, przyjmował petentów i składał wizyty sąsiadom. Potem wrócił do Lindsey Hall, gdzie zwykle zostawał do pierwszej sesji parlamentu.

Tym razem, kiedy tylko przyjechał, na nowo poczuł miłość do tego miejsca, a jednocześnie nieznośny niepokój, bo wydało mu się zatrwająco puste. Dziwne, ponieważ właśnie za tą pustką tęsknił, gdy przebywał z dala od domu. Teraz nawet Morgan, najmłodsza z rodzeństwa, nie mieszkała w Lindsey Hall od ponad dwóch lat. Wyszła za mąż i miała dwoje dzieci. Jej drugi syn urodził się na początku lutego. Gdy Wulfric odziedziczył tytuł, Morgan była małą dziewczynką. Zawsze traktował ją bardziej jak córkę niż siostrę, choć uświadomił to sobie, dopiero gdy jej zabrakło, a ściślej - w dniu jej ślubu.

Wrócił więc do miasta, bo tu przynajmniej miał swoje kluby i mógł liczyć na inne przednie rozrywki.

Poza tym musiał poszukać nowej kochanki. Nie żeby bardzo tego pragnął, ale miał potrzeby, które powinien zaspokoić, a był zbyt wybredny, by zadowolić się przygodnie poznaną prostytutką. Zawsze preferował stałość i monogamię.

Jednak luty dobiegał końca, a on wciąż nikogo nie znalazł. Cóż z tego, że któregoś wieczoru wybrał się do teatru i zwrócił uwagę na pewną rozchwytywaną aktorkę, a potem zjawił się w jej garderobie i zaprosił na kolację. Miał zamiar omówić z nią przy tej okazji warunki kontraktu, ona zaś dała wyraźnie do zrozumienia, że chętnie porozmawia na ten temat i może nawet skonsumuje ich układ, zanim ustalą wszystkie szczegóły. Gdy jednak przyszło co do czego, rozmawiał z nią tylko o grze aktorskiej i teatrze, a potem odwiózł do

domu i hojnie wynagrodził za poświęcony mu czas. Z kolei piękna, światowa i znana z dyskrecji lady Falconbridge zasygnalizowała mu, że jest nim zainteresowana, i nawet spędził w jej towarzystwie trochę czasu, lecz nigdy nie poruszył sprawy, którą oboje mieli na myśli.

Zwlekał. Rzadko to robił.

Nie zdziwił się, otrzymawszy zaproszenie, ale zawahał się, zanim na nie odpowiedział. Wicehrabia Elrick i baron Renable z żonami należeli do rodziny Mowbury'ego. Było wielce prawdopodobne, że zjawią się na ślubie. Znał ich od lat i zwykle nie miałby oporów, by się z nimi spotkać. Jednak niedawno, a ściślej ponad sześć miesięcy temu, spędził z nimi dwa tygodnie w Schofield Park. Panna młoda, jej oblubieniec i reszta jej rodziny również byli tam obecni.

Stanowczo wolałby, żeby nikt i nic nie przypominało mu o nieszczęsnych wypadkach, do których wtedy dopuścił. Postanowił o nich zapomnieć i miał wrażenie, że mu się udało. Dlaczego miałoby się nie udać? Cała ta sprawa z panią Derrick była czystym szaleństwem. Cieszył się, że zdołał się od niego uwolnić i przy okazji nie zrujnował sobie życia. Nie chciał jednak, by cokolwiek mu o tym przypominało.

Niemniej zawsze przestrzegał wszelkich form towarzyskich i postępował zgodnie z zasadami dobrego wychowania. W krótkim liście przyjął więc zaproszenie i nakazał swemu sekretarzowi, by wysłał go do lady Mowbury.

Christine bardzo lubiła Melanie i Audrey, ale nie przyjęłaby zaproszenia na ślub Audrey, gdyby nie pewne nadzwyczajne wydarzenie. Ślub miał się odbyć w Londynie, jednak podróż nie była przeszkodą. Melanie i Bertie, którzy wybierali się na ceremonię, z pewnością zgodziliby się zabrać ją swoim powozem. Przypuszczalnie zaproponowałiby jej również, by się u nich zatrzymała, choć lady Mowbury w dopisku do zaproszenia zapewniała Christine, że z radością ugości ją u siebie.

Jakże jednak mogła pojechać, skoro nie miała żadnej porządnej sukni? Poza tym na pewno przyjadą Hermione i Basil, a jej wciąż serce się ścisnęło na wspomnienie tego, jak podle i okrutnie potraktowali ją latem w Schofield Park. Ich wrogość i nienawiść nie osłabły przez ostatnie dwa, a właściwie już prawie trzy lata. Nadal mieli jej za złe, że weszła do ich rodziny. Nie chciała znów mieć z nimi do czynienia.

Napisała więc serdeczny list i uprzejmie odmówiła. Położyła kopertę na kominku w salonie, by wysłać ją przy pierwszej okazji. A godzinę później stało się coś naprawdę dziwnego. Do Hyacinth Cottage przyszedł list od Basila. Do niego dołączony był czek na dużą sumę pieniędzy. Christine, której jedynym źródłem dochodów była skromna pensja nauczycielki, wydała się ona wręcz fortuną.

W krótkim, szorstkim w tonie liście Basil wyjaśnił, że pieniądze mają być przeznaczone na nowe stroje i osobiste drobiazgi. Christine zapewne będzie chciała być obecna na ślubie ich kuzynki i musi na nim porządnie wyglądać. A poza tym była jego bratową i ponosił za nią odpowiedzialność. Ubiegłego lata Hermione zwróciła mu uwagę, że garderoba Christine jest już mocno sfatygowana.

Nic więcej. Żadnych ciepłych słów, przeprosin, przebaczenia, pozdrowień, wieści o rodzinie czy pytań. Tylko krótka instrukcja i czek.

Christine w pierwszym odruchu chciała zwrócić czek z jeszcze krótszą, oschłą notką. Ale gdy jeszcze czytała list, do jej pokoju weszła Eleanor w poszukiwaniu nici do haftowania.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha - stwierdziła, spojrzawszy na siostrę.

- Spójrz na to. - Christine podała jej list i czek.

Eleanor przeczytała jedno, obejrzała drugie i uniosła pytająco brwi.

- Latem w Schofield traktowali mnie, jakbym była nędznym robakiem, którego najchętniej by rozdeptali - powiedziała Christine.

- I z powodu urażonej dumy zamierzasz odesłać im pieniądze - domyśliła się Eleanor.

- Podczas tamtego balu byli bardzo mili dla mnie i dla mamy. Siedzieli z nami przy kolacji i zachowywali się bardzo uprzejmie.

Christine nawet o tym nie wiedziała.

- Nie mogę przyjąć od nich pieniędzy - oświadczyła.

- Dlaczego? - spytała Eleanor. - Jesteś wdową po jedynym bracie wicehrabiego Elricka. Potrzebujesz nowych strojów, zwłaszcza że nie pozwalasz mamie niczego ci sprawić.

To prawda. Oscar zostawił ją bez grosza, ale Christine uważała, że to nie w porządku, by matka ją utrzymywała, skoro dochód ze spadku po ojcu ledwo starczał na potrzeby jej i Eleanor.

- Tu jest dość pieniędzy, by sprawić piękne stroje nam trzem - powiedziała. - Ale nie mogę tego przyjąć. Przecież oni mnie wręcz nie znoszą.

- Pieniądze są dla ciebie. - Eleanor wskazała list. - Wicehrabia Elrick wyraził się jasno. A jeśli cię nie znoszą, to dlaczego przysłali ci czek? Moim zdaniem chcą wyciągnąć rękę do zgody.

- Oni nadal winią mnie za śmierć Oscara - odparła Christine. - Basil go uwielbiał, a ponieważ Hermione uwielbia Basila, cierpi ból razem z nim.

- Jakżeż mogą cię za to winić? - mruknęła Eleanor poirytowana. - Nigdy tego nie rozumiałam, Christine. Przecież Oscar był na polowaniu. Czy miałaś go powstrzymać przed wyjściem z domu?

Christine wzruszyła ramionami. Nigdy nie powiedziała prawdy o śmierci Oscara ani matce, ani swojej ukochanej siostrze. Świadomość tego kłamstwa bardzo jej ciążyła na sercu.

- Więc myślisz, że to ręka wyciągnięta do zgody? - Zmarszczyła brwi.

- W jakim innym celu by to przysłał? - spytała Eleanor.

Właśnie. Może żalowali słów, które powiedzieli na jej temat podczas tamtych dwóch tygodni w Schofield i rzeczywiście chcieli wyciągnąć rękę do zgody? Jeśli odeśle czek, obrazi ich i podsyci wrogość, której przecież nigdy nie chciała. Nienawiść i chowanie urazy nie leżały w jej naturze. Nie chciała ich nienawidzić i więcej ranić. Może Basil wreszcie zrozumiał, że Christine jest jedynym ogniwem, które łączyło go jeszcze z bratem?

A może Hermione obawiała się, że Christine pojawi się na ślubie w łachmanach i narobi im wstydu? Może tylko o to im chodziło?

Po co przypisywać ludziom najgorsze intencje? Jeśli przyjmie takie nastawienie, wyrządzi krzywdę tylko sobie. Lepiej myśleć o innych to, co najlepsze i najwyżej czasem przeżyć zawód.

Westchnęła.

- Jeżeli zatrzymam czek, będę musiała pojechać na ślub Audrey - powiedziała. - Oczywiście jeśli Melanie i Bertie zgodzą się mnie zabrać swoim powozem.

- Jeśli! - parsknęła Eleanor i wzniosła oczy do nieba. - Wiesz doskonale, że za dzień czy dwa lady Renable wpadnie tutaj i zacznie cię przekonywać, byś przyjęła zaproszenie. Nawet gdybyś postanowiła nie jechać i wysłała odmowną odpowiedź, i tak w końcu pojedziesz.

- Czy naprawdę mam taką słabą wolę? - Christine zmarszczyła brwi.

- Nie, ale Melanie to najbardziej uparta kobieta, jaką miałam nieszczęście poznać - odparła Eleanor. - Nie mówiąc już o tym, że jest okropnie płytka i pretensjonalna - zachichotała. - Mimo to lubię ją, zwłaszcza że to ciebie wybrała na przyjaciółkę, a nie mnie. Christine, masz może nici do haftowania w tym odcieniu zieleni? Jeśli nie, będę musiała iść do sklepiku, a jeszcze pada.

Christine zdecydowała się zatrzymać czek i kupić sobie nowe stroje. Matka i Eleanor kategorycznie odmówiły przyjęcia nawet drobnej sumy. Doszła do wniosku, że będzie musiała pojechać na ślub, skoro pieniądze były przeznaczone na stroje na tę okazję. Postanowiła jednak, że przywiezie z Londynu podarki dla matki i sióstr.

Jak przyjemnie było pomyśleć, że będzie mogła kupić prezenty!

Podarła list z odmową i napisała do lady Mowbury jeszcze raz, przyjmując zaproszenie. Potem przez prawie godzinę męczyła się nad ułożeniem stosownej odpowiedzi

dla Basila.

Jeszcze tego samego popołudnia stukot kopyt i skrzypienie kół obwieściły przybycie do Hyacinth Cottage Melanie gotowej stoczyć bitwę, która okazała się niepotrzebna. Christine powiedziała przyjaciółce, że przyjęła zaproszenie na ślub i właśnie szykowała się, by jak tylko przestanie padać, pójść do Schofield Park i prosić o zabranie jej z sobą do Londynu.

- Przyszłabyś? - Melanie przycisnęła dłoń do serca. - Tylko po to, by prosić o zabranie się z nami do Londynu? Mój najsilniejszy lokaj wsadziłby cię do powozu siłą, gdybyś nie chciała jechać z własnej woli. A ty miałaś zamiar taplać się w błocie, żeby mnie prosić?

Christine się roześmiała. Eleanor ukryła twarz w książce.

Pojedzie do Londynu. Na ślub Audrey w kościele Świętego Jerzego. Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy denerwować. Ale przecież sezon jeszcze się nie zaczął, większość arystokracji będzie nieobecna w stolicy. Poza tym ślubem nie szykują się żadne inne imprezy towarzyskie, a lady Mowbury określiła go jako uroczystość rodzinną.

Sprawi sobie nowe stroje i to według ostatniej mody. Nie byłaby sobą, gdyby nie cieszyła się z tej perspektywy.

Wulfric zajął miejsce w ławce i starał się skupić uwagę na sir Lewisie Wisemanie, który czekał przy ołtarzu na przybycie oblubienicy. Biedak wyglądał, jakby miał za ciasno zawiązany halsztuk.

Dziwne, pomyślał. Naprawdę dziwne. Przecież spodziewał się, że przybędzie cała rodzina panny Magnus, i nawet się zawahał przed przyjęciem zaproszenia, bo nie chciał, by coś lub ktoś przypominał mu tamte dwa tygodnie w Schofield Park. Mimo to ani razu nie przyszło mu do głowy, że Christine Derrick, która przecież była z tą rodziną skoligacona przez małżeństwo, również może się zjawić.

Niemal jej nie poznał w modnej błękitnoszarej sukni. Zerknęła na niego, kiedy ją mijał, i na jedną okropną chwilę spotkali się spojrzeniem. Potem ona pospiesznie pochyliła się do przodu, a on odwrócił głowę.

Gdyby wiedział, na pewno by nie przyjechał.

Nie chciał już nigdy w życiu widzieć Christine Derrick. Nawet myśl o niej irytowała go. Z zażenowaniem przypominał sobie, że przebył długą drogę z Hampshire do Gloucestershire, by zaproponować małżeństwo owdowiałej córce wiejskiego nauczyciela, która często nie wiedziała, jak się zachować w towarzystwie i uważała swoje żenujące przygody za śmieszne. Nie mógł wybrać na swoją księżną mniej odpowiedniej kobiety.

I jeszcze mu odmówiła!

Dopiero później przyszło mu do głowy, że tego ranka oboje zachowali się inaczej niż

zwykle. On nigdy nie odwracał wzroku, gdy ktoś na niego spojrział. A ona w Schofield niemal wyzywała go na pojedynek, kto dłużej wytrzyma spojrzenie, aby przypadkiem nie pomyślał, że opuszcza wzrok w jego przeświecanej obecności, potulnie spełniając niemy rozkaz.

Powróciła dawna irytacja, choć zdawało mu się, że w ciągu minionych miesięcy zdążył już zapomnieć o Christine Derrick.

Postanowił, że dotrwa do końca ceremonii, a potem pod byle pretekstem wymówi się od weselnego śniadania. Albo poczeka w swojej ławce, aż wszyscy wyjdą z kościoła, i później wymknie się niezauważony.

Zachowywał się jak tchórz, stanowczo niezgodnie ze swym charakterem. Ale w ten sposób wyświadczy grzeczność pani Derrick. Niewątpliwie była tak samo jak on skonsternowana ich spotkaniem. Pewnie nie spodziewała się, że zobaczy go wśród zaproszonych gości.

„Męża o miłym usposobieniu i dobrym sercu, z poczuciem humoru”.

Usłyszał jej słowa, jakby wypowiedziała je tu i teraz, w kościele Świętego Jerzego. Jej głos drżał z gniewu i pogardy.

Nie miał w sobie ciepła, współczucia, dobroci ani humoru. Właśnie to mu zarzuciła i częściowo z tego powodu go odtrąciła.

Nie miał w sobie ciepła.

Dobroci.

Humoru.

Dlaczego jej słowa tak bardzo zapadły mu w pamięć? Pamiętał nawet, jak wtedy wyglądała. Zakurzona i spocona po tej dziwnej lekcji geografii, którą urządziła wiejskim dzieciakom, potargana, zarumieniona, z błyszczącymi oczami.

Co takiego w niej było, że postanowił się z nią ożenić? Nawet po tym, co stało się nad jeziorem, mógł uznać, że wystarczy ofiarować jej carte blanche. Wszak nie spodziewała się więcej. Dowodziła tego jej reakcja na jego słowa, gdy nie pozwoliła mu dokończyć. Więc dlaczego zaproponował jej małżeństwo? I czemu był tak wytrącony z równowagi po jej niespodziewanej odmowie?

Zraniona duma?

Na szczęście doszedł już do siebie i teraz był bardzo wdzięczny losowi, że Christine Derrick go nie przyjęła.

„Kogoś kochającego ludzi, dzieci, zabawę i żarty”.

Oczywiście nie był takim człowiekiem. Dobre sobie, zabawa i żarty! Ale przecież kochał ludzi, kochał dzieci.

„Kogoś, kto nie jest obsesyjnie skupiony tylko na sobie i własnej pozycji. Kogoś, kto nie jest jedną wielką bryłą lodu. Kogoś, kto ma serce”.

Nie potrafił sobie poradzić z tym, co od niej usłyszał. Właśnie te ostatnie zdania sprawiły mu najwięcej bólu. Oczywiście zanim doszedł do siebie po całym tym szaleństwie.

Na szczęście panna Magnus zjawiała się w kościele spóźniona zaledwie minutę czy dwie, więc Wulfric mógł skupić uwagę na ceremonii ślubnej. Rozumiał niemądrą dumę, z jaką Mowbury odprowadzał siostrę do narzeczonego. Od ślubu Morgan minęło dwa i pół roku, od ślubu Frei ponad trzy. Przy obu okazjach ku swemu zdumieniu czuł ból, jakby kogoś stracił. Zwłaszcza wobec Morgan, najmłodszej z rodzeństwa, którą wszyscy uwielbiali. Nawet on...

„Kogoś, kto ma serce”.

Wyczuwał obecność Christine Derrick, siedzącej kilka ławek za nim. Jakby długim piórem muskała go wzdłuż kręgosłupa. Z trudem się powstrzymywał, by nie wzruszać nerwowo ramionami.

Patrzył w skupieniu na młodą parę i pastora. Słuchał uważnie tego, co mówią, ale nie rozumiał ani słowa.

Długo zwlekał po zakończeniu ceremonii. Gdy wyszedł z kościoła, państwo młodzi już odjechali. Podobnie jak Mowbury, jego matka i większość członków obu rodzin, łącznie z panią Derrick. Jej nieobecność sprawiła mu ogromną ulgę, ale teraz nie mógł już uniknąć pójścia na weselne śniadanie, gdyż nie zdążył się wymówić przed Mowburym. Zniknięcie bez słowa byłoby bardzo niegrzeczne, a zawsze starał się okazywać dobre maniery.

Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

- Bewcastle, jeśli pan pozwoli, zabiorę się pana powozem, a swój zostawię młodzieży
- powiedział hrabia Kitredge.

- Będzie mi bardzo miło - zapewnił Wulfric.

Pojedzie na śniadanie, złoży życzenia młodej parze, podziękuję lady Mowbury i wymknie się przy pierwszej okazji. Przez następne kilka dni będzie wychodził tylko do parlamentu albo do White'a, a przez resztę czasu pozostanie w Bedwyn House. Pomyślał, że tak postępuje tchórz, ale tłumaczył sobie, że to zupełnie naturalna decyzja. Wszak o tej porze roku niewiele było rozrywek towarzyskich, nie musiał ich więc unikać.

Większość gości w Magnus House na Berkeley Square nie zasiadła jeszcze w sali balowej, gdzie ustawiono stoły. Przechadzali się i przystawali w luźnych grupach, by się przywitać i porozmawiać. Wulfric trzymał się na uboczu. Miał w tym ogromne doświadczenie. Najchętniej usiadłby na przeznaczonym mu miejscu, ale przeszkodził mu

Kitredge, z którym przybył.

- Ach, tam jest - powiedział hrabia, chwytając Wulfrica za rękaw. - Jedyna osoba, z którą mam ochotę porozmawiać. Pan też ją zna, Bewcastle. Chodźmy.

Zbyt późno Wulfric zorientował się, że hrabia ciągnie go w stronę Christine Derrick, stojącej z Elrickami, Renable'ami i Justinem Magnusem.

Chyba niedawno znów obcięła włosy. Krótkie lśniące loki otaczały jej ładną twarz o dużych oczach. Dobrze wyglądała w szarej sukni z błękitnymi dodatkami. Każda inna kobieta w stroju o tak spokojnych barwach wyglądałaby blado, ale energia i humor bijące od Christine sprawiały, że kolory niemal promieniały blaskiem. Śmiała się z czegoś, co powiedział Magnus. Ożywiona i zarumieniona, była wręcz niewiarygodnie piękna.

Gdy zauważyła, że nadchodzą, jej ożywienie znikło, choć uśmiech na ustach pozostał.

Kitredge przywitał się z całym towarzystwem. Potem ujął dłoń Christine, pochylił się nad nią, lekko skrzypiąc gorsetem, i uniósł do ust.

- Pani Derrick, wygląda pani jeszcze piękniej niż zwykle - powiedział. - Prawda, Bewcastle?

Wulfric zignorował tę uwagę i ukłonił się wszystkim po kolei. Jej także.

- Madame - odezwał się formalnie.

- Wasza Wysokość.

Spojrzała mu prosto w oczy. A spodziewał się, że utkwi spojrzenie w jego halsztuku albo podbródku. Jakież z niego głupiec. Najwyraźniej doszła już do siebie po nieoczekiwanym spotkaniu w kościele i nie chciała dawać mu satysfakcji, że wprowadził ją w zakłopotanie. Jeśli w ogóle je odczuwała.

- Mam nadzieję, że pani matka jest w dobrym zdrowiu? - spytał.

- Tak, dziękuję.

Nie odwróciła wzroku.

- A siostry?

- Również. Dziękuję.

- Miło mi to słyszeć.

Palce jego prawej dłoni zacisnęły się na monoklu.

Na chwilę opuściła spojrzenie na jego rękę i szkiełko i znów uniosła wzrok. Teraz w jej oczach zobaczył rozbawienie, choć na ustach nie było już uśmiechu.

- Jak pięknie przystrojono salę balową na wesele - zauważył Kitredge. - Pani Derrick, może zechciałaby pani przejść się ze mną i popodziwiać dekoracje z kwiatów?

Uśmiechnęła się promiennie i ujęła podane jej ramię.

- Z przyjemnością.

Podczas śniadania siedziała w gronie rodziny. Wulfric zajmował miejsce w pewnej odległości od niej i uprzejmie rozprawiał z lady Hemmings po swojej lewej stronie i panią Chesney z prawej. Po śniadaniu złożył młodej parze najlepsze życzenia, podziękował za zaproszenie, pożegnał się i odprawivszy powóz czekający na niego na placu, ruszył do domu pieszo.

Czuł rozdrażnienie, a nieczęsto pozwalał sobie na takie emocje. I zawsze starał się jak najszybciej usunąć przyczynę, która je wywoływała.

Ale jak uwolnić się od irytacji na kobietę, która uporczywie zaprzętała jego myśli i burzyła krew, choć wydawało mu się, że wyrzucił ją z pamięci i wspomnień już dawno temu? Od kobiety, która śmiała się wesoło i rozmawiała z ożywieniem nawet z osobami siedzącymi po drugiej stronie stołu.

Zdecydowanie brakowało jej oglady.

Jak poradzić sobie z kobietą, która odważnie patrzyła mu w oczy, ilekroć zauważyła, że ją obserwował? Unosiła pytająco brwi, czym wytrącała go z równowagi, a potem się z niego w duchu śmiała.

Skręcając w boczną ulicę i gromiąc wzrokiem dwóch stangretów stojących na rogu, Wulfric uświadomił sobie, że nadal jest w niej zadurzony.

Diabła tam, zadurzony. Był w niej szaleńczo zakochany. Nie cierpiał jej, drażniła go, niemal wszystko miał jej za złe, a jednak zakochał się w niej po uszy jak nieopierzony smarkacz.

Zastanawiał się, co ma z tym zrobić.

Wcale nic było mu do śmiechu.

Wcale.

Christine przyjechała do Londynu na tydzień przed ślubem Audrey i zatrzymała się w miejskiej rezydencji Melanie i Bertiego. Ten tydzień upłynął jej bardzo przyjemnie na licznych wyprawach po zakupy na Oxford Street, a niekiedy nawet na Bond Street. Potrzebowała nowych strojów i tym razem miała na to pieniądze. Poza tym zakupy były ulubioną rozrywką jej przyjaciółki Melanie. Christine zaopatrzyła się w garderobę na wiosnę i lato, ładną, modną, a jednocześnie praktyczną i za niezbyt wygórowaną cenę. Chciała zostawić trochę pieniędzy na podarki dla matki i rodziny. Zresztą z natury nie była rozrzutna.

Wraz z Melanie odwiedziła lady Mowbury i rozmawiała z Audrey o zbliżającym się weselu. Wybrała się też z Justinem na przejażdżkę po parku.

Dwa dni przed ślubem pojechała z Melanie i Bertiem na kolację do Hermione i Basila. Bała się tego spotkania, lecz oboje przyjęli ją bardzo uprzejmie, choć bez wylewności. W trakcie wieczoru Basil wziął ją na stronę i oznajmił, że zamierza raz na kwartał wypłacać jej pewną sumę, ponieważ czuje się odpowiedzialny za wdowę po swoim bracie. Gdy próbowała protestować, nie ustąpił. Wyjaśnił, że omówili to z Hermione i wspólnie doszli do wniosku, iż tego by chciał Oscar. Christine zrozumiała, jakie to dla niego ważne, i już nie oponowała.

Kiedy się żegnali, Hermione pocałowała powietrze przy jej policzku i poddała się serdecznemu uściskowi szwagierki.

Zawarli więc coś w rodzaju pokoju. Christine była zadowolona, zwłaszcza że bratankowie Oscara powitali ją z entuzjazmem, jakby nigdy nie przestała być ich ulubioną ciotką.

Cieszyła się, że przyjechała do Londynu na ślub Audrey. Jej radość nie osłabła nawet wtedy, gdy weszła do kościoła Świętego Jerzego przy Hanover Square i zauważyła, że zaproszono mnóstwo gości także spoza rodziny. Na szczęście miała na sobie najładniejszą ze świeżo kupionych sukni i przybyła w towarzystwie Hermione, Basila i ich synów.

Dopiero kiedy spojrzała, by sprawdzić, cóż to za dżentelmen był na tyle ważny, że posadzono go przed wicehrabią Elrickiem, jego żoną i kuzynami panny młodej, zmartwiła. Rozpoznała bowiem księcia Bewcastle'a.

Powiedzieć, że poczuła się wytrącona z równowagi, byłoby eufemizmem. Ogarnęła ją panika. Niewiele brakowało, a zerwałaby się z ławki i rzuciła do wyjścia, czym na pewno wystawiłaby się na pośmiewisko. Opanowała się jednak i szybko odwróciła wzrok, gdy na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Potem nie widziała nic ze ślubu Audrey i Lewisa, choć

odbywał się tuż przed jej oczami.

Widziała tylko dumną, wyprostowaną sylwetkę Bewcastle'a. Wróciły wspomnienia okropnych dwóch tygodni w Schofield, tamtego ostatniego wieczoru nad jeziorem i wizyty księcia w Hyacinth Cottage dziesięć dni później.

Nawet przez moment nie przyszło jej do głowy, że on może być na ślubie Audrey. Gdyby wiedziała, jej noga nie powstałaby w Londynie.

Po ślubie zupełnie nie zwracała uwagi ani na pięknie przystrojoną salę balową, ani na wspaniałe śniadanie. Pamiętała tylko, że uśmiechała się zbyt promiennie do hrabiego Kitredge'a i rozmawiała z nim ze zbytnim ożywieniem. Zdołała odzyskać równowagę w trakcie posiłku i nie spuszczała wzroku, ilekroć napotkała spojrzenie księcia. Tak czy inaczej, był to jeden z najbardziej nieprzyjemnych dni w jej życiu.

Gdy Bewcastle wreszcie wyszedł, poczuła ogromną ulgę.

Potem przez resztę dnia była przygnębiona i choć cały czas śmiała się, żartowała i tryskała humorem, nie mogła się doczekać, kiedy wróci z Melanie i Bertiem do ich domu i zamknie się bezpiecznie w swej sypialni.

Myślała, że przez tych sześć miesięcy, które minęły od ich ostatniego spotkania, zupełnie zapomniała o księciu. Wstrząsnęła nią własna reakcja na jego widok. Ależ była głupia. Jak mogła przypuszczać, że zbliżenie z nim tamtej nocy nad jeziorem będzie czymś, co przeżyje tylko powierzchownie i łatwo zapomni? Lecz czy teraz zareagowałyby inaczej, gdyby tamto się nie stało? I gdyby on nie wrócił po dziesięciu dniach, by zaproponować jej małżeństwo?

Nie wiedziała. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak ją ciągnie do mężczyzny, który po prostu nie jest atrakcyjny. Owszem, przystojny, ale nie atrakcyjny. A przynajmniej nie dla niej.

To zresztą nie miało znaczenia. Wróci do domu po weselu i znów postara się o nim zapomnieć. Jeśli zaangażowała się uczuciowo bardziej, niż sądziła, mogła mieć pretensję tylko do siebie. Nikt jej nie zmuszał, by spacerowała z księciem aleją szczydrzeńców. Nikt jej nie kazał iść z nim nad jezioro.

Melanie zamierzała przyjechać do Londynu na ślub, wrócić do Schofield i ponownie zjechać do stolicy, już bez Christine, dopiero po Wielkanocy, gdy zacznie się sezon. Niespodziewanie zmieniła plany.

- W mieście jest więcej osób niż zwykle o tej porze roku - powiedziała przy śniadaniu nazajutrz po weselu. - Codziennie otrzymuję zaproszenia na spotkania, których nie chciałabym przepuścić. Poza tym czuję, że to mój obowiązek bywać jak najczęściej, bo o tej

porze roku gospodarze nie mogą liczyć na tłum gości. Szkoda by było wracać, nie wykorzystując okazji, żeby się dobrze zabawić. Nie chcę też pozbawiać Bertiego jego klubów.

Bertie przekroił soczysty befsztyk i wymamrotał coś pod nosem. Do perfekcji opanował reagowanie w ten sposób na jakąkolwiek sugestię żony. Christine przypuszczała, że dzięki temu uwolnił się od konieczności słuchania tego, co mówiła.

- A ty właśnie sprawiłaś sobie nowe suknie i wyglądasz, jakby ubyło ci połowę lat - ciągnęła Melanie. - Po prostu musisz się w nich pokazać. Mama i Justin będą rozczarowani, jeśli wyjedziemy. Hector też, o ile tylko zauważył, że w ogóle przyjechaliśmy. Poza tym hrabia Kitredge szaleńczo się w tobie zadurzył i lada moment ci się oświadczy. Wiem, że nie chciałabyś męża o trzydzieści lat starszego i z potężną tuzą, nawet mimo gorsetu, ale obserwowanie, jak o ciebie zabiega, będzie nader zabawne. I nie przyniesie ci ujmy, jeśli przyjrzy się temu wytworne towarzystwo, a przynajmniej ta jego część, która już zjechała do miasta.

Christine otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale Melanie nie pozwoliła sobie przerwać.

- Zostaniemy jeszcze tydzień - oznajmiła. Odstawiła filiżankę i przykryła ręką dłoni przyjaciółki. - Będziemy zajęte od południa do późnej nocy i świetnie się zabawimy. Spędzimy w mieście cały tydzień, a właściwie dwa, jeśli liczyć ten przed weselem. Będzie cudownie. Co ty na to? Zgódź się. Powiedz „tak”.

Christine uświadomiła sobie, że nie może odmówić. Przyjechała tu powozem baronostwa Renable'ów i była gościem w ich domu. Jak mogłaby im dyktować, kiedy mają wracać na wieś? Mogłaby wprawdzie wrócić do domu dyliżansem pocztowym, wiedziała jednak, że gdyby tylko coś takiego zasugerowała, Melanie dostałaby ataku hysterii i pewnie obraziłaby się nie na żarty. Może nawet Bertie zdobyłby się na to, by powiedzieć jej kilka słów do słuchu.

Ale cały tydzień w wytwornym towarzystwie? Przeróżająca myśl. Choć z drugiej strony to tylko siedem dni. Już w Schofield słyszała, że księżę Bewcastle unika większości imprez towarzyskich. Czy to nie lady Sarah Buchan mówiła, że nie widziała go przez całą wiosnę, a przecież musiała bywać na wszelkich liczniejszych spotkaniach, skoro dopiero co debiutowała w towarzystwie? Ona sama również nigdy go nie spotkała w ciągu siedmiu lat swojego małżeństwa.

- Jeśli naprawdę chcesz zostać, to ja też muszę - oświadczyła.

Melanie trzepnęła ją po dłoni.

- To nie jest odpowiedź - rzuciła. - Tu nie ma żadnego „muszę”. Jeśli chcesz jechać do

domu, to pozbawimy Bertiego wizyt w klubach i wrócimy. Ale pojutrze ominie nas wieczorek u lady Gosselin, a to moja bliska przyjaciółka i pewnie się na mnie rozzłości, że wyjechałam przed jej wieczorkiem. I stracimy...

- Melanie. - Christine spojrzała na przyjaciółkę. - Z radością przyjmę twoją gościnę i zostanę jeszcze tydzień.

- Wiedziałam, że się zgodzisz - zawołała rozpromieniona Melanie i ścisnęła ją za rękę.

- Bertie, kochanie, będziesz mógł pochodzić do klubów i na aukcje koni u Tattersalla. I pograsz w karty u lady Gosselin, bo tam stawki są na tyle wysokie, że pewnie się skusisz.

Bertie znów coś wymamrotał, przelatykając kolejny kęs befsztyka.

Wpadłam jak śliwka w kompot, pomyślała posepnie Christine. Utknęła w Londynie i na dodatek będzie musiała uczestniczyć w każdej imprezie, na którą zechce się wybrać Melanie. Szybko okazało się, że tych okazji jest mnóstwo mimo wczesnej jeszcze pory roku. Herbatki, koncerty za zaproszeniami, kolacje i oczywiście wieczorek u lady Gosselin.

Christine ubrała się na wieczorek w nową suknię z granatowej koronki i aksamitu. Czowała, że bardzo dobrze w niej wygląda i że suknia jest odpowiednia do jej wieku. Uległszy namowom Melanie, pożyczyła od niej naszyjnik z pereł, ale była to jej jedyna ozdoba poza białymi wieczorowymi rękawiczkami i wachlarzem z kości słoniowej, który dostała kiedyś na urodziny od Hermione i Basila.

Gdy z promiennym uśmiechem weszła do salonu lady Gosselin, pierwszą osobą, którą zobaczyła, był oczywiście książę Bewcastle. Stał po drugiej stronie sali i rozmawiał z kruczowłosą pięknoscią, która siedząc, sączyła wino. To była lady Falconbridge, wdowa po markizie. Christine poznała ją parę lat temu.

Gdyby tylko mogła niepostrzeżenie wycofać się i wrócić do domu barona, a jeszcze lepiej do Hyacinth Cottage - na pewno by to zrobiła. Niestety Melanie ujęła ją pod rękę i pociągnęła do przodu.

Niech to diabli, pomyślała Christine. Mimochodem zauważyła kunsztowną fryzurę lady Falconbridge i piękne pióra, którymi ją ozdobiono.

Poczuła się jak uboga krewna z prowincji.

W salonie było przynajmniej z tuzin osób, które znała Melanie, a jednak rozpromieniła się akurat na widok księcia i z zadartym podbródkiem ruszyła przez salę, ciągnąc za sobą Christine. Gdyby Eleanor mogła być świadkiem tej sceny, na pewno umarłaby ze śmiechu. Bertie już zdążył zniknąć, zapewne w pokoju do gry w karty.

- Bewcastle! - zawołała Melanie i postukała go lorgnon w ramię. - Nieczęsto się pana widuje na tego typu spotkaniach.

Odwrócił się i uniósł brwi. Spojrzał na Christine, a potem na Melanie.

- Lady Renable. Pani Derrick - powiedział, kłaniając się sztywno.

Christine zapomniała, jak zimne są jego srebrzyste oczy. I jak potrafią przenikać na wskroś.

- Wasza Wysokość - wyszeptwała.

Księżę nie raczył wytłumaczyć Melanie przyczyn swej obecności na tym akurat wieczorku. Dotknął tylko palcami monokla. Lady Falconbridge zniecierpliwiona stuknęła obcasem o podłogę.

- Zostaliśmy w mieście jeszcze na tydzień - oznajmiła Melanie. - Prawie całe towarzystwo zjechało do Londynu, choć sezon jeszcze się nie zaczął. A wieczorki Lilian są zawsze warte uwagi.

Księżę znów skłonił głowę.

- Widzę Justina, Melanie - powiedziała Christine. - Może podejździemy do niego?

Księżę spojrział na nią i uniósł monokl na wysokość piersi. Christine w duchu prowokowała go, by podniósł go aż do oka.

- Nie będę więc pań zatrzymywał - rzekł i odwrócił się z powrotem do lady Falconbridge.

W następnej sali urządzono pokój muzyczny. Lady Sarah Buchan grała na fortepianie. Christine uśmiechnęła się do Justina, gdy ten podszedł do niej i ujął ją pod rękę. Melanie przeszła parę kroków dalej do grupki wytwornych dam.

- Zauważyłem, że złożyłyście hołd Bewcastle'owi - powiedział Justin.

- Gdybym wiedziała, że on tu będzie, nigdy bym nie przyszła - zapewniła go Christine.

- A to czemu? - spytał ze śmiechem. - Wszak przed paroma miesiącami zapewniałaś mnie, że księżę zachował się wobec ciebie bardzo uprzejmie i szarmancko. - Spojrzał na nią. - Ale teraz z jego strony nic ci nie grozi. Postanowił zabiegać o względy lady Falconbridge, a że jest zdecydowana go przyjąć, wkrótce dojdą do dyskretnego, satysfakcjonującego obie strony porozumienia. W niektórych klubach robi się nawet zakłady co do dokładnej daty.

- Drogi Justinie, zawsze bez oporów opowiadasz mi rzeczy raczej nieprzeznaczone dla uszu dam - odparła z promiennym uśmiechem i pomyślała, że akurat tego nie chciała wiedzieć.

- Przecież wiem, że nie będziesz się wstydzić jak pensjonarka. - Roześmiał się i pociągnął ją bliżej fortepianu.

Nie cieszyła się swobodą zbyt długo. Wkrótce dołączył do nich hrabia Kitredge.

Razem wysłuchali popisów córki hrabiego i podziękowali jej za grę oklaskami. Hrabia upewniwszy się, że Christine nigdy nie widziała słynnego obrazu Rembrandta, który wisiał w salonie obok pokoju, gdzie urządzono bufet, podał jej ramię i zaofiarował się, że z przyjemnością jej go pokaże.

W słabo oświetlonym salonie nie było żywej duszy. Christine przez pięć minut uprzejmie patrzyła na obraz i już chciała wracać do reszty gości, gdy hrabia ujął ją mocno pod rękę i poprowadził do kanapki na drugim końcu pokoju. Usiadła, a hrabia stanął przed nią i założył ręce na plecy. Podejrzewała, że nie mógł usiąść ze względu na gorset, i dziękowała za to losowi.

Hrabia odchrząknął.

- Pani Derrick - zaczął - zapewne już zeszłego lata domyślała się pani, jak głęboki żywię dla niej podziw.

- Jestem zaszczycona - odparła, nagle zaniepokojona. - Ale...

- A w tym roku czuję się zmuszony wyznać pani, jak gwałtownym zapałem do niej uczuciem - ciągnął.

Christine zastanawiała się, czy to skutek tego, że z nim flirtowała. I czy rzeczywiście flirtowała? Oscar w końcu uwierzył, że tak. Basil i Hermione też byli o tym przekonani. Jeśli tak, robiła to zupełnie nieświadomie. Nigdy nie powiedziała i nie zrobiła niczego, by wzbudzić w mężczyźnie gwałtowne, łagodne czy jakiegokolwiek inne uczucie. Nigdy nie starała się zwrócić na siebie uwagi... Z wyjątkiem Oscara, niemal dziesięć lat temu.

- Milordzie, to, co pan mówi, jest bardzo miłe - odparła - muszę jednak...

Chwycił jej rękę obiema dłońmi. Jeden z jego pierścieni boleśnie wpił się w jej palec.

- Błagam panią, madame, by przestała ze mną igrzać - powiedział. - Świat powie, że jestem dla pani za stary. Ale moje dzieci są już dorosłe, jestem wolny i mogę pójść za głosem serca. A to właśnie pani pragnie moje serce. Pochlebiam sobie, że...

- Milordzie - próbowała uwolnić rękę, lecz bezskutecznie.

- ...pani także darzy pewnymi względami moją osobę - ciągnął hrabia. - Madame, składam sobie, mój tytuł i fortunę u pani stóp.

- W każdej chwili ktoś może tu wejść - rzuciła. - Proszę puścić...

- Proszę powiedzieć, że uczyni mnie pani najszcześniejszym z...

- Milordzie - przerwała mu, czując, jak skrępowanie ustępuje miejsca złości. - Pański upór, bym go wysłuchała, wydaje mi się niestosowny, wręcz obraźliwy Proszę...

- ...mężczyzn - nie ustępował hrabia. - Proszę pozwolić, bym mógł uczynić panią najszcześniejszą z...

- Zastanawiam się, czy ten obraz w świetle dziennym nie prezentuje się lepiej niż przy świecach - odezwał się wyniosły, nieco znudzony głos. Nie wiadomo, do kogo mówił jego właściciel, bo nie było przy nim nikogo. - Płótna Rembrandta są zwykle bardzo ciemne i powinno się odpowiednio eksponować. Co pan o tym sądzi, Kitredge?

Więc książę Bewcastle nie mówił do siebie.

Christine oswobodziła dłoń z uścisku hrabiego i wygładziła suknię na kolanach. Gdyby mogła paść trupem z upokorzenia, uznałaby się za najszczęśliwszą z kobiet.

- Nigdy mi się nie podobał - powiedział Kitredge. Spojrzał z żalem na Christine i odwrócił się do księcia. - Wolę Turnera. Albo Gainsborough.

- Doprawdy? - Książę trzymał monokl przy oku i studiował przez niego obraz. - Niemniej chciałbym go obejrzyć przy odpowiednim świetle.

Opuścił monokl i zwrócił się do Christine.

- Tak tu pusto, większość gości jest gdzie indziej. Pozwoli pani, że zaprowadzę ją do bufetu?

- Właśnie miałem... - zaczął hrabia Kitredge.

- Chętnie. - Christine zerwała się na nogi. - Dziękuję, Wasza Wysokość.

Uklonił się sztywno i podał jej ramię. Oparłszy na nim dłoń, odwróciła się do hrabiego i powiedziała:

- Dziękuję za pokazanie mi Rembrandta. Rzeczywiście robi wrażenie.

Hrabia mógł tylko skinąć jej głową i pozwolić wyjść.

Zastanawiała się, czy nie wpadła z deszczu pod rynnę. Oto szła pod rękę z księciem Bewcastle'em i czuła się, jakby poraził ją piorun.

- Pani Derrick, odniosłem wrażenie, że potrzebuje pani pomocy - powiedział. - Proszę wybaczyć, jeśli się pomyliłem.

- Zapewne zdołałabym wyjść cało z opresji - odparła. - Przyznaję jednak, że po raz pierwszy ucieszyłam się na pana widok.

- Pani mi pochlebia - rzucił.

Roześmiała się.

- Niestety nie było nikogo, kto mógłby obronić mnie przed panem - powiedziała.

- Mniemam, że odnosi się pani do sceny w labiryncie bądź do tej w ogrodzie u pani matki - rzekł, zerkając na nią z ukosa.

Poczuła, że się rumieni na myśl o jeszcze jednej scenie, którą mogłaby mieć na myśli.

- Tak - przyznała. - Do obu.

- I przy obu udało się pani okazać, że nie życzy sobie moich awansów. Pozwoli pani,

że ją obsłużę?

Weszli do pokoju, w którym urządzono bufet z wielkim wyborem dań. Lokaje czekali w pobliżu, by pomóc gościom nakładać na talerze. Przygotowano też kilka stolików i krzeseł, jednak większość gości wyszła do salonu albo pokoju muzycznego.

- Nie jestem głodna - odmówiła Christine.

- To może coś do picia? - spytał. Ponowna odmowa byłaby grubiaństwem.

- Kieliszek wina - odparła.

Przyniósł dwa kieliszki wina i wskazał wolny stolik w rogu pokoju.

- Usiądziemy? Czy może właśnie planuje pani, jak uniknąć również mojego towarzystwa? Jeśli tak, proszę po prostu odejść i dołączyć do krewnych. Nie będę próbował pani zatrzymać wbrew jej woli.

Usiadła.

- Gdybym wiedziała, że będzie pan na ślubie, nie przyjechałabym do Londynu - oznajmiła. Patrzyła mu prosto w oczy, choć bardzo ją kusiło, by skupić wzrok na swoim kieliszku.

- Doprawdy? Czyżby świat był za mały dla nas dwojga?

- Czasem tak mi się wydaje. Nie sądzę też, by pan myślał o mnie pochlebnie. Przecież nie codziennie zdarza się, by kobieta niskiego pochodzenia odrzuciła dwie pańskie propozycje, wprawdzie bardzo różne, ale jednakowo intratne.

- Zakłada więc pani, że jednak o niej myślałem?

Pochyliła się ku niemu i roześmiała.

- Uwielbiam prowokować pana do złośliwości - przyznała się. - Choć może grzeczniejszym słowem byłoby „odprawa”. Dał mi pan wspaniałą odprawę. Czuję się przywołana do porządku.

- A ja, pani Derrick, uwielbiam rozśmieszać panią - powiedział cicho. - Nawet jeśli śmieje się pani tylko oczami.

Zabrakło jej słów. Znów miała wrażenie, że poraził ją piorun.

- Czy sugeruje pan, że z nim flirtuję? - spytała w końcu.

- Flirt. - Odstawił kieliszek i popatrzył na nią srebrzystymi oczami. - To słowo nader często pojawia się w związku z pani osobą. Choć zwykle łączy się je z zaprzeczeniem. Ja też bym go nie użył.

- Dziękuję - szepnęła.

Książę nie spuszczał z niej wzroku.

- Pani nie musi uciekać się do flirtu - ciągnął. - Tak atrakcyjna kobieta nie potrzebuje

stosować żadnych sztuczek.

- Ja? - Spojrzała na niego zaskoczona. - Wasza Wysokość, czy pan mi się dobrze przyjrzał? Nie dorównuję ani urodą, ani elegancją damom obecnym na dzisiejszym wieczorku. Nawet w tej nowej sukni wyglądam jak uboga krewna z prowincji.

- Ja nie nazwałem pani piękną czy elegancką - odparł. - Użyłem słowa atrakcyjna. A ściślej mówiąc, niesamowicie atrakcyjna. Lustro pani tego nie pokaże, bo można to dostrzec, dopiero gdy pani się ożywia. To wręcz niemożliwe, by mężczyzna nie obejrzał się za panią drugi raz. I trzeci.

W ustach innego mężczyzny te słowa mogłyby zabrzmieć żarliwie. Książę Bewcastle wypowiedział je beznamiętnie, jakby rozmawiali o obrazie Rembrandta, wiszącym w sąsiednim pokoju.

Na szczęście nie musiała odpowiadać. Przy ich stoliku ktoś się zatrzymał. Christine spojrzała w górę i zobaczyła uśmiechniętego od ucha do ucha Anthony'ego Culvera.

- Bewcastle? - zawołał. - Pani Derrick? Nadal przebywa pani w mieście? Myślałem, że wróci pani do Gloucestershire zaraz po ślubie Wisemana. Rozmawialiśmy o pani z Ronaldem zaledwie wczoraj i wspominaliśmy, jak świetnie się dzięki pani bawiliśmy. Zeszłego lata w Schofield była pani duszą towarzystwa. Ronald jest w pokoju muzycznym razem z paroma naszymi przyjaciółmi. Chodźmy do nich. Będą zachwyceni, mogąc panią poznać.

Christine podała mu rękę i uśmiechnęła się promiennie.

Książę ujął monokl w palce.

- Bewcastle, zechce pan wybaczyć - rzucił Culver z szerokim uśmiechem. - Puści ją pan czy też w czymś państwu przeszkodziłem?

- Nie roszczę sobie wyłączności do pani Derrick - oświadczył książę.

- Książę był tak miły i przyniósł mi kieliszek wina - wyjaśniła Christine, wstając. - Ale już je wypiałam. Chętnie zobaczę się znów z pana bratem i poznam pańskich przyjaciół.

Zanim odeszła pod rękę z Culverem, odwróciła się do Bewcastle'a.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - powiedziała.

Nie chciała zostać jego kochanką ani żoną, a on nadal uważał ją za niesamowicie atrakcyjną.

Czuła się mile polectana i nienawidziła się za to. Jak mogły jej pochlebiać słowa księcia po tym, co jej powiedział, gdy zeszłego roku proponował małżeństwo? Uważał, że jest od niego gorsza pod każdym względem. Myślał, że czyni jej niesłychaną łaskę.

Po dzisiejszym wieczorze już pewnie nigdy go nie zobaczy.

Jak zdoła znów o nim zapomnieć? Już w zeszłym roku było to bardzo trudne. A

właściwie wcale o nim nie zapomniła. Tyle że jeśli chodzi o jego osobę, wolała się okłamywać.

Poza wyglądem nie było w nim nic, co mogłaby kochać czy podziwiać. Wiedziała jednak, że to nie jego uroda burzyła jej spokój przez ostatnich sześć miesięcy.

Była w nim szaleńczo zakochana.

Szaleńczo.

Choć „haniebnie” byłoby chyba lepszym określeniem.

Wulfric właśnie wrócił z Pickford House, gdzie zatrzymała się jego młodsza siostra Morgan z mężem. Przyjechali z Kent wraz z dziećmi, w nadziei że tym razem ich starszy synek lepiej zniesie londyńskie powietrze, a młodszy nawet nie zauważy różnicy.

Jacques, przyprowadzony z pokoju dziecinnego, by przywitał się z wujkiem, przyglądał mu się uważnie z bezpiecznej odległości. Dopiero gdy Morgan włożyła Wulfricowi w ramiona śpiącego Jules'a, malec podszedł bliżej, by obejrzeć chwosty przy wysokich butach wuja, a w końcu ośmielił się na tyle, że poklepał go po kolanie.

- Och, Wulf, gdybyś tylko mógł się teraz zobaczyć - powiedziała Morgan ze śmiechem.

Księżę siedział nieruchomo, obawiając się, że upuści niemowlę i przestraszy starszego chłopca. To byli jego siostrzeńcy, synowie jego ukochanej Morgan. Macierzyństwo dodało jej dojrzałości i rozświetliło ciepłym blaskiem jej młodzieńczą twarz. Morgan nie miała jeszcze dwudziestu jeden lat.

- Szkoda, że nie może cię teraz zobaczyć towarzystwo - dodał Gervase. - Pewnie nie wierzyliby własnym oczom.

Wulfric przyjechał do Pickford House, by zaprosić ich na Wielkanoc do Lindsey Hall. Freyja i Joshua, którzy zjechali niedawno do miasta, również zgodzili się spędzić święta w rodzinnej posiadłości. Wulfric wysłał też listy z zaproszeniem do Aidana, Rannulfa i Alleyne'a. Ostatni raz spotkali się wszyscy w Lindsey Hall dwa i pół roku temu na ślubie Alleyne'a z Rachel. Wprawdzie od tamtego czasu widywał się z nimi, lecz ostatnio zapragnął zebrać całą rodzinę wokół siebie. Licząc współmałżonków i dzieci, zbierze się w sumie spora gromadka, ale dom w Lindsey Hall był bardzo obszerny.

Morgan i Gervase przyjęli zaproszenie. Wulfric odjechał zadowolony, że przynajmniej część rodziny przyjedzie do niego na Wielkanoc. Chciał zaprosić również ciotkę i wuja, markiza i markizę Rochester, ale ich postanowił odwiedzić innego dnia. Na dzisiejsze popołudnie zaplanował wizytę u Renable'a.

Pojechał konno przez Hyde Park wzdłuż rzeki. W parku było zdumiewająco wielu ludzi, bo jak na koniec lutego dzień był wyjątkowo pogodny i ciepły.

Wulfric nie miał pewności, że zastanie panie w domu, nie zapowiedział bowiem swej wizyty. Od wieczorku, na którym lady Renable powiedziała, że po weselu jej siostry zostaną w Londynie jeszcze tydzień, minęło już pięć dni i księżę wreszcie podjął decyzję.

Pewien związek z tą decyzją miała lady Falconbridge. To dla niej zjawiał się na wieczorku lady Gosselin. Chcąc zapomnieć o pewnej nieodpowiedniej dla niego wiejskiej nauczycielce, postanowił nawiązać romans z damą bywałą w świecie, która nie będzie od niego oczekiwać nic więcej poza zmysłową rozkoszą.

Zbyt długo zachowywał wstrzemięźliwość - ponad rok, z jednym pamiętnym wyjątkiem.

Niestety, gdy tylko lady Falconbridge skinęła do niego, poprosiła, by przyniósł jej wina i zaczęła z nim rozmowę, już wiedział, że nie jest w stanie wybrać sobie kochanki, kierując się chłodną kalkulacją. Ta dama miała wszelki walory, jakie powinna mieć idealna kochanka. Poza jednym. Nie była Christine Derrick.

Niech to diabli!

W tej samej chwili, kiedy uświadomił sobie własną niekonsekwencję, usłyszał głos lady Renable i poczuł na ramieniu dotyk jej lorgnon. Odwrócił się i zobaczył właśnie tę kobietę, która zburzyła jego spokój.

Czuł do niej głęboką niechęć, co jednak nie przeszkodziło mu uratować jej z łap Kitredge'a, potem zaś rozmawiać z nią z niezwykłą u niego szczerością.

A teraz jechał się z nią spotkać. To znaczy, jeśli była w domu. Jeśli nie... cóż, przyjedzie kiedy indziej. Chyba że nagle odzyska rozsądek.

Nad brzegiem rzeki dwóch chłopców pod czujnym okiem niani puszczało na wodzie drewniane łódki. Wulfric skinął głową kilku mijanym mężczyznom. Znajome damy witał, dotykając szpicrutą róna kapelusza. Pani Beavis, odziana w suknię tak jaskrawą, że przypominała rajskiego ptaka, przechadzała się ze swą damą do towarzystwa tuż nad wodą. Pani Beavis było tytułem czysto grzecznościowym, jako że nikt nigdy nie słyszał o panu Beavisie, wszyscy natychmiast wiedzieli, że to sławna w Londynie kurtyzana. Na widok lorda Powella, który ponoć starał się ojej względy, zaczęła się wdzięczyc i stroszyć piórka.

Wulfric przyglądał się obojętnie, jak pani Beavis zdejmuje rękawiczkę, uśmiecha się zachęcająco do nadchodzącego i wyciągnąwszy rękę nad wodą, upuszcza rękawiczkę w wyraźnym zaproszeniu. Skórzany drobiazg zatrzepotał w powietrzu i spadł do wody tuż przy brzegu.

Lord Powell już miał wyłowić rękawiczkę końcem laski, gdy nagle ktoś zrujnował misterną gierkę jego potencjalnej kochanki.

Ten ktoś podbiegł do pani Beavis, zawołał, że coś upuściła, i schylił się, by to podnieść. Nie wiadomo, dlaczego trawa na brzegu była śliska, jako że nie padało od wielu dni. Tak czy inaczej, osoba spiesząca z pomocą pośliznęła się. Machając rękami, spróbowała

odzyskać równowagę, niestety bezskutecznie. Krzyknęła głośno, zwracając uwagę wszystkich znajdujących się w pobliżu, którzy jeszcze na nią nie patrzyli, i z głośnym pluskiem wpadła do wody.

Wulfric wstrzymał konia i z bolesną rezygnacją patrzył, jak lady Renable i lady Mowbury krzyczą z przerażenia, a Powell, choć niewątpliwie kipiał gniewem, wyciąga panią Derrick z rzeki.

Piękna kurtyzana poszła dalej, jakby nieświadoma rozgrywającej się za nią sceny oraz tego, że ma teraz tylko jedną rękawiczkę.

Pani Derrick stała na brzegu rzeki, szczękając zębami. Nowy kapelusz z różowymi i lawendowymi piórami zwisał jej smętnie z głowy, a różowa suknia i spencerek przylgnęły do ciała niczym przezroczysta draperia na posągu greckiej bogini. Ociekała wodą. Lord Powell wyjął z kieszeni chusteczkę i bezskutecznie usiłował ją osuszyć.

Lady Renable i lady Mowbury robiły coraz większe zamieszanie.

Liczni przechodnie gapili się i wykrzykiwali rady.

- Kk... ktoś powinien oddać rękawiczkę tej dd... damie - wyjąkała pani Derrick, unosząc rękę.

Wulfric kusiło, by pojechać dalej. Zsiadł jednak z konia i ruszył ku zbiegowisku, po drodze rozpinając płaszcz.

- Lord Powell na pewno chętnie to zrobi - powiedział.

Wziął od niej rękawiczkę i podał Powellowi, który ochoczo skorzystał z okazji, by pobiec za oddalającą się panią Beavis, zamiast pomóc przemoczonej damie.

- Ależ oczywiście, Bewcastle. Oczywiście - zawołał i już go nie było.

- Pani pozwoli, madame. - Wulfric otulił panią Derrick płaszczem i spojrzał na nią posepnie. Nie znał innej damy, nawet włączając Freyję, która miałaby taki talent do pakowania się w najgorsze tarapaty na oczach towarzystwa.

Nawet jeśli dożyje setki, nigdy nie zrozumie, dlaczego w niej się zakochał.

- Ttt... to okropnie ppp... poniżające! - wyjąkała, ciasniej owijając się płaszczem i patrząc na niego spod mokrego kapelusza ze zwisającymi smętnie piórami. - To się już chyba staje zasadą, że pan zawsze jest w pobliżu, by być świadkiem mego upokorzenia.

- Powinna pani dziękować za to losowi - odparł szorstko. - Chusteczka lorda Powella nie na wiele by się zdała.

Odwrócił się do lady Renable, która wciąż nie odzyskała panowania nad sobą.

- Madame, posadzę panią Derrick przed sobą na koniu i jak najszybciej zawiozę do domu - oświadczył.

Nie czekał, by usłyszeć podziękowania lady Renable czy odpowiedź pani Derrick. Z ponurą miną podszedł do konia, który pasł się na trawniku, nieświadom sceny przykuwającej uwagę wszystkich ludzi dookoła. Dosiadł go, podjechał bliżej brzegu i wyciągnął rękę.

- Proszę podać mi dłoń i oprzeć stopę na moim bucie - polecił.

Oczywiście nie poszło łatwo. Potrzebowała obu rąk, aby trzymać połę płaszcza, jako że nie była na tyle przytomna, by wsunąć ręce w rękawy. Jednak z pomocą lady Renable, przytrzymującej płaszcz, i lady Mowbury, która niezgrabnie popychała panią Derrick od dołu, zdołał ją wciągnąć na konia i posadzić na siodle przed sobą.

- Sugeruję, żeby zdjęła pani kapelusz - powiedział, gdy woda z mokrych piór zaczęła mu kapać za kołnierz.

- Och, oczywiście. - Wsunęła rękę spod płaszcza i rozwiązała mokre wstążki. Zdjęła kapelusz i spojrzała na niego z żalem. - Ojej, chyba jest zupełnie zniszczony.

- To pewne. - Wziął od niej kapelusz i rozejrzał się dookoła. Zauważywszy nieopodal patrzącą na niego z nadzieją służącą, podał jej mokre nakrycie głowy. - Wyrzuć to.

Dał jej też gwineę, ale po minie dziewczyny zorientował się, że przemoczony kapelusz uznała za cenniejszą nagrodę. Dygnęła kilkakrotnie i obsypała go podziękowaniami. Tak przynajmniej przypuszczał, jako że mówiła z jakimś okropnym, niezrozumiałym akcentem.

Pani Derrick wybrała sobie akurat ten moment, by zacząć się śmiać. Najpierw tylko się trzęsła, co mogło być skutkiem przemoczenia, potem jednak wybuchnęła głośnym śmiechem. Widział wesołe iskierki w jej oczach. Zanim zdążył ruszyć z miejsca, przyłączyli się do niej niemal wszyscy gapie. Wystawiła dłoń spod płaszcza i pomachała do nich.

Do diabła! Nawet owinięta jego obszernym płaszczem, z mokrymi i potarganymi włosami wyglądała olśniewająco.

Wulfric czuł się trochę nieswojo, gdyż w przeciwieństwie do pani Derrick nie zwykł znajdować się w kłopotliwych sytuacjach, które potem stawały się tematem rozmów w każdym salonie. A zdarzenie sprzed kilku minut na pewno będzie szeroko komentowane, choćby dlatego, że uczestniczyła w nim pani Beavis. No i on.

Ale czy mógł zostawić panią Derrick drżącą z zimna na brzegu rzeki, kiedy zorientował się, że nikt z obecnych nie jest w stanie udzielić jej odpowiedniej pomocy? Chyba nie byłoby jej wówczas do śmiechu. Chociaż może mylił się w tym względzie.

- Czy nadal dziwi się pan, że Oscar uważał mnie za kulę u nogi? - spytała.

- Niczemu się nie dziwię - odparł.

Dziwne, ale jego gniew zaczął ustępować miejsca zupełnie innemu uczuciu. Ogarnęła go ochota, by się roześmiać tak jak ona i tłum gapiów przed chwilą. Odrzucić głowę do tyłu i

ryknąć śmiechem. Nawet incydent z wdrapywaniem się na drzewo w zeszłym roku nie mógł konkurować z tą sceną. Nigdy w życiu nie widział czegoś równie zabawnego.

Nie roześmiał się jednak. Po drodze do domu lady Renable mijali licznych przechodniów i ściągnęli na siebie mnóstwo zaciekawionych spojrzeń. Plotki były nieuniknione, ale nie chciał ich podsycać niespotykanym widokiem roześmianego księcia Bewcastle'a. A poza tym pani Derrick, choć się śmiała, na pewno była zmarznięta i nieszczęśliwa. Grzeczność nakazywała nie stwarzać wrażenia, że z niej szydzi, a jego śmiech mógł być odczytany właśnie w ten sposób.

- Przypuszczam, że gdy wpadłam do wody, nie wyglądałam zbyt dystyngowanie - rzuciła.

- Nie istnieje dystyngowany sposób wpadania do wody - odparł bez ogródek.

Westchnęła.

- I zapewne zwróciłam na siebie powszechną uwagę.

- Niewątpliwie - przyznał bezlitośnie.

- Ale przynajmniej uratowałam rękawiczkę tej biednej damy - stwierdziła. - Ona nawet nie zdawała sobie sprawy, że ją upuściła.

Jak na kobietę, która kilka lat była zamężna i dobiegała trzydziestki, pani Derrick wydawała się zdumiewająco naiwna. Mógłby pozostawić ją w nieświadomości, ale znów ogarnęła go irytacja. Jak to możliwe, że wpadła do wody? Przecież rękawiczka pływała przy samym brzegu.

- Ta dama upuściła ją celowo - powiedział. - Lord Powell miał ją dla niej wyłowić. I oczywiście nie wpaść przy tym do wody.

- Ale po co? - spytała szczerze zdumiona.

- To kobieta... lekkich obyczajów - odparł. - Powell stara się zdobyć jej względy, a ona wodzi go za nos.

Patrzyła na niego bez słowa, a jej szczerze spojrzenie wytręcało go z równowagi. Zapomniał, jak niebieskie są jej oczy. I że potrafi się nimi śmiać. Tak jak w tej chwili.

- Ojej, zepsułam mu taką piękną, pełną galanterii scenę - westchnęła. - Biedaczek.

Znów miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Na szczęście musiał się skupić na ominięciu zamiatacza ulic, który przebiegł tuż przed koniem.

- I sprawiłam panu okropny kłopot - dodała. - Widzi więc pan, jakie to szczęście, że zeszłego lata odrzuciłam pańską nierozsądną propozycję.

- Widzę to wyraźnie - przyznał szorstko.

Odwróciła głowę i spojrzała przed siebie.

- Bardzo się z tego cieszę - powiedziała po chwili. - I choć czuję się głęboko upokorzona, że był pan świadkiem tego, co się stało, jestem też wdzięczna, że pan się tam znalazł. Jestem tak przemoczona, że pewnie strasznie bym zmarzła podczas długiej drogi do domu.

A w dodatku wszyscy by się na nią gapili. Co pewnie uświadomi sobie, jak tylko zerknie w lustro, gdy będzie się przebierać. Na litość boską, suknia przyłgnęła jej do ciała niczym druga skóra!

Zbliżali się do domu Renable'a.

- Bardzo dziękuję za pomoc - powiedziała. - Proszę się nie obawiać, że znów wprawię pana w zakłopotanie. Pojutrze wracamy do Gloucestershire.

Zsiadł z konia, a potem zdjął ją z siodła i postawił na ziemi. Chciała od razu oddać mu płaszcz, ale przytrzymał go na jej ramionach.

- Wejść z panią do środka - oznajmił. - Proszę zdjąć płaszcz dopiero w swoim pokoju i odesłać go przez pokojówkę.

- To bardzo uprzejme z pana strony - stwierdziła.

- Tylko rozsądne, madame.

- Ma pan rację - zgodziła się po krótkim namyśle. - Rozumiem.

I chyba rzeczywiście zrozumiała. Gdy odwrócił się, by na nią spojrzeć, jej policzki płonęły rumieńcem.

- Do widzenia - powiedziała, kiedy znaleźli się w holu. Dwaj obecni tam lokaje przyglądali się jej z obojętnymi minami. - Pan z pewnością bardzo się ucieszy, uwalniając się wreszcie ode mnie. - Tym razem nie patrzyła mu w oczy, a w jej spojrzeniu nie było już śmiechu.

- Czyżby? - uklonił się, gdy ruszyła niezgrabnie w stronę schodów. Jedną ręką przytrzymywała połę płaszcza, a drugą unosiła jego rąbek z podłogi.

Okropna kobieta. Nic dziwnego, że zmarły mąż uważał ją za kulę u nogi. Nic dziwnego, że Elrickowie byli do niej wrogo nastawieni i nawet próbowali go przed nią ostrzec. Miała niestosowne poczucie humoru. Zamiast wstydliwie zwiesić głowę, jeszcze pomachała do tłumu. Przyciągała kłopoty niczym magnes żelazo.

Jakie to szczęście, że pojutrze wyjedzie z miasta. Mało prawdopodobne, by jeszcze kiedyś ją zobaczył. Dzięki Bogu, że wyszła z domu, akurat gdy zamierzał ją odwiedzić.

Powinien się pożegnać. Powiedzieć „do widzenia”.

Tak, bardzo by się ucieszył, gdyby wreszcie się od niej uwolnił.

Gdyby tylko mógł ją wyrzucić z myśli... i z serca!

Po kilku minutach pokojówka zniosła na dół jego przemoczony płaszcz. Wulfric wyszedł z domu, wsiadł na konia i odjechał. Uwolnił się od Christine Derrick. Wreszcie i na zawsze.

Cieszył się, że uniknął prawdziwej katastrofy.

Christine była trochę przygnębiona.

A właściwie wcale nie trochę. Rano odwiedzili ją Hermione i Basil. Powiedzieli, że przyszli się dowiedzieć, czy nie przeziębila się po wczorajszej kąpieli. Oczywiście, że już słyszeli. Musieliby być głusi, żeby nie usłyszeć, co wydarzyło się w parku. Christine zdawała sobie sprawę, że prawdziwym powodem ich wizyty była chęć upewnienia się, czy na pewno wyjedzie następnego dnia.

Na pewno.

Melanie miała ochotę zostać dłużej, ale przypomniała sobie, że za tydzień Phillip, jej jedyny syn, ma urodziny. Ledwie zdąży wrócić i poczynić odpowiednie przygotowania.

Wyjeżdżali. Christine nigdy w życiu nie czuła się tak szczęśliwa. I tak przygnębiona.

Gdy tylko jej szwagier z żoną wyszli, pojawił się hrabia Kitredge. Również po to, by się upewnić, że pani Derrick nic się nie stało po pechowym wypadku w Hyde Parku. Upewniwszy się, z wielką pompą i sugestywnym mruganiem poprosił lady Renable, by zechciała na chwilę zostawić go sam na sam z panią Derrick. Melanie, podła zdrajczyni, tylko uśmiechnęła się szelmowsko do przyjaciółki i wybiegła z pokoju.

Christine odrzuciła oświadczyzny hrabiego, choć w ciągu piętnastu minut zaproponował jej małżeństwo cztery razy na cztery różne sposoby. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę go odrzuca. Obiecał przyjechać do Gloucestershire w czasie letniej przerwy w pracach parlamentu. Miał nadzieję odnowić znajomość z panią i panną Thompson, a także zastać panią Derrick w nieco łaskawszym nastroju.

Wizyta hrabiego bardzo Christine zirytowała, choć gdy opowiadała o niej Melanie, ta śmiała się do łez.

- Jesteś po prostu zbyt pociągająca - powiedziała, ocierając oczy chusteczką obszytą koronką. - Gdyby tylko Kitredge był trzydzieści lat młodszy i przystojny. I jeszcze inteligentny, i w ogóle do rzeczy. Niestety nie jest i chyba nigdy nie był. Kiedy wczoraj odjeżdżałaś z Bewcastle'em, wyglądałaś bardzo romantycznie. Tyle że siedziałaś owinięta obszernym płaszczem księcia, woda kapiała ci z mokrych włosów i nie sądzę, by był zachwycony, że znów musiał pospieszyć ci na pomoc.

- Nie - przyznała Christine. - Nie był.

Spojrzały po sobie i wybuchnęły gromkim śmiechem, choć Christine miała raczej

ochotę się rozplakać.

Dzięki Bogu jutro wracają do domu. Lecz ta myśl tylko jeszcze bardziej ją przygnębiła.

A potem, wczesnym popołudniem, gdy pakowała się w swoim pokoju - choć Melanie próbowała ją przekonać, by skorzystała z pomocy służącej - usłyszała pukanie. W drzwiach stanął lokaj i powiedział, że milady oczekuje jej w salonie. Zeszła, żeby się dowiedzieć, o co chodzi przyjaciółce, i zastała ją siedzącą przy kominku z bardzo zadowoloną miną. W fotelu naprzeciw Melanie siedział książę Bewcastle. Na widok Christine wstał.

- Pani Derrick. - Książę się uklonił.

- Wasza Wysokość. - Dygnęła.

Melanie milczała z wymownym uśmieszkiem na twarzy.

- Madame, mam nadzieję, że po wczorajszych wypadkach nie poniosła pani większego uszczerbku na zdrowiu? - spytał, zwracając na Christine srebrzyste spojrzenie.

- To bardzo uprzejmy eufemizm - odparła. - Zapewniam pana, że nic mi nie jest, ucierpiała tylko moja duma. - Omal nie dostała ataku hysterii, gdy zdjęła jego płaszcz i zobaczyła w lustrze, jak wygląda.

Z pewnością nie przyszedł tylko po to, by zapytać o jej zdrowie. Po co więc?

- Pani Derrick, czy zechciałaby pani wybrać się ze mną na spacer?

- Na spacer? - Christine kątem oka zauważyła, jak uśmieszek na twarzy Melanie zastyga w nieruchomy grymas.

- Tak - potwierdził. - Odprowadzę panią na podwieczorek.

Melanie pomachała lorgnon.

- To bardzo uprzejme z pana strony, Bewcastle - powiedziała. - Christine jeszcze dzisiaj nie wychodziła. Przez cały poranek przyjmowałyśmy gości.

Książę nie spuszczał z Christine wzroku, unosząc pytająco brwi. Jeśli powie „nie”, Melanie będzie się z niej niemiłosiernie natrzasać po jego wyjściu. Jeśli zaś się zgodzi, przyjaciółka będzie z niej równie niemiłosiernie żartować po jej powrocie.

- Chętnie - usłyszała własną odpowiedź. - Pójdę włożyć kapturek i pelisę.

Pięć minut później szła z nim pod rękę w stronę parku. Zapomniała, jaki jest wysoki. Zapomniała, jaką aurę władzy wokół siebie roztaczał. Ale pamiętała, że przeżyła z tym mężczyzną intymne zbliżenie. Nagle zabrakło jej powietrza, nie mogła wykrztusić słowa. Lecz co właściwie miałyby powiedzieć? Wszystko zostało powiedziane już wczoraj.

Po co, u licha, zaprosił ją na spacer?

Dopóki szli ulicą, mogła skupić uwagę na mijanych ludziach, na tym, co się dzieje

wokół. Wkrótce jednak znaleźli się w Hyde Parku, który z powodu chłodnej i wietrznej pogody był cichy i opustoszały.

Odwróciła głowę, by zerknąć na księcia.

- I cóż, Wasza Wysokość? - rzuciła.

- I cóż, pani Derrick? - odparł.

Pomyślała z idiotyczną próżnością, że ma na sobie ładną niebieską suknię, pelisę i szary kapturek przybrany błękitnym jedwabiem, który doskonale pasował do jej stroju. Przynajmniej nie wygląda jak strach na wróble, jak zeszłego lata, ani jak topielica, tak jak wczoraj.

Przeszli chyba kilometr w całkowitym milczeniu. Mogłaby teraz pakować bagaż. A on mógłby pójść tam, gdzie zwykle chadzał popołudniami. Oboje przyjemniej spędziliby ten czas.

- Czasami ludzie bawią się w taką grę, że jedno patrzy na drugie i przegrywa ten, kto pierwszy odwróci spojrzenie - odezwała się. - My bawiliśmy się w ten sposób nieraz, choć dla pana to nigdy nie była gra. Pan po prostu spodziewa się, że osoby stojące w hierarchii towarzyskiej niżej od niego spuszcza wzrok, napotkawszy pańskie spojrzenie. Czy to jest jakaś kolejna gra? Kto pierwszy przerwie milczenie? Każdy stara się nie odezwać pierwszy?

- Jeśli tak, to chyba zgodzi się pani, że wygrałem - odparł.

- O tak - przyznała. - Ale dlaczego, na Boga, zaprosił mnie pan na spacer? Po wczorajszym dniu, po lecie zeszłego roku myślałam, że jestem ostatnią osobą, z którą chciałby pan spędzać czas.

- Być może pani się myli, madame - powiedział.

Przeszli w milczeniu sto metrów.

- W tej grze na pewno przegram - odezwała się w końcu. - Przyznaję, że jestem ciekawa. Dlaczego zaprosił mnie pan na spacer? Najwyraźniej nie dla ożywionej konwersacji.

Zbliżyło się do nich dwóch dżentelmenów na koniach. Zjechali ze ścieżki, wymienili pozdrowienia z księciem i dotknęli kapeluszy na powitanie Christine.

- Moje rodzeństwo przyjedzie z rodzinami do Lindsey Hall na Wielkanoc - odezwał się nagle.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie.

- Na pewno sprawi to panu radość - odparła grzecznie, zastanawiając się, czy rzeczywiście tak będzie. Nie potrafiła wyobrazić go sobie w otoczeniu sióstr, braci i ich dzieci. Jacy są? Nie przypominała sobie, by kogoś z nich poznała. Czy są do niego podobni? Ta myśl ją rozbawiła.

- Zastanawiałem się, czy nie zaprosić pani szwagra i szwagierki, a także kuzynów pani męża - ciągnął.

Spojrzała na niego zaskoczona. Wiedziała, że księżę przyjaźni się z Hectorem, ale nie przypuszczała, że łączy go bliższa znajomość z resztą jego rodziny.

- Potrzebna mi będzie pani pomoc w podjęciu decyzji - oznajmił.

- Moja pomoc? - Nie spuszczała wzroku z jego surowego profilu.

- Zaproszę ich, jeśli pani też przyjedzie - dokończył.

- Słucham?

Zatrzymała się i odwróciła, by spojrzeć mu w oczy. Zbliżała się do nich grupa czterech mężczyzn na koniach, więc księżę wsunął jej dłoń pod ramię i skłonił, by szli dalej. Dopiero gdy jeźdźcy ich minęli, wymieniwszy powitania, puścił jej rękę. Zatrzymali się oboje.

- Nie mogę zaprosić tylko pani - powiedział. - To wysoce niestosowne, nawet jeśli będzie obecna moja rodzina. Nie mogę pani zaprosić w towarzystwie jej matki, sióstr i szwagra. Nie jesteśmy przecież zaręczeni. Muszę więc panią zaprosić jako osobę skoligaconą z rodziną, z którą, oprócz mego rodzeństwa, życzyłbym sobie spędzić Wielkanoc.

Poczuła, jak ogarniają gniew.

- Zamierza mnie pan uwieść? - spytała. Nie powiedziała: znów. Tamtej nocy zeszłego lata wcale nie musiał jej uwodzić.

- We własnym domu? W obecności mojego rodzeństwa i rodziny pani zmarłego męża? Pani Derrick, uważa pani, że mnie zna, ale pani pytanie świadczy, że pani nic o mnie nie wie.

- I zapewne nie powtórzy pan propozycji, bym została jego kochanką - powiedziała.

- Nie - odparł. - Nie powinienem był nigdy jej składać. Nie chcę, by pani została moją kochanką.

- Więc po co? - spytała. - Niemożliwe, by nadal chciał się pan ze mną ożenić.

- Zastanawiam się, pani Derrick, czy pani sądzi, że zna myśli i intencje wszystkich swoich znajomych - rzekł. - To bardzo irytująca cecha.

Zacisnęła usta, dotknięta do żywego, i ruszyła wolno przed siebie, wystawiając twarz na wiatr, by ochłodził jej rozpalone policzki. Dogonił ją i szedł u jej boku.

- Pani Derrick, chciałbym uzyskać pani zapewnienie, że jeśli zaproszę rodzinę pani zmarłego męża, pani również przyjedzie.

- Po co? - powtórzyła pytanie. - Chce pan, bym zobaczyła wszystko, co straciłam, odmawiając panu?

- Nie jest moim zamiarem odegrać się na pani - przekonywał.

- Poza tym, gdyby to był rzeczywiście mój motyw, pani tylko spojrzalaby na mój dom i po prostu zaczęła się śmiać.

- Teraz to pan sądzi, że mnie zna.

- Odrzucając moją propozycję małżeństwa, podała pani kilka powodów, które dyskwalifikują mnie jako kandydata na jej męża - ciągnął.

- Tak? - Nie pamiętała, co mu powiedziała tamtego dnia. Pamiętała tylko straszliwe pragnienie, by za nim pobiec. I łzy żalu, które odebrały jej siły.

- Znam je na pamięć - dodał. - Powiedziała pani, że mężczyzna, z którym mogłaby się pani związać, musi mieć miłe usposobienie, dobre serce i poczucie humoru. Kochać ludzi, dzieci, zabawę i żarty. Nie może być obsesyjnie skupiony tylko na sobie i własnej pozycji. Nie może być bryłą lodu. Musi mieć serce. Być towarzyszem, przyjacielem i kochankiem. Zapytała mnie pani, czy jestem w stanie jej to wszystko ofiarować. Lub choćby tylko część. Oczywiście sugerowała pani, że nie mogę pani tego dać.

Nie pamiętała ani słowa z tego, co powiedziała. Ale on pamiętał.

Zwilżyła usta językiem.

- Nie chciałam być okrutna - rzekła. - Chociaż nie, chyba jednak chciałam, bo przypominam sobie, że bardzo mnie uraził sposób, w jaki pan mi się oświadczył. Teraz jednak nie chcę być okrutna. Wysłałam kiedyś za mąż, ponieważ zakochałam się do szaleństwa. Byłam młoda i naiwnie wyobrażałam sobie, że pierwszy poryw romantycznego uniesienia zapewni mi szczęście na resztę życia. Nie chcę po raz drugi wychodzić za mąż. Gdybym miała znów się z kimś związać, to tylko z mężczyzną, który spełnia wymagania właśnie przez pana wymienione, a nie ma mężczyzny, który by je spełnił. Wolę więc pozostać niezamężna. Przepraszam, jeśli pana obraziłam. Nie wydaje mi się wprawdzie, by można było pana obrazić, a zwłaszcza by mógł pana obrazić ktoś tak nieważny jak ja. Jeśli jednak pana uraziłam, przepraszam.

- Chciałbym pani udowodnić, że znajdzie we mnie przynajmniej część cech, które powinien mieć pani wymarzony mężczyzna - nie dawał za wygraną.

- Co takiego?

Zatrzymała się i znów spojrzała mu w oczy. Tym razem nikogo nie było w pobliżu, zeszedli bowiem z uczęszczanej ścieżki i znaleźli się w bardziej odosobnionej części parku.

- Ufam, że nie jestem tak całkiem bez serca, jak pani sugeruje - rzucił.

- Nie powiedziałam...

- Użyła pani wyrażenia „mąż o dobrym sercu” - przerwał jej.

Patrzyła na niego bez słowa. Nagle przypomniała sobie coś, co z rozmysłem wyrzuciła z pamięci. Wyraz jego oczu, gdy wychodził z ogrodu w Hyacinth Cottage. I słowa, które wtedy powiedział. „Kogoś, kto ma serce. Nie, pani Derrick, zapewne ma pani rację. Ja chyba nie mam serca. A w takim wypadku brak mi też wszystkiego, o czym pani marzy, prawda?” Miała wtedy wrażenie, że pękło jej serce.

- Nie powinnam była tak mówić - odparła. - Proszę mi wybaczyć. Obawiam się jednak, że nie jest pan ucieleśnieniem moich marzeń. Pan jest księciem Bewcastle'em i w pańskim świecie nie można mu nic zarzucić. Budzi pan szacunek, posłuszeństwo, nawet lęk. Atrybuty niezbędne arystokracji z pańską pozycją. Ja jednak oczekuję czego innego od towarzysza życia.

- Jestem mężczyzną, nie tylko księciem - rzucił.

Żałowała, że to powiedział. Miała wrażenie, jakby wielka pięść uderzyła ją prosto w żołądek, odbierając oddech i podcinając nogi.

- Wiem - szepnęła. - Wiem.

- Ten mężczyzna nie jest pani obojętny - stwierdził.

- Tak.

Na moment dotknął jej policzka. Zamknęła oczy. Jeszcze chwila i wybuchnie płaczem. Albo rzuci się mu w ramiona i zacznie błagać, by jeszcze raz się jej oświadczył, by mogła żyć z nim długo i nieszczęśliwie.

- Niech mi pani da szansę - poprosił. - Niech pani przyjedzie do Lindsey Hall.

- To nie ma sensu - odparła, otwierając oczy. - Nic się nie zmieni. Ani pan, ani moje do niego uczucia. Ani ja sama.

- Niech mi pani da szansę - powtórzył.

Nigdy nie słyszała, żeby się śmiał. Nie widziała nawet, żeby się uśmiechał. Nie mogła przecież wyjść za wiecznie ponurego człowieka. Sztynnego, wyniosłego i zimnego jak lód. Taki się jej w tej chwili wydawał. Ale przecież właśnie błagał o szansę, by mógł ją przekonać, że jest inny.

- Pan mnie zdławi - powiedziała w końcu. Zamrugnęła gwałtownie, gdy poczuła łzy napływające jej do oczu. - Odbierze mi całą energię i radość. Zgasi pan we mnie ogień i werwę.

- Niech mi pani da szansę - poprosił po raz trzeci. - Postaram się jeszcze podsyć ten ogień i zwiększyć pani radość.

Odwróciła się od niego.

- Wracajmy - rzekła cicho. - Proszę mnie odprowadzić do domu. Nie powinnam była

się zgodzić na ten spacer. Nie powinnam była przyjeżdżać do Londynu. Ani zjawiać się wtedy w Schofield.

- Ja powtarzam sobie dokładnie to samo - rzucił szorstko. - A jednak spotkaliśmy się i ciągle spotykamy. Coś nas łączy i to coś nie wygasło, choć mieliśmy nadzieję, że wystarczy jedna noc, tamta noc w czasie balu. Niech pani przyjedzie do Lindsey Hall. Proszę obiecać, że przyjmie pani zaproszenie i nie zostawi mnie samego z gośćmi, których zaproszę tylko ze względu na nią.

- Chce pan, bym przyjechała tylko po to, żeby pokazać mu, jak bardzo do siebie nie pasujemy? - zawołała, odwracając się gwałtownie do niego. - By uświadomić panu, jak bardzo się różnimy i jak bardzo będziemy ze sobą nieszczęśliwi, jeśli się zwiążemy?

- Tak, choćby tylko po to - odparł. - Jeśli zdoła mnie pani o tym przekonać, wyświadczy mi pani ogromną przysługę. Pomoże mi pani uwolnić się od niej.

- To nie będzie przyjemna Wielkanoc - oznajmiła. - Ani dla pana, ani dla mnie.

- Mimo wszystko proszę, żeby pani przyjechała.

Westchnęła głośno i przypomniała sobie słowa Eleanor. Oto najlepszy moment, by wykazać się silną wolą.

- Dobrze - zgodziła się. - Przyjadę.

Na chwilę w jego oczach mignął błysk triumfu.

- A teraz proszę mnie odprowadzić do domu, jeśli łaska - poleciła.

Spełnił jej prośbę. Milczeli przez całą drogę powrotną. Nie chciał wejść do środka. Zresztą wcale go do tego nie zachęcała. Na chodniku przed domem ujął jej dłoń i uniósł do ust, a potem spojrzał jej w oczy.

- Proszę pamiętać, co pani obiecała - powiedział.

- Dobrze. - Cofnęła rękę. - Nie zapomnę.

Wulfric już nie mógł cieszyć się w Lindsey Hall ciszą i spokojem. Dom był pełen rodzeństwa, ich żon, mężów, dzieci i innych bliskich im osób. Bedwynowie zawsze byli hałaśliwą gromadą, ale teraz, gdy znacznie ich przybyło i nie widzieli się od jakiegoś czasu, robili dwa razy tyle hałasu co zwykle.

Freyja i jej mąż Joshua, markiz Hallmere, przybyli z dwuletnim synem Danielem i trzymiesięczną córeczką Emily. Freyja szybko doszła do siebie po porodzie. Uwielbiała bawić się z Danielem na podłodze, niekoniecznie w pokoju dzieciennym. Poza tym Daniel spędzał większość czasu, galopując po domu na ramionach ojca.

Alleyne i jego żona Rachel oraz Morgan z Gervase'em, hrabią Rosthornem, zjawili się tego samego dnia. I również przywieźli ze sobą dzieci. Alleyne i Rachel półtoraroczne bliźniaczki Laurę i Beatrice, a Morgan i Gervase dwuletniego Jacques'a i dwumiesięcznego Jules'a. Rachel spodziewała się kolejnego potomka, ale nie było to jeszcze zbyt widoczne. Alleyne'owi i Rachel towarzyszył baron Weston, wuj Rachel, który wrócił do zdrowia po kłopotach z sercem.

Następnego dnia przyjechali Rannulf i Judith z trzyletnim Williamem i roczną Mirandą. William od razu zażądał, by ojciec woził go na ramionach po domu. Dobroduszną reakcją Rannulfa na to kategoryczne żądanie wymownie świadczyła o surowości ojcowskiej władzy w ich rodzinie. Jacques, nie chcąc być gorszy, również poprosił swego ojca o przyjęcie roli rumaka, tyle że grzeczniej. Tak długo ciągnął go za chwost przy bucie, aż został zauważony. Wtedy wyciągnął ręce do góry.

Głośno rżący ojcowie z piszczącymi chłopcami na ramionach stali się normalnym widokiem na korytarzach i schodach Lindsey Hall. Czasami Wulfric widział w roli jeźdźca jedną z bliźniaczek, ale nie potrafił powiedzieć którą.

Aidan i jego żona Eve przyjechali z panią Pritchard, ciotką Eve, i trójką dzieci, dziesięcioletnim Davym, ośmioletnią Becky i niemal roczną Hannah. Davy i Becky byli właściwie przybranymi dziećmi, lecz Aidan i Eve nie pozwalali, by tak o nich mówiono. Traktowali całą trójkę jednakowo. Davy zwracał się do nich: ciociu i wujku, a Becky: mamó i papo.

Davy stał się ulubieńcem chłopców. Bezlitośnie porzucili ojców na rzecz starszego kuzyna, który zjeżdżał po poręczach, gdy nikt z dorosłych nie widział. Natomiast dziewczynki zgromadziły się wokół Becky, niczym pisklęta wokół kwoki.

Wulfric, choć szczęśliwy, był też trochę zmęczony. A że gwar rozmów rósł z przyjazdem każdego kolejnego członka rodziny, wycofał się do swego sanktuarium - do biblioteki - tak jak wtedy, gdy jeszcze wszyscy mieszkali razem.

Jako ostatni przybyli ciotka i wuj, markizostwo Rochester. Ciotka była siostrą ojca i zasłużenie cieszyła się opinią groźnego smoka. Przywiozła ze sobą siostrzenicę męża, który chyba niewiele miał w tej sprawie do powiedzenia. Dziewczę owo wędło gdzieś na północy kraju, aż w wieku dwudziestu trzech lat zostało wysłane do krewnych w Londynie. Ciotka Rochester postanowiła wziąć pannę pod swoje skrzydła, przedstawić na dworze i w nadchodzącym sezonie wprowadzić do towarzystwa.

Nie kryła się też z zamiarem, by wydać Amy Hutchinson za swego najstarszego bratanka.

- Znajdziemy Amy męża, nim sezon dobiegnie końca - oznajmiła bez ogródek podczas kolacji w dniu przyjazdu. - A może nawet zanim się zacznie. Dwadzieścia trzy lata to dla kobiety najwyższy czas na małżeństwo.

- Ja wyszłam za mąż w wieku lat dwudziestu pięciu - przypomniała jej Freyja.

Ciotka Rochester podniosła wysadzone klejnotami lorgnon i pogroziła nim bratanicy.

- Ty czekałaś niebezpiecznie długo - powiedziała, zwracając lorgnon w kierunku Joshuy. - Gdyby ten chłopak nie zjawił się w porę, by cię oczarować i okiełznać, pewnie byś skończyła jako stara panna. To nieciekawy los dla kobiety, nawet jeśli jest siostrą księcia.

Joshua wymownie poruszył brwiami. Freyja spiorunowała go wzrokiem, jakby to nie ciotka, a on sam właśnie przypisał sobie niewymowny czar, a jej zarzucił dzikość i upór.

Parę minut później ciotka przerwała ogólną rozmowę kolejną uwagą.

- Bewcastle, czas już najwyższy, byś ty też się ożenił - oznajmiła. - Trzydzieści pięć lat to dla mężczyzny piękny wiek, ale i niebezpieczny. Piękny do ożenku, a niebezpieczny, jeśli będziesz nadal zwlekał. Mężczyzna nie powinien cierpieć na podagrę, gdy jego syn i dziedzic tytułu dopiero raczkuje.

Wszyscy spojrzeli na Wulfrica z rozbawieniem.

- Ciotka ma rację - powiedział Alleyne. - Masz już trzydzieści pięć lat. Nie wolno ci zwlekać ani chwili, bo to się może dla ciebie źle skończyć.

- Wulf, wierz mi, ojcowie z podagrą nie nadają się na wierzchowce, ich synowie mają o to do nich słuszne pretensje - dodał Rannulf.

- Dziękuję za dobre rady, ciociu - odparł Wulfric, świadom, że aluzje markizy dotyczące jego i panny Hutchinson były jasne dla wszystkich obecnych, nie tylko dla niego. - Ale nie widzę jeszcze u siebie żadnych symptomów podagry. A jeśli kiedykolwiek wybiorę

odpowiednią kandydatkę na księżną, z pewnością poinformuję rodzinę o moim wyborze i intencjach.

Bedwynowie się roześmiali. Podobnie Joshua i Gervase. Nawet Eve i Rachel się uśmiechnęły.

- Czy planujesz na święta jakieś szczególne rozrywki? - spytała Judith z wyraźnym zamiarem zmiany tematu, który dla niego był tylko irytujący, ale dla panny Hutchinson zapewne wielce drażliwy. Dziewczyna, choć ładna i elegancko ubrana, była nieśmiała i najwyraźniej załęczona towarzystwem, w którym się znalazła.

- Może sami coś zorganizujemy? Oczywiście najpierw idziemy do kościoła. Ale potem? Jakiś wieczorek? Koncert? Amatorskie przedstawienie? Albo piknik, jeśli pogoda dopisze? Może nawet bal?

- Kochanie, w której kwestii Wulf ma się wypowiedzieć najpierw? - spytał Rannulf.

- Oczywiście amatorskiego przedstawienia - roześmiała się.

- Możemy coś urządzić?

- Jeśli do tego dojdzie, to strasznie popsuje mi humor - ostrzegła Freyja, zerkając na bratową z ukosa. - Znów zagrasz o niebo lepiej od nas wszystkich, a my wyjdziemy na okropnych amatorów.

- Musimy więc zaplanować takie rozrywki, żeby Judith mogła odegrać jakąś rolę, a my zaśpiewać razem w duecie - rzekł Joshua. - Nikt z nas nie chce zepsuć ci humoru.

- Nie rozumiem, czemu mielibyśmy organizować jakieś rozrywki - wtrąciła się Morgan. - Zawsze doskonale się bawiliśmy i bez tego, prawda? Zabrałam ze sobą farby i sztalugi i już nie mogę się doczekać, żeby wyjść z nimi w plener. Nigdy nie miałam szansy namalować parku tak, jak chciałam. Panna Cowper ciągle wisiała nade mną, sugerując, jak powinnam to zrobić. Chyba obawiała się, że jeśli nie nauczy mnie należycie malować, Wulf każe ją przykuć łańcuchem w lochu. Jestem pewna, że do końca pobytu tutaj wierzyła, że pod Lindsey Hall rzeczywiście są lochy.

- A nie ma? - spytał Alleyne, szczerze zdumiony. - To znaczy, że ja i Ralf okłamaliśmy pannę Cowper, gdy opowiedzieliśmy jej o tajemnym przejściu, które do nich prowadzi? Coś takiego!

- Dzieci na pewno chętnie pobawią się w tym pięknym parku - wtrąciła pani Pritchard z silnym walijskim akcentem. - Zwłaszcza że jest ich spora gromadka.

- Ale przygotowujemy coś specjalnego, prawda, Wulfric? - nalegała Judith.

- Spodziewam się jeszcze innych gości - rzucił.

Wszyscy natychmiast skupili na nim uwagę. Wprawdzie udzielał się towarzysko i

przyjmował gości zgodnie z nakazami etykiety, ale nigdy nie zapraszał nikogo na dłuższy pobyt.

- Przyjedzie Mowbury wraz z wicehrabiną matką - oznajmił Wulfric. - A także jego brat i siostry. Justin Magnus, lady Renable z mężem i dziećmi, lady Wiseman i sir Lewis oraz Elrick, kuzyn Mowbury'ego, z żoną i ich owdowiałą szwagierką, panią Derrick.

- Mowbury? - zdziwił się Aidan. - Ten mól książkowy? I cała jego rodzina? Nie wiedziałem, że zawarłeś z nimi bliższą znajomość.

- Wszyscy się tu zjadą? - Rannulf był nie mniej zdumiony.

- A po co, do licha?

Wulfric odłożył łyżeczkę i zacisnął palce na monoklu.

- Nie wiedziałem, że muszę się tłumaczyć swoim braciom i siostram z towarzystwa, które miałem ochotę zaprosić do mego domu - odparł.

- Nie mów o siostrach, bo ani ja, ani Morgan nie pisnęłyśmy nawet słowa - powiedziała Freyja. - Ale zaraz, zaraz, czy pani Derrick to nie ta kobieta, którą wyłowileś z rzeki w Hyde Parku i ociekającą wodą zawiozłeś do domu na swoim koniu?

- Wulf naprawdę to zrobił? - roześmiał się Alleyne. - Nie do wiary. Free, opowiedz coś więcej.

Chyba nie bardzo mi się udało niepostrzeżenie wymienić jej nazwisko w gronie spodziewanych gości, pomyślał Wulfric.

Tymczasem Freyja, z pomocą Joshuy i Gervase'a, zdała dokładną i stanowczo sensacyjną relację z tego, co wydarzyło się w Hyde Parku.

- Założę się, że nie było ci do śmiechu - orzekł Rannulf, gdy wszyscy przestali się śmiać. - A teraz musiałeś zaprosić tę damę wraz z resztą jej rodziny. Co za pech! Ale nie obawiaj się, stary, obronimy cię przed nią.

- Staniemy wokół ciebie murem najeżonym wrogością - obiecał Alleyne i zachichotał. - Zatrzymamy ją na tej linii. Będziesz mógł w spokoju odzyskać nadszarpiętą dumę.

Wulfric zatrzymał monokl w pół drogi do oka.

- Wszyscy moi goście będą traktowani z należyтым szacunkiem - rzekł. - A odpowiadając na pytanie Judith, planuję urządzić bal. Mój sekretarz wysłał już zaproszenia i zajął się przygotowaniem. Pozostałe rozrywki zaimprovizujemy na bieżąco.

Opuścił monokl, ujął łyżeczkę i zajął się kremem waniliowym.

Do licha, co go opętało?

„Niech mi pani da szansę”, błagał. Po co? Szansę, by mógł jej udowodnić, że jest kimś, kim nie jest? Nigdy dotąd o nic nie błagał. Nie musiał.

„Nic się nie zmieni”, odparła. I miała rację. Jak mógłby zmienić swoją naturę? Czy w ogóle chciał? Miała rację. Nie było nic, co mogłoby ich połączyć i zapewnić im długie, szczęśliwe życie.

„Pan mnie zdławi - powiedziała. - Odbierze mi całą energię i radość. Zgasi we mnie ogień i werwę”.

Nie znał radości. Nie miał do czynienia z energią i werwą. A przynajmniej nie z tą rozświetlającą jej osobę wewnętrznym blaskiem, którego nie potrafił opisać słowami.

Czy mógł jej ofiarować coś, czego pragnęła? I czy w niej było coś, co predysponowało ją do roli księżnej? Nie jego kobiety, żony, ale właśnie księżnej?

Odłożył łyżeczkę i upewniwszy się, że wszyscy skończyli jeść, zerknął na ciotkę, lekko unosząc brwi. Zrozumiała w mgnieniu oka i wstała, by przejść z paniami do salonu.

Dzień był zimny i wietrzny, choć zbliżał się już kwiecień. Szare chmury wisiały nisko nad ziemią i od czasu do czasu mżyły deszczem na ponury krajobraz. Na szczęście niebo wstrzymało się z ulewą, dzięki czemu drogi pozostały przejezdne.

Christine niemal modliła się o potop, który zatrzymałby ich w jakiejś przydrożnej gospodzie na całe święta. Teraz jednak było już za późno. Zbliżali się do Lindsey Hall. W chwili gdy to pomyślała, powóz zwolnił i skręcił między wysokimi słupami bramy w prostą aleję wysadzaną wiązami.

- Dobry Boże! - krzyknęła Melanie, budząc się z drzemki. Wysunęła ręce z muflki, by poprawić kapturek. - Czy już dojechaliśmy? Bertie, obudź się. Dość już mam twojego chrapania. Jak to możliwe, żeby zasnąć w powozie? Okropnie mnie wytrzęsło. Jestem cała obolała. A ty nie, Christine?

Christine wyjrzała przez okno i zobaczyła wielką rezydencję łączącą style gotycki, elżbietański, georgiański i jeszcze parę innych. Budynek był imponujący.

Nigdy nie cierpiała na chorobę lokomocyjną, nagle jednak zrobiło się jej niedobrze. Całe szczęście, że ich podróż dobiega końca. Na tę myśl żołądek wręcz podszedł jej do gardła.

Powóz objechał okrągły klomb obsadzony tulipanami i żonkilami, z wielką kamienną fontanną pośrodku. Woda tryskała z niej na dziesięć metrów w górę. Na każdym gościu zbliżającym się do rezydencji widok musiał robić oszałamiające wrażenie.

Znaleźli się przy tarasie przed wielkimi podwójnymi drzwiami frontowymi, które zaczęły się otwierać.

Melanie od chwili przebudzenia cały czas paplała, ale Christine nie słyszała nawet jednego słowa. Żałowała, że nie może cofnąć czasu i zamiast przyjąć zaproszenie księcia, po

prostu powiedzieć: nie. Siedziałyby sobie teraz spokojnie w domu i wraz z rodziną oczekiwała nadejścia Wielkanocy.

Zgodziła się jednak i oto zbliżała się do kresu podróży. Serce łomotało jej w piersi, gdy lokaj we wspaniałej liberii otworzył drzwi powozu i wystawił schodki.

Miała sobie za złe, że tak się denerwuje. Gardziła sobą za to. Powiedziała mu, że to wszystko nie ma sensu, że nic się nie zmieni, bo nie może się zmienić.

Nie ustąpił, więc przyjechała.

Ale dlaczego tak się denerwuje? Dlaczego spodziewa się najgorszego i kusi los? Dlaczego z góry zakłada, że nie będzie się dobrze bawić? Przecież zawsze może usiąść w kącie i śmiać się z ludzkich słabostek. Ta taktyka nie za bardzo przydała się w Schofield, ale to nie znaczy, że nie sprawdzi się tutaj.

Przed domem przywitała ich tylko służba. Główny lokaj, którego Christine pewnie uznałaby za księcia, gdyby nie poznała rzeczonoego dżentelmena wcześniej, uklonił się przepisowo i zaprosił do środka, gdzie oczekuje Jego Wysokość.

Melanie i Bertie weszli za nim.

Christine nie.

Gdy podjechał drugi powóz z dziećmi i ich nianią, od razu zorientowała się, że coś jest nie tak. Pewnie sześciolatka Pamela znów źle się czuła, tak jak przez prawie całą drogę. Karcący głos opiekunki, którego ton sugerował, że niania jest u kresu sił, rozległ się, jak tylko otwarto drzwi powozu. Ośmioletni Phillip śmiał się w wyjątkowo irytujący sposób. Trzyletnia Pauline na przemian płakała i skarżyła się na brata piskliwym głosikiem. Christine zrozumiała, że niania nie poradzi sobie z sytuacją i należy jej pomóc.

Podeszła do powozu.

- Phillipie, stało się coś bardzo śmiesznego! - zawołała z promiennym uśmiechem, gotowa kłamać jak z nut. - Widzisz tego wspaniałego lokaja? - Wskazała plecy służącego kierującego się do drzwi. - Spytał mnie, cóż to za elegancki dżentelmen przyjechał tym powozem. Najwyraźniej wziął cię za dorosłego. Co ty na to?

Phillip aż spuchł z dumy. Wysiadłszy na taras, przyjął pozę zblazowanego dandysa. Christine zajrzała do powozu i wzięła Pauline na ręce.

- Dojechaliśmy, malutka - powiedziała i uśmiechnęła się do umęczonej niani tulącej Pamelę. - Za chwilę znajdziesz się we wspaniałym pokoju zabaw. Czy to nie cudowne? Jestem pewna, że będą tam też inne dzieci, z którymi się szybko zaprzyjaźnisz.

Melanie, Bertie i lokaj znikli już wewnątrz domu. Na tarasie pojawiła się energiczna kobieta w średnim wieku, najwyraźniej po to, by wprowadzić dzieci i ich nianię do środka

innym wejściem. Phillip skinął jej głową i poinformował, że jego starsza siostra pochorowała się w podróży, a młodsza jest zmęczona, więc niania będzie jej bardzo wdzięczna za pomoc.

- Prawdziwy z ciebie dżentelmen - stwierdziła kobieta i uśmiechnęła się z aprobatą. - Taki zatroskany o swoje siostry.

Christine pomyślała, że lada moment zobaczy nad głową Phillipa aureolę.

- Wezmę ją od pani, madame. - Kobieta wyciągnęła rękę po Pauline.

Ta jednak zacisnęła rękę na szyi Christine, przekrzywiając jej przy okazji kapturek, wtuliła twarz w jej ramię i wyraźnie szykowała się do ataku hysterii.

- Jest zmęczona i w obcym miejscu - powiedziała Christine. - Sama ją zaniosę do pokoju dzieciennego.

Pospiesznie ruszyła do drzwi wejściowych. Obawiała się, że zastanie je już zamknięte, ale nadal stały otworem. Ledwie weszła do holu, poczuła się straszliwie wymięta i potargana.

Wielki hol wejściowy z dębowym belkowaniem robił imponujące wrażenie. Naprzeciw drzwi znajdował się ogromny kominek, a przez całą długość korytarza ciągnął się dębowy stół obstawiony krzesłami. Na bielonych ścianach wisiały chorągwie, tarcze herbowe i broń. Z boku, za misternie rzeźbionym drewnianym ekranem, kryła się galeria dla minstreli. Z drugiej strony szerokie schody prowadziły na górę.

Zauważyła grupę ludzi ustawionych w szeregu ciągnącym się od drzwi. Ze zgrozą uświadomiła sobie, że chyba czekają na nią, jako że Melanie i Bertie już się przywitani i właśnie szli ku schodom.

Gdy oczy przyzwyczyły się jej do półmroku, dostrzegła księcia Bewcastle'a, który postąpił ku niej i z nieodgadnionym wyrazem twarzy przywitał ją oficjalnym ukłonem. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale go uprzedziła.

- Przepraszam - wyjaśniła zdyszonym głosem. - Pamela się pochorowała, Phillip był niezdolny, a Pauline bliska hysterii. Zostawiłam Pamelę z nianią, namówiłam Phillipa, żeby choć przez pięć minut zachowywał się jak dżentelmen, i przytuliłam Pauline, żeby ją pocieszyć. Jest bardzo zmęczona i przestraszona i nie chciała się ode mnie oderwać. Dlatego... - nagle język zaczął się jej plątać. Roześmiała się. - I oto jestem.

Pauline przywarła do niej jeszcze mocniej i przekręciwszy głowę, by spojrzeć na księcia, jeszcze bardziej przekrzywiła kapturek Christine.

- Witam w Lindsey Hall, pani Derrick - powiedział książę Bewcastle. Przez chwilę wydawało się jej, że w jego srebrzystych oczach zapłonęło dziwne światło. - Pozwoli pani, że jej przedstawię moją rodzinę.

Odwrocił się i wskazał starszą kobietę, w której Christine, choć nigdy nie została jej

przedstawiona, rozpoznała jedną z dam uważanych za postrach towarzystwa.

- Markiza Rochester, moja ciotka - powiedział ksiączę. - I markiz Rochester, jej mąż.

Christine dygnęła, na ile była w stanie z trzyletnią dziewczynką w ramionach. Markiza skinęła głową i omiotła ją od stóp do głów spojrzeniem, które jasno mówiło, że uznała ją za osobę bez żadnego znaczenia. Markiz, który był o głowę niższy od żony, uklonił się i wymamrotał coś pod nosem.

- Lord Aidan Bedwyn z żoną - ciągnął Bewcastle, wskazując wysokiego bruneta, który wyglądał na wojskowego. Aidan był bardzo podobny do brata, tylko nieco szerszy w ramionach. Towarzysząca mu ładna ciemnowłosa dama uśmiechnęła się do Christine, gdy jej mąż się kłaniał.

- Ta mała chyba zaraz zaśnie - powiedziała.

- Lord Rannulf Bedwyn z żoną - kontynuował ksiączę.

Lord Rannulf, olbrzym o długich jasnych włosach, przypominał saksońskiego wojownika. Jego żona była skończoną pięknoscią o ponętnych kształtach i płomiennie rudych włosach. Uśmiechnęła się do Christine, a lord Rannulf się uklonił.

- Lady Renable już myślała, że pani uciekła - rzucił z wesołym błyskiem w oku.

- Ależ nie - zaśmiała się Christine. - Obawiam się jednak, że niania tych dzieci nie dożyłaby końca dnia, gdybym nie pospieszyła jej z pomocą. Trójka pociech zamknięta przez dwa dni w powozie to nie najlepsza kombinacja.

- Markiz i markiza Hallmere - oznajmił ksiączę Bewcastle.

Ewidentnie to markiza pochodziła z rodziny Bedwynów. Niewysoka, podobna do lorda Rannulfa, odziedziczyła wydatny rodzinny nos i wyniosły sposób bycia.

- Pani Derrick - dygnęła formalnie.

Jej mąż, wysoki blondyn piękny jak młody bóg, uklonił się i zapytał, jak minęła jej podróż.

- Dobrze, dziękuję, milordzie - odparła.

- Lord Alleyne Bedwyn z żoną - przedstawił ksiączę.

Christine zauważyła, że lord Alleyne jest najprzystojniejszy z braci. Ciemnowłosy, szczupły i piękny mimo nieco wydatnego nosa, miał wesołe oczy, choć trudno było orzec, czy śmieją się szyderczo, czy po prostu promienieją radością życia. Uklonił się szarmancko i spytał, jak się Christine miewa. Jego żona była złotowłosa i śliczna.

- Mój wuj znał pani zmarłego męża - powiedziała. - Pozwoli pani, że was sobie później przedstawię. Najpierw musi pani zanieść to biedactwo do pokoju dziecinnego i odpocząć po podróży.

- Hrabia i hrabina Rosthorn - rzucił książę, wskazując parę na końcu szeregu.

- Miło mi panią poznać, madame - powiedział hrabia z czarującym francuskim akcentem i się uklonił.

- Pani Derrick, to miło z pani strony, że zajęła się tą małą - dodała hrabina.

Dotknęła buzi dziecka i uśmiechnęła się, gdy Pauline spojrzała na nią spod oka.

Lord Alleyne był najprzystojniejszy z braci, stwierdziła Christine, ale to hrabina Rosthorn, ciemnowłosa, gibka, o nieskazitelnych rysach, jest piękną.

Książę Bewcastle dał jakiś niewidoczny sygnał - czyżby uniósł brwi? - i w holu pojawiła się służąca. Czekala w milczeniu o kilka kroków dalej.

- Madame, zostanie pani zaprowadzona do pokoju dziecinnego, a potem do przeznaczonych jej pokoi - oznajmił książę. - Za pół godziny ktoś się u pani pojawi, by wskazać jej drogę do salonu, gdzie będzie podany podwieczorek.

- Dziękuję - odparła Christine.

- A gdy Wulf mówi pół godziny, to ma na myśli dokładnie trzydzieści minut - rzucił lord Alleyne z uśmiechem.

Książę stał z obojętną miną. Czy to możliwe, że tak żarliwie nalegał, by tu przyjechała? Że zaprosił całą rodzinę Oscara tylko po to, by mieć pretekst, aby zaprosić także ją? W jego oczach widziała teraz tylko chłodną kurtuazję.

Gardziła sobą i nienawidziła się za to, że poczuła radość, gdy go zobaczyła. Prawdę mówiąc, stęskniła się za jego widokiem. Czyżby więc postanowiła skazać się na dożywotnią udrękę? Teraz, kiedy zobaczyła ten wspaniały główny hol jego domu, jego arystokratyczną do szpiku kości rodzinę i jego samego, zdała sobie sprawę, że nawet gdyby wiele ich łączyło jak kobietę i mężczyznę, ich związek i tak nie miałby szans powodzenia.

Pomysł, że miałyby zostać księżną, był po prostu idiotyczny.

Wyobrażała sobie, że zjawi się w Lindsey Hall elegancka, chłodna i dystygowana. Odziana w nowe stroje, dama w każdym calu, przywita się z księciem Bewcastle'em i uśmiechnie zagadkowo, ani na chwilę nie tracąc kontroli nad sytuacją.

A w rzeczywistości...

Gdzieś w pół drogi między powozem Bertiego a drzwiami Lindsey Hall zgrzała się i spociła. Przekrzywił się jej kapturek. Zauważyła też, że suknia i płaszcz tak się jej zadarły, że widać było całą kostkę, na szczęście osłoniętą nowym trzewikiem.

I paplała bez opamiętania, gdy weszła do domu, zamiast poczekać, by się z nią przywitał, i dopiero wtedy zaszczycić go chłodnym, dystygowanym uśmiechem.

Stała przed jego braćmi, siostrami i ich współmałżonkami oraz niesamowicie

wyniosła markizą Rochester w pomiętym ubraniu, przekrzywionym kapturku, z zarumienioną twarzą i dzieckiem w ramionach.

Na samą myśl o tym miała ochotę się rozplakać.

To dość, by przekonać księcia Bewcastle'a, że żaden mężczyzna, a już na pewno nie on, nie chciałby spełniać jej oczekiwań.

Podczas podwieczorku Wulfric bardzo się starał skupiać uwagę na każdym z gości, tylko nie na Christine Derrick. Dopilnował, by na kolacji siedziała między Alleyne'em i Joshua, jak najdalej od niego. Po jego lewej ręce usiadła lady Elrick, po prawej lady Mowbury.

Nie chciał, aby jego rodzina zaczęła podejrzewać, że Christine Derrick jest gościem honorowym.

Włożyła prostą jasnozieloną suknię z wysokim stanem, skromnym dekoltem i krótkimi rękawami, przystrojoną pojedynczą falbanką u spódnicy. Jak zwykle nie nosiła biżuterii i ozdób we włosach. Choć ładnie i gustownie ubrana, nie mogła świetnością stroju konkurować z jego siostrami, bratowymi i innymi obecnymi damami. Mimo to w końcu stołu, gdzie siedziała i rozmawiała z Joshua i Alleyne'em, atmosfera była radosna, widać było, że ta trójka dobrze się bawi. A przynajmniej tak się Wulfricowi wydawało, jako że nie słyszał ani słowa z tego, co było tam mówione.

Gdy po kolacji panowie dołączyli do dam w salonie, Christine siedziała w kącie z Eve, Rachel i panią Pritchard. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Wulfric dostrzegł w jej oczach rozbawienie, jakby chciała mu powiedzieć, że kolejna próba, by z boku obserwować ludzkie słabostki, została udaremniona.

Zajął się pozostałymi gośćmi. Szybko wmanewrowano go w nader nudne zajęcie przewracania nut pannie Hutchinson, która zasiadła do fortepianu. Grała całkiem poprawnie, choć, jak mu się wydawało, nieco nerwowo. Gdy skończyła, pochwalił jej grę i odszedł napić się herbaty, którą nalewała Judith. Wkrótce jednak znów konwersował z panną Hutchinson i ciotką. Ta ostatnia po kilku minutach nagle oświadczyła, że wzywają małżonek i znikła pośród szumu piór wpiętych we włosy.

Markiz Rochester, grający w karty z Westonem, lady Mowbury i panią Pritchard, chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, że jego połowica przebywa w tym samym pomieszczeniu.

Panna Hutchinson, która już od pewnego czasu wyglądała na skrupowaną, teraz, zostawszy z nim konwersować sam na sam, wyglądała, jakby miała lada moment zemdleć. Podeszła do nich Morgan. Zanim jednak panna Hutchinson zdążyła się z ulgą do niej odwrócić, ciotka Rochester spadła na nich jak jastrząb i odciągnęła Morgan pod błahym pretekstem.

To nie do zniesienia, stwierdził Wulfric. Ciotka po raz ostatni próbowała go wyswatać dziesięć lat temu.

- Panno Hutchinson, widzę, że przy fortepianie gromadzi się grupa melomanów. Czy chciałaby się pani do nich przyłączyć? - spytał.

- Tak, Wasza Wysokość - odparła. - Bardzo proszę.

Pomyślał, że ciotka musiała postradać zmysły, jeśli myśli, że uda jej się go wyswatać z tym dziewczęciem. Wiedział jednak, że markizę niełatwo odwieść od raz powziętego zamiaru. Jeśli nie chciał znów znaleźć się sam na sam z panną Hutchinson, powinien poszukać jakiegoś innego towarzystwa. Wreszcie zrobił więc to, czego pragnął od początku.

Przeszedł w róg pokoju, gdzie chwilowo sama siedziała Christine Derrick. Stał nad nią i na nowo zdumiał się, że ona jest tu, w Lindsey Hall. Przez kilka strasznych chwil, gdy baron Renable wszedł do holu tylko z żoną, myślał, że zmieniła zdanie i nie przyjechała. Ale potem zjawiała się zdyszana i zarumieniona, w przekrzywionym kapturku, pomiętej sukni i z dzieckiem na ręku i od razu zaczęła pospiesznie trajkotać. Znów przemknęło mu przez myśl, że po prostu brak jej ogłady. A równocześnie miał dziwne wrażenie, że jeśli w tym ponurym dniu zaświecił jeden promyk słońca, to ona wniosła go do środka.

Nie spodziewał się, że się zakocha. A zwłaszcza w kobiecie o tak niskiej pozycji. Nie był przygotowany na emocjonalną burzę, jaką to w nim wywoła.

- I cóż, pani Derrick? - zagaił.

- I cóż, Wasza Wysokość?

- Mam nadzieję, że jest pani zadowolona ze wszystkiego? Z pokoju? Służby?

- Mam prześliczny pokój z pięknym widokiem - odparła. - Pańska ochmistrzyni jest dla mnie nadzwyczaj miła. Przydzieliła mi nawet osobistą pokojówkę, choć zapewniałam, że jej nie potrzebuję.

Sklonił głowę. Ochmistrzyni wykonywała jego rozkazy. Sam wybrał pokój dla Christine Derrick. Miał nadzieję, że spodobają się jej tapety i ekrany z chińskiego jedwabiu oraz wesołe zielono - złote zasłony. Chciał też, by miała widok na fontannę otoczoną wiosennymi kwiatami i ciągnącą się za nią długą aleję. Zawsze uważał, że to wyjątkowo piękny widok na park. Taki sam roztaczał się z okien jego apartamentu, choć od pokojów Christine Derrick dzieliły go trzy inne pomieszczenia. Domyślił się, że jako jedyna z zaproszonych dam nie będzie miała własnej pokojówki. Ona. To po prostu nie uchodziło.

Usiadł na krześle koło niej i wygładził poły surduta.

- Mam nadzieję, że podróż była przyjemna - rzucił.

- Tak, dziękuję - odparła.

- Spodziewam się, że zostawiła pani matkę w dobrym zdrowiu? - spytał. - I siostrę też?

- Obie czują się świetnie, dziękuję.

- A pani siostra na plebanii? Siostrzeńcy i siostrzenica?

- Wszyscy mają się doskonale. - Uśmiechnęła się lekko, ale zaśmiała oczami. - Pastor, mój szwagier Charles, również.

Kiedy zaczęło mu się podobać, że się z niego w duchu podśmiewa?

- Miło mi to słyszeć. - Bezwiednie ujął w palce oprawkę monokla. Opuściła oczy, by śledzić jego gest, i dopiero wtedy zdał sobie z niego sprawę.

Nie był towarzyskim człowiekiem. Unikał rozrywek i zdawkowej konwersacji, ale jako dżentelmen potrafił uprzejmie rozmawiać, jeśli była taka potrzeba. Tak jak dzisiejszego wieczoru, gdy przyjmował gości we własnym domu. Wszyscy, nawet jego bracia i siostry, zostali zaproszeni z powodu tej kobiety. Chciał, by tu przyjechała, żeby ją do siebie przekonać.

A teraz nie był w stanie wykrztusić nawet słowa.

- Zdumiałam się, gdy zobaczyłam w pokoju dzieciennym tyle dzieci - powiedziała.

- Moi bracia i siostry bardzo się postarali przez ostatnie kilka lat odparł. - Proszę się jednak nie obawiać, że opanują cały dom albo że znów będzie pani musiała się nimi zajmować. Zostaną w pokoju dzieciennym pod opieką niań.

Doszedł do wniosku, że jego rodzeństwo musi trochę okiełznać swoje pociechy, by nie biegały po całym domu, kiedy pojawili się inni goście.

- Mam się nie obawiać. Zostaną w pokoju dzieciennym - powtórzyła cicho. - Jak wygodnie jest być bogatym. Są pokoje dzieciinne i niańki i można zapomnieć, że się w ogóle ma dzieci, chyba że chodzi o sukcesję.

- Wolalaby pani, żeby dzieci nieustannie kręciły się jej pod nogami, przerywały rozmowy i nadużywały cierpliwości dorosłych?

- Z mego doświadczenia wynika, że na ogół jest całkiem odwrotnie - odparła. - To dorośli przerywają dzieciom rozmowy i do granic możliwości wystawiają ich cierpliwość na próbę. Mimo wszystko dorośli i dzieci są w stanie współistnieć.

- I dlatego dorośli muszą czasem wsiadać z dziećmi na zaczarowane dywany i machać rękami, by przelecieć nad Atlantykiem?

- Ojej - westchnęła i zarumieniła się. - Więc jednak pan widział tę lekcję? To nie w porządku, że stanął pan akurat w tamtym miejscu. Miał pan słońce za plecami, więc nie mogłam pana zauważyć. Zatem nie pochwała pan tego, co robiłam? Uważa, że

zachowywałam się niewłaściwie? Czy lepiej było usadzić dzieci na trawie w równym rzędzie, stanąć nad nimi w wyniosłej pozie i zasypać je lawiną faktów na temat handlu futrami w Ameryce Północnej, szlaków kupieckich, sposobów podróżowania, flory i fauny na mijanych terenach i tak dalej? Czyż mój gniew nie byłby uzasadniony, gdyby na następnej lekcji okazało się, że żadne z dzieci niczego nie zapamiętało?

Pani Derrick mówiła całą sobą, nie tylko ustami tak jak inni ludzie. W jej słowach, tak jak w jej życiu, były ogień, pasja, a nawet namiętność. Słuchał i przyglądał się jej zafascynowany.

- Szczerze mówiąc, byłem oczarowany - wyznał.

- O! - Najwyraźniej zbił ją z pantofelku. Już była gotowa wytaczać kolejne argumenty. Pomyślał poniewczasie, że może powinien był się z nią trochę podrażnić. - A mimo to uważa pan, że miejsce dzieci jest w pokoju dziecięcym?

- Zastanawiam się, co by dzieci tam na górze sobie pomyślały, gdybyśmy wchodzili do ich królestwa, kiedy się nam podoba? - rzucił. - Może doszłyby do wniosku, że miejsce dorosłych jest w salonie na dole?

Roześmiała się.

- Muszę przyznać, że to naprawdę nowatorska myśl - odparła. - Na plebanii Hazel wiecznie ucisza dzieci, żeby nie przeszkadzały Charlesowi w przygotowaniu niedzielного kazania. Poza tym ciągle poprawia ich wymowę, krytykuje, że się garbią, i kontroluje, co robią. Może byłyby zachwycone, gdyby miały swoje udzielne królestwo w pokoju dziecięcym?

- Nie jestem więc aż takim potworem, za jakiego mnie pani uważała? - spytał.

- Musimy chyba dojść do jakiegoś rozsądnego kompromisu - stwierdziła. - My dorośli możemy się bawić bez towarzystwa dzieci, a im należy pozwolić bawić się bez nas. Jeśli jednak nie będziemy ich widywać, to jak możemy się od nich czegoś nauczyć? I one od nas?

- A możemy się czegoś nauczyć od dzieci?

- Oczywiście, że tak! - zapewniła z przekonaniem. - Możemy odkryć świat na nowo, gdy zobaczymy go ich oczami. Nauczyć się spontaniczności, radości i zachwyty. Robienia głupstw i śmiechu. I miłości.

- Wszystkich atrybutów, których, zdaje się, mnie brakuje - powiedział.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Nie wiem - odparła.

- Chyba jednak pani wie. - Uniósł monokl. - A przynajmniej tak mi kiedyś powiedziała.

- Nie powinnam była tego robić. To pan mnie sprowokował.

- Bo poprosiłem, by została pani moją żoną? - spytał cicho, mrużąc oczy. - Tym panią sprowokowałem?

- Wasza Wysokość, w każdej wieczornej modlitwie powinien pan dziękować Bogu, że mu odmówiłam.

- Doprawdy? - Znow zauważył, że ma niesamowicie niebieskie oczy. Jak morze w letni dzień. Mógłby w nich z łatwością utonąć.

- Wasza Wysokość, niech się pan rozejrzy dookoła - poleciła. - Niech pan przyjrzy się obecnym tu damom.

Zrobił, o co poprosiła. Uniósł nawet monokl do oka. Freyja wyglądała dziś wyjątkowo wspaniale w złocistej sukni, ze złotymi piórami we włosach i brylantami na szyi i rękach. Nie ona jedna zresztą. Wszystkie pozostałe damy były ubrane z przepychem i elegancją.

- Już - powiedział. Opuścił monokl i odwrócił się do Christine Derrick.

- A teraz niech pan spojrzy na mnie.

Zobaczył to samo, co przedtem. Jej suknię, wprawdzie nową i bardziej szykowną niż stroje, które nosiła w zeszłe lato, ale prostą w kroju i pozbawioną ozdób. Brak biżuterii. Ciemne lśniące loki bez wstążek i zapinek. Lekko zarumienione policzki. Błyszczące oczy w oprawie ciemnych rzęs. Prawie niewidoczne piegi. I wydatne, lekko rozchylone usta.

- Już - szepnął.

- I niech mi pan teraz powie, że nie zauważył różnicy.

- Widzę jedną, zasadniczą różnicę. Żadna z tych dam nie jest panią.

- Och. - Zarumieniła się. - Ależ pan jest dzisiaj zręczny w słowach, Wasza Wysokość.

- Przepraszam, czy mamy do odegrania jakieś role? Czy powinienem być powiedzieć coś innego?

- Pochodzę z innego świata niż pan - odparła. - Kiedyś poślubiłam arystokratę, choć tylko młodszego syna wicehrabiego, i weszłam w wyższe sfery. Nigdy nie mieliśmy wiele pieniędzy, zwłaszcza w ostatnich latach małżeństwa, a Oscar pozostawił po sobie długi. Te nowe stroje kupiłam za pieniądze, które przysłał mi szwagier, gdy dowiedział się, że zostałam zaproszona na ślub Audrey. Wiodę ciche, spokojne życie na prowincji. Uczę w szkole. Mój ojciec był dżentelmenem ze względu na pochodzenie i wykształcenie, ale nie miał majątku. Jego ojciec był baronetem, ale mój dziadek ze strony matki tylko lekarzem. Wasza Wysokość, pan naprawdę powinien dziękować niebiosom, że mu odmówiłam. Ja też powinnam. Wolałabym umrzeć, niż zostać żoną księcia. Milczał, zaskoczony stanowczym tonem jej wypowiedzi.

- Pani Derrick, to bardzo kategoryczne stwierdzenie - odezwał się w końcu. - Czy naprawdę wolałaby pani umrzeć, niż poślubić mężczyznę, z którym łączy panią uczucie, czy to księcia, czy, dajmy na to, kominiarza?

- Ależ mnie z nikim nie łączy uczucie - zaprotestowała.

- Niektóre osoby tak odpowiadają na pytania, by uniknąć odpowiedzi - rzucił.

- Wasza Wysokość, nie wydaje mi się, bym mogła być szczęśliwa, czy to jako żona księcia, czy kominiarza - powiedziała. - Powinam więc bardzo uważać, by nie obdarzyć uczuciem ani jednego, ani drugiego. Czy wolałabym umrzeć, niż poślubić ukochanego mężczyznę, tylko dlatego, że jest na przykład kominiarzem albo księciem? Gdybym odpowiedziała twierdząco, czy nadawałabym się na heroinę jakiejś szekspirowskiej tragedii? Jak pan myśli? Nawet bym się tego nie dowiedziała. Byłabym martwa. Unosiłabym się na powierzchni jeziora, a włosy opływałyby mnie ciemną falą. Chociaż nie, przecież obcięłam je na krótko.

Serce w nim zamarło.

Ona go nie chce i wyraźnie ostrzega, tak jak w Hyde Parku, że nic nie może zrobić, by skłonić ją do zmiany zdania. Była nie lada wyzwaniem. Nie mógł jej zaimponować swoim tytułem czy ogromną fortuną, a nie umiał zabiegać o względy kobiety jak zwykły mężczyzna. A gdyby nawet potrafił, ona pozostałaby niewzruszona, ponieważ jest też księciem i bogatym człowiekiem.

Christine Derrick twardo stąpała po ziemi. Ale się myliła. Jeśli ma się do wyboru marzenie i prozę życia, to dlaczego wybierać tę ostatnią? Tylko dlatego, że tak nakazuje rozsądek? Czemu nie sięgnąć po marzenie? Czemu nie zaryzykować i nie spróbować żyć pełnią życia?

I czy to naprawdę on, Wulfric Bedwyn, snuje takie myśli i marzy o zbuntowaniu się przeciwko wszystkiemu, co rządziło jego życiem od ponad dwudziestu lat? Czy naprawdę byłby gotów zaryzykować?

Ale przecież zaprosił ją tutaj.

Zaczynał podejrzewać, że jest w niej nie tylko zakochany, ale stała mu się niezbędna do szczęścia. Sama myśl o tym wydała mu się dziwna i zatrważająca. Nigdy nie szukał szczęścia. Uważał, że jest nieważne. I nigdy naprawdę w nie nie wierzył. Chociaż nie. Przez ostatnie trzy lata patrzył, jak jego bracia i siostry po kolei znajdowali szczęście i cieszyli się nim na co dzień. Widział, jak chłodni, czasem wręcz nieczuli Bedwynowie, nie tracąc niezależności, zakładają rodziny i cieszą się domowym ogniskiem. I choć w pełni nie zdawał sobie z tego sprawę, czuł się pominięty i trochę im zazdrościł.

Doskwierała mu samotność.

Milczenie się przeciągało. W końcu stało się jasne, że ona nie zamierza go przerwać.

- Pani Derrick, należy mieć nadzieję, że jeśli kiedykolwiek zostanie pani heroiną dramatu, to nie tragiczną, ale romantyczną - powiedział. - Być może gdzieś żyje nauczyciel, który zyska pani oddanie i dozgonną miłość. Życzę z nim pani wiele szczęścia. Tymczasem dołożę wszelkich starań, by pani i pozostali goście spędzili przyjemne i niezapomniane święta w Lindsey Hall.

W jej oczach nie było już śmiechu.

- Myślę, że pan nosi maskę - odparła. - Nie można przez nią przeniknąć. Czyja pana uraziłam?

- Słucham? - zatrzymał monokl w pół drogi do oka.

- Znów ma pan oczy jak bryły lodu - ciągnęła. - Oczy to zawsze najsłabszy punkt każdej maski. Człowiek, który ją nosi, musi patrzeć na świat, więc pozostają nieosłonięte. Ale pańskie oczy są częścią maski. Gdy w nie patrzę, nie mogę dostrzec nawet drobnej cząstki pana duszy.

Spojrzał na nią z chłodną wyniosłością, jak zawsze na wszystkich i wszystko. Jak mógłby inaczej? Jak mógłby zaryzykować...

- Może powinienem chodzić z sercem na dłoni - rzucił. - Wtedy nie musiałaby pani patrzeć mi w oczy. Ale przecież ja nie mam serca.

- Wasza Wysokość, mam wrażenie, że się kłócimy - powiedziała. - Tyle że pan robi to w swoim niepowtarzalnym stylu i staje się coraz bardziej lodowaty, w przeciwieństwie do reszty rozpalonych gniewem śmiertelników. Szkoda.

- Chciałaby więc pani zobaczyć mnie rozpalonego gniewem? - Uniósł brwi.

- O tak, bardzo - zapewniła.

- Nawet gdyby mój gniew był skierowany przeciwko pani?

Przyjrzała mu się, przechylając głowę na bok. W jej oczach znów czaił się śmiech.

- Tak - odparła. - Gdyby pan się rozgniewał, mogłabym z nim walczyć. Podejrzewam, że byłby pan nader niebezpiecznym przeciwnikiem, ale gdyby stracił pan panowanie nad sobą, może udałoby mi się dotrzeć do prawdziwego, żywego człowieka. Oczywiście jeśli gdzieś tam jest człowiek, a nie tylko książkę do szpiku kości.

- Pani mnie obraża, madame - rzekł cicho i poczuł, jak narasta w nim gniew.

- Doprawdy? - Szeroko otworzyła oczy. - Czyżbym pana zraniła? Rozzłościła? Mam nadzieję, że i jedno, i drugie. Ja się tutaj nie wpraszałam, Wasza Wysokość. Nie chciałam przyjąć pańskiego zaproszenia i byłam w tej kwestii całkowicie szczerą. To pan nalegał, by

dać mu szansę. Chciał mi pan udowodnić, że jest w nim coś więcej niż to, co dotąd zobaczyłam. Nie widzę nic więcej. A jednak gdy zarzuciłam mu, że nosi maskę, że ukrywa się za lodowatymi oczami i wyniosłą pozą, pan zrobił się jeszcze bardziej chłodny i przytoczył moje własne słowa, żebym poczuła się niezręcznie. Cytuję: „Ale przecież ja nie mam serca”. Być może ma pan rację. Może nie ma żadnej maski i od początku widziałam pana takim, jaki jest naprawdę.

Pochylił się ku niej.

- Na Boga, my się naprawdę kłócimy - stwierdził. - Pani siedzi na wpół uśmiechnięta i mówi uprzejmym tonem, a ja zachowuję się ze zwykłym u mnie chłodem. Jeśli jednak zaraz nie przerwiemy, za chwilę zaczniemy zwracać na siebie uwagę. Dokończmy więc później, nie tu i nie teraz. Proszę wybaczyć, muszę się zająć innymi gośćmi. Czy odprowadzić panią, by mogła z kimś pokonwersować? Z lady Wiseman albo lady Elrick?

- Nie, dziękuję - odparła. - Tu mi dobrze.

Wstał, uklonił się i odszedł w stronę stolików do gry. Stanął za lady Renable i patrzył jej przez ramię w karty, ale niczego nie widział.

Uświadomił sobie, że zepsuł tę rozmowę. Zamierzał spędzić z Christine Derrick parę minut na przyjemnej pogawędce, by miło poczuła się w jego domu i w jego towarzystwie. Chciał jej pokazać, że jest człowiekiem jak inni. A skończyło się kłótnią. On nigdy się nie kłócił i nikt nie próbował się z nim kłócić. Nikt nie śmiał. Czy dlatego wydawała mu się fascynująca, że miała odwagę?

I czy nadal uważał, że jest fascynująca? Zachowała się naprawdę niegrzecznie. Mówiła bez ogródek i nie chciała zostawić pewnych tematów w spokoju. Wspomniała o masce i lodowatych oczach. Sugerowała, że on nie tylko nie ma serca, ale także duszy. „Nie mogę dostrzec nawet drobnej cząstki pana duszy”.

Wziął głęboki oddech. Miał wrażenie, że za chwilę się rozplacze.

Lady Renable zerknęła na niego przez ramię i się roześmiała. Do trzymanego w ręce wachlarzyka kart włożyła tę, którą miała właśnie wyłożyć na stół, i wybrała inną.

- Ma pan całkowitą rację, Bewcastle - powiedziała. - To niewłaściwa karta.

Do pani Derrick przysiadł się Justin Magnus. Rozmawiali i śmiali się wesoło. Znów wydawała się szczęśliwa i swobodna. Wulfric zacisnął zęby, żeby nimi nie zazgrzytać. Walczył z ogarniającą go zazdrością.

Jeszcze tego mu brakowało do ostatecznego upokorzenia.

Rodzeństwo Bedwynów ze współmałżonkami zostało w salonie, gdy reszta gości udała się już na spoczynek. Wulfric wycofał się do biblioteki, swojego prywatnego królestwa.

- Szkoda, że Wulf nie został z nami - westchnęła Morgan.

- Zadziwiające, że został, dopóki nie wyszli wszyscy goście, a nie uciekł pod jakimś pretekstem - rzuciła Freyja.

- Jeszcze miałyby uciekać - parsknął Rannulf. Usiadł na podłodze przy krześle Judith i oparł głowę na jej kolanach. - Przecież sam sprosił tu tych ludzi. Czy ktoś z was rozumie, dlaczego wybrał Elricka, Renable'a i całą resztę? Nic do nich nie mam, ale nie wyglądają mi na gości w typie Wulfrica.

- Ale pewnie dziękuje Bogu, że ich zaprosił - orzekł Aidan. Wcisnął się obok Eve, siedzącej w dużym fotelu, i objął ją. - Ciotka Rochester znowu zabawia się w swatkę. Sam nie wiem, kogo bardziej żałować, Amy Hutchinson czy Wulfa.

- Zjadłby ją na śniadanie już pierwszego dnia po ślubie - mruknęła Freyja pogardliwie.

- Josh, chodź tu i pomóż mi wyjąć pióra z włosów. Strasznie się zaplątały.

- Powinnaś powiedzieć: proszę - zauważył Rannulf.

- Kochanie, nie musisz piorunować mnie wzrokiem - rzucił Joshua i uśmiechnął się szeroko. Usiadł na poręczy fotela żony, odsunął jej ręce i zajął się piórami. - To nie ja zarzuciłem ci brak manier.

- Może powinniśmy coś zrobić, żeby im pomóc - zasugerowała Eve. - Postarać się trzymać Amy i Wulfrica z dala od siebie.

- Ciotka Rochester użyje całego swego arsenału - stwierdził Alleyne. - Ona nie żartuje.

- Czy mogę się wtrącić? - spytał Gervase, stając plecami do kominka, - Wulfric doskonale da sobie radę z ciotką. Pomysł, by śpieszyć mu z pomocą, wydaje się absurdalny.

Większość obecnych zachichotała z aprobatą.

- Musimy tylko sprytnie zmylić jej uwagę - powiedziała Morgan, marszcząc brwi. - Podsunąć kogoś Amy albo Wulfowi.

- Mowbury nie nadaje się do tej roli - oznajmił Aidan. - Nigdy nie widziałem człowieka, który tak bujałby w obłokach. Chyba nawet nie zauważył tej dziewczyny. A jego brat jest od niej o głowę niższy. Zresztą to młodszy syn i na pewno nie spodobałby się ciotce Rochester.

- Co wcale nie dyskwalifikuje go jako potencjalnego zalotnika - zauważyła Judith.

- Jest chudy i łysieje - stwierdziła bez ogródek Freyja. - Na pewno nie spodoba się Amy.

- Zajmijmy się więc Wulfem - westchnęła Morgan. - Znajdźmy kogoś dla niego.

- Marne szanse, *cherie* - powiedział Gervase. - Jedna na milion?

- Jedyłą kandydatką jest pani Derrick - powiedziała Freyja.

Joshua podał żonie ostatnie pióro i zachichotał.

- Wiele bym dał, by zobaczyć, jak Wulfric wyciągają z rzeki - rzekł. - A potem odwozi do domu w siodle przed sobą. Założę się, że nie było mu do śmiechu.

- Dzisiaj też miała spektakularne wejście - dodał Aidan. - Myślałem, że ciotce Rochester oko wyskoczy i stłucze jej lorgnon.

- A ja się bałam, że Wulfric zmrozi ją na sopel lodu - odezwała się Morgan. - Ale ona nie zwróciła na niego uwagi. Wyglądała jak strach na wróble, bo zamiast przyjść i dygać przed nami, najpierw zajęła się dzieckiem. Mimo to przywitała się z nami wesoło i z werwą.

- Nie można nie podziwiać jej hartu ducha - przyznała Freyja. - Joshua twierdzi, że razem wyglądamy naprawdę groźnie, zwłaszcza ustawieni w szeregu. Mówi, że jesteśmy skuteczni jak pluton egzekucyjny, a wykańczamy ofiarę bez krwi i hałasu.

- Moim zdaniem pani Derrick to wspaniała kobieta - powiedział Alleyne. - Ma poczucie humoru i ciekawie się z nią rozmawia.

- Niestety nie jest w typie Wulfa - orzekła Freyja, krzywiąc się lekko. - Wyobrażacie sobie, że wolałby jej towarzystwo, nawet gdyby miał do wyboru tylko Amy?

Zaśmiali się zgodnie, zastanawiając się nad tą alternatywą.

- Ale rozmawiał z nią dzisiaj przez pewien czas - zauważył Rannulf. - I to właśnie dlatego, że uciekał przed Amy. A właściwie przed ciotką.

- Nie sądzę jednak, żeby to się miało powtórzyć - odparła Freyja. - Nie, musimy mu znaleźć kogoś innego.

- Niestety nie ma nikogo innego - powiedziała Morgan. - Chyba że hrabia Redfield zaprosił na święta gości do Alvesley Park. Może przyjechała kuzynka Lauren.

- Lady Muir? - upewnił się Rannulf. - Kiedyś mi się nawet podobała. - Odchylił głowę do tyłu i uśmiechnął się do żony. - Potem jednak poznałem Judi i zapomniałem, że w ogóle istnieje.

Judith pstryknęła go w ucho.

- Wcale nie jestem taka pewna, że pani Derrick nie pasuje do Wulfa - odezwała się Rachel. - To wdowa, kobieta bliższa mu wiekiem niż Amy. I moim zdaniem bardzo ładna, choć nie według norm przyjętych w towarzystwie. Na pewno wszyscy zauważyliście, jaka

jest pełna życia, ujmująca w obejmie i jak chętnie się śmieje. Ma w sobie ogień, a może właśnie tego trzeba Wulfricowi.

- Co takiego? - Rannulf spojrział na nią zdumiony, podobnie jak reszta obecnych.

- Wulfric jest bardzo wrażliwy - ciągnęła Rachel. - Potrzebuje tylko kogoś, kto pomoże mu to okazać.

Rannulf i Joshua roześmiali się głośno.

Alleyne usiadł przy żonie, ujął ją za rękę i splótł ich palce.

- Rachel żywi takie przekonania na temat Wulfa od chwili, gdy go ujrzała - powiedział.

- Widziałam jego twarz, kiedy spostrzegł Alleyne'a, którego od kilku miesięcy uważał za zmarłego - wyjaśniła Rachel. - Wy widzieliście tylko, jak na weselu Morgan przeszedł przez taras i wziął Alleyne'a w objęcia. Ja widziałam jego twarz i nikt mnie nie przekona, że Wulfric jest zimny i niezdolny do głębszych uczuć.

- Brawo! - zawołała Freyja. - Podziwiam osoby, które mają odwagę stawić czoło Bedwynom.

- Rachel, masz całkowitą rację - wtrąciła się Morgan. - Nie mówiłam tego nigdy nikomu z wyjątkiem Gervase'a, bo wydawało mi się, że zdradzę sekret Wulfa, a poza tym muszę przyznać, byłam wtedy przerażona. Po nabożeństwie żałobnym za Alleyne'a poszłam do biblioteki w Bedwyn House, żeby po prostu pobyc w towarzystwie Wulfa. Stał przed kominkiem i płakał. Na szczęście mnie nie zauważył.

Zapadła długa, pełna skrępowania cisza.

- Nie sądzę, aby Bewcastle był ci szczególnie wdzięczny za to, że opowiadasz o nim takie przerażające historie - odezwał się w końcu Gervase.

- To oczywiście, że Wulfric potrafi kochać - powiedziała Eve. - Pomógł Aidanowi i mnie zbliżyć się do siebie, już po naszym ślubie. I chyba podobnie było w przypadku Freyi i Joshuy oraz Rannulfa i Judith. Łatwo jest osądzać, że zrobił to tylko z chęci uniknięcia skandalu i ze względu na rodzinną dumę. Ja jednak od dawna wierzę, że on nas kocha. Przyjechał do Oxfordshire, by pomóc mi zatrzymać Davy'ego i Becky, gdy mój kuzyn chciał mi ich odebrać. Cóż innego mogło nim powodować, jeśli nie miłość? Rachel, czy rzeczywiście uważasz, że pani Derrick zdoła skruszyć pancerz, za którym ukrywa się Wulfric?

- Oczywiście, że tak - zawołała niespodziewanie Freyja. - Nie rozumiem, dlaczego od razu tego nie zauważyliśmy. Czy Wulf nie gościł u lady Renable zeszłego lata? Pani Derrick zapewne również była tam obecna. I czy nie zastanawialiśmy się, dlaczego Wulfric

pospieszył jej na pomoc w Hyde Parku, mimo iż było tam wiele osób z towarzystwa? To nie w jego stylu wystawiać się na plotki i narażać na śmieszność. I po co zaprosił jej rodzinę na Wielkanoc, skoro wiemy, że nie łączy go z nią żadna głębsza zażyłość, no, może z wyjątkiem Mowbury'ego? Dlaczego wreszcie nas zaprosił? Zwykle sami się wpraszaamy.

- Chyba nie sugerujesz... - zaczął Alleyne.

- I dlaczego dziś po południu ustawił nas wszystkich w holu, gdy tylko nadjechał powóz Renable'a? - ciągnęła Freyja. - Pamiętacie, jak nas to zdziwiło?

- Niech to diabli, ty właśnie to sugerujesz - zawołał Alleyne. - Muszę przyznać, że kobiety mają naprawdę niesamowitą wyobraźnię. Zaczynają od prostych faktów, a dochodzą do niesłychanych wniosków. Free, uważasz, że Wulf zadurzył się w pani Derrick?

- To całkiem prawdopodobne - odparła i spojrzała mu w oczy.

- No cóż, chyba zgodnie uznaliśmy, że niedorzeczny plan ciotki Rochester, by skojarzyć Wulfa z Amy Hutchinson, należy udaremnić - skwitował rzeczowo Aidan. - Ze względu na nich oboje. Jeśli uda się nam to osiągnąć poprzez stwarzanie okazji, by Wulf jak najczęściej przebywał w towarzystwie pani Derrick, to jestem za. Jeśli przy tym zakocha się w niej po uszy, choć ta wizja trochę wykracza poza moją wyobraźnię, chętnie sprawię Eve nową suknię na ich ślub.

- A ja proponuję, choć wiem, że nie na wiele się to zda, bo Bedwynowie zawsze robią dokładnie odwrotnie, niż się im sugeruje, by zostawić ich w spokoju - powiedział Joshua. - Nie ma czegoś bardziej niedorzecznego niż banda pełnych dobrych chęci Bedwynów, którzy spiskują, by Wulfrica ocalić przed niefortunnym małżeństwem, popychając do związku z inną kobietą, również nie najszcześliwiej dobraną.

- Zgadzam się - poparł go Gervase.

- Niedorzecznego? - prychnęła Freyja. - Zarzucasz nam, że jesteśmy niedorzeczni, Joshua? A ciebie to śmieszy, Gervase?

Aidan wstał.

- Czas iść spać - powiedział. - Jest tylko jedna rzecz bardziej przerażająca niż Bedwynowie zabawiający się w swatów: Bedwynowie kłócący się ze sobą. Zaraz rzucicie się na siebie z pięściami, a przecież są tu obecne dwie czy trzy damy.

- Dwie czy trzy... - Freyja z ogniem w oczach zerwała się na nogi.

Aidan uniósł dłoń i wszyscy umilkli. Gdy chciał, potrafił być równie groźny jak Wulfric, a przy tym po wielu latach służby w wojsku jako oficer kawalerii potrafił zdobyć posłuch.

- Freyjo, dobrze wiesz, że w każdej sprzeczce ty pierwsza rzucasz się z pięściami -

oświadczył. - Chodźmy spać. Zobaczymy, co nam przyniesie jutro. Sądzę, że Wulf bez najmniejszej pomocy z naszej strony pokrzyżuje plany ciotki i uniknie związku z panią Derrick. I nie będzie wymagało to od niego większego wysiłku, co najwyżej uniesienia brwi.

Podał ramię Eve.

- Niektóre osoby zawsze muszą mieć ostatnie słowo - rzuciła Freyja, kręcąc głową.

Rannulf i Alleyne spojrzeli wymownie na siebie, potem na Freyję i demonstracyjnie zacisnęli usta.

Joshua uśmiechnął się i objął żonę.

Tymczasem Christine rozmawiała w swej sypialni z Hermione. Szwagierka dogoniła ją na schodach, gdy wszyscy udawali się na spoczynek, i wprosiła się do środka.

- O, jaki śliczny pokój - zauważyła, rozejrzawszy się. - To chyba największa i najładniejsza sypialnia w całym domu.

Christine nie przyszło to do głowy; sądziła, że wszystkie pokoje są równie okazałe jak jej. Hermione nie rozwinęła tematu. Usiadła na podsunętym jej krześle i spojrzawszy poważnie na szwagierkę, powiedziała:

- Zastanawialiśmy się z Basilem nad tym zaproszeniem. Nasza znajomość z księciem jest bardzo luźna. Wiemy też, że rzadko, jeśli w ogóle, zaprasza do Lindsey Hall gości. Dlaczego więc zaprosił nas? Wprawdzie przyjaźni się z Hectorem, ale z Melanie i Bertiem łączy go tak samo daleka znajomość jak z nami, choć to Hector przywiózł go do Schofield zeszłego lata. Doszliśmy do wniosku, że zaproszono nas tutaj z twojego powodu.

- Mojego powodu? - powtórzyła Christine.

- Tak. Uważam, a Basil zgadza się ze mną, że księżę się w tobie zadurzył.

Christine patrzyła na szwagierkę w milczeniu.

- Jest oczywiste, że markiza Rochester ma co do księcia inne plany i może wyrzucić na niego spory wpływ - ciągnęła Hermione.

- A jego rodzina nigdy nie zaakceptuje małżeństwa z tobą. Jemu zresztą też małżeństwo nawet nie przyjdzie do głowy. Zaproponuje ci tylko romans.

- Próbujesz mnie ostrzec, żebym nie robiła sobie wielkich nadziei? - spytała Christine.

Hermione zmarszczyła brwi.

- Nie, proszę cię, żebyś nie zrobiła z siebie idiotki - odrzekła. - Nigdy nie zostaniesz księżną Bewcastle. Sama myśl o tym jest niedorzeczna. A jeśli znów zaczniesz stosować te swoje sztuczki, twoje ambicje staną się jasne dla markizy i rodzeństwa księcia i odium twego niestosownego zachowania spadnie również na nas.

- Moje sztuczki. - Christine nagle zrobiło się zimno.

- Udawałaś, że spadasz z drzewa, akurat gdy on był w pobliżu - rzuciła Hermione z goryczą. - Niby przypadkiem wpadłaś do rzeki, kiedy księżę przejeżdżał obok. Dziwnym trafem siedziałaś w alei szczodrzeńców, gdy zapragnął tam pospacerować. Udawałaś, że boli cię noga, gdy Hector ci na nią nadepnął, i nie było cię w sali balowej przez całą godzinę. I zwracałaś na siebie uwagę niemal każdego dżentelmena w Schofield. Hrabia Kitredge nawet oświadczył ci się w Londynie, ale podobno mu odmówiłaś. Czemu zadowolić się tytułem hrabiny, skoro można zostać księżną?

- Hermione, myślę, że powinnaś stąd wyjść - powiedziała Christine.

Hermione wstała i podeszła do drzwi.

Zawsze tak było, pomyślała nagle Christine. A przynajmniej przez kilka ostatnich lat życia Oscara, po jego śmierci, ubiegłego lata i teraz. Zawsze unikały szczerzej rozmowy.

- Nie, zaczekaj! - zawołała.

Hermione stanęła w drzwiach i spojrzała przez ramię.

- Kiedyś uwielbiałaś, gdy raz po raz wpadałam w tarapaty - powiedziała Christine. - Mówiłaś, że towarzystwo jest mną zachwycone, a śmiech dobrze wszystkim robi. Że mam rzadki dar przyciągania do siebie ludzi, że damy za mną przepadają, a dżentelmeni lubią mnie i czują się ze mną bezpiecznie, bo jestem mężatką. Oscar mnie kochał, ja kochałam jego i byliśmy naprawdę szczęśliwą rodziną. Powiedziłaś mi, że jestem siostrą, której nigdy nie miałaś, a zawsze pragnęłaś mieć. Byłaś dla mnie siostrą. Co się zmieniło? Nigdy nie mogłam tego pojąć. Nagle moje towarzyskie gafy stały się dla was wszystkich krępujące i upokarzające, a każdego dżentelmena, z którym rozmawiałam, tańczyłam czy wymieniałam uśmiechy, uważaliście za mojego kochanka. Co się stało? Co się zmieniło?

Hermione nadal patrzyła na szwagierkę przez ramię.

- Ty mi to powiedz, Christine - odezwała się w końcu. - Zapewne znudziłaś się Oscarem. Zorientowałaś się, że możesz zwabić grubszą rybę i on przestał cię obchodzić. My też.

Christine zamrugnęła, by powstrzymać łzy.

- Zawsze kochałam Oscara - odparła. - Nawet pod koniec, gdy zaczął bez opamiętania grać i stracił całą fortunę. Nigdy nie przestało mi na nim zależeć. Byłam jego żoną i nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby go zdradzić.

- Cóż - westchnęła Hermione - chciałabym ci wierzyć. Obie jednak wiemy, że to kłamstwo. Gdyby tak nie było, Oscar nadal by żył.

- Chyba nie sądzisz, że byłam odpowiedzialna za jego śmierć? - zawołała Christine. - Błagałam cię wtedy, byś spytała Justina. Dlaczego tego nie zrobiłaś? On potwierdziłby moją

niewinność.

- Zapytaliśmy Justina - odparła Hermione. - Przysięgał, że jesteś niewinna, wielce oburzony, że mogliśmy choćby przez moment wątpić w twoje słowa. Ale on zawsze cię bronił. Bez względu na wszystko zawsze cię bronił i zaprzeczał wszelkim oskarżeniom pod twoim adresem. Justin od dawna się w tobie kocha. Prędzej by fałszywie przysięgał, niż pozwolił, by ktokolwiek źle o tobie mówił czy myślał.

- Rozumiem - powiedziała Christine. - I dlatego jestem winna. To, że mnie bronił, przesądza o mojej winie. Biedny Justin. Jego wystąpienia w mojej sprawie zawsze przynosiły efekt odwrotny do zamierzonego. Możesz zatem myśleć, co ci się podoba. Pod jednym względem cię uspokoję. Nie jestem tutaj z powodu ambicji, by zostać księżną Bewcastle. Już raz odrzuciłam oświadczyzny księcia i zrobię to ponownie, jeśli powtórzy propozycję. Być może jestem jeszcze bardziej niż ty i Basil świadoma faktu, że to małżeństwo byłoby nie do zniesienia. Dla nas obojga. Z utęsknieniem czekam na dzień, gdy będę mogła wrócić do domu i zacząć znów wieść normalne życie, tak jak przez ostatnie trzy lata, choć pierwszy rok upłynął mi pod znakiem głębokiej żałoby po Oscarze.

- Christine - niespodziewanie oczy Hermione również napełniły się łzami. - Bardzo chciałabym myśleć o tobie jak najlepiej. I Basil, i ja tego pragniemy. Jesteś przecież wdową po Oscarze.

Christine skinęła głową. Nic już nie zostało do powiedzenia. Chyba znów zapanował między nimi kruchy pokój.

Hermione wyszła bez słowa. Christine położyła się do łóżka i próbowała zasnąć, ale rozmowa z Hermione i kłótnia z księciem nie dawały jej spokoju.

Następnego ranka wszyscy wybrali się do kościoła na nabożeństwo Wielkiego Piątku. Kilkoro starszych gości pojechało powozem, jednak większość poszła pieszo, jako że pogoda się poprawiła.

Christine szła w towarzystwie Justina, a lord Aidan z żoną tuż koło księcia, który prowadził pod rękę pannę Hutchinson. Markiza Rochester rzeczywiście chciała skojarzyć tę parę. Christine serdecznie współczuła Amy Hutchinson. Była ładną i miłą młodą damą, ale zupełnie nie pasowała do księcia.

Justin jakby czytał jej w myślach.

- Biedna dziewczyna - odezwał się, wskazując głową w kierunku panny Hutchinson. - Zastanawiam się, czy wie, że za bycie księżną przyjdzie jej zapłacić wysoką cenę. Mam nadzieję, że ciotka wyjaśni jej wszystko przed ślubem. Oczywiście jeśli Bewcastle zdecyduje się na to małżeństwo.

Christie milczała. Nie chciała rozmawiać o księciu nawet z najbliższym przyjacielem. Zwłaszcza po ostatnim wieczorze. On jednak niezrażony ciągnął dalej.

- Lady Falconbridge na pewno zrozumie. Chyba i tak nie spodziewała się, że księżę zaproponuje jej małżeństwo. Kochanka Bewcastle'a też pewnie wykaże zrozumienie. Zresztą nie będzie miała specjalnego wyboru, chyba że zrezygnuje z jego opieki, która zdaje się przynosi niezłe apanaże.

- Justinie! - przerwała mu ostro. - Czy z innymi damami również rozmawiasz na takie tematy?

Spojrzał na nią skruszony.

- Wybacz mi - powiedział. - Ale przecież wiesz o lady Falconbridge. A kochankę księżę ma już od lat, więc uznałem, że wszyscy o niej wiedzą. To nierozsądne z mojej strony. Jesteś przecież damą.

- Poklepał jej dłoń. - Ty miałaś dość rozsądku i nie chciałaś mieć z nim do czynienia. Nie sądzę, by mu się to spodobało.

- W tej chwili zmienimy temat - rzuciła stanowczo. - Hector opowiadał mi, że znów wybiera się w podróż i być może ty pojedziesz z nim. To prawda?

Justin się skrzywił.

- Tylko jeśli uda się w jakieś cywilizowane miejsce - odparł. - Na przykład do Włoch.

Christine słuchała tylko jednym uchem. Naprawdę nie chciała nic wiedzieć o

kobietach księcia Bewcastle'a. I irytowało ją, że Justin traktował ją jak swego kompana, a nie jak damę. Nie obchodzi jej, co księżę wyprawia, może nawet utrzymywać cały harem kobiet. Ale mimo woli przypomniała sobie, jak powiedział, że jeśli kiedykolwiek się ożeni, jego żona będzie jedyną kobietą, z którą będzie dzielił łożę do końca życia. Uwierzyła mu, co zresztą nie miało znaczenia, bo przecież nigdy nie zostanie jego żoną. Była tego całkowicie pewna, nawet jeśli zaprosił ją tu, by się o nią starać.

Czy właśnie po to ją zaprosił? To się wydawało nieprawdopodobne.

Unikała księcia przez cały ranek, lecz po południu znalazła się niespodziewanie w jego towarzystwie. Lord Aidan z żoną postanowili wyjść z dziećmi na spacer. Dołączył do nich lord Rannulf ze swoją rodziną, a wkrótce prawie wszyscy zdecydowali się wyjść. Ustaliwszy, że zbiorą się w holu, rozbiegli się na chwilę, by zabrać okrycia i zawołać dzieci. Christine była zachwycona perspektywą spędzenia czasu na świeżym powietrzu.

Czekając w holu z Audrey i sir Lewisem, patrzyła z uśmiechem na biegające dookoła dzieci, które najwyraźniej już nie mogły się doczekać, kiedy wyjdą na zewnątrz. Uściskała Pamelę i Pauline, które na chwilę zjawily się przy niej, a potem znów pobiegły do reszty maluchów. Justin zajęty rozmową z Bertiem pomachał, że zaraz do niej dołączy. Markiza Rochester, która zostawała w domu, zeszła na dół, by ich pożegnać i wykonać kilka strategicznych posunięć.

- Wulfricu, opowiadałam Amy o tej ładnej ścieżce, która łączy laszek z jeziorem - oznajmiła głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Po prostu musisz jej ją pokazać.

Księżę uklonił się sztywno, a biedna panna Hutchinson aż się skuliła na myśl o spędzeniu w jego towarzystwie całego popołudnia.

- Ciociu, obawiam się, że to będzie musiało poczekać do jutra - zaprotestowała hrabina Rosthorn, ujmując przy tym pannę Hutchinson pod rękę i uśmiechając się do markizy i księcia. - Obiecałam Amy, że porozmawiamy o przedstawieniu jej królowej, które odbędzie się za kilka tygodni. Opowiem jej o swoich doświadczeniach i udzielę stosownych rad, o ile są coś warte.

Mąż hrabiny, dżentelmen z rozkosznym francuskim akcentem, niósł na ramionach swego synka Jacques'a.

- Och, Wulf! Biedaku! - zawołała żona lorda Alleyne'a. - Zostałeś bez towarzyszk. Może pani Derrick się nad tobą zlituje?

Justin, który właśnie przedzierał się przez tłum w jej kierunku, zatrzymał się nagle. Księżę odwrócił się do niej i uklonił.

- Pozwoli pani, madame? - spytał, podając jej ramię. - Wygląda jednak na to, że nie

pozostawiono pani wielkiego wyboru.

Jemu też nie, pomyślała w duchu, rzucając Justinowi rozżalone spojrzenie. Ujęła księcia pod ramię i ruszyła z nim na czele całej grupy. Bardzo się starała nie patrzeć w stronę Basila i Hermione.

- Zdaje się, że kobiety w mojej rodzinie zawiązały spisek przeciw markizie - dodał. - Ciekawe, czy to ze względu na mnie, czy na pannę Hutchinson.

- Niewątpliwie chodzi o pannę Hutchinson - odrzekła. - Najwyraźniej się pana boi.

Spojrzał na nią z ukosa, ale nie zareagowała.

- Zgodziłem się uczestniczyć w tym spacerze z pani powodu - powiedział. - Nie chcę jednak, by przez całą drogę płątały mi się pod nogami dzieci i żeby uszy mi spuchły od ich krzyków. Niech idą z rodzicami na trawę, między drzewa, a my poprowadzimy gości nieobarczonych dziećmi do lasu.

- Jak mniemam, nie pozwala pan, by coś zakłócało mu spokój - rzuciła.

- Nie, jeśli mam w tej kwestii coś do powiedzenia - odparł. - A na ogół mam. Chciałbym pokazać pani park. Oczywiście latem jest o wiele piękniejszy, lecz wiosną też ma swój urok. A dzisiaj pogoda nam dopisała.

- Ja lubię nawet zimowy krajobraz - wyznała. - Sprawia wrażenie królestwa śmierci, ale wiadomo, że drzemie w nim nadzieja odrodzenia. Dopiero zimą można w pełni zrozumieć tajemnicę i moc odwiecznego cyklu życia i śmierci. A potem przychodzi wiosna. Uwielbiam wiosnę. Nie potrafię sobie wyobrazić tego parku piękniejszego niż teraz.

Przy zachodnim skrzydle domu minęli kwitnące drzewa owocowe, zeszli z trawnika i ruszyli pod górę ścieżką, która wiodła do lasu. Hałaśliwa gromadka dzieci i ich rodziców poszła dalej trawnikiem.

- Jest pani niepoprawną optymistką - powiedział książę. - Widzi pani nadzieję nawet w śmierci.

- Życie byłoby tragedią, gdybyśmy nie rozumieli, że jest ono w istocie niezniszczalne - odparła.

Weszli między drzewa pokryte młodymi liśćmi i ciemnozielone choinki, a potem skręcili na ścieżkę wijącą się wśród rododendronów i wysokich topoli. Na polanach kwitły dzikie żonkile i pierwiosnki, w prześwitach między drzewami pojawiał się od czasu do czasu widok na dom, park albo okolicę. Na wschód od domu znajdowało się otoczone lasem jezioro z wysepką pośrodku.

Kilkoro gości poszło za nimi ścieżką przez las, wkrótce jednak zostali z tyłu, bo Christine i książę przyspieszyli kroku. Ścieżka prowadziła aż na wzgórze, gdzie wznosiła się

fantazyjna budowla w kształcie zrujnowanej wieży.

- Czy można wejść na samą górę? - spytała Christine.

- Roztacza się stamtąd wspaniały widok na okolicę - odparł książę - ale schody są bardzo wąskie, strome i kręte. Może wolałaby pani pójść dalej, zamiast zatrzymywać się tutaj?

Christine zerknęła na niego z ukosa.

- Choć może jednak nie - rzekł. - O ile dobrze pamiętam wspinaczka na blanki starego zamczyska sprawiła pani wiele radości.

Roześmiała się.

Wchodziła bardzo ostrożnie, trzymając się zewnętrznej ściany, gdzie kręte schody były najszersze. Uniosła też rąbek sukni, żeby się nie potknąć. Widok z wieży wart był wysiłku. Zobaczyła, jak rozległy i wspaniały jest park w Lindsey Hall, jak liczne otaczają go folwarki.

Pomyślała, że gdyby powiedziała tak zamiast nie, byłaby panią tego wszystkiego. A także różnych majątków, o których książę mówił zeszłego lata. I on sam należałby do niej. Może jeszcze nie wszystko stracone?

Stał na szczycie schodów i patrzył bardziej na nią niż na panoramę okolicy.

- Doprawdy wspaniały widok - powiedziała, obracając się dookoła.

- Tak - przyznał.

On też był piękny. Elegancki w brązowo - beżowym stroju, białej koszuli i wysokich czarnych butach, z przystojną, surową twarzą wyglądał jak wcielenie wytwornego arystokraty. Marzenie każdego malarza portrecisty.

Stali dłuższy czas, wpatrując się w siebie.

Wreszcie książę podszedł bliżej i wskazał jakiś odległy punkt. Odwróciła się, by zobaczyć, co to takiego.

- Widzi pani ten niewielki budynek wśród drzew, na północ od jeziora? - spytał.

Wyteżywszy wzrok, dostrzegła słomiany dach pokrywający okrągły budynek.

- Co to jest? - spytała. - Gołębnik?

- Tak - potwierdził. - Chciałbym go pani pokazać, ale to dość daleko.

- Myśli pan, że nie dam rady dojść?

- Wybierze się tam pani ze mną? - odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy.

- Tak - odparła i ogarnęło ją dziwne wrażenie, jakby zgodziła się na coś więcej.

Gdy zeszli z wieży, na wzgórze dotarła reszta grupy: pani Pritchard, lord Weston, lady Mowbury, Justin, Hermione i Basil. Tylko Audrey z sir Lewisem zostali daleko w tyle.

- Poprowadzę panią Derrick na przełaj - oznajmił księżę. - Proszę się tym jednak nie przejmować. Ta ścieżka doprowadzi państwa z powrotem do domu, a po drodze znajdą państwo kilka pięknych miejsc na odpoczynek.

Przeszli kawałek w milczeniu i skręcili w prawo na porośnięty trawą pagórek, który opadał między drzewa otaczające jezioro. Księżę znów podał jej ramię, gdyż zbocze było dosyć strome i trzeba było uważać, żeby się nie pośliznąć. Christine zignorowała ten gest, uznawszy, że jest tylko jeden rozsądny sposób zejścia na dół. Uniosła spódnicę ponad kostki i po prostu pobiegła.

Zbocze było bardziej strome i dłuższe, niż oceniła. Gdy dotarła na dół, miała wrażenie, że za chwilę wzięci w powietrze. Kapturek spadł jej z głowy, wiatr rozwiewał włosy. Krzyczała głośno z radości. Zauważyła, że spomiędzy drzew wychodzą dorośli z dziećmi. Pewnie większość z nich widziała jej niezbyt wytworne zejście. Roześmiała się i odwróciła, by popatrzeć na księcia, który schodził z najwyższym dostojeństwem, jakby spacerował po Bond Street.

- Jakie wspaniałe wzgórze, żeby się z niego turlać - zawołała do niego.

- Jeśli nie może się pani oprzeć pokusie, to proszę wejść z powrotem na górę i się sturlać - rzekł, znalazłszy się na dole. - Ja zadowolę się rolą widza.

Uniósł brwi, gdy na otwartą przestrzeń u stóp wzgórza wypadły rozbrykane dzieci, a za nimi pojawili się dorośli.

- Papo, ja chcę iść tam na górę! - krzyknął mały William do lorda Rannulfa.

- Na górę! - zażądał Jacques od ojca.

Daniel nawet nie pytał. Pobiegł pod górę, w którymś momencie odwrócił się i rzucił na dół prosto w wyciągnięte ramiona lady Freyi. Uwolnił się z uścisku matki i popędził z powrotem.

Wyglądało na to, że pagórek stanie się na najbliższy czas placem zabaw wszystkich dzieci. Księżę przyglądał się im przez chwilę z nieodgadzionym wyrazem twarzy, a potem odwrócił się do Christine, by podać jej ramię. Uprzedziły go jednak Pamela i Pauline. Podbiegły i chwyciły ją za ręce, żądając, żeby na nie popatrzyła. Christine, śmiejąc się, patrzyła, jak dzieci biegną z górki na pazurki. Beatrice pierwsza zaplątała się we własne nogi i zaczęła płakać. Ojciec porwał ją na ręce, posadził sobie na ramionach i pogalopował między drzewa. Miranda pociągnęła lorda Rannulfa parę kroków w górę i udawała, że zbiega. Ten chwycił ją za rączki i okręcił dookoła. Dziewczynka zaśmiała się i poprosiła jeszcze. Hannah kręciła się w kółko, klaszcząc i szczebiocząc do lorda Aidana. W końcu straciła równowagę i klapnęła na pupę.

Hałas był ogłuszający.

- Phillip i Davy idą na samą górę! - wrzasnęła na całe gardło Pamela. Podbiegła do Christine i złapała ją za rękę. - Moja przyjaciółka Becky i ja też chcemy tam pójść. Chodź z nami, kuzynko Christine.

Becky chwyciła ją za drugą rękę. Christine nie przyszło nawet do głowy, aby odmówić, mimo że właśnie zbiegła ze zbocza. Dzielnie pomaszerowała z dziewczynkami pod górę. Zatrzymała się w połowie stoku, by popatrzeć na chłopców, którzy pędzili na dół z mrozącymi krew w żyłach okrzykami.

- Wiecie, o wiele przyjemniej byłoby się stąd sturlać, niż zbiec - powiedziała, gdy dotarły na szczyt.

- Turlać? - zachichotała Becky. - Jak?

- Trzeba się położyć na boku z wyprostowanymi nogami i złączyć ręce nad głową - wyjaśniła Christine. - A potem się sturlać aż na sam dół. Nigdy nie widziałam wspanialszego zbocza do turlania się.

- Pokaż nam - zażądała Pamela.

- Dobrze, pokażę wam, jak się do tego przymierzyć - zgodziła się Christine. - Ale sama tego nie zrobię. Dorosłej damie to nie wypada, prawda?

Dziewczynki zachichotały, a Christine im zawtórowała. Położyła się wyprostowana na trawie, by zademonstrować idealną postawę przy turlaniu.

- To bardzo proste - zapewniła. - Jeśli nie będziecie mogły zacząć, to ja was lekko popchnę. Jak już zaczniecie, nie trzeba będzie...

Krzyknęła. Cztery rączki przy wtórze chichotu popchnęły ją i zaczęła się turlać ze wzgórza. Przez chwilę myślała, by spróbować się zatrzymać. Wiedziała jednak z doświadczenia, że mogłaby sobie zrobić krzywdę, zwłaszcza na tak stromym zboczu. Poza tym wymachując rękami i nogami, wyglądałaby idiotycznie. A potem już nie miała szansy się zatrzymać. Krzycząc i śmiejąc się, stoczyła się z zatrważającą prędkością na sam dół.

Oszołomiona i kompletnie rozkojarzona usiadła. Dwoje silnych ramion uniosło ją do góry. Zajrzała w posępne srebrzyste oczy. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, do kogo należą te ramiona i oczy. Zauważyła, że wszyscy oprócz niego się śmieją.

Rozległy się kolejne piski, gdy dziewczynki sturlały się ze wzgórza jej śladem. Teraz wszystkie dzieci chciały się turlać, zamiast zbiegać z górki. Phillip i Davy już pędzili na szczyt.

- Spełniło się pani pragnienie, pani Derrick - rzucił książkę Bewcastle.

- Niezły popis! - pochwalił lord Rannulf i uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo pani zazdroszczę - powiedziała lady Freyja. - Nie robiłam tego od lat. Ale dzisiaj zrobię. Davy, poczekaj na mnie!

Christine pospiesznie doprowadziła strój do porządku i energicznie otrzepała się z trawy.

- Wulf, pani Derrick pokazała już dzieciom, jak się naprawdę dobrze bawić i jeszcze postawiła poważne wyzwanie przed Free - odezwał się lord Alleyne. - Może teraz ty pokażesz jej jezioro?

- Tak zrobię, dziękuję, Alleyne - odparł szorstko książę. - Jeśli pani Derrick sobie tego życzy. Madame?

- Oczywiście, bardzo proszę - powiedziała ze śmiechem i ujęła podane jej ramię. - Chyba już dostatecznie wystawiłam się na pośmiewisko.

Hrabia Rosthorn mrugnął do niej.

Książę poprowadził Christine między drzewa. Zostawili śmiech i wrzawę za sobą.

- Chciałam tylko pokazać dziewczynkom, jak to się robi - wyjaśniła, gdy cisza zaczynała się krępująco dłużyć. - One mnie popchnęły.

Milczał.

- To musiał być okropny widok - ciągnęła. - Pańskie rodzeństwo uznało mnie chyba za dosyć żalosaną istotę.

Nadal milczał.

- Pan też - dodała.

Nie wiedziała, co i jak zrobił, ale w mgnieniu oka znalazła się oparta plecami o drzewo, a książę Bewcastle pochylał się nad nią z posępną i groźną miną. Oparł dłoń o pień tuż przy jej głowie.

- Czy panią to obchodzi, pani Derrick? - spytał. - Czy panią obchodzi, co ja myślę?

Wiedziała, co myśli. Najwyraźniej był na nią wściekły. Uważał ją za prostytutkę, niezachowującą się, jak przystało damie. Właśnie urządziła na oczach jego rodziny widowisko, które w pełni to zilustrowało. A przecież była jego gościem. Jej zachowanie przynosiło mu ujmę. Nagle przypomniała sobie uwagi Hermione z wczorajszego wieczoru.

- Nie - odparła. Wiedziała jednak, że to nieprawda. Obchodziło ją, i to bardzo.

- Tak myślałem. - Spojrzał na nią lodowato.

- Pan po prostu nie lubi dzieci, prawda? - powiedziała.

- I wszystkiego, co przypomina o dzieciństwie, swobodzie i nieskrępowanej radości. Chłód, powaga i dostojeństwo, tylko to się dla pana liczy. Tylko to. Oczywiście, że nie obchodzi mnie, co pan o mnie myśli.

- Tak czy inaczej, powiem pani - rzucił. Oczy płonęły mu dziwnym zimnym blaskiem, który uznała za gniew. - Myślę, że została pani zesłana na ziemię, by nieść ludziom światło. I że powinna pani porzucić przekonanie, iż mnie zna i rozumie.

- Och! - Oparła się mocniej o pień. - Nienawidzę, gdy pan to robi. Już mi się wydawało, że zaczynamy się porządnie kłócić. I akurat wtedy pan zbija mnie z pantałyku. Co pan powiedział?

- Że pani mnie wcale nie zna - odparł.

- Nie, nie to - szepnęła. - O tym, że niosę światło.

Zbliżył do niej twarz. Oczy nadal miał jak sople lodu. Zdumiewająca anomalia!

- Postępuje pani impulsywnie, w sposób, który nie przystoi damie, jest pani niezręczna i czasem wręcz prostacka - powiedział.

- Za dużo pani mówi, za często się śmieje i zapala się do wszystkiego w mało wytworny sposób. A jednak przyciąga pani do siebie niemal wszystkich ze swego otoczenia niczym płomień świecy ćmy. Myśli pani, że wytworne towarzystwo panią gardzi, szydzi z niej i patrzy z góry, lecz prawda jest całkiem inna. Twierdzi pani, że nie spodobała się w towarzystwie. Nie wierzę w to. Sądzę, że zdobyła pani towarzystwo przebojem. Albo tak by się stało, gdyby tylko pani na to pozwolono. Nie wiem, kto wpoił pani przekonanie, że pani nie pasuje do wyższych sfer, ale ta osoba jest w błędzie. Może nie była w stanie znieść blasku pani światła, może nie chciała się nim dzielić z innymi. Może pomyliła wewnętrzny blask z kokieterią. Tak właśnie myślę, pani Derrick. Napawałem się cudownym faktem, że Lindsey Hall znów jest pełne życia i śmiechu dzieci, w dużej mierze dzieci mojego rodzeństwa. A potem pani sturlała się ze wzgórza, prosto w moje ramiona. Niech się pani nie waży mówić mi, że nie lubię dzieci, swobody i nieskrępowanej radości. Była do głębi wstrząśnięta. A równocześnie ogarnęła ją radość. Zdołała go rozgniewać. Był na nią najwyraźniej wściekły. I stracił panowanie nad sobą. Od chwili, gdy go poznała, nigdy nie słyszała, by wypowiedział tyle słów naraz.

- A pan niech się nie waży mi nakazywać, co mi wolno mówić, a czego nie - odparła. - Być może w swoim świecie ma pan absolutną władzę, Wasza Wysokość, aleja do niego nie należę. Nie ma pan władzy nade mną. I oboje powinniśmy się z tego cieszyć, teraz, gdy wiemy, jak mnie pan ocenia. Każdego dnia przynosiłabym panu wstyd, tak jak to się stało w Hyde Parku i dzisiejszego popołudnia.

- W przeciwieństwie do pani zmarłego męża i jego brata czy kogokolwiek, kto przekonał panią, że jest wieczną kokietką, ja wytrzymałbym blask pani światła. W niczym nie umniejszyłoby ono mojej osoby. Powiedziała mi pani kiedyś, że wyssałbym z niej całą

radość, ale pani nie docenia samej siebie, jeśli w to wierzy. Tylko słaby charakter może zdławić radość. A ja nie należę do słabych ludzi.

- Cóż za nonsensy pan opowiada! - odparła, gdy w końcu odsunął się od niej i cofnął rękę z pnia. - Dla pana nikt się nie liczy, chyba że jako sługa, by biegać dla pana na posyłki i spełniać każdy jego rozkaz. Rządzi pan, unosząc palec czy brew. Oczywiście, że mnie też chciałby pan kontrolować, gdybym tylko była na tyle niemądra, by się panu podporządkować. Nie zna pan innej relacji z drugim człowiekiem.

- A pani, pani Derrick, nie widzi innego sposobu, by zwalczyć pociąg, który do mnie czuje, niż wmawiać sobie, że zna mnie pani jak zły szeląg. - Odszedł o kilka kroków, po czym odwrócił się i spojrzał na nią. - Czy ostatecznie doszła pani do wniosku, że jednak nie noszę maski? I że miała pani rację wczorajszego wieczoru, twierdząc, iż jestem księciem do szpiku kości?

- Pan mnie wcale nie pociąga! - krzyknęła.

- Czyżby? - Uniósł brew, a zaraz potem monokl. - Więc obcuje pani cieleśnie z każdym partnerem do tańca, który zaprasza panią na spacer w ustronne miejsce?

Ogarnęła ją furia, która skupiła się na jednej jedynej rzeczy.

- To już szczyt wszystkiego! - zawołała i podeszła do niego.

Wyrwała mu monokl, ściągnęła mu przez głowę wstążkę, na której był zawieszony, i rzuciła szkiełko jak najdalej od siebie.

Przyglądali się oboje, jak wzleciało wysoko do góry, a potem zaczęło spadać i w końcu zawisło na gałęzi. Monokl kiwał się smętnie na wstążce tam i z powrotem wysoko nad ziemią.

Christine odezwała się pierwsza.

- Tym razem nie wdrapię się na drzewo - oznajmiła.

- Ulżyło mi, gdy to usłyszałem, madame - powiedział. Głos miał lodowaty jak zwykle.

- Musiałbym panią nieść kawał drogi w kolejnej podartej sukni.

- Pan mnie wcale nie pociąga - powtórzyła. - I nie jestem rozwiązła.

- Nie powiedziałem, że pani jest - zapewnił. - Chodziło mi właśnie o to, że pani nie jest.

- Mniemam, że gdy wrócimy, uniesie pan brew i armia ogrodników przybiegnie tu, by go zdjąć - rzuciła Christine, patrząc żałośnie na monokl kołyszący się na wietrze. - Niestety nie będzie pan mógł patrzeć przez monokl. Choć przypuszczam, że ma ich pan więcej.

- Osiem - odparł krótko. - Mam ich osiem, a właściwie będę miał, gdy odzyskam ten.

Ruszył przed siebie. Christine przez chwilę myślała, że zostawi ją samą, on jednak

podszedł do starego dębu. Wdrapał się na drzewo zwinnie i szybko. Strach ścisnął ją za gardło, gdy książkę znalazł się na poziomie gałęzi, na której wisiał monokl, i nie mogąc go dosięgnąć, usiadł na konarze i powoli przesunął się dalej.

- Niech pan będzie ostrożny - zawołała, przyciskając dłonie do serca.

- Zawsze jestem ostrożny. - Odczepił wstążkę i rzucił jej szkiełko do rąk. - No, może z wyjątkiem sytuacji, gdzie chodzi o panią. Gdybym był ostrożny, zostałbym tutaj, dopóki pani nie wyjedzie. Gdybym był ostrożny, unikałbym pani w Schofield jak zarazy. A w lutym zamknąłbym się w Bedwyn House po ślubie panny Magnus i siedziałbym tam, dopóki pani nie oddaliłaby się od Londynu na odległość przynajmniej stu kilometrów. Po jednej nieudanej próbie w wieku lat dwudziestu czterech porzuciłem myśli o małżeństwie. Od tamtej pory nie szukałem żony. Gdybym szukał, z pewnością nie wybrałbym kobiety takiej jak pani. Bo pani jest przeciwieństwem kobiety, jaką bym wybrał.

- Oczywiście, że pan nie chce się żenić - rzuciła cierpko. - Ma pan przecież dwie kochanki.

Poniewczasie uświadomiła sobie, że dała się sprowokować do wulgarnego zachowania. Ale jak on śmiał jej powiedzieć, że jest przeciwieństwem kobiety, jakiej pragnąłby na swoją żonę.

Spojrzał na nią z kwaśną miną. Wyglądał przy tym niesamowicie pięknie.

- Dwie - powtórzył. - Jedną na dni powszednie, a drugą na niedziele? Jedną na wsi, a drugą w mieście? Czy też jedną na dzień, a drugą na noc? Pani informator ma kiepskie dane, pani Derrick. Moja długoletnia kochanka zmarła ponad rok temu. O żadnej innej nie wiem. Niewątpliwie wybaczy mi pani, że tak prostacko wspominam tę osobę przy niej, ale to pani pierwsza poruszyła jej temat.

Ponad rok temu. Więc zeszłego lata w Schofield próbował znaleźć sobie nową kochankę.

- Pani mnie nieustannie irytuje, ale i urzeka - rzucił. - Często jednocześnie. Jak pani to wytłumaczy?

- Nie chcę pana urzekać - odparła. - I nie chcę pana irytować. Nie chcę dla pana nic znaczyć. Nie należy żywić żadnych uczuć do kobiety, którą się gardzi. A o ileż bardziej pan by mną gardził, gdyby musiał spędzić ze mną resztę życia.

Przeszył ją lodowatym spojrzeniem.

- Czy właśnie tak się stało w pani małżeństwie? - spytał.

- To nie pańska sprawa - burknęła. - Czy zamierza pan tam siedzieć przez cały dzień? Albo dopóki nie wyjadę? To wyjątkowo idiotyczne, że kłócimy się w tej sytuacji. Pan lada

moment spadnie, a mnie zeszywnieje kark.

Zszedł na dół, nie odezwawszy się ani słowem. Przyglądała mu się w milczeniu.

Jest cudownie umięśniony, silny i pełen wigoru, pomyślała. Napawał ją niepokojem. Zobaczyła, że jest w nim coś więcej niż władczość i chłód. Widziała go sfrustrowanego i rozgniewanego. Powiedział, że ona go jednocześnie urzeka i irytuje.

Zastanawiała się, dlaczego przeciwieństwa się przyciągają. Tak bardzo się od siebie różnili. Ich uczucia nigdy nie mogłyby wyjść poza wzajemną fascynację. Nie mogliby żyć razem w harmonii i szczęściu. Nie, nigdy więcej nie poświęci wolności dla głupiej fascynacji mężczyzną.

Nawet jeśli ta fascynacja bardzo przypominała miłość.

Księżę otrzepał surdut, a Christine zawiesiła sobie na szyi jego monokl. Już jej w tym głowa, żeby nie spojrzął na nią przez to piekielne szkiełko.

- Jest już za późno na spacer do gołębnika - powiedział. - Pozwoli pani, że pokażę jej teraz jezioro, tak jak sugerował Alleyne.

Spojrzał na monokl wiszący na jej szyi, ale nie zażądał zwrotu swej własności.

- Dobrze - zgodziła się.

„Myślę, że została pani zesłana na ziemię, by nieść ludziom światło”.

Czy zdoła kiedykolwiek zapomnieć te jego słowa? Dziwne słowa.

Okropny, podły człowiek. Przez niego chciało się jej płakać.

Przeszli brzegiem jeziora w kierunku domu. Wiatr wiał od strony wody i choć świeciło słońce, w powietrzu czuło się jeszcze chłód.

Wulfric był wytrącony z równowagi. Wybuchnął przy pani Derrick gniewem. To mu się nigdy nie zdarzyło. Ale też zakochał się po raz pierwszy w życiu. Nie kłamał. Nieustannie go urzekala i irytowała jednocześnie. Nawet teraz miał ochotę potraktować ją z całym chłodem, na jaki było go stać. Wszak twierdziła, że właśnie w ten sposób zawsze odnosił się do innych. Chciał zapomnieć o tym szaleńczym pragnieniu, by zdobyć jej względy.

Kto słyszał, żeby księżna Bewcastle turlała się w dół zbocza na oczach jego rodzeństwa oraz ich dzieci, piszcząc przy tym i śmiejąc się radośnie? I tryskała energią, i była tak piękna, że omal nie porwał jej w ramiona u stóp wzgórza i nie obsypał jej twarzy pocałunkami.

Ciekawe, jak by zareagowało jego rodzeństwo i baron Renable z żoną, gdyby uległ temu impulsowi.

Szli w milczeniu. Wreszcie to on się odezwał, choć właściwie wbrew sobie. Nie wiedział, co wywoła swoim pytaniem. Nie wiedział nawet, czy chce znać odpowiedź. I czy ona zechce na nie odpowiedzieć. Jak jednak mógłby ją kochać, jeśli jej nie pozna?

- Proszę mi opowiedzieć o swoim małżeństwie - poprosił.

Odwróciła się w stronę jeziora. Przez chwilę myślał, że mu nie odpowie.

- Mój mąż był jasnowłosy, piękny i czarujący - powiedziała. - Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia, a on, o dziwo, odwzajemnił moje uczucie. Wzięliśmy ślub dwa miesiące po naszym pierwszym spotkaniu. Z początku wydawało się, że będziemy żyli długo i szczęśliwie. Pokochałam jego rodzinę, a oni pokochali mnie. Nawet jego brat z żoną. Uwielbiałam jego bratanków. Życie w wyższych sferach nie było łatwe, ale jakoś mnie tam zaakceptowano, a nawet okazano mi serdeczność. Nie mylił się pan w tej kwestii. Zostałam przedstawiona królowej i otrzymałam nawet kartę wstępu do Almack's. Uważałam się za najszczęśliwszą kobietę na ziemi.

Miała wtedy pewnie ze dwadzieścia lat. Była młoda, śliczna i pełna marzeń o miłości, przystojnym mężu i długim, szczęśliwym życiu. Ogarnęła go czułość na myśl o tamtej dziewczynie. Czy gdyby ją wtedy spotkał, też by się w niej zakochał?

- Co się popsuło? - spytał.

Wzruszyła ramionami i zadrżała, choć chyba nie z powodu zimna.

- Gdy poznałam Oscara bliżej, zrozumiałam, że mimo urody, pozycji i fortuny jest bardzo niepewny siebie. Uzależnił się ode mnie emocjonalnie. Uwielbiał mnie i nie chciał się ze mną rozstawać ani na chwilę. Oczywiście nie miałam nic przeciwko temu. Świata poza nim nie widziałam. Potem jednak zaczął się obawiać, że mnie straci. Oskarżał mnie, że flirtuję z innymi mężczyznami. Jeśli odezwałam się albo uśmiechnęłam do kogoś innego, wpadał w zły humor na całe dni. Ilekroć wychodziłam bez niego, choć zawsze robiłam to w towarzystwie przyzwoitki, podejrzewał, że udaję się na tajemną schadzke. Zarzucił mi nawet... to zresztą nieważne.

Wulfrie zrozumiał, że Oscar Derrick był człowiekiem słabym i przez to bardzo zaborczym. Mierzył swoją wartość ilością uwagi poświęcanej mu przez żonę, a że nigdy nie miał jej dość, stał się drażliwy, może nawet okrutny.

- Zarzucił pani cudzołóstwo? - spytał.

Skinęła głową, nie patrzyła na niego.

- W końcu Hermione i Basil też w to uwierzyli - powiedziała. - Oskarżenie musi być okropne, gdy się jakieś zło rzeczywiście popełniło. Ale gdy się jest niewinnym, zarzut staje się nie do zniesienia. Nie, to za słabe słowa. On... zabija duszę. Przez ostatnie kilka lat mego małżeństwa zdławił we mnie całą radość. W Oscarze również. Zaczął dużo pić i grać o wysokie stawki. Nigdy nie byliśmy bogaci, ale mieliśmy dość, by żyć wygodnie i niezależnie. Po śmierci Oscara okazało się, że zostawił olbrzymie długi. Nie wiem, czy wytrzymałabym to wszystko i nie oszalała, gdyby nie Justin. Był jedynym przyjacielem, który przy mnie pozostał. Zawsze mi wierzył, ufał i pocieszał mnie. Ale choć bardzo się starał, niewiele wskórał u swoich kuzynów.

Zatrzymała się i popatrzyła na stadko kaczek unoszących się na wodzie w pobliżu wysepki.

To w sumie dobrze dla niej, że Oscar Derrick zmarł, pomyślał Wulfrie.

- Pani mąż zginął w wypadku na polowaniu? - spytał.

- Tak - odparła szybko. Za szybko.

- Powiedziała pani kiedyś, że oskarżono ją o zabicie męża, choć pani nie było nawet w pobliżu, gdy on zmarł - drażył.

- Mój mąż zginął w wypadku na polowaniu - powtórzyła. Wiatr szarpał daszkiem jej kapturka i połami płaszcza.

Miał nadzieję, że tego popołudnia spędzą ze sobą trochę czasu i lepiej ją pozna. Zamierzał pokazać jej gołębnik, stracili jednak zbyt dużo czasu na wzgórzu i potem kłócąc się w lesie. Powiedziała mu rzeczy, z których zapewne zwierzała się niewielu osobom, lecz

zachowała w tajemnicy coś, co miało związek ze śmiercią jej męża. Był rozczarowany. Uświadomił sobie, że pragnie, by zaufała mu jak przyjacielowi.

Jaki z niego głupiec! Nigdy nikt nie darzył go prawdziwą przyjaźnią.

Wolnym krokiem ruszył dalej, skręcając między drzewa w kierunku domu.

- Oscar został zastrzelony w pojedynku - wyrzuciła z siebie.

Zatrzymał się, ale nie odezwał.

- Przebywaliśmy w Winwood Abbey - ciągnęła, zacisnąwszy ręce w pięści. - Hermione i Basil wyjechali na kilka dni, a Oscar poszedł do sąsiada grać w karty. W tym czasie odwiedził mnie inny sąsiad, młody, niezonaty dżentelmen. Oscar przyjaźnił się z nim od dziecka. Przywitałam go na zewnątrz. Nie chciał wejść, skoro Oscara nie było w domu. Przeszłam z nim podjazdem i tam spotkaliśmy Justina, który właśnie przyjechał na parę dni. On też znał pana Boothby'ego. Zsiadł z konia i dość długo staliśmy tam we troje i rozmawialiśmy. Akurat zegnałam się z panem Boothbym, gdy pojawił się Oscar. Pamiętam do dziś, co pan Boothby zawołał. „O, jesteś już, Derrick. Zaniedbujesz swoją żonę, więc zabawiałem ją przez jakąś godzinę. Najpierw przyłapał mnie z nią twój kuzyn, a teraz i ty”.

- Niezbyt mądry dowcip - rzucił Wulfric. - Ale wobec chorobliwie zazdrosnego męża śmiertelnie głupi.

- Oscar nie uwierzył w moją niewinność i zapewnienia Justina, że był z nami przez cały czas - powiedziała Christine. - Jeszcze tego samego wieczoru pojechał do pana Boothby'ego i wyzwiał go na pojedynek, ciągnąc ze sobą biednego Justina jako sekundanta. Następnego ranka strzelali się z pistoletów. To było okropne. - Wzdrygnęła się. - Pan Boothby powiedział, że celował tak, by postrzelić Oscara w nogę. Niestety trafił w tętnicę i Oscar wykrwawił się na śmierć, bo nawet nie pomyśleli, by zabrać ze sobą lekarza. Hermione i Basil wrócili akurat, gdy Oscara wnoszono do domu. Oni... - Uniosła rękę i się odwróciła. - Przepraszam. Nie mogę...

Najwyraźniej usiłowała powstrzymać łzy.

- Oni też pani nie uwierzyli? - spytał Wulfric po dłuższej chwili.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Wyglądał tak pięknie... tak spokojnie. Ja... - Nie mogła mówić dalej.

Chciał podejść do niej i wziąć w ramiona, instynkt podpowiadał mu jednak, że nie powinien. Gdyby Oscar Derrick żył, wbiłby mu trochę rozumu do głowy.

- Czy opowiedziała pani komuś tę historię? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Wspólnie uzgodniliśmy oficjalną wersję, że to był wypadek na polowaniu. Dzięki

temu pan Boothby nie miał kłopotów z prawem, a my uniknęliśmy hańby.

- Ale przecież pani była niewinna.

- Tak. - Spojrzała na niego, a potem spuściła wzrok. - Nie mogę uwierzyć, że wyznałam to wszystko właśnie panu. Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo pragnęłam komuś o tym opowiedzieć.

Reakcja Oscara Derricka była całkiem zrozumiała, pomyślał Wulfric. Zazdrosny głupiec, na którego zachowanie niewątpliwie miały wpływ alkohol i straszliwe długi. Trudniej było zrozumieć postawę Elricków. Wydawali się rozsądnymi ludźmi. Ale przecież Derrick był bratem Elricka. Wiadomo, że człowiek zawsze patrzy na sytuację mniej obiektywnie, gdy chodzi o jego najbliższych. Nie bez racji mówi się, że krew nie woda.

- Dziękuję - odezwał się w końcu. - Dziękuję pani za szczerość. Może pani liczyć na moją dyskrecję.

- Wiem.

Podeszła do niego i ramię w ramię ruszyli z powrotem do domu.

„Nigdy nie angażuj się uczuciowo”.

„Nie próbuj poznać i dzielić emocji innej osoby”.

„Zachowaj rezerwę”.

„Opieraj się tylko na faktach”.

„Zawsze szukaj rozsądnego wyjścia z sytuacji, unikaj impulsywności i emocji”.

Te zasady wpajali mu dwaj nauczyciele, pod których opiekę oddał go ojciec, gdy Wulfric skończył dwanaście lat. Z czasem uznał je za swoje i żył według nich zupełnie odruchowo. Rezerwa i rozsądek stały się jego drugą naturą.

Teraz je złamał. Poznał emocje drugiej osoby i bardzo się zaangażował uczuciowo. Niech Bóg go ma w swojej opiece.

- Mówię wam, rzuciła jego monokl na drzewo! - Alleyne rozciągnął się na łożu w sypialni Aidana i Eve i wybuchnął śmiechem. - Naprawdę się pokłócili.

Morgan przysiadła na brzegu łóżka i przycisnęła dłoń do serca.

- Ona mi się bardzo podoba - powiedziała. - Pasuje do nas, prawda?

Po spacerze wszyscy zostawili pociechy w pokoju dzieciennym i stłoczyli się u Aidana i Eve. Alleyne, wróciwszy z lasu z Beatrice, oznajmił, że ma im coś ważnego do powiedzenia.

- Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że ktoś odważył się dotknąć monokla Wulfrica, a cóż dopiero wyrwać mu go i wrzucić na drzewo - roześmiał się Gervase.

- Czy kazał jej wejść na drzewo i go zdjąć? - spytał Joshua. - Lady Renable opowiadała mi na spacerze, że zeszłego lata pani Derrick wdrapała się na drzewo na

dziedzińcu kościelnym, a zeskakując, zostawiła na nim połowę sukni. I to na oczach niemal wszystkich gości w Schofield. Wulf przyszedł jej wtedy z pomocą.

- Ona naprawdę coraz bardziej mi się podoba - oznajmiła Freyja. - Gdy zobaczyłam, jak turla się z tego wzgórza, pomyślałam, że wspaniale nada się dla Wulfa. No więc, Alleyne, czy weszła na drzewo, żeby zdjąć monokl? Bądź uprzejmy odpowiedzieć, jak już przestaniesz się zarykiwać ze śmiechu.

- Nie, nie weszła - odparł Alleyne. - Wulf wszedł. A potem siedział na gałęzi i piorunował ją wzrokiem. I dalej się kłócili.

Obraz najstarszego brata wspinającego się na drzewo po monokl i siedzącego na gałęzi, by stamtąd kontynuować kłótnię, okazał się ponad siły rodzeństwa Bedwynów oraz ich współmałżonków. Przez kilka minut pokładali się ze śmiechu.

- Nie podsłuchiwałem - zapewnił Alleyne, gdy nieco ochłonęli. - To nie wypada, zresztą Bea pewnie by zdradziła moją obecność. Ale usłyszałem, jak Wulfric mówił, że ona jest przeciwieństwem kobiety, jaką by sobie wybrał. A pani Derrick odparła z najwyższą pogardą, że on na pewno nie chce się żenić, skoro ma dwie kochanki.

Na chwilę zapadła cisza, po której nastąpił kolejny wybuch śmiechu.

- Kochany Wulfric - westchnęła Rachel, ocierając oczy chusteczką. - Chyba naprawdę się zakochał, jeśli dał się sprowokować do tak niestosownego zachowania.

Wizja zakochanego Wulfrica rozśmieszyła mężczyzn, ale kobiety zgodziły się z Rachel.

- Ona po prostu musi zostać moją bratową - oświadczyła Freyja. - Już ja się o to postaram.

- Biedny Wulfric - powiedział Joshua. - Nie ma żadnych szans.

- Biedna ciotka Rochester! - wtrącił Rannulf z szerokim uśmiechem. - Z taką determinacją stara się skojarzyć Wulfa z siostrzenicą Rochester, że nie widzi, co się dzieje tuż pod jej nosem. A przecież jest z Bedwynów, więc nie może nie widzieć własnego nosa.

- Powinniśmy zejść do salonu na podwieczorek - zasugerowała Eve. - Inaczej uznają nas za bandę dziwaków, a biedna Amy zostanie posadzona na sofie sam na sam z Wulfrikiem.

- Musimy się postarać, by Wulf i pani Derrick jak najwięcej przebywali ze sobą - powiedziała Judith.

- Myślę, że oni sami mogą się o to postarać - rzucił Alleyne.

- Niezupełnie - odparła. - Nie spędziliby razem dzisiejszego popołudnia, gdyby nie przytomność Morgan, która oznajmiła, że obiecała Amy porozmawiać z nią o jej prezentacji na dworze. A gdyby nie spędzili tego czasu ze sobą, nie mieliby okazji do kłótni.

- Co według kobiecej logiki jest rzeczą pożądaną? - spytał Rannulf, uśmiechając się ciepło do żony.

- Gdybym wiedział, że kiedyś będę uczestnikiem spisku, by wyswatać Wulfrica, to zastrzeliłbym się na którymś polu bitwy i zrzucił winę na Francuzów - oświadczył surowo Aidan i otworzył drzwi, dając do zrozumienia, że powinni już wyjść.

Następnego ranka mimo protestów Christine przekonali ją, by wybrała się z nimi na konną przejażdżkę. Mieli nadzieję, że Wulfric jako gospodarz będzie im towarzyszył, ponieważ jechało z nimi również kilkoro gości.

Nie powinnam była dać się namówić, pomyślała Christine. Stawiała właśnie stopę na dłoni lorda Aidana, który pomagał jej dosiąść konia.

Bedwynowie wyglądali, jakby wszyscy urodzili się w siodle. Tak samo panna Hutchinson. Christine wiedziała, że również Melanie, Bertie i Justin są doskonałymi jeźdźcami.

Tylko ona jedna nie.

Nie miała stroju do jazdy konnej, włożyła więc ciemnozieloną suknię podróżną. Musiała też w obecności wszystkich poprosić o najspokojniejszego konia w stajni. Najlepiej kulawego i na wpół ślepego, jak powiedziała lordowi Aidanowi, który dokonywał wyboru. Siedziała w damskim siodle spięta i skupiona na tym, żeby nie spaść. Zaciśnęła ręce na cuglach, jakby była to jedyna rzecz, która utrzymywała ją zawieszoną nad ziemią, choć przecież wiedziała, że i tak nie uchronią jej przed upadkiem. Koń oczywiście nie był kulawy ani na wpół ślepy. Lord Aidan zapewnił, że to bardzo spokojny wierzchowiec, lecz już od pierwszej chwili okazał się płochliwy.

Rozumiała, co się dzieje, ale nie mogła nic na to poradzić. Nie jeździła konno od ponad trzech lat. Tamta przejażdżka z Hyde Parku do domu Bertiego w Londynie raczej się nie liczyła.

Rodzeństwo Bedwynów i ich małżonkowie byli bardzo serdeczni. Przywitali się z Christine, dodawali jej otuchy, udzielali rad i śmiali się wraz z nią. „wyjechali ze stajni wszyscy razem, co przez krótki czas dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

A potem została sama.

Jedna grupa pociągnęła za sobą pannę Hutchinson, choć markiza Rochester powierzyła ją opiece księcia. Z drugą odjechali Melanie, Bertie, Audrey, sir Lewis i Justin.

Przy Christine został tylko książę Bewcastle.

Czuła się bardzo skrępowana. Nadal nie mogła uwierzyć, że powiedziała mu prawdę o swoim małżeństwie i o śmierci Oscara. Nigdy nikomu się z tego nie zwierzyła, nawet

Eleanor, siostrze, z którą była najbardziej związana. Księżę jej nie pocieszył. Oczywiście, że nie. Na pewno był zdegustowany, choć podziękował jej za szczerość.. Przez cały wczorajszy wieczór trzymał się z dala od niej, a dziś przy śniadaniu nie odezwał się do niej ani słowem.

- Jeśli mamy dotrzeć do Alvesley przed zmrokiem, powinna pani skłonić tę klacz, by ruszyła do przodu, zamiast tańczyć w miejscu - powiedział.

- Najpierw musimy się lepiej poznać - odparła. - Proszę mi dać chwilę.

- Trixie, poznaj panią Derrick - dokonał „prezentacji”. - Pani Derrick, to jest Trixie.

- Cieszę się, że udało mi się zainspirować pana do żartów - rzuciła Christine. Zaciśnęła ręce na cuglach i klacz zatańczyła w kółko.

- Proszę się rozluźnić - poinstruował księżę - bo koń wyczuwa pani napięcie i robi się nerwowy. Trixie pójdzie posłusznie za Karym, jeśli tylko da się jej swobodę. Taki ma charakter.

Rozluźnić się. To wydawało się takie proste. I rzeczywiście. Gdy tylko spróbowała, zadziałało. Trixie potulnie ruszyła za pięknym czarnym ogierem księcia.

- Teraz pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że przed nami nie pojawi się żaden żywopłot - powiedziała Christine. - Kary na pewno zgrabnie go przeskoczy, a Trixie pójdzie w jego ślady. Obawiam się jednak, że ja zostanę na ziemi.

- Obiecuję, że wrócę po panią - zapewnił.

Roześmiała się, a on przyglądał się jej nieprzeniknionym wzrokiem.

- Proszę mi opowiedzieć o Alvesley Park i ludziach, którzy tam mieszkają - odezwała się. - To dom hrabiego Redfielda?

- Tak - potwierdził.

Myślała, że to wszystko, co usłyszy, i postanowiła się nie wysilać, by podtrzymać konwersację. Jeśli księżę zadowolony ciszą, ona też na niej poprzestanie.

Ale za chwilę księżę opowiedział jej historię trzech synów hrabiego. Najstarszy zmarł przed kilku laty. Najmłodszy był rządcą w majątku księcia w Walii. Został ciężko ranny podczas wojny w Hiszpanii, lecz starał się udowodnić, że potrafi być użyteczny. Kit Butler, wicehrabia Ravensberg, średni syn, był teraz dziedzicem hrabiego i mieszkał w Alvesley z żoną i dziećmi.

- Czy wasze rodziny pozostają w dobrych stosunkach? - spytała Christine.

- Właściwie tak - odparł. - Synowie Redfielda, moi bracia i Freyja zawsze się razem bawili. Morgan też, gdy trochę podrosła.

- A pan?

- Przez jakiś czas. - Wzruszył ramionami. - Potem wyrosłem z zabaw - dodał z

pogardą.

Czy ten mężczyzna nigdy nie zaznał radości? Nawet jako dziecko? Jak mogła sobie wyobrazić, że jest w nim zakochana? Jak mogła mu się wczoraj zwierzyć? I kłócić się z nim? Gdy się kłócili, nie okazywał chłodu. Och, jak trudno było go zrozumieć.

- Powiedział pan „właściwie tak”. Były więc jakieś waśnie?

W odpowiedzi wysnuł niesamowitą opowieść o powziętym przez niego i hrabiego Redfielda zamiarze połączenia lady Freyi i najstarszego syna hrabiego małżeństwem. Wszystko szło zgodnie z planem, aż któregoś lata Kit przyjechał do domu na urlop. On i lady Freyja zakochali się w sobie, lecz mimo to ona odtrąciła Kita i ogłosiła swoje zaręczyny z jego starszym bratem. Kit pobił się z lordem Rannulfem na trawniku przed Lindsey Hall i wściekły wrócił do Hiszpanii. Trzy lata później, po śmierci najstarszego syna, hrabia i księżę próbowali zaaranżować małżeństwo Freyi i Kita, zakładając, że oboje będą tego chcieli. Gdy jednak Kit przyjechał do Alvesley, na, jak się wszyscy spodziewali, uroczystość zaręczyn, przywiózł ze sobą narzeczoną, obecną lady Ravensberg.

- Ojej - westchnęła Christine. - Czy lady Freyja była bardzo zraniona?

- Raczej rozgniewana - odparł. - Szczerze mówiąc, nikt z nas nie był zachwycony zachowaniem Kita. I nie omieszkaliśmy tego okazać jemu i jego wybrance. Ale teraz nie ma już między nami urazy. Freyja nawet zaprzyjaźniła się z lady Ravensberg, gdy poznała Joshuę.

Christine zdała sobie sprawę, że to historia, której na pewno nie opowiedziałby jej rok temu. Pamiętała, jak sucho i zdawkowo mówił o swoich majątkach i rodzinie. Zrozumiała, że księżę próbuje się przed nią otworzyć, tak jak ona przed nim wczoraj.

Mówił przez prawie całą drogę do Alvesley. Nie musiała go nawet do tego zachęcać. Niepytany opowiedział jej o całym swoim rodzeństwie i o tym, jak poznali swoich współmałżonków. Wspomniał też o kilku okropnych miesiącach w lecie 1815 roku, gdy myśleli, że lord Alleyne zginął pod Waterloo. Był w Belgii wraz z personelem ambasady i został wysłany na pole bitwy z listem do księcia „wellingtona od ambasadora brytyjskiego.

- I nagle, gdy wróciliśmy do Lindsey Hall po ślubie Morgan, on po prostu czekał na nas na tarasie.

Christine poczuła, jak coś ściskają za gardło.

- To musiała być dla was naprawdę cudowna chwila - wykrztusiła.

- Tak - potwierdził. - Okazało się, że Alleyne został postrzelony w udo i spadł z konia tak nieszczęśliwie, że uderzył się w głowę i na kilka miesięcy stracił pamięć. Rachel go znalazła i pielęgnowała, dopóki nie wrócił do zdrowia.

Patrzyła na niego zdumiona, że jest zdolny do głębszych wzruszeń. Mimo szorstkiego tonu i surowej miny widać było, że bardzo mocno przeżył całą tę historię.

„I nagle... on po prostu czekał na nas na tarasie”.

Czy książę zdawał sobie sprawę, jak bardzo się odsłonił w tych kilku prostych słowach?

Zamrugła gwałtownie i odwróciła głowę. Jak wytłumaczyłaby mu powód swych łez, gdyby je dostrzegł?

Wkrótce dotarli do Alvesley, pięknej i okazałej rezydencji. Książę pomógł jej zsiąść z konia i oddał oba wierzchowce pod opiekę stajennemu. Weszli do środka. Christine poczuła ulgę, że nie będzie już przebywać z księciem sam na sam. Zaczynał burzyć jej uprzedzenia. Wcale nie była pewna, czy to się jej podoba. Pragnęła wrócić do swej spokojnej egzystencji bez żalu, ze świadomością, że wybrała ją nie tylko rozumem, ale i sercem.

Przez następną godzinę nie mogła się nadziwić, że tak dalece utraciła kontrolę nad własnym życiem. Jak na kogoś, kto z niechęcią myślał o powrocie do eleganckiego towarzystwa, zarówno zeszłego roku w Schofield, jak i tej wiosny na ślubie Audrey w Londynie, spędzała z nim zatrważająco dużo czasu. Najpierw z Bedwynami, a teraz jeszcze z mieszkańcami Alvesley.

Została przedstawiona hrabiemu i hrabinie Redfield oraz wice - hrabiostwu Ravensberg. Dwojgu ostatnim przyjrzała się z zaciekawieniem, znając ich historię. Potem zaczęła się prezentacja pozostałych osób, które przebywały w Alvesley z wizytą. Nie było wśród nich nikogo bez tytułu. Hrabia i hrabina Kilbourne. Diuk Portfrey z żoną. Lady Muir. Hrabia i hrabina Sutton. Markiz Attingsborough i wicehrabia Whitleaf. Wszyscy byli krewnymi wicehrabiny Ravensberg.

Christine czuła się przytłoczona całym tym splendorem. Na szczęście grono było tak liczne, a rozmowa tak ożywiona, że mogła znaleźć sobie ustronne miejsce przy oknie i na nowo wcielić się w rolę pobłażliwego obserwatora ludzkich śmieszności, wyłączonego z rozrywek towarzyskich.

Książę Bewcastle siedział z hrabią Redfield, diukiem Portfreyem i Bertiem. Spośród wszystkich zebranych to właśnie on wyglądał na arystokratę do szpiku kości, a także wydawał się najbardziej pociągającym mężczyzną. Dziwna myśl, skoro Christine sama przyznała, że lord Alleyne jest najprzystojniejszym z braci Bedwynów. Wicehrabia Whitleaf, wyjątkowo piękny mężczyzna, miał urzekające fiołkowe oczy, którymi właśnie czarował Amy Hutchinson. Markiz Attingsborough, wysoki, ciemnowłosy i niezwykle atrakcyjny, mógłby zawrócić w głowie każdej kobiecie. Hrabiemu Kilbourne'owi i wicehrabiemu

Ravensbergowi także niczego nie brakowało...

- Bujasz w obłokach, Chrissie? - spytał Justin, siadając koło niej. - Wybacz, że pozostawiłem cię na pastwę Bewcastle'a, ale nie miałem wyboru. Postaram się to naprawić w drodze powrotnej.

Uśmiechnęła się do niego. Ubiegłego wieczoru obiecał, że będzie niewzruszenie trwał przy jej boku, żeby ją uchronić przed, jak sądził, niepożądanymi awansami księcia. Nie wyprowadziła go z błędu, ale też nie protestowała.

Spała z monoklem księcia pod poduszką - oczywiście tylko po to, by nie zapomnieć oddać mu go rano. Czowała ciężar szkiełka w kieszeni.

- Nie gniewam się - odparła. - Dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy o tej rodzinie. To naprawdę bardzo sympatyczni ludzie, nie sądzisz?

- Sympatyczni? - zachichotał. - Tak, Chrissie, jeśli lubi się ludzi zarozumiałych i wyniosłych, którzy we własnym gronie śmieją się z nas wszystkich. Słyszałem ich wczoraj, jak zebrali się po spacerze w jednym pokoju. Zapewniam cię, nie byli zachwyceni twoim zachowaniem. Nie martw się tym jednak. - Poklepał ją po dłoni. - Mnie ono się podobało, mimo że nie widziałem, jak turlałaś się ze wzgórza. Bardzo cię lubię. Gdy tylko sezon dobiegnie końca, przyjadę na lato do Schofield. Będziemy chodzić na spacer, wybierzemy się na przejażdżkę po okolicy i pośmiejemy się z wytwornego towarzystwa.

Dlaczego dziewięć lat temu nie zakochałam się w kimś tak bezpiecznym jak Justin? - zastanawiała się. Nie wierzyła, że on ją kochał, wbrew temu, co twierdziła Hermione. Wprawdzie zaproponował jej małżeństwo, ale...

- Pani Derrick.

Christine wyrwana z zadumy spojrzała na lady Sutton, młodą damę, która sprawiała wrażenie bardzo zarozumiałej.

- Czy to nie pani wywołała okropne zbiegowisko, wpadając do Tamizy kilka tygodni temu? - spytała lady Sutton.

- Och! - Christine zarumieniła się, bo oczy wszystkich obecnych zwróciły się na nią. - Obawiam się, że to mnie przypadło to wątpliwe wyróżnienie.

Markiz Hallmere zachichotał.

- Schyliła się, by wyłowić rękawiczkę, którą pewna, hm, dama upuściła do wody, i sama do niej wpadła - powiedział. - Lord Powell wyciągnął ją z rzeki, ale to Bewcastle odegrał rolę szlachetnego rycerza. Otulił ją płaszczem i zawiózł do domu na swoim koniu.

- Cała historia obiegła Londyn lotem błyskawicy - dodała lady Rosthorn. W tej chwili wyglądała równie groźnie, jak jej najstarszy brat. - Wszyscy zdrowo się uśmiali i zachwycili

dama, która dla takiej sprawy naraziła własne bezpieczeństwo.

- Byliśmy wielce rozczarowani, że pani Derrick zniknęła z miasta wkrótce potem - wtrąciła się lady Hallmere, również z groźną miną. - Byłaby rozchwytywana na licznych imprezach towarzyskich. My mieliśmy szczęście spotkać ją wśród gości Wulfrica.

- A wczoraj dane nam było obserwować radosne i niekonwencjonalne podejście pani Derrick do życia - powiedział lord Alleyne z czarującym uśmiechem. - W trakcie spaceru po lesie sturlała się ze wzgórza ku radości naszych dzieci, które oczywiście poszły w jej ślady.

- Podobnie jak Free - dodał lord Rannulf.

- Dobry Boże - westchnął lord Sutton.

- Dzieci ją po prostu uwielbiają - powiedziała żona lorda Aidana. - Dzisiejszego ranka w pokoju dzieciennym nie mogła się od nich opędzić.

- Dzieci zawsze Igna do dobrych ludzi - rzekła wicehrabina Ravensberg i uśmiechnęła się ciepło do Christine. - Pani Derrick, czy często ma pani do czynienia z dziećmi? Ma pani dzieci?

Christine zdołała jakoś odpowiedzieć. Zorientowała się, że oni wszyscy pospieszili, by obronić ją przed złośliwością hrabiny Sutton. Księżę Bewcastle nie odezwał się, tylko obrzucił hrabinę lodowatym spojrzeniem, uniósłszy do oka monokl. Jeden ze swoich pozostałych siedmiu.

Na resztę wizyty musiała porzucić rolę obserwatora. Została wciągnięta do rozmowy na różne tematy i ostatecznie znalazła się w towarzystwie markiza Attingsborough, który okazał się czarującym dżentelmenem. Gdy przyszła pora się pożegnać, odprowadził ją przed dom i pomógł dosiąść Trixie.

- Pani Derrick, czy mogłaby pani zarezerwować dla mnie pierwszą turę tańców na balu w Lindsey Hall? - zapytał na od - jezdny.

- Tak, oczywiście - odparła z uśmiechem. - Należy do pana.

Zauważyła, że Justin podjechał do Bewcastle'a i zajął go rozmową. Najwyraźniej postanowił dotrzymać obietnicy i uchronić ją przed towarzystwem księcia. Pomyślała, po raz pierwszy od początku ich przyjaźni, że Justin czasami potrafi być nieznośny.

Nie obawiała się, że Trixie, pozbawiona uspokajającego wpływu Karego, spróbuje swoich sztuczek, gdyż u jej boku znalazł się lord Aidan. Przypomniała sobie, że wiele lat spędził w kawalerii, i poczuła się bezpiecznie. Przynajmniej na tyle, na ile to w ogóle możliwe w damskim siodle wysoko nad ziemią.

Wulfric darzył ogromnym szacunkiem swego przyjaciela Mowbury'ego, który dzisiejszego ranka skorzystał z okazji poszperania w bibliotece Lindsey Hall, nigdy jednak nie czuł specjalnej sympatii do jego młodszego brata. Zastanawiał się nawet, czy ta niechęć nie wynika z zazdrości, Justin Magnus bowiem był bliskim przyjacielem pani Derrick.

Źle spał tej nocy, a uporczywe myśli nie opuszczały go ani wcześniej rano, gdy poszedł na spacer, ani potem, gdy wrócił do domu i usiadł w bibliotece.

Postarał się, by Justin Magnus towarzyszył mu w drodze powrotnej do Lindsey Hall.

- Attingsborough coś długo się żegna - rzucił chłodno. - Miał chyba dość czasu w salonie, by wszystko powiedzieć.

Zastanawiał się, czy te słowa wystarczą, by Magnus zareagował. Jeśli nie, będzie skazany na drogę powrotną w nieznośnym towarzystwie. Jego bracia i siostry postanowili znów połączyć go w parę z panią Derrick. Tym razem nie ze względu na Amy Hutchinson, bo nie było z nimi ciotki, która próbowałaby go zmusić do towarzyszenia biednej dziewczynie. Oni po prostu bawili się w swatów. Niech to lichy!

- Attingsborough to znany rozpustnik - powiedział Magnus, gdy oddalili się nieco od reszty towarzystwa.

Wulfric był szczerze zdumiony. Attingsborough, od lat uważany za jedną z najlepszych partii, zapewne nie stronił od uciech życia, ale żeby zaraz nazywać go rozpustnikiem?

Nie odezwał się jednak. Czekał, co usłyszy dalej.

- Nie można zarzucać Chrissie, że z nim flirtuje - oznajmił Magnus. - Wprawdzie była mężatką i ma pewne doświadczenie życiowe, nie jest jednak w stanie stawić czoła komuś takiemu jak Attingsborough. To zupełnie naturalne, że markiz zainteresował się właśnie nią, skoro lady Muir jest jego kuzynką, Whitleaf ubiegł go do panny Hutchinson, a pozostałe damy są niezamężne. Zresztą Chrissie jest całkiem ładna i czarująca bardziej, niż myśli.

- Owszem - potwierdził Wulfric znudzonym tonem.

- Zapewne jest pan rozdrażniony faktem, że poświęciła markizowi tak wiele uwagi - ciągnął Magnus. - Zechce mi pan wybaczyć śmiałość, ale nietrudno zauważyć, że pan też się nią zachwyił. Nie dziwię się, że czuje pan irytację. Ale pani Derrick jest moją najdroższą przyjaciółką i muszę przemówić w jej obronie. Nie powinien pan mieć do niej pretensji, jeśli mężczyźni tacy jak Kitredge czy Attingsborough zwracają na nią uwagę. To nie jej wina.

Zawsze tak działała na mężczyzn. Nic na to nie poradzi. Oscar zamienił jej życie w piekło, oskarżając o flirtowanie, a nawet coś więcej. Hermione i Basil też jej to zarzucali. A potem jeszcze ta zatuszowana afera ze śmiercią Oscara, o którą również ją obwiniali. Niestuszenie. Chciałem się upewnić, że pan to rozumie.

- Coś za bardzo gardłuje pan w jej sprawie - rzucił chłodno Wulfric. - Według mego doświadczenia nie ma dymu bez ognia.

Magnus westchnął.

- Chrissie jest moją przyjaciółką - rzekł. - Wierzę, że jest niewinna, i będę jej bronił. Nawet gdyby była zamieszana w setki skandali, a nie zaledwie kilkanaście, o których słyszałem, zawsze będę jej wierzyć. Po to są przyjaciele.

Wulfric wybrał najbezpieczniejszą trasę do Alvesley ze względu na panią Derrick, która nie była dobrym jeźdźcem. W drodze powrotnej już nie musiał się powstrzymywać. Kłusowali na przelaj przez pola, przeskakując ogrodzenia. Teraz też nie zawracał sobie głowy, by zboczyć i przejechać przez otwartą bramę. Ponaglił konia ostrogami i skierował ku najwyższej i najszerszej części żywopłotu. Kary wykonał zgrabny skok. Wulfric zacisnął zęby i czekał, aż jego towarzysz też pokona przeszkodę.

- Dobry Boże! - zawołał Magnus ze śmiechem. - Już dawno nie robiłem czegoś tak ryzykownego.

- Moim zdaniem pan sam jest zakochany w pani Derrick - rzucił Wulfric i spojrzał na Justina. - W jej obronie powie pan wszystko. Gdyby było trzeba, popełniłby pan nawet krzywoprzysięstwo.

Magnus jechał jakiś czas w milczeniu.

- Zaufanie jest konieczne w przyjaźni tak samo jak w miłości - odezwał się w końcu. - Ja ufam Chrissie. Zawsze tak było i będzie. Jeśli pan ją kocha, Bewcastle, czy choćby tylko lubi, też jej pan zaufa. Nawet jeżeli będzie się panu wydawało, że ona zachowuje się zbyt swobodnie. Pan jest człowiekiem światowym. Oscar nie był, a na dodatek miał słaby charakter. Chciał ją mieć tylko dla siebie. Nie, żeby Chrissie kiedykolwiek zrobiła coś niestosownego. Tego nie powiedziałem. Wręcz przeciwnie. Chrissie to uosobienie niewinności. Tyle że czasami sytuacja wydaje się podejrzana. Tak jak w przeddzień śmierci Oscara, gdy przez całą godzinę była w Winwood Abbey sam na sam z mężczyzną, bez żadnej przyzwoitki. Próbowalem dać jej alibi, bo uwierzyłem jej, gdy powiedziała, że nic się nie stało. Wprawdzie złamała konwenanse, ale zupełnie niewinnie. Chyba za dużo mówię. Pana pewnie nie obchodzi akurat ten incydent.

- Nie - powiedział Wulfric.

- Obiecałem, że będę pana trzymał jak najdalej od niej - rzucił Magnus ze szczerym, acz melancholijnym uśmiechem. - To dlatego towarzyszę panu w drodze. Przypuszczam, że kusi ją perspektywa zostania księżną. Tak samo jak szansa na małżeństwo z hrabią Kitredge'em. Dla córki nauczyciela byłaby to doskonała partia, prawda? Ale widzi pan, ona się pana boi. Boi się, że pan będzie surowszy niż Oscar, a Christie potrzebuje swobody, żeby...

- Flirtować? - zasugerował Wulfric.

- Nie - odparł Magnus wyraźnie poirytowany. - Chrissie nigdy nie flirtuje. Ona potrzebuje swobody, by być sobą.

- Żeby swobodnie nawiązywać, hm, przyjaźnie z innymi dżentelmenami - dokończył Wulfric.

- Cóż, można tak to nazwać - przyznał Justin. - Ale zupełnie platoniczne przyjaźnie.

- Rozumiem - mruknął Wulfric. Droga powrotna z Alvesley strasznie mu się dłużyła. Odetchnął z ulgą, gdy Lindsey Hall pojawiło się w zasięgu wzroku. - Ta konwersacja robi się męcząca, Magnus. Wbrew temu, co się panu wydaje, moje zainteresowanie panią Derrick jest minimalne. I nie wierzę nawet w jedną dziesiątą tego, co pan o niej mówi. Pańska lojalność budzi podziw, ta kobieta to zwykła ładaczka.

- Wasza Wysokość! - Magnus był zbulwersowany. - Proszę pamiętać, że mówi pan o osobie skoligaconej ze mną przez małżeństwo i jednocześnie mojej przyjaciółce.

- Której będzie pan bronił do upadłego - dopowiedział Wulfric. - Doskonale pana rozumiem. Zadurzony mężczyzna uwierzy we wszystko, w co chce uwierzyć. A raczej zignoruje wszystko, w co nie chce wierzyć. Jeśli towarzyszył mi pan w drodze powrotnej nie tylko po to, by uchronić panią Derrick przed moim towarzystwem, ale także po to, by przemówić w jej sprawie, to poniósł pan porażkę. To moje ostatnie słowo na ten temat.

- Ależ...

Wulfric przynaglił konia do biegu i skierował się do stajni.

„Nigdy nie dopuszczaj do siebie gniewu. Jest zbędny i bezużyteczny”.

„Jeśli należy coś powiedzieć, powiedz to. Jeśli trzeba coś zrobić, zrób to”.

„Nigdy nie dopuszczaj do siebie gniewu. A co ważniejsze, nigdy go nie okazuj”.

„Gniew jest oznaką słabości”.

Dobrze się wyuczył tej lekcji. Ale dzisiaj jego panowanie nad sobą zostało wystawione na poważną próbę. Miał ochotę zabić gołymi rękami.

Był straszliwie rozgniewany. Aż kipiał gniewem.

Markiz i markiza Hallmere mieli właśnie zaśpiewać w duecie. Markiza długo

protestowała, lecz w końcu dała się namówić braciom.

- Boże, miej litość nad nami - skomentował lord Rannulf z szerokim uśmiechem. - Joshua, czyżbyś nauczył Freyję śpiewać?

- Słyszałem, że w wilgotnym klimacie Kornwalii głosy, tak jak piły, szybko rdzewieją - dorzucił lord Alleyne.

Bertie i Hector roześmiali się serdecznie. Markiza Rochester uniosła lorgnon do oczu. Pani Pritchard pogroziła Alleyne'owi palcem i przypomniała mu, że Walińczycy słyną z pięknych głosów, a żyją w równie wilgotnym klimacie. Lady Freyja wstała sztywno z godnością.

- Zaśpiewamy - oświadczyła. - A jeśli potem ktoś wspomni o zardzewiałych piłach, osobiście rozkwaszę mu nos.

- Nikt nie potrafi tego lepiej od ciebie, kochanie - odparł z lodowatym uśmiechem jej mąż. - Mam na myśli śpiewanie - dodał pospiesznie.

Goście i domownicy po kolei występowali, zabawiając wszystkich obecnych. Panna Hutchinson zagrała na fortepianie. Żona lorda Rannulfa odegrała rolę Desdemony z zadziwiającym talentem aktorskim. Hector urządził pokaz sztuczek magicznych, na co rzadko dawał się namówić. A za chwilę zabrzmiał śpiew w duecie.

Christine próbowała odzyskać dobry humor. Nie miała przecież powodu, by się smucić. Dzień był pełen wrażeń. Po porannej przejażdżce i wizycie w Alvesley spędziła drugie śniadanie na rozmowie z baronem Westonem. Potem wyszła na zewnątrz z grupą dorosłych i dzieci. Grała w piłkę ze starszymi dziećmi i bawiła się w kółeczko z młodszymi, podczas gdy hrabia Rosthorn kołysał swoje maleństwo w ramionach, a żona lorda Alleyne'a zajmowała się pociechami Hallmere'ów. Wczesnym popołudniem Christine poszła na długi spacer z Justinem.

Stanowczo miała rację, unikając Bewcastle'a i ignorując jego awanse, powiedział Justin, klepiąc ją współczująco po rękę. Księżę jest straszliwym ponurakiem i na pewno będzie okropnie zazdrosnym mężem jakiejś biednej damy. Zirytował go fakt, że markiz Attingsborough odprowadził Christine, pomógł wsiąść na konia i zamienił z nią kilka słów na pożegnanie.

- To nie fair z jego strony - ocenił Justin. - Przecież Whitleaf podobnie nadskakiwał pani Hutchinson. Ale ty mu się najwyraźniej podobasz, chciałby więc, żebyś całą uwagę poświęcała tylko jemu. Powiedziałem mu, że potrzebujesz swobody, by być sobą.

Księżę całe popołudnie spędził w domu. Zszedł na kolację jak zwykle pełen chłodu i rezerwy i prawie nie brał udziału w konwersacji. Nie pojawił się w salonie, gdy panowie

dołączyli do dam.

To nawet lepiej, pomyślała Christine. Nie powinna była wczoraj się z nim kłócić, a potem opowiadać mu o swoim małżeństwie. Jego dzisiejsze opowieści na temat rodziny i sąsiadów nie miały żadnego znaczenia. Zapewne tylko chciał podtrzymać rozmowę.

Gdy markiz z żoną usiedli przy fortepianie, poczuła lekkie dotknięcie na ramieniu. Odwróciła się i zobaczyła lokaja, który pochylił się nad nią i szepnął:

- Madame, Jego „wysokość” prosi panią, by zechciała dotrzymać mu towarzystwa w bibliotece.

Christine zauważyła, że Hermione i Basil właśnie kierują się do drzwi. Czyżby też zostali zaproszeni? Wstała i wyszła z salonu, gdy zabrzmiały pierwsze dźwięki muzyki.

W korytarzu wymienili zażenowane spojrzenia. Przez ostatnie dni trzymali się z dala od siebie, choć nie okazywali sobie wrogości.

- O co chodzi? - spytała Hermione.

- Zapewne Bewcastle chce poudzielać się towarzystwem, ale nie w zatłoczonym salonie - rzucił Basil.

Christine milczała.

Lokaj poprowadził ich korytarzem i otworzył przed nimi drzwi biblioteki.

- Lord i lady Elrick oraz pani Derrick, Wasza Wysokość - oznajmił.

W bibliotece unosił się zapach skóry, drewna i świec. Musiało tu być tysiące książek. Stały rzędami na półkach od podłogi do sufitu. W pobliżu okna znajdowało się duże biurko, a przy kominku, na którym płonął ogień, ustawiono w kręgu obszerne fotele.

Bewcastle stał plecami do kominka. Wyglądał posępnie i groźnie. Nie był sam. Z jednego z foteli podniósł się Justin.

Książę uklonił się, powitał nowo przybyłych i zaproponował, by usiedli, przy czym nawet na krok nie ruszył się z miejsca i nie zmienił wyrazu twarzy.

Christine patrzyła mu prosto w oczy. Jak śmiała irtować się na to, że rozmawiała z markizem Attingsborough i pozwoliła mu, by pomógł jej dosiąść konia. Jak śmiał! Książę pierwszy odwrócił wzrok.

I dobrze. Okropny człowiek! Czy uważał, że ma do niej wyłączne prawo, tylko dlatego że zgodziła się przyjechać do Lindsey Hall i rozmawiała z nim na osobiste tematy?

- Doskonale bawiliśmy się w salonie - powiedziała Hermione. - Żona lorda Rannulfa to wspaniała aktorka. Na kilka minut po prostu zapomniałam, że nie jest biedną Desdemoną, którą za chwilę zamorduje Otello. A Hector pokazał kilka magicznych sztuczek. Zawsze obserwuję go z uwagą, by wreszcie odkryć, jak to robi, ale nigdy mi się nie udaje. Jak

kawałek sznurka może się podzielić na dwie części, a potem znów połączyć w całość? Przecież Hector ani razu nie włożył ręki do kieszeni i miał podwinięte rękawy.

- Potrafił robić takie sztuczki już jako chłopiec - rzekł Justin ze śmiechem. - Doprowadzał Mel, Audrey i mnie do szału, bo nigdy nie chciał nam zdradzić ich sekretu.

- Cały sekret polega na tym - odezwał się książę Bewcastle - by sprawić, żeby widz przyjął pozory za rzeczywistość. Zwykła iluzja. Ale wymaga wprawy i talentu.

- Naprawdę nie potrafię tego pojąć - powiedział Justin. - Szkoda, że nie obejrzałem występu żony lorda Rannulfa. Może powtórzy go jeszcze któregoś wieczoru.

- Są ludzie, którzy potrafią mówić jedno, gdy mają na myśli coś zupełnie innego - ciągnął książę, ignorując Justina.

- Ma pan rację, Bewcastle - włączył się Basil. - Wielu ludzi, w tym pisarzy, posługuje się ironią po mistrzowsku. Choćby Alexander Pope. Zawsze pękam ze śmiechu, gdy czytam jego *Porwany lok*.

- A inni znowu mają dar mówienia prawdy, przy czym jednocześnie przekonują słuchaczy, że to kłamstwo - powiedział książę, jakby Basil w ogóle się nie odezwał.

Hermione, Basil i Justin patrzyli na księcia z uprzejmymi minami, ale nie wiedzieli, co powiedzieć. Christine wpatrywała się w niego chłodno. Pomyślała, że jest zarozumiały i skupiony tylko na sobie. Dlaczego przyszło jej do głowy, że jest zdolny do głębszych uczuć? Może to iluzja, o której właśnie mówił?

- Odniosłem wrażenie, że pani Derrick jest powszechnie uważana za kokietkę - powiedział książę.

- Do diabła! - Justin zerwał się na nogi.

Hermione dotknęła pereł na szyi.

- Bewcastle, zdaje się, że jest pan winien mojej bratowej przeprosiny - rzucił sztywno Basil.

Christine siedziała zmartwiała w fotelu.

Książę ujął monokl.

- Mam nadzieję, że wszyscy państwo wysłuchają mnie do końca - rzekł znudzonym tonem. - Niech pan siada, Magnus.

- Nie, dopóki nie przeprosi pan Chrissie - zaprotestował Justin.

Książę uniósł monokl do oka.

- Czy powiedziałem, że uważam ją za kokietkę? - spytał. Justin usiadł, ale widać było, że jest wściekły. Christine uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Madame, pani sama tak określiła panią Derrick zeszłego roku w Schofield -

powiedział Bewcastle i spojrzał na Hermione. - Muszę jednak przyznać, że jako jedyna nazwała ją kokietką. Natomiast aż do znudzenia powtarzano mi, że pani Derrick nią nie jest.

Spojrzenie jego srebrzystych oczu spoczęło na Christine. Spiorunowała go wzrokiem. Miała ochotę zerwać się z fotela i uderzyć go w twarz, bała się jednak, że upadnie. Nogi jej drżały i brakowało jej powietrza.

- Powiedziała pani, madame, że pani Derrick flirtuje z każdym dżentelmenem obecnym w Schofield - zwrócił się książę do Hermione. - Twierdziła też pani, że flirtowała ze mną, spacerując w alei szczodrzeńców, żeby wygrać zakład. Proszę sobie przypomnieć, co sprawiło, że zaczęła pani tak myśleć. Czy pani własne obserwacje? A może ktoś tak żarliwie i namiętnie zapewniał panią, że pani Derrick nie flirtuje, iż wzbudziło to jej podejrzliwość i doprowadziło do odpowiedniej konkluzji?

- Widzi pan? - zawołał Justin, nim Hermione zdążyła odpowiedzieć. - Mówiłem panu, że zawsze tak było. Żałuję, że wystąpiłem w obronie Chrissie. Zawsze przynosiło to więcej szkody niż pożytku. Zawsze! Ale dość! Nie zrobię tego nigdy więcej. - Spojrzał na Christine, niemal bliski łez. - Przepraszam cię, Chrissie.

Patrzyła na niego zaintrygowana.

- Wszyscy wiemy, że Justin bardzo lubi Christine - powiedziała Hermione. - Może nawet jest w niej zakochany. Widzi w niej wszystko, co najlepsze. Broniłby jej, nawet gdyby był naocznym świadkiem jej występków. To miłe z jego strony. Niestety rzadko można mu wierzyć. Wybacz mi, Justinie. Wiem, że zawsze miałeś dobre intencje.

- Jest jeszcze jedno słowo, oprócz „flirtowania”, które nieodmiennie słyszałem w związku z osobą pani Derrick, we wszystkich opowieściach o jej małżeństwie i niej samej - ciągnął książę. - To słowo brzmi „Justin”.

- Co pan sugeruje? - Justin zerwał się na nogi. - Ty podły...

Bewcastle uniósł monokl do oka.

- Sugeruję, by pan usiadł, Magnus - rzekł.

Niewiarygodne, ale Justin usiadł.

- Elrick, proszę pomyśleć o wszystkich tych sytuacjach w trakcie jej małżeństwa, gdy pani Derrick była obwiniana, czy to przez swego męża, czy przez pana, czy przez pańską żonę, o flirtowanie albo niestosowne zachowanie w towarzystwie jakiegoś mężczyzny - powiedział książę. - I proszę rozważyć, czy pan, pański brat bądź żona kiedykolwiek na własne oczy widzieli niepodważalny dowód jej winy. Czy przypomina pan sobie, by kiedykolwiek bezpośrednio usłyszał o niej jakąś haniebną plotkę?

Christine poczuła chłód, choć siedziała niedaleko kominka. Nie patrzyła już na

księcia, tylko na Justina.

- Bewcastle, uważam, że nasze sprawy rodzinne nie powinny pana obchodzić - odparł Basil.

Hermione przełknęła z trudem.

- To Justin zawsze nam o tym mówił - powiedziała. - Przynosił plotki z klubów dla dżentelmenów i z różnych innych miejsc. Zawsze był rozgniewany i zaniepokojony. Zawsze bronił Christine i upierał się, że w tych pogłoskach nie ma ani krzty prawdy. On zawsze...

- Justinie, coś ty zrobił? - spytała Christine.

Wszystko okazało się takie proste. I niemal niemożliwe do zdemaskowania.

- Gdy wracałem dzisiaj w towarzystwie Magnusa z Alvesley, usłyszałem, że nie powinienem mieć pretensji do pani Derrick o to, że przyjmuje atencje markiza Attingsborough - powiedział książę. - Nie należy jej oskarżać o flirtowanie, skoro markiz jest znanym rozpustnikiem. Ona nic nie może poradzić na to, że przyciąga mężczyzn takich jak Attingsborough, Kitredge i ja. Tak już jest. Choć oczywiście ma ambicje, by zdobyć tytuł i możliwie najwyższą pozycję towarzyską. Usłyszałem też, że gdyby Magnus wiedział o setkach skandali, w które była zamieszana pani Derrick, a nie zaledwie kilkunastu, to i tak by jej bronił, bo od tego są przyjaciele. Dowiedziałem się, że choć pani Derrick w przeddzień śmierci swego męża przez ponad godzinę przebywała sam na sam z dżentelmenem, on chętnie zapewnił jej alibi, bo jej ufa.

- Justinie. - Christine nie odrywała wzroku od jego twarzy. - To ty z rozmysłem zrujnowałeś moje małżeństwo? Ty doprowadziłeś Oscara do szaleństwa i śmierci?

- Chyba w to nie wierzysz, Chrissie? - zawołał, patrząc na nią błędnym wzrokiem. - Jestem twoim przyjacielem. Tylko ja cię rozumiem. Ja cię kocham!

Basil odchrząknął.

Hermione przycisnęła dłoń do czoła i zamknęła oczy.

- To jakiś koszmar - powiedziała. - To nie może być prawda. Justinie, byłeś taki przekonujący. Zawsze było nam ciebie żal. I nie wierzyliśmy w ani jedno twoje słowo.

- To pan! - Justin oskarżycielsko wskazał księcia palcem. - Pan, Bewcastle! Pan dziś rano nazwał Chrissie ladacznicą.

- A potem odjechałem do stajni, żeby mógł się pan do woli napawać swym triumfem - odparł książę, ponownie unosząc monokl do oka.

- Ty zaś przyszedłeś do mnie i mówiłeś, że książę byłby okropnie zazdrosnym i zaborczym mężem, bo zirytował się, gdy markiz Attingsborough odprowadził mnie i pomógł dosiąść konia - odezwała się Christine. - Justinie! Och, Justinie. Biedny, biedny Oscar!

Zakryła twarz dłońmi. Poczula na szyi dotyk chłodnej dłoni Hermione.

- Chrissie, nikt cię nie kocha tak jak ja - zawołał Justin. - Ale ciebie pociąga przede wszystkim uroda. Najpierw Oscar, teraz Bewcastle, a po drodze cała rzesza przystojnych mężczyzn. A ja? Ja się nie liczę? Kobiety nigdy nie zwracały na mnie uwagi, a zwłaszcza ty. Nigdy nie traktowałaś mnie poważnie. Nie mogę znieść, gdy widzę cię z mężczyznami, którzy nie potrafią cię należycie do cenić. Chrissie, ja cię kocham.

Christine odsunęła ręce od twarzy i zobaczyła, jak książę Bewcastle pochyla się nad Justinem, chwytając go za halsztuk i bez wysiłku unosi w górę.

- Nie potrafię zrozumieć pańskiego pokrętnego rozumowania, Magnus - odezwał się tak cichym i lodowatym tonem, że Christine zadrżała. - Ale coś panu powiem. Niewiele wiem o miłości, lecz jedno wiem na pewno. Zrujnowanie życia ukochanej osobie i nieustanne zadawanie jej bólu to nie miłość.

Christine ukryła twarz w dłoniach. Gorące łzy pociekły jej przez palce.

- Najchętniej rozdeptałbym pana jak robaka - ciągnął książę. - Jest pan jednak moim gościem, podobnie jak pańska matka i inni krewni. Pańska rodzina rozprawi się z panem w sposób, który uzna za stosowny. Na razie sugeruję, by znalazł pan odpowiedni powód zmuszający go do opuszczenia mojego domu jutro jeszcze przed śniadaniem.

Christine kątem oka zauważyła, że Basil wstał.

- Justinie, zanim opuścisz Lindsey Hall i Anglię, bądź łaskaw wyjść ze mną na zewnątrz - rzucił. - I to już.

- Basilu... - zaczęła Hermione.

- Hermione, ty zostaniesz tutaj - polecił. - Ty też, Christine.

Justin stanął przy fotelu Christine. Twarz miał poszarzałą, a w oczach łzy.

- Chrissie? - odezwał się nieśmiało.

I wtedy stała się naprawdę zdumiewająca rzecz. Książę Bewcastle mocno kopnął go w tyłek i posłał w ślad za wychodzącym Basilem.

Po ich wyjściu na moment zapadła cisza. Potem książę uklonił się Hermione i Christine.

- Zostawię panie same - powiedział. - Nikt nie będzie im przeszkadzał.

Zanim opuścił bibliotekę, zatrzymał się przy fotelu Christine i wsunął jej w dłoń dużą płócienną chusteczkę.

Gdy wyszedł, Christine i Hermione siedziały przez chwilę bez ruchu.

- Czy mogę mieć nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz? - odezwała się w końcu Hermione.

- Zostałam oszukana tak samo jak wy - odparła Christine.

- Justin był moim przyjacielem. Kilka ostatnich lat przed śmiercią Oscara ufałam tylko jemu.

Obie wybuchnęły płaczem i rzuciły się sobie w ramiona. Oplakiwały zmarnowane lata, utraconą przyjaźń i niepotrzebną śmierć słabego, udręczonego zazdrością człowieka. I własną łatwowierność, przez którą dały się schwytać w tak prostą pułapkę.

Gdy zabrakło im łez, Christine wydmuchała nos w chusteczkę księcia.

- Mam nadzieję, że Basil wyjdzie z tego cało - powiedziała. - To nierozsądne, że poszedł się bić z Justinem.

- Basil jest prawdziwym mężczyzną - odparła Hermione z dumą. - Mam nadzieję, że stłucze Justina na kwaśne jabłko.

Roześmiały się niepewnie i uroniły jeszcze kilka łez.

Niedziela Wielkanocna minęła bardzo spokojnie. Rano wszyscy poszli do kościoła, po południu głównie bawili się z dziećmi, a wieczór upłynął na słuchaniu muzyki, rozmowach i czytaniu.

Nikt nie skomentował nagłego zniknięcia Justina. Podobno przeprosił księcia Bewcastle'a i wyjechał z powodu jakiejś nagłej sprawy w mieście. Jego matka westchnęła tylko, że przez całe życie pojawiał się i znikał, kiedy mu się podobało, więc i teraz niewątpliwie miał naprawdę ważny powód do wyjazdu. Wszyscy przyjęli za dobrą monetę niemądre wyjaśnienia Basila, że uderzył się w policzek i obtarł sobie kłykcie, gdy pośliznął się przy wychodzeniu z wanny. Jeśli ktoś mu nie uwierzył, zachował to dla siebie.

Gdy w sobotę Basil po pewnym czasie dołączył do Hermione i Christine w bibliotece, zapewnił je, że Justin wygląda o wiele gorzej. Uściskał żonę, a potem mocno i długo tulił bratową.

- Oscar bardzo cię kochał, Christine - powiedział zdławionym głosem. - Kochał cię do samego końca, nawet jeśli przestał ci ufać.

- Tak, wiem - tylko tyle zdołała wykrztusić.

- To nie w porządku, że nie zadbał o ciebie po jego śmierci - ciągnął. - Nie proszę o wybaczenie, tylko o pozwolenie, bym mógł ci to zadośćuczynić.

Christine znów zaczęła łkać w chusteczkę księcia.

- A jeśli zechcesz wyjść za Bewcastle'a, to masz nasze błogosławieństwo - dodał.

- O tak - potwierdziła Hermione. - Zdaje się, Christine, że księżę darzy cię głębokim uczuciem. Gdyby tak nie było, nie potraktowałby Justina z morderczą furją.

Nie mówili więcej na ten temat. Christine wróciła do salonu, gdzie pani Pritchard ślicznie, choć nieco drżącym głosem śpiewała walijską balladę. Hermione zabrała Basila do ich sypialni, by przyłożyć mu okład na policzek.

Poniedziałek był pochmurny i chłodny. Rano do Lindsey Hall przybyła duża grupa gości z Alvesley i wyjechała dopiero przed drugim śniadaniem. Po posiłku lord Aidan ogłosił plan wyprawy łódkami na jezioro. Został on przyjęty entuzjastycznymi okrzykami, po czym zrobiło się ogólne zamieszanie, gdy dorośli ruszyli przygotować dzieci do drogi.

- Wulfricu, musisz zabrać Amy łódką na wysepkę - powiedziała markiza Rochester. - Pokażesz jej stamtąd różne piękne widoki.

Księżę wstał ze swego miejsca u szczytu stołu.

- Ciociu, jestem pewien, że ktoś inny z chęcią ją tam zawiezie - odparł. - Ja już obiecałem pani Derrick, że pójdę z nią na spacer. Chyba że nagle rozboleła ją noga i nie może się ze mną wybrać.

Spojrzał na Christine po raz pierwszy od tej chwili w bibliotece, gdy wyszedł, zostawiając jej swoją chusteczkę. Najchętniej roześmiałyby się, bo przecież oboje wiedzieli, że bezczelnie skłamał. Serce jednak mocno jej zabiło i nagle zabrakło jej tchu. Zdała też sobie sprawę, że markiza uważnie się jej przygląda.

- Nie, Wasza Wysokość - odparła. - Nic mi nie dolega, więc chętnie się z panem wybiorę.

Markiza mruknęła coś gniewnie pod nosem. Christine pospiesznie wstała, żeby przypadkiem nie zostać sam na sam z tą groźną damą.

- Pójdę włożyć kapturek i pelisę - powiedziała.

Dziesięć minut później pojawiła się przed domem. Na schodach minęła całą rzeszę Bedwynów z dziećmi. Zaprosili ją na wycieczkę łódkami, odmówiła jednak, wyjaśniając, że wybiera się na spacer z księciem.

Mogłaby przysiąc, że przyjęli jej odpowiedź porozumiewawczymi uśmiezkami.

- Mniemam, że miał pan nadzieję spędzić spokojne popołudnie w bibliotece - powiedziała, ujmując księcia pod ramię.

- Doprawdy? - rzucił. - Pani Derrick, jak pani mnie dobrze zna. A przynajmniej tak się jej wydaje.

Przez pewien czas szli w milczeniu. Dzień nadal był pochmurny i wietrzny, niemal jak w zimie, ale na szczęście wiatr nie wiał im prosto w twarz.

- Muszę panu podziękować za to, co zrobił dla mnie w sobotni wieczór - odezwała się w końcu. - Czuję się nieswojo, że nigdy niczego nie podejrzewałam. Teraz, gdy znam prawdę, wszystko wydaje się takie oczywiste.

- Najprostsze intrygi często są najbardziej groźne - odparł. - Dlaczego miałyby pani coś podejrzewać? Magnus zaofiarował pani przyjaźń, współczucie i wsparcie, gdy pani ich potrzebowała. Pani mąż i jego brat z żoną też nie mieli powodów go podejrzewać. Jest ich krewnym i wiedzieli, że panią lubi, wydało się im więc naturalne, że bronił pani wbrew prawdzie i zdrowemu rozsądkowi. Mnie, stojącemu z boku, łatwiej było zauważyć, że słowa „flirt” i „Justin” zawsze pojawiają się razem i to z nużącą regularnością. A przecież nigdy nie widziałem, żeby pani flirtowała. Czy pani bardzo cierpiała?

- Po stracie Justina? Nie. Żałuję tylko, że Oscar przed śmiercią nie dowiedział się prawdy. Zmarł przekonany, że go zdradzałam. Słaby psychicznie, był doskonałą ofiarą, z

czego Justin pewnie znakomicie zdawał sobie sprawę, gdy knuł swoją intrygę. Ale też Oscar miał łagodny charakter. Zapewne byłoby nam razem dobrze, choć okazał się zupełnie inny niż w moich romantycznych marzeniach. Tak, czuję smutek, ale też spokój. Hermione i Basil znają prawdę i to jest dla mnie bardzo ważne. Darzyliśmy się wielką sympatią, dopóki nie zaczęły się podejrzenia. Wiele panu zawdzięczam. Nie musiał pan tego dla mnie robić.

- Musiałem i chciałem - powiedział cicho.

Nie wyjaśnił, o co mu chodzi. Nie spytała. Przeszli w milczeniu przez trawnik, pod drzewami nad brzegiem jeziora i dalej, obok wzgórza, z którego Christine turlała się kilka dni temu. Minęli kępę drzew, przy której się kłócili. To tu wyrwała mu monokl, którego do tej pory nie oddała. Christine domyśliła się, że kierują się do miejsca, w które chciał ją zabrać tamtego popołudnia. Do gołębnika na północ od jeziora.

Milczenie wcale im się nie dłużyło. Christine czuła, że zapanowała między nimi harmonia. Zdała sobie sprawę, że zaczyna go lubić. Ta świadomość trochę ją niepokoiła, bo zbyt wiele ich dzieliło, by mogła się ludzić, że przepaść między nimi uda się pokonać. A jednak postanowiła nie myśleć o tym dzisiejszego popołudnia i tylko cieszyć się, że czuje do niego sympatię. Przyjęła jego zaproszenie na spacer. On niedawno zrobił dla niej coś niewiarygodnie cudownego.

„Musiałem i chciałem”.

Zerknęła ukradkiem na jego surowy arystokratyczny profil. Nie zmienił się, a jednak wydawał się jej drogi.

Doszli do polany. Stał na niej stary kamienny budynek. Okrągły, kryty strzechą, z małymi okienkami wysoko nad ziemią. Kilka schodków prowadziło w dół do drzwi zagłębionych w ziemi.

- Jaki ładny gołębnik - zauważyła. - Czy jest użytkowany?

- Nie ma w nim ptaków - odparł. - Został zamknięty i popadł w ruinę jeszcze za życia mojego ojca. Zawsze lubiłem ten budynek, ale dopiero dwa lata temu poleciłem go odnowić, głównie w środku. Nie chciałem, żeby zwracał uwagę, więc na zewnątrz naprawiono tylko dach. Pozwoli pani, że jej pokażę.

Zszedł po schodkach, przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Potem cofnął się i odsunął na bok, by ją przepuścić.

Nie wiedziała, czego się spodziewać. Widok zaparł jej jednak dech w piersiach. Znieruchomiała i tylko rozglądała się w zachwyceniu. Sześć okien wysoko nad jej głową oszklono kolorowym witrażami. Wnętrze było oświetlone pięknym wielobarwnym światłem.

Gładkie kamienne ściany pełne były zagłębień jeszcze z czasów, gdy mieszkały tu

setki ptaków. Wnęki wyczyszczono i umieszczono w nich świece w lichtarzach, książki i różne drobiazgi.

Stało tu niskie łóżko przykryte owczą skórą, proste biurko, krzesło i duży skórzany fotel. Naprzeciw wejścia znajdował się kominek, w którym przygotowano drwa do rozpalenia. Koło paleniska stała skrzynia pełna szczap drewna i pogrzebacz.

Wyjątkowo zaciszna samotnia, skąpana w magicznym wielobarwnym świetle wpadającym przez okna.

Odwróciła się, by spojrzeć na księcia. Stał przy drzwiach z kapeluszem w ręce i przyglądał się jej żarliwie. Okropna chwila prawdy. Wołałaby jej uniknąć. Teraz nie miała już wątpliwości, że darzy księcia Bewcastle'a głębokim uczuciem.

Było już za późno, by zapanować nad tym uczuciem.

Podszedł do niej, zanim zdołała wykrztusić choćby słowo. Minął ją i przykucnął przy kominku, by podłożyć ogień pod przygotowane drewno. Płomień buchnął niemal natychmiast. Christine zdjęła kapturek i rękawiczki, mimo że w gołębniku było zimno. Wątpiła zresztą, czy ogrzanie tak wysokiego pomieszczenia jest w ogóle możliwe.

- Po co? - spytała. - Lindsey Hall jest pana domem, ma pan też wiele posiadłości w całej Anglii. Po co to miejsce?

Znała odpowiedź. Miała wrażenie, że przeżyła tę chwilę już wcześniej, i wiedziała, co on za chwilę powie. Ogarnął ją dziwny lęk, jakby lada moment miała spaść na nią lawina albo porwać wiatr.

- W przestrzeni można się zagubić - rzekł. - Czasem zapominam, że nie jestem tylko księciem Bewcastle'em.

Christine przełknęła z wysiłkiem.

- Tutaj pamiętam - ciągnął. - A jednak nie byłem tu przez cały rok. Dziwne. Dopiero w zeszłym tygodniu, gdy przyszło mi do głowy, że powinienem panią tu przyprowadzić.

Zrozumiała, że właśnie o to od początku zabiegał. O spotkanie w tej małej samotni na uboczu jego wielkiego majątku. Wnętrze było czyste i wygodne, a jednak nikt poza nim tu nie przychodził. Sam tu posprzątał i przygotował drewno na rozpałkę.

Rozejrzała się i wybrała drewniane krzesło przy biurku. Usiadła, przytrzymując poły pelisy.

- O czym pan pamięta w tym miejscu? - spytała.

- Że jestem też Wulfrikiem Bedwynem - odparł.

Miała wrażenie, że zwała się na nią lawina.

Tak, oczywiście. W ciągu tych kilku dni w Lindsey Hall Christine odkryła, że za

groźną maską księcia Bewcastle'a kryje się żywy człowiek. Mężczyzna. Ten mężczyzna i księżę byli jedną i tą samą osobą. Ani przez chwilę nie myślała, że udaje i odgrywa dwie różne role. Nie była jednak pewna, czy chce poznać tego mężczyznę bliżej. Jej życie od niemal trzech lat znów toczyło się spokojnym torem. Ale przecież dzięki niemu odzyskała Hermione i Basila.

Poczuła ból, gdy usłyszała jego słowa: „Jestem też Wulfrikiem Bedwynem”.

- Niech mi pan opowie o sobie - poprosiła. Omal nie powiedziała „o nim”, jakby Wulfric Bedwyn był rzeczywiście kimś innym niż stojący przy kominku księżę, władczy, surowy i powściągliwy. - Nie, źle sformułowałam pytanie. Przy odpowiedzi na nie od razu zawiązuje się język. Niech mi pan opowie o swoim dzieciństwie.

Jeśli miała go poznać, choć nadal się przed tym broniła, powinna zacząć od jego dzieciństwa. Wprost niemożliwa wydawała się myśl, że był kiedyś dzieckiem, małym chłopcem. A przecież musiał nim być.

- Proszę się przesiąść na fotel - powiedział i przykrył jej kolana owczą skórą ściągniętą z łóżka. Sam przycupnął na brzegu biurka, opierając się jedną nogą o ziemię, a drugą kołysząc swobodnie. Zdjął płaszcz i przerzucił go przez krzesło przy biurku. Niebieskie i różowe światło kładło się na nim kolorowymi plamami.

- Jaki pan był? - spytała.

- Niespokojny i pełen energii - odparł. - Chciałem podróżować po świecie. Dotrzeć do granicy Stanów Zjednoczonych i po - żeglować Pacyfikiem do Chin. Zbadać tajemnice Afryki i poznać urok Dalekiego Wschodu. Zostać piratem albo Robin Hoodem. Albo walczyć z piratami. Gdy trochę podrosłem, to znaczy w wieku lat dziewięciu czy dziesięciu, chciałem zostać kapitanem okrętu, a potem admirałem całej floty. Albo oficerem, a potem wodzem brytyjskich armii i prowadzić je do spektakularnych zwycięstw. Czekając, aż dorosnę do tego wspaniałego życia, wyprawiałem najdziksze swawole w domu i w parku. Stałem się postrachem ogrodników, stajennych i służących. Wielkim wyzwaniem dla ojca i utrapieniem dla matki.

Wstał i podszedł do kominka. Czubkiem buta poprawił polano, żeby się lepiej paliło.

- Aidan i ja uknuliśmy kiedyś spisek - ciągnął. - Byliśmy wtedy jeszcze bardzo mali. Uzgodniliśmy, że zamienimy się ubraniami i imionami. Nasz ojciec nigdy się nie zorientuje. Aidan zostanie w domu i któregoś dnia odziedziczy tytuł księcia, a ja popłynę przez siedem mórz, chwytając w żagle każdą przygodę.

Christine milczała, zdumiona i zafascynowana. Wpatrywał się w ogień i we własną przeszłość. Po minucie czy dwóch spojrział na nią przez ramię i wrócił do rzeczywistości.

- Niestety, od chwili, gdy się urodziłem, byłem skazany na tytuł księcia i wszystkie obowiązki i ciężary, które się z nim wiążą - powiedział. - Aidan od chwili swoich narodzin był przeznaczony do wojska. Marzyliśmy, by zamienić się miejscami, ale oczywiście było to niemożliwe. W końcu zawiodłem go i zdradziłem.

Christine poczuła nagły chłód mimo okrywającego ją kozucha.

- Aidan nie chciał przeznaczonej mu kariery - podjął opowieść. - Był dobrym, spokojnym chłopcem. Chodził za ojcem jak cień, gdy ten odwiedzał folwarki i spędzał wiele czasu z rządcą. Błagał ojca o zlitowanie i prosił matkę, by się za nim wstawiła. Chciał żyć spokojnie na wsi, uprawiać ziemię i zarządzać majątkiem. Nie wiem, dlaczego jakimś strasznym zrzędzeniem losu on urodził się drugi, a ja pierwszy. Po śmierci ojca mogłem podarować mu wolność. Miałem tylko siedemnaście lat, on piętnaście. Wyjechał na kilka lat do szkoły, a po powrocie z entuzjazmem zajął się sprawą mi majątku. Doskonale znał folwarki wokół Lindsey Hall i wiedział, jak nimi zarządzać. Miał lepsze wyczucie ode mnie. Dawał mi naprawdę dobre rady. Chciał, bym wysłał na emeryturę naszego dotychczasowego rządcę, który zrobił się już trochę za stary do pracy, i pozwolił jemu objąć tę posiadłość. Zwracał mi uwagę, co można zrobić lepiej i pokazywał popełnione błędy. Miał dobre intencje. Kochał to miejsce, znał je lepiej ode mnie i był moim bratem. A ja kupiłem mu patent oficerski i wezwałem go do biblioteki, by mu go wręczyć. Nie miał wyboru, musiał mi się podporządkować. Już w bardzo młodym wieku jako książę Bewcastle miałem wielką władzę. I skorzystałem z niej bez wahania. Tak jest do dzisiaj.

- I nigdy pan sobie nie wybaczył - nie musiała pytać. - Mimo że zrobił pan to, co należało.

- Tak - przyznał. - Musiałem wybrać między rolą księcia Bewcastle'a i brata. Wobec chłopca, którego kochałem całym sercem. Wtedy po raz pierwszy stanąłem przed dylematem i musiałem dokonać wyboru. Podjąłem decyzję nie jak brat, tylko jak książę. Od tamtej pory nieustannie wybieram w ten sam sposób. I tak pewnie będzie aż do śmierci. Jestem przecież arystokratą i mam obowiązki wobec setek, być może tysięcy ludzi. Nie wolno mi ich z siebie ot tak zrzucić. Nie mogę więc zapewnić pani, że się zmienię, by spełnić pani marzenia. Twierdzi pani, że jestem zimny, pełen rezerwy i surowy. To prawda. Ale nie cała.

- Tak - rzuciła. Nie wiedziała jednak, czy jakiś dźwięk wydobył się z jej ust.

Stał przed kominkiem w lekkim rozkroku, z rękami założonymi na plecy i z wyniosłą miną, tak sprzeczną z jego słowami. Choć może nie. Wybrał rolę księcia Bewcastle'a i to ona zdominowała jego życie.

- Nie mogę pani ofiarować tego, kim nie jestem - dodał. - Mogę mieć tylko nadzieję,

że zobaczy pani też we mnie człowieka o złożonym charakterze. Kilka dni temu zarzuciła mi pani, że noszę maskę. Myliła się pani. Noszę płaszcz księcia Bewcastle'a i zakrywam nim Wulfrica Bedwyna, ale i jeden, i drugi to ja. Nie przestaję być mężczyzną, mimo że w swym życiu na pierwszym miejscu stawiam obowiązek. Zastanawiała się też pani, czy jestem bezdusznym arystokratą do szpiku kości. Nie jestem. Gdybym był, czy zachwyciłbym się panią i nie mógł się uwolnić od wspomnień o niej? Nie jest pani kobietą, na którą książe Bewcastle w ogóle zwróciłby uwagę, a cóż dopiero zaczął się starać o jej względy.

Christine siedziała nieruchomo.

- Przepraszam, pozwoliłem sobie na dygresję - rzekł. - Miałem radosne, szczęśliwe dzieciństwo. Rodzice byli dla mnie dobrzy, choć jako nastolatek uważałem, że ojciec mnie nie kocha.

- Co się stało? - spytała.

Wydała mu się zachwycająca. Nie mógł się uwolnić od wspomnień o niej. Nie mógł się uwolnić?

- Gdy skończyłem dwanaście lat, ojciec miał atak serca - wyjaśnił. - Przeżył, ale dla niego był to sygnał, że serce może odmówić mu posłuszeństwa w każdej chwili. Był jednym z najbogatszych, najpotężniejszych ludzi w Wielkiej Brytanii. Posiadał ogromny majątek. Miał ogromne przywileje, ale też obowiązki. A jego najstarszy syn i dziedzic był szalonym, zbuntowanym dzikusiem.

Niewiarygodne, że mówił o sobie.

- Pozostałem w Lindsey Hall, lecz zostałem niemal całkowicie odseparowany od rodzeństwa - ciągnął. - Oddano mnie pod opiekę dwóch guwernerów. Nieczęsto widywałem ojca, rzadko matkę. Aidan, Rannulf, w końcu i Alleyne wyjechali do szkół, czego ja też bardzo pragnąłem. Prawie nigdy ich nie widywałem, nawet gdy przyjeżdżali do domu na wakacje. Przebywałem w ścisłej izolacji. Walczyłem, buntowałem się, awanturowałem i dąsałem. I uczyłem się. Miałem pięć lat, by nauczyć się wszystkiego, czego będę potrzebował przez resztę życia. Oczywiście nikt nie wiedział, czy będzie mi dane aż pięć lat. Mógł być tylko rok albo jeszcze krócej. Ojciec zmarł, gdy miałem siedemnaście lat. Na łożu śmierci pocałował mnie i powiedział, że miłość czasem rani, ale nie przestaje być miłością. On nie miał wyboru. Byłem jego synem i kochał mnie, lecz jako jego dziedzic musiałem się nauczyć, jak zająć jego miejsce.

Christine nagle zrozumiała, że książe nigdy nikomu nie opowiedział tej historii. Tak jak ona tylko jemu opisała okoliczności śmierci Oscara. Ta świadomość niezmiernie ją przeraziła. Łzy napłynęły jej do oczu. On otwierał przed nią serce. Ponieważ... ponieważ

wydała mu się zachwycająca i nie mógł się uwolnić od wspomnień o niej. Właśnie po to zaprosił ją do Lindsey Hall, przyprowadził tu, do gołębnika, do swego ustronia. I prosił, by zechciała dać mu szansę.

Zrozumiała, że jest w nim śmiertelnie zakochana. A jednak...

A jednak nie wierzyła już w długie, szczęśliwe życie jak w bajce. Nie była już młodą dziewczyną jak dziesięć lat temu, gdy rzuciła się na oślepa w związek, którego pewnie by unikała, gdyby zdążyła poznać Oscara lepiej. Kochała męża do końca, ale w głębi serca wiedziała, że jest słabym człowiekiem. Ich związek nie dorósł do jej marzeń o wielkiej, namiętnej miłości na całe życie.

Teraz była mądrzejsza i znacznie bardziej ostrożna. Doskonale zdawała sobie sprawę, że po oświadczeniach i ich przyjęciu nie będzie bajki i długiego, szczęśliwego życia. A jednak...

A jednak książe był mężczyzną, którego wbrew uprzedzeniom polubiła. Którego wbrew sobie zaczynała podziwiać. Jak nie podziwiać człowieka, który tak cenił honor i obowiązek? Który ponad osobiste szczęście przedkładał obowiązek wobec setek, może nawet tysięcy poddanych? Jego ojciec zadbał, by przymusowa, często twarda edukacja nie złamała jego ducha, by książe pozostał człowiekiem. Po śmierci ojca mógł przekreślić wszystko, co mu wpojono. Mógł stać się szalonym, ekstrawaganckim młodzieńcem jak wielu mężczyzn w podobnej sytuacji. Był na tyle bogaty i potężny, że uszłoby mu to płazem.

A jednak wytrwał. W wieku siedemnastu lat przywdział płaszcz księcia Bewcastle'a i nosił go dzielnie, ze stoickim spokojem, przez całe życie.

Jak mogłaby go nie podziwiać? Dobry Boże, jak mogłaby go nie kochać?

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję - rzekła. - Zdaję sobie sprawę, że pan jest bardzo skryty. Tym bardziej jestem mu wdzięczna, że pokazał mi to czarowne miejsce i opowiedział o sobie.

Patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem, groźny i surowy jak zawsze.

- Marzyłem niemal od roku, by zobaczyć panią w tym miejscu - odezwał się. - Tu, gdzie pani teraz siedzi. Nie będę pani o nic dzisiaj prosił. Jeszcze za wcześnie. Powiem tylko jedno. Nie przyszedłem tu z panią, by ją uwieść. Ale bardzo pani pragnę. Chciałbym być z panią blisko. Tutaj, w tym łóżku. Móc bez zahamowań wyrazić, co do pani czuję. I doświadczyć tego, co, być może, pani czuje do mnie. Bez przymusu i zobowiązań. Chyba że będą konsekwencje, choć kiedyś twierdziła pani, że są niemożliwe. Christine, czy będziesz się ze mną kochać? Ach, jednak poprosiłem.

Oniemiała. Przez głowę przelatywały jej dziesiątki myśli. Drzenie ogarnęło całe jej

ciało. Poczła nagle pożądanie, ostry ból przeszył jej łono i spłynął między uda. Zabrakło jej tchu. Tutaj? Teraz? Znow? Wspomnienia tamtego wieczoru nad jeziorem w Schofield powróciły szeroką falą. Odpowiedziała tak jak wtedy.

- Dobrze.

Podszedł do niej i wyciągnął rękę. Odsunęła owczą skórę na bok i podała mu dłoń. Uniósł ją do ust.

Wulfric podniósł owczą skórę, rozesał ją na łóżku i odwinął róg prześcieradła. Potem odwrócił się do Christine. Stała tam gdzie przedtem, zdjęła tylko pelisę i rzuciła ją na oparcie fotela.

Miała na sobie żółtą wełnianą suknię z wysokim stanem, niewielkim dekoltem i długimi rękawami. Prosta i bez żadnych ozdób. Światło z okna pomalowało ją z jednej strony na pomarańczowo. Wyglądała zachwycająco.

- Podejdz bliżej ognia - powiedział. Podeszedł do niej, oparł dłoń na jej plecach i poprowadził do kominka, by czuli ciepło bijące od płomieni. Nie chciał, by to zbliżenie stało się tylko upustem fizycznego pożądania, tak jak ostatnim razem. Pragnął się z nią kochać.

Nie od razu ją pocałował. Ujął jej twarz w dłonie i kciukami obrysował brwi. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Różowe i liliowe światło z okien ponad ich głowami barwiło jej policzki. Miała piękne usta. Gładkie, miękkie wargi i uniesione w górę kąciaki. Zanurzył palce w jej miękkich włosach. Loki wracały na miejsce, jak tylko przesunął dłoń dalej. Śliczne.

Przesunął dłońmi po jej ramionach, aż na plecy, ku rzędowi guziczków. Rozpiął je po kolei i zsunął brzegi sukni do przodu i w dół, aż do talii. Suknia opadła pod własnym ciężarem na podłogę. Christine nie nosiła gorsetu. Nie musiała. Miała wyjątkowo piękną figurę. Od piersi do kolan okrywała ją tylko prosta, cienka koszulka.

Cofnął się o krok i ukląkł na jedno kolano. Zdjął jej buty, potem podwiązki, zrolował i zdjął jej pończochy.

Pocałował jej stopę, postawił na podłodze i musnął ustami kolano.

Wstał. Jeszcze go nie dotknęła. Poznał jednak po jej rozchylnych ustach i w półprzymkniętych powiekach, że pragnie tego tak samo jak on.

Przycisnął usta do jej ramienia i polizał ciepłe, gładkie, słone - we ciało. Zadrzała mimo ciepła bijącego od kominka. Opuścił ramiączko koszulki i odsłonił pierś. Ujął ją dłonią i przesunął ustami w dół, aż dotarł do jej czubka. Doskonała. Pełna i miękka, jędrna i gładka. Rozchylił usta nad sutkiem, nabrał powietrza i wypuścił je powoli. Zaczął ssać. Dopiero teraz go dotknęła. Zaplątała mu palce we włosach i pochyliła się, by przytulić do nich twarz. Jęknęła cicho i gardłowo.

Pomyślał, że choć już raz obcował z nią cieleśnie, nigdy nie widział jej nagiej. Teraz chciał ją zobaczyć. Kochać się z nią tak, by nie było między nimi żadnych barier.

Pragnienie, pożądanie i tęsknota pulsowały w nim w rytm uderzeń serca. Czuł ciepło ognia na lewym boku.

Podniósł ku niej twarz. Cofnęła ręce.

- Połóż się - poprosił.

Rozebrał ją potem do końca. Smuga różowego światła kładła się na jej piersiach i przechodziła w czerwień na biodrze i udach. Miał ochotę stać i po prostu patrzeć na nią, nie chciał jednak, by zmarzła. Przykrył ją prześcieradłem i owczą skórą. Usiadł na brzegu łóżka, by ściągnąć buty. Potem wstał i zdjął resztę ubrania. Nagi wsunął się pod okrycie i położył obok niej.

Była przyjemnie ciepła. Odwrócił się do niej, dobrze okrył ich oboje i przysunął się bliżej.

Starał się ją rozbudzić, przywołując całe swoje doświadczenie. Cierpliwie pieścił ją dłońmi, ustami i językiem. Cały czas płonął pożądaniem i czekał na chwilę, gdy znów się w niej znajdzie i podda ogarniającej go namiętności.

Nie pozostała bierna. Przesuwała po nim dłońmi, z początku niepewnie, potem z rosnącą śmiałością. Czuł ogień rozpalający jej ciało, słyszał coraz bardziej zdyszany oddech.

Kusiło go, by obrócić się i opaść na nią, chwycić ją za biodra, rozsunąć jej nogi, wejść w nią jednym szybkim ruchem i doprowadzić oboje do szczytu.

Ale przecież chciał się z nią kochać.

Uniósł głowę i spojrzał jej w twarz.

- Christine - wyszeptał i po raz pierwszy ją pocałował, lekko muskając rozchylonymi ustami jej wargi.

Szerzej otworzyła oczy.

- Och - westchnęła.

- Christine, jesteś taka piękna - powiedział.

Pocałował ją namiętnie.

Nagle ogarnęła ich gorączka. Przyłgął do niej całym ciałem. Otworzyła się przed nim zapraszająco, szeroko rozsunęła nogi i za chwilę go nimi oplotła. Ujął ją za biodra i z radością wszedł w nią powolnym, mocnym ruchem. Uniosła się ku niemu, objęła go i mocno się wokół niego zacisnęła.

Przeniósł ciężar ciała na łokcie i uniósł głowę, by znów zajrzeć jej w twarz. Uśmiechnęła się do niego z rozmarzeniem.

- Wulfric - szepnęła. - Jakie poważne i groźne imię dla potężnego i groźnego mężczyzny - zaśmiała się cicho i rozkosznie.

Pochylił głowę, pocałował ją za uchem i wydał z siebie pomruk jak wilk. Zaśmiała się, mocniej oplótła go nogami i zacisnęła się wokół niego.

Kochał ją powoli i długo w otulającym ich ciepłym kokonie. Ogień trzaskał w kominku, czerwone, różowe i liliowe światło tańczyło kolorowymi refleksami we wnętrzu. Kochał ją, aż obojgu zaczęło brakować tchu, aż przyłgnęli do siebie rozpaleni i lśniący od potu. Aż każdy jego ruch witała jękiem i uniesieniem bioder.

Dopiero wtedy szybkimi, mocnymi uderzeniami doprowadził ich oboje do spełnienia.

- Wulfricu - zaprotestowała sennie, gdy zsunął się z niej i opadł obok na łóżko. Przez chwilę czuł chłód, ale zaraz dobrze przykrył ich oboje.

Obrócił się na bok i spod współprzymkniętych powiek przyglądał się jej twarzy, zabarwionej kolorowym światłem, skrytej częściowo w cieniu i rozsypanym lokom.

Tak jak właśnie wspomniała, rzeczywiście był potężnym i groźnym mężczyzną. Na pozór miał wszystko, czego mógłby chcieć od życia. A jednak pragnął czegoś więcej. Nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie mu to dane. Nie poprosi dzisiaj. Może nawet nie jutro czy pojutrze.

Bał się ją poprosić.

Obawiał się, że odpowiedź, którą od niej usłyszy, będzie brzmiała: nie. Wówczas już nigdy nie będzie mógł poprosić.

Musi poczekać.

Pragnął jej miłości.

Gdy wychodzili z gołębnika, chmury już odpłynęły i świeciło słońce. Wiatr jednak nadal był ostry, a powietrze chłodne.

Wracali do domu tak samo jak wtedy w Schofield. Nie dotykali się i nie rozmawiali. Tym razem jednak cisza i wzajemna bliskość były przyjemne. Wiedzieli, że przeżyli coś cudownego i głębokiego. Ze złączyli się nie tylko ciałem, ale i duszą.

Christine nadal czuła się rozedrgana i bezbronna. Była zakochana. A jednocześnie próbowała samą siebie przekonać, że zakochanie i miłość to dwie różne rzeczy, więc powinna zachować rozsądek. Odczuła ulgę, gdy nie zadał jej pytania, którego tak się obawiała. Miała nadzieję, że nigdy go nie zada. Przenigdy. Bo gdyby je zadał, musiałaby odpowiedzieć, a szczerze mówiąc nie wiedziała co.

Zdawała sobie sprawę, co powinna powiedzieć, ale czy właśnie tak by odpowiedziała?

A jeśli on nigdy nie zapyta? Jakże ona to zniesie?

Raz już poprosił ją o rękę. Odpowiedziała: nie. On się z pewnością nie upokorzy drugi raz i nie zapyta ponownie.

Po co więc ta wizyta w Lindsey Hall? I całe to dzisiejsze popołudnie?

Zwrócił się do niej po imieniu. Absurdalne, że zapamiętała to jako najcudowniejszy, najbardziej wzruszający moment. „Christine” wypowiedziane tym jego arystokratycznym tonem. Szeptał je raz po raz. A gdy odezwała się do niego „Wulfric”, wydał z siebie pomruk jak wilk.

Obróciła głowę, by na niego zerknąć i zauważyła, że na nią patrzy. Szybko uciekła spojrzeniem.

- Co? - spytał. - Czyżby tak łatwo udało mi się dzisiaj wygrać?

Czuła, że się rumieni.

- Muszę patrzeć przed siebie - odparła. - Tyle tu drzew, że jeśli nie będę uważać, zaraz na któreś wpadnę.

Przypomniała sobie, że to ona zainicjowała ich drugie zbliżenie w gołębniku. Jeszcze bardziej się zarumieniła. Obudziła się z rozkosznym wrażeniem ciepła i bezpieczeństwa. Obróciła głowę na poduszce i zauważyła, że on wpatruje się w nią tymi swoimi srebrzystymi oczami. Uniosła się na łokciu, pochyliła nad nim i pocałowała rozchyłonymi ustami. A gdy położył się na plecy i pociągnął ją do siebie, wsunęła się na jego ciepłe, nagie, pięknie umięśnione ciało i zaczęła się o niego ocierać w wyraźnym zaproszeniu, którego nie omieszkał przyjąć.

Nigdy dotąd czegoś takiego nie zrobiła.

Kochanie się z księciem Bewcastle'em, to znaczy z Wulfrikiem, było najbardziej ekscytującym i radosnym doświadczeniem w całym jej życiu.

Nie powinna jednak mylić zakochania czy nawet kochania się z nim z miłością.

Wracali inną drogą. Wyszli spośród drzew nad sam brzeg jeziora, od strony najbardziej oddalonej od domu. Niedaleko zobaczyli grupę gości i domowników, dorosłych i dzieci, najwyraźniej zajętych zabawą w chowanego.

Pamela pierwsza zauważyła Christine i podbiegła do niej razem z Becky.

- Kuzynko Christine! - pisnęła. - Pływaliśmy łódką, a ja robiłam ręką fale w wodzie. Philip chciał powiosłować, ale papa Becky powiedział, że nie dzisiaj, bo woda jest wzburzona. Laura zwymiotowała za burtę. I wysiedliśmy na wyspie, a Laura nie chciała wsiąść z powrotem. Ale papa Becky powiedział, że jak będzie patrzeć na horyzont, to się nie pochoruje. I tak było. A ja się wcale nie pochorowałam, choć Phillip mówił, że zwymiotuję, bo zawsze tak jest, gdy jadę powozem.

Christine się roześmiała.

- Jak ciekawie spędziliście popołudnie - rzuciła.

Becky podeszła do księcia, wzięła go za rękę i zaczęła za nią ciągnąć.

- Wujku Wulfie, chcemy z Pamelą pobawić się w szkołę - powiedziała. - Ale w pokoju dzieciennym jest tyle maluchów, że nie możemy. Pożyczysz nam swoją bibliotekę, gdy wrócimy do domu?

- Jeśli obiecacie, że nie wyniesiecie jej z domu - odparł.

Zachwycone dziewczynki wybuchnęły śmiechem.

- No co ty, wujku! - zawołała Becky. - Przecież my nie chcemy jej nigdzie zabierać, tylko się w niej bawić.

- Aha - westchnął. - W takim razie możecie.

Zabawa w chowanego dobiegła końca. Dorośli i dzieci zebrali się nad brzegiem jeziora. Dziewczynki pociągnęły Christine i księcia do reszty towarzystwa.

- Właśnie mówiliśmy dzieciom, że pływanie było dozwolone tam dalej, a tutaj absolutnie zakazane - odezwał się lord Rannulf.

- Ponieważ moglibyśmy ulec pokusie, żeby skakać do wody z gałęzi drzew - dodał lord Alleyne.

- Ależ to by była świetna zabawa - zawołał Davy. - Wujku Aidanie, założę się, że potrafiłbym skoczyć z tej gałęzi.

- Chłopcze, to absolutnie zabronione! - odparł lord Aidan.

- Davy, to się wydaje dosyć niebezpieczne - powiedziała równocześnie jego żona.

- Davy, to zawsze było zabronione - wtrącił się lord Rannulf. - Straszna szkoda.

- Nigdy was to jednak nie powstrzymało - odezwał się książę Bewcastle. - Nikogo, a zwłaszcza Freyi. Nawet Morgan.

Melanie roześmiała się głośno. Rodzeństwo Bedwynów jak jeden mąż spojrzało ze zdumieniem na najstarszego brata.

- Wulf, więc ty wiedziałeś? - spytał lord Alleyne. - A myśmy myśleli, że jesteśmy tacy sprytni.

- Gdy ja próbowałam skoczyć pierwszy raz, Kit wszedł do wody i obiecał, że mnie złapie - powiedziała lady Rosthorn. - O ile dobrze pamiętam, miałam wtedy z osiem lat i prędzej bym umarła, niż pozwoliła, żeby uznał mnie za tchórza. Byłam w nim rozpaczliwie zakochana.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Lord Rosthorn objął żonę ramieniem.

- Ja mam właśnie osiem lat - zawołała Becky. - Papo, ja chcę spróbować, jak się robi ciepłej.

- No i widzicie, co żeście narobili, tak wygadując przy dzieciach - powiedziała żona

lorda Aidana z rozdrażnieniem.

- To Wulf zaczął - zauważyła lady Hallmere. - Wulf, skąd wiedziałeś, że kiedyś tu skakaliśmy do wody?

- Bo sam to robiłem jako dziecko - odparł. - Skakaliśmy tu obaj z Aidanem. Nie zabieraliśmy Ralfa, bo baliśmy się, że rozbije sobie głowę o kamień czy korzeń drzewa. Dostalibyśmy wtedy po tyłku.

Dzieci wybuchnęły śmiechem.

- Wujek Wulf powiedział „tyłek” - zawołał William i znów rozległy się wybuchy śmiechu.

- Wulfric nurkował? - wtrącił się lord Hallmere z szerokim uśmiechem. - I to wbrew zakazom? Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

- Ja też nie - dodał lord Rannulf szyderczo. - Nigdy bym nie pozwolił, żebyście poszli beze mnie.

Książę Bewcastle uniósł monokl do oka.

- Czy mam rozumieć, że zarzucasz mi łgarstwo? - spytał.

Tym pytaniem wywołał tylko kolejne szydercze komentarze i wybuchy śmiechu.

Becky pociągnęła księcia za rękę.

- Pokaż im, wujku - szepnęła. - Pokaż im! Spojrzał na dziewczynkę i westchnął.

- Nie ma innego wyjścia, prawda? - rzucił.

Ku ogólnemu zdumieniu zdjął kapelusz, rękawiczki i płaszcz i podał je Becky.

- A niech mnie! - zawołała lady Hallmere. - Wulf będzie nurkował. Josh, chodź tu bliżej, bo chyba zaraz zemdleję.

- Wulfricu, woda jest na pewno lodowata - ostrzegła żona lorda Aidana.

- A w powietrzu czuć chłód - dodała Melanie.

Bertie wymamrotał coś pod nosem.

Książę zdjął surdut, kamizelkę, halsztuk i monokl i oddał je Christine. Ściągnął koszulę przez głowę i położył na wierzchu stosu.

- Wulfricu, nie daj się sprowokować - zaprotestowała żona lorda Rannulfa. - To jest niebezpieczne, zrobisz sobie krzywdę.

Dzieci biegały tam i z powrotem, niemal nieprzytomne z radości.

- Muszę to zobaczyć - oznajmiła lady Rosthorn i ścisnęła rękę, którą obejmował ją mąż.

Lord Rannulf i lord Alleyne przyglądali się wszystkiemu z identycznymi uśmiechami od ucha do ucha.

Księżciu udało się zdjąć na stojąco buty. Postawił jej na trawie.

On chyba już przemarzył, pomyślała Christine. Nie mogła jednak oderwać od niego wzroku.

Zdjął pończochy i wcisnął je w buty.

Został tylko w pantalonach i bieliźnie.

Oddalił się na bosaka i wdrapał na wielki dąb, jakby robił to całe życie. Co prawda nabrał trochę wprawy parę dni temu, gdy musiał ściągnąć swój monokl.

Przeszedł wzdłuż zwieszającej się nad wodą gałęzi aż do samego końca, przytrzymując się, czego tylko mógł, by zachować równowagę. Sprawdził, czy gałąź utrzyma jego ciężar. Ugiął kilkakrotnie kolana i wyprostował ramiona. Christine domyśliła się, że on się popisuje przed zachwyconą widownią.

A potem skoczył pięknie wyprostowany, wyciągnięty jak struna. Przeciął gładko powierzchnię wody, tak że nie został nawet ślad, i zanurkował.

Zebrani westchnęli głośno, a potem zaczęli klaskać. Christine przycisnęła dłoń do serca, gdy księżę wypłynął na wierzch i otarł wodę z oczu.

- Dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że woda jest tak okropnie zimna? - zawołał.

Właśnie w tym momencie Christine nieodwołalnie i ostatecznie go pokochała.

Potem stało się coś jeszcze dziwniejszego. Lady Hallmere stanęła przed nią z groźną miną i mocno ją uściskała, gniotąc przy okazji ubranie księcia.

- Jeśli ty to sprawiłaś, będę cię kochać do końca życia - powiedziała.

I odbiegła z powrotem na brzeg, by przyglądać się wraz z resztą towarzystwa, jak księżę dopływa do brzegu, wdrapuje się na murawę i stoi, ociekając wodą jak mokra foka.

- Skakanie z tych drzew do jeziora jest nadal absolutnie zabronione - oświadczył dzieciom ze zwykłą u niego surowością, choć szczękał zębami z zimna.

- Wulf, chyba trochę przesadziłeś, co? - rzucił lord Aidan. - Jeśli chciałeś im udowodnić, że to prawda, wystarczyło poprosić mnie o potwierdzenie.

Uśmiechnął się i nagle wydał się niezwykle przystojny.

Christine pospieszyła do księcia z jego ubraniami, ale oddała je lordowi Aidanowi. Nie chciała go krępować, troszcząc się o niego jak kwoka o pisklę.

Spojrzał jej w oczy tym swoim srebrzystym spojrzeniem.

- Madame, cieszę się, że nie śmiałem się z pani tamtego dnia w Hyde Parku - powiedział. - Rozumiem teraz, jak nieprzyjemna była pani sytuacja.

Ona jednak się śmiała. Ale nie na głos, tylko oczami. On to zrobił dla niej. Była tego pewna.

Aby udowodnić jej, że jest nie tylko księciem Bewcastle'em, ale także Wulfrikiem Bedwynem.

Na bal w Lindsey Hall przybyło wielu gości z bliska i daleka. Większość okolicznych rodzin jeszcze nie wróciła do Londynu po Wielkanocy. A bale urządzone przez księcia Bewcastle'a należały do rzadkich i cenionych imprez.

Wulfric zlecił wszystkie przygotowania swemu sekretarzowi. Jego siostry i bratowe zajęły się drobiazgami, takimi jak udekorowanie domu, wybór menu na kolację i napojów. Służba zadbała o każdy szczegół. Nie zostało nic do zrobienia. A jednak w dniu balu Wulfric nie mógł się na niczym skupić, tylko raz po raz krążył między biblioteką a głównym holem i salą balową.

Goście mieli wyjechać pojutrze. Tak samo jego rodzina. Część udawała się do Londynu, część z powrotem do domów na wsi. Niech jadą. Jej też pozwoli odjechać. Tak postanowił.

Pragnął jednak, by ten wieczór był wyjątkowo piękny.

Snuł się więc niespokojnie po domu, trzymał z dala od salonu i nie chciał brać udziału w żadnych rozrywkach.

Gdy nadszedł wreszcie wieczór, zszedł na dół ubrany jak zwykle w czarno - biały strój i stanął w szeregu wraz z ciotką i wujem, by witać gości. Musiał przyznać, że sala balowa przedstawiała wspaniały widok. Ściany udekorowano koszami wiosennych kwiatów. Trzy kolumny w środku otoczono donicami z paprociami i liliami.

Christine Derrick wyglądała prześlicznie. Uśmiechnięta i promieniejąca radością minęła szereg witających i stanęła w drzwiach sali balowej. Miała na sobie białą suknię, której rąbek i krótkie bufiaste rękawki wyhaftowano w jaskry, stokrotki i trawy. Wyglądała jak wcielenie wiosny.

Wulfricowi na jej widok mocniej zabiło serce.

Gdy wychodzili z jadalni po drugim śniadaniu, poprosił ją, by zarezerwowała dla niego walca. To były niemal pierwsze słowa, które do niej wypowiedział od przedwczoraj, od chwili, gdy zanurkował w jeziorze.

Czuł się absurdalnie onieśmielony.

A może przerażony. Chciał wierzyć, że teraz wszystko między nimi się ułożyło. Ona czuje to samo co on i co ważniejsze, widzi dla nich nadzieję na wspólną przyszłość. Ale nie był tego do końca pewien. A ponieważ już od dawna nie czuł niepewności, nie bardzo wiedział, jak sobie z nią poradzić.

Pierwszą turę zatańczył z wicehrabiną Ravensberg, ubraną w fiołkową suknię w odcieniu idealnie pasującym do jej oczu. Potem tańczył ze śliczną jasnowłosą lady Muir, siostrą hrabiego Kilbourne'a. Po raz nie wiadomo który zastanawiał się, czemu nie wyszła powtórnie za męża, skoro owdowiała kilka lat temu i stanowiła wyjątkowo dobrą partię. Dziwne, że sam nigdy nie pomyślał, by starać się o jej względy. Trzecią turę wskutek machinacji ciotki zatańczył z Amy Hutchinson. Poprzedniego dnia markiza Rochester wpadła jak burza do biblioteki i wygłosiła tyradę na temat pierwszeństwa obowiązku i powinności wobec własnej rodziny. A nie wobec roześmianej od ucha do ucha córki nauczyciela, której brakuje ogłady. Wysłuchał jej bez słowa, uniósł monokl do oka i podziękował za troskę. Ciotka nie miała innego wyjścia, jak tylko podkulić ogon i zabrać się z biblioteki, zostawiając go w spokoju w jego prywatnym królestwie. Lecz najwyraźniej nie porzuciła jeszcze nadziei, że uda się jej go skojarzyć z siostrzenicą męża.

W czwartej turze miał być walc.

Christine Derrick zatańczyła wcześniejsze tury z markizem Attingsborough, Kitem i Aidanem. Zarumieniona i roześmiana nawet nie próbowała pozować na prawdziwą damę z towarzystwa, chłodną i trochę znudzoną zabawą. Wyglądała cudownie. Stała teraz po przeciwnej stronie sali z lady Elrick i księżną Portfrey.

Spotkali się wzrokiem.

Nie mógł się oprzeć pokusie. Chwycił monokl i uniósł go, po czym nieco opuścił. Nawet przez całą długość sali zobaczył, jak jej oczy zaiskrzyły się śmiechem.

Christine sięgnęła do torebki zwisającej jej z nadgarstka, wyciągnęła jakiś przedmiot owinięty czarną wstążką i uniosła go do oka. Zorientował się, że to jego monokl.

Wulfric Bedwyn, wyniosły i chłodny książę Bewcastle, na tyle się zapomniał, że wybuchnął śmiechem.

Ruszył ku niej przez środek sali. Nawet nie przyszło mu do głowy, by niepostrzeżenie obejść salę dookoła. Christine już się nie uśmiechała. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, na których dnice płonęło światło. Gdy znalazł się przy niej, zagryzła dolną wargę.

- Pani Derrick, zdaje się, że ten taniec należy do mnie - powiedział i się uklonił.

- Tak, Wasza Wysokość - odparła.

Dopiero gdy wyciągnął do niej rękę, zdał sobie sprawę, że na sali zapadła cisza. Odwrócił głowę, uniósł brwi i rozejrzał się zdumiony, by zobaczyć, co się stało. Niemal natychmiast rozległ się na powrót gwar głosów.

- Czy czegoś nie zauważyłem? - spytał.

Christine schowała monokl do torebki i podała mu rękę.

- Tak - odparła. - Nie ma tu lustro, więc nie mógł pan zobaczyć uśmiechu na swojej twarzy.

Co do diabła? Zmarszczył brwi.

- Domyślam się, że jest to zjawisko równie rzadkie jak róża w zimie - dodała ze śmiechem.

To idiotyzm, pomyślał. Kompletny idiotyzm. Ale się nie odezwał.

Przez pół godziny tańczyli razem walca i zapomnieli o świecie wokół nich. Tym razem nie było Hectora, który tańczyłby w niewłaściwym kierunku i mógłby na nich wpaść. Na długo przed pierwszą turą tańców został zaprowadzony do pokoju karcianego. Nic nie mogło zakłócić ich wspólnych chwil i odwrócić jego uwagi. Christine promieniała wewnętrznym światłem. Czuł, jakby trzymał w ramionach wcieloną radość. Nie odrywał od niej oczu i zachwycał się jej pięknem. Chłonał jej zapach i nawet nie próbował ukryć swego podziwu.

- Dziękuję - powiedział, gdy tura dobiegła końca i musiał wrócić do rzeczywistości. - Dziękuję, Christine - dodał ciszej.

Wzywały go obowiązki. Był gospodarzem balu. W domu pełno było gości. Pół godziny osobistej przyjemności właśnie się skończyło.

Christine nigdy w życiu nie czuła się tak przybita. Oczywiście w chwilach przygnębienia zawsze ma się takie wrażenie. A jednak nie potrafiła się od niego uwolnić.

Chciał jej coś udowodnić. Po to ją tutaj zaprosił. I udało mu się. Na tym koniec.

W zeszłym roku miała swoją szansę. Odrzuciła ją stanowczo i z pogardą. On nie poprosi jej jeszcze raz o rękę. Oczywiście, że nie. Jest przecież księciem Bewcastle'em.

A jeszcze na dodatek padał deszcz. Nie na tyle rzęsy, by uniemożliwić podróż i zatrzymać wszystkich dzień dłużej w Lindsey Hall. Dzięki Bogu, że nie padało aż tak. Ale świat wydawał się szary i ponury, a krajobraz za oknami zamazywał się w kroplach deszczu.

Christine po raz ostatni rozejrzała się po ślicznym pokoju, w którym gościła. Jej sakwojaż został już zniesiony na dół i zapakowany do powozu.

Zaledwie dwa wieczory temu była najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Uśmiechnął się do niej, gdy spojrzała na niego przez jego własny monokl. Trzymała teraz to szkiełko w kieszeni pelisy, zawinięte dla bezpieczeństwa w chusteczkę księcia. Uśmiechnął się i miała wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi. A potem tańczył z nią walca i przez cały czas pożerał ją wzrokiem. Była pewna, że na dnie jego oczu widzi uśmiech. Ich srebro nagle wydało się jej ciepłe i pełne światła. Gdy tańczyli, miała wrażenie, jakby unosiła się nad

ziemią.

Znikły wszystkie wątpliwości, wszelkie bariery przestały istnieć.

A potem walc się skończył. On od tamtej pory prawie się do niej nie odzywał.

Christine przez cały wczorajszy dzień bawiła się z resztą gości. Książę pozostał w bibliotece i tylko Bertie, Basil, Hector i lord Weston dostąpili zaszczytu przekroczenia progów tego świętego przybytku.

A teraz odjeżdżała. Oba powozy Bertiego stały już na tarasie. Dzieci i ich niania właśnie wsiadały do drugiego. Melanie i Bertie pewnie czekali na nią w holu.

Odetchnęła głęboko, przykleiła uśmiech do twarzy i wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie.

W holu na dole zebrał się spory tłum.

- O jesteś, Christine - powiedziała Melanie.

Zaczęły się uściski i pożegnania. Wyjeżdżali pierwsi, reszta dopiero pójdzie za ich przykładem. Hermione płakała, a Christine też była bliska łez. Z determinacją uśmiechnęła się jeszcze promiennie.

Melanie i Bertie wybiegli do powozu.

- Pani Derrick - usłyszała głos księcia. - Pozwoli pani, że przytrzymam nad nią parasol, żeby pani nie przemokła.

Z wysiłkiem wykrzesła wesoły błysk w oku.

- Dziękuję - odparła.

Gdy przekroczyli próg, rozpiął nad nimi wielki czarny parasol. Pochyliła głowę i próbowała przyspieszyć kroku, ale przytrzymał ją mocno za łokieć.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

- Ten deszcz sprawił, że zapomniałam o dobrych manierach - powiedziała. - Wasza Wysokość, nie podziękowałam panu za gościnę. To było naprawdę wspaniałe przyjęcie.

- Pani Derrick - szepnął książę - chciałbym zadać pani pewne pytanie, jednak grzeczność nakazuje, bym najpierw zamienił słowo z pani matką. Nie zrobiłem tego zeszłego lata. Czy mogę z nią pomówić? I dopiero potem spotkać się z panią? Jeśli wolałaby pani, żebym tego nie robił, nie będę pań kłopotał.

Parasol dawał namiastkę odosobnienia i prywatności. Deszcz bębnił w materiał i zagłuszał ich rozmowę. Spojrzała mu w oczy i nagle jej przygnębienie znikło. Ogarnęło ją promienne szczęście.

- Tak - odparła bez tchu. - Proszę odwiedzić moją matkę. Poczuj się zaszczycona. Proszę do mnie przyjechać. Będę...

- Tak, Christine? - ponaglił cicho.

- Będę na pana czekała - rzuciła i wbiegła po schodkach do powozu, nie czekając, by pomógł jej wsiąść.

Dopiero wtedy łzy napłynęły jej do oczu i rozmyły kontury osób i przedmiotów. Ze wszystkich sił starała się je powstrzymać, by nie spłynęły na policzki.

Drzwiczki zamknęły się z cichym trzaskiem. Powóz szarpnął i ruszył. Melanie poklepała ją po ręce.

- Tak mi przykro, Christine - powiedziała. - Miałam nadzieję, że na balu coś się rozstrzygnie. Wszyscy spodziewali się jakiejś deklaracji. To zarozumiały, niemiły człowiek, prawda? Znajdziemy ci kogoś innego. To nie będzie trudne. Zdumiewające, jak podobasz się mężczyznom.

Nic się nie rozstrzygnęło, niczego nie ogłoszono na balu. Bo jej matka, Eleanor, Hazel i Charles byli nieobecni. A on czuł, że powinien przestrzegać zasad etykiety i najpierw pomówić z jej matką i resztą rodziny.

Nie była w nim zakochana. Wcale nie.

Kochała go całym sercem.

Wulfric domyślał się, że Christine nie uprzedziła swojej rodziny, iż mają się go spodziewać. Siedział w salonie w Hyacinth Cottage i z mozołem prowadził konwersację. Widział wyraźnie, że pani Thompson i pani Lofter są przerażone. Ta ostatnia przyszła z wizytą chwilę po nim i na jego widok omal nie zawróciła w drzwiach. Nie zdołała jednak w porę znaleźć odpowiednio grzecznej wymówki. Panna Thompson przyglądała mu się sponad okularów, których nie zdjęła ani na chwilę, choć po jego wejściu zamknęła czytaną książkę. Miała rozbawioną minę, w czym przypominała nieco swoją najmłodszą siostrę.

Od chwili, gdy Christine wyjechała z Lindsey Hall, minęło osiem dni. Oczywiście musiał przyjechać akurat tego popołudnia, gdy nie było jej w domu. Lada moment miała się jednak pojawić na podwieczorku. Pani Thompson nieustannie zerkąła na okno, jakby chciała w ten sposób przyspieszyć powrót córki.

Właściwie to dobrze, że Christine nie ma w domu. Wulfric doszedł do wniosku, że pora przerwać tę zdawkową konwersację.

- Madame, chciałbym z panią omówić pewną kwestię, jeszcze zanim wróci pani córka - zwrócił się do pani Thompson. - Bardzo dobrze, że są tu obecne również pani pozostałe córki. Zastanawiam się, czy miałyby panie coś przeciwko temu, żeby pani Derrick została księżną Bewcastle.

Pani Thompson spojrzała na niego z otwartymi ustami. Pani Lofter przycisnęła obie

dłonie do ust. Po krótkiej ciszy odezwała się panna Thompson.

- Wasza Wysokość, czy Christine spodziewa się pana wizyty? - spytała.

- Mniemam, że tak - odparł.

- W takim razie, Wasza Wysokość, jeśli to perspektywa pana przyjazdu sprawiła, że od powrotu z Hampshire Christine jest pełna energii i jeszcze chętniej się uśmiecha, będziemy zachwycone - powiedziała. - Nie dlatego, że Christine zostanie księżną Bewcastle, ale dlatego, że znów będzie szczęśliwa.

- Ależ Eleanor, przecież Christine zawsze jest szczęśliwa - zaproponowała pani Lofter.

- Doprawdy? - spytała panna Thompson, ale nie rozwinęła tematu.

- Wielki Boże - westchnęła pani Thompson. - Christine księżną. Wasza Wysokość, to bardzo uprzejme z pana strony, że nas zapytał. Choć wcale nie musiał, skoro jest księciem. Zresztą Christine ma już dość lat, by samej decydować o swoim życiu. Jaka szkoda, że jej ojciec nie dożył dzisiejszego dnia.

W holu rozległ się gwar głosów.

- Przepraszam, że spóźniłam się na podwieczorek, pani Skinner - mówiła Christine. - Czytałam panu Pottsowi. Biedacek jak zwykle zasnął już przy trzecim akapicie. Jednak gdy tylko wstałam, żeby wyjść cichutko i wrócić do domu, obudził się i przez bite pół godziny zabawiał mnie starymi dykteryjkami. Gdybym dostawała tylko szylinga za każdym razem, gdy ich słucham, byłabym bogata. Nie miałam serca mu przerywać. Sprawia mu tyle radości, gdy dziwię się i śmieję we właściwych momentach.

Śmiała się jeszcze na samo wspomnienie, kiedy weszła do salonu ubrana w stary słomkowy kapelusz i popelinową suknię w białe i zielone paski, którą Wulfric pamiętał z zeszłego roku. Wyglądała równie pięknie jak w Londynie i Lindsey Hall w swojej nowej, szykownej garderobie.

- Ojej! - Zamarła z uśmiechem na twarzy. Wulfric wstał i się uklonił.

- Pani Derrick.

- Wasza Wysokość. - Dygnęła.

Pani Thompson również wstała.

- Christine, Jego Wysokość chciałby z tobą pomówić na osobności - powiedziała. - Eleanor, Hazel, chodźcie, zostawimy ich samych.

- Madame, wolałbym wyjść z panią Derrick do ogródka przy domu - oznajmił Wulfric. To właśnie tam wszystko zepsuł w ubiegłym roku. Pragnął w tym samym miejscu spróbować to naprawić.

Wyszli na zewnątrz i wspięli się po niskich schodkach do zacisznego ogródka, który

po poprzedniej wizycie widział przez długie tygodnie w najgorszych koszmarach.

- Pani Skinner powinna była mnie uprzedzić - odezwała się Christine. - Mogłabym chociaż zadbać o swój wygląd.

- Po pierwsze, chyba nie dałaś jej dojść do słowa - odparł. - A po drugie, i tak wyglądasz cudownie.

- Och! - Tak jak poprzednim razem stanęła za ławeczką i zacisnęła dłonie na jej oparciu.

- Przede wszystkim muszę cię uprzedzić, że nigdy nie będę mężczyzną, o jakim marzysz - powiedział, zakładając ręce na plecy.

- Ależ owszem - wtrąciła szybko. - Już jesteś. Nie pamiętam, co było na tamtej liście, którą podałam w zeszłym roku, ale to nie ma znaczenia. Jesteś spełnieniem wszystkich moich marzeń, a nawet je przerastasza.

Całą starannie przygotowaną mowę diabli wzięli.

- Więc mnie przyjmiesz? - spytał.

- Nie. - Pokręciła głową i zobaczyła, że zamknął oczy. - Nie nadaję się na księżnę dla ciebie.

Otworzył oczy.

- Chyba nie zamierzasz wygadywać głupstw? - spytał. - Wiem z najlepszego źródła, a mianowicie od Freyi, że nikt z mojego rodzeństwa, ich współmałżonków, a nawet dzieci nie odezwie się do mnie do końca życia, jeśli nie złożę ci tej propozycji i nie skłonię do jej przyjęcia. A przecież nikt nie ma tak wysokich wymagań jak Bedwynowie.

- Markiza Rochester ma - powiedziała.

- Moja ciotka, jak my wszyscy, lubi stawiać na swoim - odparł. - Powzięła nedorzeczny zamiar, by skojarzyć mnie z siostrzenicą swego męża. Ale jakoś zniesie to rozczarowanie. Ona mnie uwielbia, jestem jej oczkiem w głowie. Akurat tego nikt z rodzeństwa nigdy mi nie zazdrościł.

Roześmiała się, co zresztą było jego intencją. Obeszła ławeczkę i usiadła.

- Wasza Wysokość, ja... - zaczęła.

- Dlaczego zwracasz się do mnie Wasza Wysokość? - przerwał jej. - Dlaczego, Christine?

- Bo mi się wydaje zbyt poufałe zwracać się do ciebie po imieniu - odparła.

- Nie myślałaś tak, gdy leżałaś koło mnie w gołębniku - rzucił.

Zarumieniała się, ale wytrzymała jego spojrzenie. Niewiarygodne, że właśnie z tego powodu zwrócił na nią uwagę w Schofield Park.

- Wulfricu, mam trzydzieści lat - powiedziała. - Trzy dni temu obchodziłam trzydzieste urodziny.

- Zatem przez kilka tygodni mogę udawać, że jestem tylko pięć lat starszy od ciebie - rzekł. - Ja nie skończyłem jeszcze trzydziestu sześciu.

- Och, wiesz, o co mi chodzi. Nawet gdybym nie była bezpłodna, w tym wieku miałabym już niewielkie szanse zostać matką. Ale ja jestem bezpłodna. Nie powinnam była się zgodzić, gdy pytałeś, czy możesz przyjechać. Nie myślałam jednak rozsądnie. Byłam pod wrażeniem tych cudownych dni w Lindsey Hall i...

- Christine, przestań wygadywać głupstwa. Mówiłem ci już, że mam trzech braci, którym z radością przekażę prawo do sukcesji. Poznałaś ich wszystkich. Jeśli Aidan nie doczeka się synów, tytuł może przejść na Williama. Nie planowałem, że się ożenię. W wieku dwudziestu czterech lat próbowałem zawrzeć małżeństwo z myślą o sukcesji i się nie udało. Od tamtej pory wiedziałem, że się nie ożenię, dopóki nie spotkam kobiety, którą pokocham całym sercem. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że to kiedykolwiek nastąpi. Ja nie wzbudzam w ludziach miłości.

- Twoi bracia i siostry bardzo cię kochają - zaprotestowała.

- Christine, jesteś światłem, radością i ucieleśnieniem miłości - ciągnął. - Jeśli zgodzisz się zostać moją żoną, nie będę oczekiwał, byś stała się księżną według wyobrażeń swoich czy kogokolwiek innego. Ciotka Rochester może oczywiście próbować cię zmienić. Ja jedynie będę oczekiwał, a nawet żądał, byś pozostała sobą. Jeśli komuś się nie spodoba, jaką jesteś księżną, to do diabła z nim. Ale nie obawiam się o to. Masz dar wzbudzania miłości i radości nawet w ludziach, którzy nie chcą cię kochać i dzielić z tobą radości.

Spojrzała na swoje dłonie, skrywając twarz pod rondem kapelusza.

- Zawsze będę surowym i powściągliwym arystokratą, którym tak gardzisz - rzucił. - Nie mogę być inny. Ja...

- Wiem - wtrąciła i spojrzała na niego. - Nie oczekuję, że się zmienisz. I nawet tego nie chcę. Kocham księcia Bewcastle'a takiego, jaki jest. Jest potężny, wspaniały i groźny. Zwłaszcza gdy jedną ręką chwyta łotra za gardło i napełnia go lękiem, wypowiadając zaledwie kilka słów.

W jej oczach czaił się dobrze mu znany śmiech.

- Ale zawsze będę też Wulfrikiem Bedwynem - dodał. - Który potrafi odkryć, jak wspaniale jest nurkować w jeziorze, skacząc z drzew.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Kocham Wulfrica Bedwyna - oznajmiła z rozkoszną radością w głosie.

- Naprawdę? - Podeszedł do niej, ujął jej dłonie i podniósł po kolei do ust. - Naprawdę, kochanie? Na tyle, by zaryzykować? Muszę cię ostrzec. Zgodnie z tradycją Bedwynowie często dosyć późno zakładają rodziny, jednak gdy już biorą ślub, to są bezgranicznie oddani i wierni swym współmałżonkom. Jeśli wyjdiesz za mnie, musisz się przygotować na to, że będę cię uwielbiał do końca życia.

Westchnęła.

- Chyba jakoś to zniosę, jeśli bardzo się postaram - odparła. - Pod warunkiem że mogę ci się odwzajemnić tym samym.

Roześmiała się czarująco. Odpowiedział uśmiechem.

- Dobrze. - Mocniej ścisnął jej ręce. - Dobrze. Ukląkł przed nią na trawie i znów pocałował jej dłonie.

- Christine, wyjdiesz za mnie? Pochyliła się nad nim.

- Tak - odparła. - Och, tak, tak, Wulfricu, z radością. Uniósł głowę i pocałował ją w usta.

Kościół Świętego Jerzego przy Hanover Square był tylko w połowie wypełniony, gdy pod koniec lutego odbywał się w nim ślub Audrey i sir Lewisa Wisemana. Już wtedy siedzącą w ławce Christine przepełniał lęk.

Teraz, w środku lipca, patrzyła na kościół wypełniony po brzegi niemal wszystkimi członkami arystokracji. To był jej własny ślub.

Czuła straszną treść. Obawiała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa i padnie na posadzkę w żalostnej pozycji, gdy tylko zabrzmią organy. Basil musiałby ją wtedy zaciągnąć po podłodze do ołtarza, żeby nie straciła szansy zostania księżną.

Charles asystował pastorowi, który miał udzielić ślubu. Obyło się więc bez dyskusji, który szwagier poprowadzi ją do ołtarza.

- O Boże! - westchnęła.

- Spokojnie. - Basil poklepał jej dłoń. - Wszyscy na ciebie czekają, Christine.

Właśnie, pomyślała.

Wulfric pozostawił jej wybór, gdzie ma się odbyć ich ślub. Christine wolałaby kościół w swojej wsi z Charlesem u ołtarza albo kaplicę w Lindsey Hall. Wulfric nie miał nic przeciwko temu. Tak powiedział. Ale nie, musiała w tej kwestii zachować się wspaniałomyślnie. Był przecież księciem Bewcastle'em, jednym z najpotężniejszych i najbogatszych ludzi w kraju. Na pewno miało dla niego ogromne znaczenie, by wziąć ślub z całą pompą należną jego pozycji. Zdecydowała się więc na kościół Świętego Jerzego, gdzie w sezonie odbywały się wszystkie śluby arystokracji.

Mogła zatem mieć pretensje o te przerażające chwile tylko do siebie.

Basil jeszcze raz poklepał jej dłoń i ruszyli do ołtarza. Mogła jednak poruszać nogami.

Popatrzyła wzdłuż głównej nawy aż do ołtarza.

Stał tam, ubrany w złocisto - beżowy strój i wyglądał wprost cudownie. Przez chwilę czuła się oderwana od rzeczywistości, nie dowierzając, że to dzieje się naprawdę. To niemożliwe, by on czekał na nią. Chyba tylko śni i lada moment obudzi się w szkolnej sali albo w Hyacinth Cottage.

Potem zobaczyła jego twarz. Surową, przystojną, z mocną szczęką, wąskimi wargami, wyraźnymi kośćmi policzkowymi i wydatnym, arystokratycznym nosem. Twarz księcia Bewcastle'a.

Twarz mężczyzny, którego kochała całym sercem.

Wulfrica.

Uśmiechnęła się do niego przez welon okrywający jej zielony kapturek.

Gdy podeszła bliżej, widziała już tylko jego oczy. Srebrzyste, pełne światła. Wpatrywał się w nią, nie zwracając uwagi na stojącego obok lorda Aidana i wszystkich obecnych w kościele.

Uśmiechnął się ciepło i w tym momencie przeobraził się w najpiękniejszego mężczyznę na ziemi.

Wreszcie znalazła się u jego boku i całe zdenerwowanie pierzchło. Istniał już tylko Wulfric i ona. I kapłan, który miał ich połączyć węzłem małżeńskim na resztę życia.

- Drodzy bracia i siostry - odezwał się pastor uroczystym, donośnym głosem.

Ceremonia dobiegła końca. Oboje złożyli podpisy w księdze parafialnej. Organy zagrały uroczystą pieśń, stosowną na procesję. Ruszyli do wyjścia środkową nawą, pośród rzeszy gości siedzących w ławkach.

Christine kurczowo trzymała się ramienia męża. Spojrzał na nią z miłością i współczuciem. Wiedział, że wybrała kościół Świętego Jerzego i ślub z wielką pompą ze względu na niego. Wyczuwał, że bardzo się denerwuje, po raz pierwszy stając twarzą w twarz z całym eleganckim towarzystwem.

Nie musiał się jednak o nią bać. Szła u jego boku i uśmiechała się radośnie na prawo i lewo, do swojej i jego rodziny, do znajomych, których rozpoznała w tłumie.

Gdy znaleźli się w połowie nawy, a organy zagrały szczególnie podniosłe crescendo, Christine wyciągnęła rękę i wskazała najbardziej odległy kąt kościoła. Dopiero wtedy Wulfric poczuł, na co musi być przygotowany w ich małżeństwie.

- Och, Wulfricu, popatrz - powiedziała. - Dzieci też tu są.

Rzeczywiście. Wszystkie, nawet maluchy, stały pod czujnym okiem niań, gotowych wyprowadzić je z kościoła, gdyby zaczęły hałasować.

- To ciocia Christine! - zawołał William.

- I wujek Wulf - dodał Jacques.

Christine uniosła rękę i pomachała do nich radośnie.

Wulfric zatrzymał się i czekał, aż jego żona będzie gotowa ruszyć dostojnym krokiem dalej. A ponieważ nie miał innego zajęcia, sam również pomachał do dzieci. I uśmiechnął się od ucha do ucha.

Pomyślał, że dopiero teraz, gdy skończył trzydzieści sześć lat, życie stanie się wielką przygodą. To był dzień jego urodzin.

- Chyba powinienem cię ostrzec - szepnął, gdy dotarli do drzwi. - Nie wiem, czy zauważyłaś puste pierwsze ławki. Ci, którzy tam siedzieli, czekają na nas na zewnątrz.

I rzeczywiście, stali tam wszyscy Bedwynowie wraz z małżonkami i starszymi dziećmi, uzbrojeni w płatki róż.

Dalej kłębił się tłum ciekawskich, którzy przyszedli się pogapić na ślub w wyższych sferach. Rozległy się wiwaty.

- Och, Wulfricu, jakie to ekscytujące - zawołała Christine.

Roześmiał się, chwycił ją za rękę i pobiegł do powozu. Spadł na nich deszcz różanych płatków. Christine zatrzymała się, schyliła, by zgarnąć z ziemi garść płatków, i z radosnym śmiechem rzuciła je w stronę Rannulfa, Rachel i Gervase'a.

Wsiedli do odkrytego powozu. Wulfric sięgnął po leżące na siedzeniu sakiewki z monetami i rozrzucił ich zawartość nad głowami zebranego tłumu. Lokaj w liberii wskoczył na kozioł obok stangreta, dwóch forysiów stanęło z tyłu i powóz ruszył wśród furkotu dekorujących go kolorowych wstążek i łoskotu przyczepionych doń dziurawych garnków i starych butów.

Wulfric spojrzał na żonę i ujął jej dłoń.

- Nareszcie - westchnął. - Aż do tej chwili nie wierzyłem, że czeka nas długie i szczęśliwe życie razem.

- Och, Wulfricu, nie myśl o długim i szczęśliwym życiu - powiedziała. - To takie nudne. Nie chcę, byśmy żyli jak w bajce. Chcę szczęścia, życia, kłótni i pojednań, przygody i...

Pochylił się i pocałował ją.

- Tak, tego też - dodała ze śmiechem.

Tłum przy kościele wznosił kolejny okrzyk na cześć młodej pary.

EPILOG

Był dzień trzydziestych siódmych urodzin księcia Bewcastle'a i zarazem pierwsza rocznica jego ślubu.

Wulfric nie zwykł uroczysto świętować swoich urodzin, a pierwszą rocznicę spędziliby pewnie tylko we dwoje w gołębniku.

Dom jednak był pełen gości. Przybyło ich nawet więcej niż na Wielkanoc zeszłego roku. Kolejni pojawiają się po uroczystości w kościele, która wkrótce się rozpocznie.

Uroczystości bynajmniej nie z okazji urodzin księcia czy rocznicy ślubu. Christine i Wulfric wcale nie oczekiwali, że znajdą się w centrum uwagi.

Ten honor miał przypaść Jamesowi Christianowi Anthony'emu Bedwynowi, markizowi Lindsey.

Lecz w godzinę po tym, jak księżę z idealnie zawiązanym halsztukiem przywdział resztę odświętnego stroju, a księżna włożyła nową błękitną suknię i kapturek pasujące kolorem do jej oczu, markiz nie kwapił się, by zwracać na siebie uwagę.

Spał.

Obudził się na chwilę, gdy lodowata woda kapnęła mu na czoło, i przez dwie czy trzy minuty dawał ujście furii.

Wodę wytarto, a markiz znalazł się w silnych ramionach kogoś, kto szepnął mu, że wprawdzie jest bezgranicznie kochany, ale musi się nauczyć panować nad sobą i nie wrzeszczeć z byle powodu.

Zamiast wdać się w dyskusję, James Christian Anthony Bedwyn znów zasnął.

Właśnie został ochrzczony. Miał na sobie wspaniałą sukienkę, w której od pokoleń chrzczono dzieci książąt Bewcastle'ów.

Tłoczyli się wokół niego zachwycone ciotki i wujowie, babka i cioteczna babka, której lorgnon na chwilę zaplątało się w koronki jego sukienki. Ku zdumieniu i przerażeniu niani ojciec zaniósł go w ramionach do domu. Mali kuzyni domagali się, by pozwolono im potrzymać niemowlę. Wszyscy z wyjątkiem najstarszego Davy'ego, który uważał, że takie rzeczy są poniżej jego męskiej godności. I najmłodszego Roberta, syna wuja Alleyne'a i ciotki Rachel, który spał w kołysce w pokoju dziecinnym. Tylko Becky i Mariannę dostąpiły tego zaszczytu, każda po minucie.

Podchodzili sąsiedzi i zachwycali się nim.

W końcu matka pocałowała malca w pulchne policzki, ojciec w drugi i zanieśli go na

piętro do pokoju dziecinnego, żeby tłum gości go nie obudził.

Nie obudził się. Owinięty w kocyk spał obojętny na wszystko.

Słyszał jednak dwa głosy nad swoją kołyską. Pewnie uznałby je za najdroższe mu głosy na świecie, gdyby w wieku sześciu tygodni był w stanie formułować takie myśli.

- Nasz mały cud - westchnęła matka z czułością.

- Nasz kłębek utrapień - powiedział ojciec surowym tonem, choć z nie mniejszą czułością. - Christine, tam w kościele on nie był po prostu zły, ale wręcz wściekły. Chyba będziemy mieć z nim mnóstwo kłopotów.

Markiz Lindsey spał tak mocno, że nie czuł palców głaszczących go po policzku.

- Taką mam nadzieję, Wulfricu - oznajmiła matka z zachwytem. - I chciałabym, żeby miał siostry i braci, z którymi będziemy mieli jeszcze więcej kłopotów.

- Cóż, kochanie, jeśli mogę jakoś pomóc w spełnieniu akurat tego życzenia, to z rozkoszą się tym zajmę - powiedział księżę Bewcastle.

Księżna Bewcastle roześmiała się cicho. Markiz nawet nie wiedział, co to brat czy siostra. Ale się dowie...